

Krzysztof Bochus nie zawodzi: serwuje nam brawurową i inteligentną intrygę z nieoczywistym zakończeniem. Bierzcie i czytajcie – naprawdę warto!

Mieczysław Gorzka

KRZYSZTOF BOCHUS



KRUCHY LÓD

SKARPA WARSZAWSKA

K R Z Y S Z T O F
BOCHUS

KRUCHY LÓD



Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Epilog

Od Autora

Przypisy

Redakcja
Anna Tomczak

Korekta
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024

© Copyright by Krzysztof Bochus, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-95-0



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Ta książka to fikcja literacka i wytwór wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do realnych osób oraz zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe. Autor, korzystając ze swojej licentia poetica, starał się oddać realia opisywanych miejsc, ale tylko w takim zakresie, na jaki pozwalała fabuła powieści.

Mojej wyrozumiałej rodzinie
poświęcam

MOTTO

Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją.

Dante Alighieri, *Boska komedia*,
Wydawnictwo Zielona Sowa, 2009.

*Fakt, że w jakiejś powieści giną ludzie,
nie przesądza o jej gatunku.*

Andrzej Wydrzyński, *Ciudad Trujillo*,
Wydawnictwo Książka i Wiedza, 1988.

Rozdział I

Wataha

Okolice Smereka – Bieszczady, Warszawa, kwiecień 2023

I.

Wadera miała żółte oczy. Uważnym spojrzeniem omiatała co chwilę swoje szczytę: pięć małych wilczków, które po raz pierwszy opuściły jamę. Smuga czekał na ten moment od tygodnia. Każdego dnia czołgał się na szczyt wzniesienia, skąd miał widok na płaską polanę z przecinającym ją strumieniem. Woda spływała z pobliskich gór, drążąc kanały w wilgotnej ziemi i meandrując w dół ku lasowi, rozpościerającemu się aż po horyzont. Znad oparów i porannej mgły wyzierał czubek Bukowego Berda.

Wyregulował ostrość wizjera w lornetce. Widział teraz wyraźnie pysk wadery: siwy i długi, zakończony spiczastymi uszami. Uniosła łeb ku górze. Jej nozdrza falowały, wychwytyjąc zapachy dolatujące z lasu. Stary Tobiasz uprzedził go, że musi być ostrożny, bo wilki posiadają niezwykle węch.

– Mają niesamowity dar – mówił, pogłębiając przy tym marsa na czole. – Potrafią te zapachy przewijać do tyłu, odtwarzając ich historię. Wiedzą na ten przykład, że cztery dni wcześniej byłeś na wzgórzu. I że pojawiłeś się dwa dni później z bronią, zapamiętując zapach metalu.

– Nie noszę broni – zaprotektował Smuga.

– No to z lornetką. W każdym razie nie jesteś niewidoczny. Obserwują cię, na pewno wiedzą o tobie więcej niż ty o nich. To wataha króluje w tym lesie, ty jesteś tylko intruzem.

To była jego jedyna rozrywka, oprócz spotkań raz na tydzień z Tobiaszem w gospodzie. Najpierw zauważył watahę, stojąc wysoko na grani. Z tej wysokości wyglądała jak czarne korale rozsypane na śniegu. Początkowo śledził jej przemarsze z dużej odległości. Stado liczyło sześć sztuk. Tobiasz był nieocenionym źródłem wiedzy o wilkach. Ten stary Łemko był nieodłączną częścią

tego pierwotnego świata, który – zgodnie z jego wizją – Bóg podarował najpierw zwierzętom. Dopiero później pojawili się ludzie i jak zawsze, zaczęli wszystko psuć i stawiać na głowie.

Dzięki niemu wiedział już, że watahę prowadził basior albo wadera. Następnie kroczyły młode wilki z poprzedniego miotu. Pochód zamykał samiec beta, zawsze pozostający w pewnej odległości od stada, tolerowany, ale odgany od wspólnej uczty po upolowaniu jelenia. Stopniowo poznawał trasy przemarszu wilków, widział, jak moczem znaczą swoje terytorium. Wybrał kilka stałych punktów, skąd z dużej odległości przez lornetkę mógł obserwować ich zabawy i zwyczaje.

Pewnego dnia podjął decyzję. Ślizgając się po rozmokłym, kamienistym zboczku, zszedł wolno do dolinki, na trasę przemarszu wilków. Przepoławiał ją górski strumień. Domyślił się, że stado tu właśnie czasami zaspokaja pragnienie. Podmokła ziemia wokół strumienia usiana była odciskami wilczych łap, szczątkami kości i powrozów. Tego dnia wataha się nie pojawiła.

Pierwszego wilka zobaczył po trzech dniach oczekiwania. To był basior, przywódca stada. Ostrożnie obszedł strumień, wylapując nosem wszystkie możliwe zapachy. Smuga nie mógł pozbyć się wrażenia, że wilk wie o jego obecności. Co chwila podnosił głowę i strzygąc uszami, wpatrywał się w szczyt wzniesienia. Dzieliło ich ponad sto metrów i było pod wiatr, a jednak Smuga wycofał się jeszcze o metr i rozpląszczył na ziemi, tak aby uniknąć kontaktu wzrokowego z samcem alfa i nie zdradzić swojej obecności.

Następnie ukazała się wadera, niezgrabna teraz i ociężała. Rozwiązanie musiało być blisko. Tobiasz twierdził, że wilczyce najczęściej szcenią się na przełomie marca i kwietnia. Czekał więc przez następne dni, obserwując wilcze zabawy nad strumieniem, polegające głównie na przeciąganiu kawałka sznurka, wywleczonego zapewne z któregoś z ludzkich śmietników.

Aż wreszcie się doczekał. Leżał teraz na rozmokłej ziemi i słyszał, jak mocno bije mu serce. Ponownie spojrzął w lornetkę. Wilczyca czule popychała nosem ku wodzie swoje szczenięta. Te nie przejawiały zbytniej ochoty na wędrówkę ku przerażającej kałuży. Wadera podeszła do strumienia jako pierwsza. Wolno upiła kilka łyków i obróciła łeb do tyłu. Teraz wasza kolej, zdawała się namawiać szczenięta.

Smuga śledził zafascynowany ten spektakl, tę niezwykłą symbiozę dzikich zwierząt z otaczającą ich naturą. Przesunął lornetkę w bok, próbując odnaleźć ostatnie z wilcząt. Nagle drgnął. W okularach lornetki ukazał mu się łeb ba-

siora. Wilk znajdował się dobre dziesięć metrów bliżej wzgórza. Najwyraźniej oddalił się od strumienia. Wpatrywał się nieruchomo w szczyt, na którym ukryty był człowiek. Jego fosforyzujące, dzikie ślepia wypełniały wizjer. Smuga wstrzymał oddech i rozpląszczył się na ziemi. Czuł jej zgnięły zapach. Znowu zaczynało mżyć. Zapowiadał się kolejny mokry i długi dzień.

2.

Schodził czerwonym szlakiem z połoniny po stromych stopniach, zostawiając za sobą oba szczyty Smereka. Po godzinie był w swojej chacie, drewnianej chałupie z przeciekającym dachem, którą wynajął od Tobiasza. Wszyscy inni we wsi mu odmówili.

– Tam się nie da mieszkać – powiedział stary. – Przez dziury w dachu leje się na leb.

– Dam radę. Wyreperuję, co trzeba. Nie mam dużych wymagań – odpowiedział.

– Jak chcesz. Dlaczego uciekłeś z Warszawy?

– To dłuższa historia.

– Jesteś jakimś ćpunem czy kimś takim? – Tobiasz zmarszczył swoje krzaczaste brwi. Przypominał mu Wiesława Myśliwskiego, pisarza uhonorowanego nagrodą Nike, tylko zęby żółte od tytoniu psuły to wrażenie. Czasami zastanawiał się, ile Łemko ma lat. Starzec pamiętał rzeczy z odległej przeszłości, snuł barwne opowieści z czasów, gdy nad tą krainą sprawował władzę cesarz z Wiednia. Musiałby mieć ponad sto lat, a przecież było to niemożliwe.

– Nie w takim sensie, o jakim myślisz – odpowiedział Smuga.

– W ogóle o tobie nie myślę. To nie miało by sensu. My tutaj nie zadajemy zbyt wielu pytań.

– Nie lubię pytań.

– Nikt nie lubi. To nic nie daje, istnieje zbyt wiele odpowiedzi.

– Jeszcze jedno. Dlaczego ci we wsi nie chcieli ze mną gadać?

– To przecież proste. Nie budzisz zaufania.

– Jak to?

– Jesteś obcy.

– Nic o mnie nie wiedzą – obruszył się.

– A po co im ta wiedza?

No i został na tym zadupiu, gdzie wrony zawracają i słychać było nocami głuche wycie wilków. Wszedł do chałupy i obrzucił krytycznym spojrzeniem poszycie dachu. Udało mu się załatać największe szpary rolką papy, kupionej w sklepie w Wetlinie. Nie miał jednak pewności, czy dach przetrzyma większą ulewę, a o taką w Bieszczadach było nietrudno. Zwłaszcza w ostatnich dniach, gdy niebo rozdarło się nad górami, zalewając świat apokaliptycznymi strumieniami wody.

W lepszym stanie była sama izba. Drewniane bierwiona, prosty sosnowy stół, zbita z desek prycza i ikona na ścianie, dopełniająca całości. Miał tu żeliwną kozę, w której palił drewnem, przynoszonym z pobliskiego zagajnika i prąd, który biegł po słupach przez całą dolinę. Tobiasz dowiózł mu patchworkową kołdrę, poduszkę i dwa koce, którymi otulał się zwłaszcza rankami, kiedy przenikliwie zimno schodziło z gór i szroniło połoninę. Wodę z przeciekającego dachu zbierał do starej beczki po oleju z napisem „Samopomoc Chłopska”, którą znalazł w dole za chałupą. Mył się w żeliwnej balii, polewając się zagotowaną wodą z przedpotopowego garnka.

Wyszedł na zewnątrz i zszedł do pobliskiego strumienia. Mgła czepiała się jeszcze krawędzi góry, płózac się nad skalnym gołoborzem. Zrzucił z siebie ubranie. Woda był zimna, zanurzył w niej ciało, czując jak przenika go chłód, zmrażający najpierw piszczele, a potem wędrujący ku górze. Jednym ruchem zanurzył głowę z pulsującymi skroniami.

Kryzys znowu się zbliżał, zapowiadały to tajemne sygnały, które wysyłał mu jego największy wróg – własne ciało. Ta popierdolona sterownia, zdefektowana i podstępna, którą nosił we własnej głowie. Spotkanie z watahą działało na niego kojąco i go uspokoiło, ale tylko na chwilę.

Wytarł ciało szorstkim ręcznikiem i założył gruby sweter. Truchtem dotarł do domu. Dwadzieścia pompek, potem druga seria. Teraz czas na siłkę. Położył się na ziemi i wyciskał raz z jedną, a raz z drugą ręką w górze. Ogromny czajnik, wypełniony wodą, jedyny sprawny przedmiot zastany w chacie, służył mu za odważnik. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Dobrze, zasłużył na herbatę. Starał się przestrzegać ustalonego harmonogramu dnia, to były te stałe zwyczaje, które miały trzymać go w ryzach.

Podszedł do skrzyni i otworzył wieko. Trzymał tutaj najcenniejsze rzeczy. Laptopa, którego wrzucił tu pierwszego dnia po przyjeździe w Bieszczady

i jeszcze do niego nie zajrzał. Glocka, wyglądającego teraz jak tandetna zabawka z innej bajki. A przede wszystkim saszetkę z lekami.

Ułożył tabletki w równym rzędzie na desce kuchennej. Wyrównał odległości pomiędzy nimi, żeby było tak jak lubił, tak jak trzeba. Agnieszka mówiła, że ma pierdolca na tym punkcie. Agnieszka... To imię też brzmiało jak z innej bajki.

Magnez, witaminy z grupy B oraz tabletki xanaxu 1 mg. Wieczorem weźmie jeszcze jedną na dobry sen. I wreszcie crème de la crème: tabletki escitalopramu. Do niedawna brał citalopram, ale miał wrażenie, że nowe pastylki, przepisane mu przez lekarza, są skuteczniejsze. – Tylko proszę pamiętać, panie Marku. Jedna tabletki, nie więcej! – pouczał go psychiatra. – To silny lek. Pacjent narażony jest na wystąpienie zespołu serotoninowego – to stan, w którym w organizmie jest za dużo serotoniny. Jego objawy to: pobudzenie, drżenia mięśni, drgawki, hipertermia. A tego nie chcemy, prawda? Jasne, kurwa, że nie chcemy.

Połknął dwie tabletki i popił wodą. Po czterech godzinach lek zostanie wchłonięty przez krew. Żelazna obręcz, ściskająca potylicę, żelżeje. Będzie mógł zejść do wioski i pójść między ludzi. I udawać, że jest taki jak oni.

3.

Wiatr poruszył firanką i ten ledwie słyszalny szelest sprawił, że Agnieszka natychmiast się wybudziła. Niegdyś momentalnie zasypiała i spała kamiennym snem do samego rana. Nie można jej było dobudzić. Teraz wszystko się zmieniło. Zbliżający się wieczór powodował narastanie podskórnego niepokoju, lęku przed bezsennością i nieuchronnym koszmarem, jaki czekał ją w nocy.

Wiedziała, jakie jest panaceum na to zło. Tylko nikt nie mógł jej wystawić recepty. Sięgnęła po smartfona. Żadnej wiadomości od Marka. Wysłała mu wczoraj SMS-a, jak zwykle bez odzewu. Na początku, zaraz po jego wyjeździe, telefonowała do niego kilka razy dziennie. Ani razu nie odebrał. Potem przestała i dlatego telefon, który nagle zadzwonił, tak ją zaskoczył. Rzuciła okiem na wyświetlacz.

– Marek? – Nie potrafiła ukryć radości.

– Posłuchaj, wiem, że dzwoniłaś...

– I to wiele razy... – Bardzo się starała, żeby w jej głosie nie wyczuł pretensji.

– Ale nic się nie zmieniło.

– To znaczy?

– Przecież wiesz – westchnął. – Musiałem wyjechać. Chcę się z tym uporać. Dojść do ładu sam... ze sobą.

– Masz tu w Warszawie psychoterapeutę, lekarzy. Nie rozumiem, czego szukasz tam, w tej głuszy.

– Ciszy. Spokoju. Jestem w złej formie, nie chcę, żebyś mnie oglądała w tym stanie.

– Marek, nie jestem małą dziewczynką.

– Wiem.

– Depresja to choroba. Można ją leczyć, oswajając.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Widocznie za mało. Radziłeś sobie ostatnio całkiem nieźle. Myślałam, że jest ci ze mną dobrze.

– Przestań, to nie ma nic wspólnego z tobą. Muszę kończyć.

– Mogę do ciebie pisać?

– Tak – zawahał się. – Ale nie zdziw się, że nie zawsze będę odpisywał. Czasami nie jestem w stanie zwlec się z łóżka, to trudne...

– Wrócisz?

Wyłączył się. Wylogował z jej świata. Zawsze tak robił, gdy TO nadchodziło. Znikał, wtapiał się w tło, odgradzał się od świata setkami barier i masek. Wtedy uświadamiała sobie, że nigdy nie miała go na własność, co najwyżej na raty. Gdy na to przyzwalał, gdy choroba na chwilę odpuszczała, nigdy zresztą nie było wiadomo na jak długo. Nocami czytała o depresji, logowała się na fora dyskusyjne ludzi, zmagających się z tym podstępny wrogiem. Próbowwała wejść w jego głowę, mając nadzieję, że wesprze go w godzinie próby. Stała się ekspertem w dziedzinie farmakologii i antydepresantów. Sama mogłaby wystawiać recepty.

To było rzeczywiście trudne. Była młodą dziewczyną i miała prawo do normalnej miłości: niefrasobliwej, kolorowej, czasami lekkomyślnej. Jej koleżanka z roku radziła jej radykalne rozwiązanie.

– Daj sobie z nim spokój, Aga. Zerwij z nim. To świetny gość, ale nie dla ciebie. On jest jak granat, prędzej czy później wybuchnie.

– Nie potrafiłabym.

– Przynajmniej spróbuj. Na początku będzie ci ciężko, ale przetrwasz, dasz radę.

Nie potrafiła.

Poczłapała do kuchni. Kiedyś w ogóle nie tolerowała śniadań, ale związek z Markiem wszystko zmienił. Polubiła te poranne celebracje, jego wymądrzanie się o wyższości naparu z kawiarki od cieczy z ekspresów.

– Nic nie zastąpi małej kawy zaparzonej w kawiarence. Te wszystkie ekspresy to tylko naciąganie ludzi na grube pieniądze – powtarzał.

Miał swoje dziwactwa. Tolerował tylko chrupki żytnie i nie uznawał jasnego pieczywa. Kilogramami jadał pomidory i szarzał na twarzy na widok tuńczyka, którego uznawał za „samą chemię” – należał do tej samej kategorii szatańskich wynalazków co ekspresy do kawy. Obrzuciła wzrokiem kawiarkę. Przykrywał ją cienki nalot kurzu. Brakowało go tutaj.

Cisza dźwięczała jej w uszach. Z wysiłkiem przełknęła tosta i skosztowała jogurtu z lodówki. Jezu! Przecież była sobota. Musiała się szybko ogarnąć. O dziesiątej udzielała korepetycji z francuskiego Poli, córce mecenasa Rekluckiego. Niepokoił ją ten facet, ale potrzebowała kasy. Zresztą, zobaczy się, czy pociągnie dalej tę pracę.

4.

Od niewygodnej pozycji bolały go łokcie, ale się nie poruszył. Sprzyjał mu wiatr, wilki raczej nie mogły wyczuć jego obecności. Przynajmniej miał taką nadzieję. Od jamy dzieliło go kilkadziesiąt metrów, ale przez lornetkę widział dobrze wejście do niej. Wytężył wzrok. Jest! Basior trzymał w pysku coś, co wyglądało jak polec mięsa. Złożył zdobycz u wlotu i usiadł na tylnych łapach. Czekał cierpliwie, dopóki w otworze nie pojawił się łeb wadery. Ta jednym ruchem pyska wciągnęła zdobycz do środka.

W ciągu następnych kilku godzin wilk kursował jeszcze dwukrotnie. Smuga zauważył, że nawet czekając na reakcję wadery, ani razu nie napoczął przyniesionego przez siebie mięsa. A przecież jeśli polował w nocy, sam musiał być głodny. Najważniejsza była rodzina, nakarmienie matki i otaczających ją szczeniąt. Dopiero przy trzecim kursie basior doholował większy kawał pożywienia pod wykrot, przy którym czekały dwa większe wilki i jeden osobnik wyraźnie odstający od reszty. Smuga już wcześniej zwrócił na niego uwagę. Na-

zwał go Outsiderem. Miał posiwiwały łeb i lekko kulał. Zawsze zamykał pochód, trzymając się w pewnej odległości od pozostałych. Inne wilki tolerowały go, ale nie pozwalały na zbytne zbliżenie.

Tak było i tym razem. Basior zatopił kły w mięsie, targając nim wściekle na wszystkie strony. Prawdopodobnie upolował małą sarnę, widać było jeszcze fragment płowej, zamszowej skóry. Następnie do uczty przystąpiły dwa mniejsze wilki, pożerając to, co pozostawił samiec alfa. Widocznie taka była kolejność dziobania. Najdziwniejsze było to, co nastąpiło potem. Wilki zaspokoily już głód, ale nadal krążyły wokół pozostałości po sarnie. Outsider uznał widocznie, że teraz jego kolej. Leniwie oblizal posiwiwały pysk. Ruszył ku padlinie, ale wtedy niespodziewanie zareagował basior. Obrócił łeb do intruza i warknął ostrzegawczo, obnażając kły. To wystarczyło. Outsider przypadł na łapach i zatrzymał się w miejscu. Popelnil błąd? Smuga podregulował ostrość w lornetce. Widocznie Outsider mógł funkcjonować na obrzeżach stada, ale musiał znać swoje miejsce w hierarchii. Wspólne żarcie było wyłącznym przywilejem basiora i jego dzieci.

Położył się na wznak i spojrzal w niebo. Słońce przebijało się przez ciężkie, skłębione chmury. Miały kształt gotyckiej katedry. Ziemia parowała, oddając wilgoć, która od tygodni spadała tu z nieba. Czuł się lekko. Escitalopram działał. Zapowiadał się słoneczny dzień.

Godzinę później był już w gospodzie w Smereku. Zachodził tu czasami po lokalne piwo, lubił jego cierpki smak. Kupował czteropak, który starczał mu na cały tydzień. Raz nawalił się z Tobiaszem miejscową księżycówką, a potem przez cały dzień wyrzygiwał wewnętrznosci. Dałby głowę, że w treści pokarmowej widział dziesiątki nieprzetrawionych tabletek: małych, dzielonych po xanaxie, obłych pocisków po escitalopramie, antydepresantów i kolorowych guzków po witaminach.

Przy barze musiał poczekać. Dwóch mężczyzn w skórzanych kurtkach okupowało ladę. Widział ich tu już wcześniej, mieli jeepa na białostockiej rejestracji.

– Posłuchaj, laluniu. – Jeden z nich zwracał się do ładnej sprzedawczynie za barem. – Jesteś tu największą atrakcją, a my spadamy ci jak gwiazdka z nieba.

– Właściwie dwie gwiazdki – zarechotał drugi, z kowbojską chustą na piersi. – I dawno już nie zamoczyliśmy.

– Zamawiacie coś panowie? – Kobieta starała się zachować spokój.

– Coś do buzi, a potem na dwa baty. – Ten z czerwoną chustą schwycił dłoń kobiety, ale ta wyrwała rękę.

– O, jaka cnotka. Możemy cię przelecieć – tutaj albo zapraszamy do nas. Gościmy w pensjonacie „Anna”.

– Nie skorzystam.

Smuga obejrzał się za siebie. Dwóch miejscowych pijaczków, kiwających się nad kuflami piwa. Jakaś rodzina pochylona nad frytkami i bojąca się podnieść głowę. Spojrzał pytająco na kobietę, ale ta pokręciła przecząco głowę. Pierwszy z mężczyzn dostrzegł ten ruch i odkleił się od blatu. Odwrócił się w stronę Smugi i zlustrował go spojrzeniem od stóp do głów.

– Jakiś problem? – zapytał chrapliwie.

– Żadnego – odpowiedział Smuga.

– To czemu się wpierdalasz?

– Nie wpierdalałam się.

– A jednak.

– Nie chcę kłopotów. Tylko kupię piwo i znikam.

– To kupuj i wypad, leszczu!

Zapłacił, wyszedł przed gospodę i zaczerpnął głęboko powietrza. Dwa wdechy i wydech, dwa wdechy i wydech. Luz. Nie chciał problemów. I nie mógł ich mieć. To była ostatnia rzecz, jakiej by pragnął. Wiedział, jakby to było. Niepotrzebna chryja, policja i zamieszanie. Chciał spokoju, po to się zaszył w tej głuszy.

Wyciągnął smartfona. Sprawdził, że nadal jest wyciszony. Wiadomości od Agnieszki. Dużo ich. Odpowie później, wieczorem, kiedyś. Przecież dopiero rozmawiali. Włączył spotify w smartfonie i przez chwilę przewijał kolejnych wykonawców. Clapton, U2. Zatrzymał się na zespole Kwiat Jabłoni.

Nie mogę ruszyć w przód

Nogi sklezione taśmami

Zaczynam spadać w dół

Spadam do góry nogami...

– *Je ne l'ai pas commandé. C'est un malentendu* – powtórz, z naciskiem na «ne». – Agnieszka spojrzała na zegarek.

– Kończymy już? – Pola przeciągnęła się, była dziewczyną o olśniewającej urodzie, która musiała działać paraliżująco na jej obsypanych trądzikiem rówieśników.

– Tak, starczy na dzisiaj.

– Jak mi idzie? Straszna ze mnie oślica, prawda?

– Mogłoby być lepiej.

– Lubię cię, wiesz? Za to, że jesteś szczerą i mówisz to, co myślisz. To teraz takie rzadkie.

– Myślisz? – Agnieszka wrzuciła skrypty do torby. – A może potrafię się maskować?

– Nie sądzę. – Pola obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem. – Chciałabym, żebyś była moją siostrą.

Siostrą? A co tej małej strzeliło do łba, kuźwa. Agnieszka skamieniała przez moment.

– Powiedziałaś coś nie tak? Jeśli tak, to sorki.

– Nieważne. Muszę lecieć. – Agnieszka zerwała się z krzesła.

– Stary chciał z tobą pogadać. – Pola skrzyżowała swoje długie nogi.

– Teraz? – Agnieszka skrzywiła się i znacząco spojrzała na zegarek. – Lecę na następne korki.

– Nalegał. Czeka na ciebie w swoim gabinecie. Poza tym ma dla ciebie wypłatę.

– Dobrze.

– Nie lubisz go, co? – Pola spojrzała na nią ciekawie. – To dziwne, bo jego wszyscy lubią.

– Nie, dlaczego?

– Bo go unikasz.

– Wydaje ci się. Zawsze jestem w niedoczasy. Pa!

Wyszła na korytarz willi. Duże hiszpańskie kafle, futurystyczny fotel, kryty kanarkową skórą, na ścianie dwa obrazy Starowieyskiego. Minimalizm na bogato. W Konstancinie było wiele zamożnych domów, ale willa mecenasa Rekluckiego na pewno otwierała pochod.

– Jestem! – Wyjrzała zza uchylonych drzwi.

– O, Agnieszka! – Rozpromienił się na jej widok. Przystojny, zadbane czterdziestoparolatek o nienagannym śnieżnobiałym uśmiechu przywiezionym, jak jej zdradziła Pola, z Turcji. Było chłodno, ale miał na sobie tylko polo Lacoste z krótkim rękawem, odsłaniającym muskularne, opalone ramiona.

– Przepraszam, ale spieszę się. – Ledwie przestąpiła próg.

– Jasne, wszyscy żyjemy w pędzie. – Nie spuszczał oczu z jej nóg. – Pewnie takim dziewczynom jak ty jest szczególnie trudno w tym pojebanym świecie.

Była przekonana, że ten wulgaryzm przygotował specjalnie na tę okazję. Był przecież taki cool.

– Radzę sobie.

– Jasne. Jesteśmy z ciebie bardzo zadowoleni, Pola bardzo cię chwali.

– Dopiero zaczęłyśmy.

– To nieważne, mam oko do takich spraw. Wiesz, chcemy ją wysłać do Szwajcarii do gimnazjum dla bogatych panien. Za dużo tam Rosjanek, ale trudno.

– Słyszałam, Pola robi postępy.

– To wyłącznie dzięki tobie.

– Na pewno nie wyłącznie.

– Proszę, to twoje honorarium. – Wyciągnął rękę z kopertą, nie ruszając się z miejsca.

Nie miała wyjścia. Podeszła do niego. Dotknęła koperty, ale on nie poluznił uchwytu.

– Jesteś piękną kobietą, Agnieszko – powiedział. Czowała jego przyspieszony oddech.

– Naprawdę się spieszę.

– Wiem, że kończysz studia i tyraś w klubie. Nie musisz.

– To moja sprawa. – Puścił wreszcie kopertę.

– Jasne. Ale mogłabyś wejść na wyższy level. Materialny i w ogóle.

– Pieprząc się z panem? – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Jeśli chcesz tak to ująć. – Wzruszył ramionami.

– Nie jestem panem zainteresowana. Nie ten level.

– Mógłbym ci ułatwić życie. I wiele nauczyć. Znam wiele...

– Musi pan poszukać nowej korepetytorki – przerwała mu.

– Nie jesteś chyba taka głupia.

– Wal się, pajacu. I kto ci tak spieprzył te białe kły? – Dopiero teraz zgasiła uśmiech na jego twarzy.

Wybiegła z domu, opanowując wzburzenie. Zbok w jedwabnym garniturze. Urodzony drapieżnik, hedonista, który zawsze dostaje to, czego pragnie. Widywała takich w klubie, rozpoznawała od pierwszej odzywki. Tak jakby unosiła się nad nimi jakaś smrodliwa aura. Od pierwszego momentu na nią polował. Czowała to przez skórę, a jednak dała się wciągnąć do tej złotej klatki. Kurwa!

– Aga! Aga! Co się stało? – usłyszała głos Poli, dobiegający z podjazdu.

Nie obejrzała się za siebie.

6.

Obeszło ją to bardziej, niż myślała. Co za skurwysyn! W domu położyła się na kanapie i przykryła głowę poduszką. To nie był dobry dzień, oby skończył się jak najszybciej. Zresztą nic się nie układało. Marek zostawił jej jakieś pieniądze przed wyjazdem, ale tych szybko ubywało. Klub ledwo zipsał, skończyła się kasa za nadgodziny. Rosła góra rachunków do zapłacenia. Potrzebowała tej forszy za korki, ale przecież nie za taką cenę... Dobrze przynajmniej, że nie płaciła za chatę, Marek zostawił jej klucze do swojego mieszkania.

Włączyła pilotem telewizor. Jakiś facet w garniturze tłumaczył, że Polska jest zieloną wyspą i że żaden rząd nie zrobił tyle dla młodych, co obecny. Wkrótce ruszy kolejny program mieszkaniowy. Potem na ekranie ukazał się naczelnik. Tłumaczył, że kobiety w Polsce nie rodzą dzieci, bo za dużo piją. I wszystko jasne. Boże! Wyłączyła telewizor. Nie myśl, kobieto! – przewróciła się na drugi bok. Myślenie zabija. Czego nie masz w głowie, to nie istnieje. Niespodziewanie dla niej samej dopadła ją nagle senność. Zaczęły jej ciążyć powieki.

Wybudził ją jakiś dźwięk. Potrzebowała chwili, aby zlokalizować jego źródło. Laptop, sygnał nadchodzącego maila. Przetarła oczy. Pewnie Pola chce ją nakłonić do powrotu. Albo ten zbok spróbuje wszystko obrócić w żart. Co za dzban!

Usiadła na fotelu i uniosła wyżej obudowę monitora. Kliknęła, adres nadawcy – nic jej nie mówił. Spam? Przez chwilę czekała, zanim na ekranie ukazały się dwa słowa. Przeczytała je i poczuła, jak nagle brakuje jej tchu, a stalowe imadło miażdży jej skronie. Dwa słowa, dwanaście liter. To jakiś żart?

Kretyński, bezmyślny wygłup kogoś, kto wiedział? Oslupiałym wzrokiem wpatrywała się w ekran, z którego krzyczała wiadomość:

„SIOSTRO, RATUJ!”

Czuła jak mocno wali jej serce. Zrobiło jej się nagle zimno, otuliła się kocem. Załącznik, jest załącznik. Zaraz się wszystko wyjaśni. Może to któraś z jej kumpeli, jakaś głupia pipa, która zaległa u koleśka i nie ma na powrót taksówką do domu, dlatego wzywa pomocy. Kliknęła w ikonkę. Niemal podświadomie w tym samym momencie zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, nic już nie było takie same jak przedtem.

Na selfie widać było dziewczynę. Wyglądała jak Agnieszka. Miała oczy w tym samym bursztynowym odcieniu i bliźniaczy owal twarzy. Podobnie wykrojone usta. I do złudzenia podobny kolor włosów. Ale to nie była Agnieszka.

7.

Schodził wolno ścieżką, przyświecając sobie latarką, by nie zboczyć z drogi. Była wąska i kręta, jasna wstążka zagubiona wśród skał i pociemniałych krzewów o ostrych kolcach. Czuł pod butami ostre kamyki, wżynające się w gumę podeszwy. Wieś jarzyła się bladą luną w dolinie, wyczuwał zapach drewna palonego w piecach i kominkach.

Chata Tobiasza wyłoniła się nagle zza kępy jałowców. Stary siedział na werandzie, jego obecność zdradzał żarzący się papieros. Obok na polanie płonęło małe ognisko.

– Jednak przyszedłeś – przywitał go Tobiasz.

– Odczytałem twoją wiadomość.

– Myślałem, że nie zaglądasz do telefonu.

– Dzisiaj zajrzałem.

– Ano.

Przerwało im głuche wycie, dobiegające od strony przełęczy.

– To basior, zwołuje watahę – powiedział stary i pstryknął niedopałek w stronę grani.

– Skąd wiesz, że to właśnie on?

– Takie rzeczy się wie.

Tobiasz zawsze tak mówił, gdy był czegoś pewny. Nie potrzebował dowodów, algorytmów na prawdziwość tego, co przekazywał. Nie przekonywał. Nie rozwijał tematu, po prostu wiedział. Dla Smugi, wyuczonego w policyjnej szkole krytycznej analizy sprzeczności i rozbierania włosa na czworo, była to nowość. Ożywcza jak woda w pobliskim strumieniu.

– Obserwuję watahę prawie codziennie – powiedział, sadowiac się obok starca na kulawym zydelku.

– Tam gdzie ci mówiłem?

– Dokładnie. I jeszcze przy strumieniu. Podglądam zwłaszcza Outsidera.

– Kogo? – Stary rzucił mu chmurne spojrzenie.

– Chodzi mi o tego posiwiąłego, kulejącego na jedną łapę. Trzymają go na dystans.

– To samiec beta. Przegrał z basiorem walkę o przewodzenie stadu. Zranił łapę i stanowi dla nich obciążenie. Dlatego go odrzucą. A on czeka na swój czas.

– Jak to?

– Latem dojdzie do siebie i spróbuje raz jeszcze. Wilki nigdy się nie poddają. Nie to, co ludzie.

Smuga postanowił pozostawić tę uwagę bez odpowiedzi. Stary wskazał mu piwo w koszyku. Smuga otworzył jedną butelkę i pociągnął dłuższy haust. Rzeźwiście miało wyjątkowo cierpki smak.

– Co oni tam dodają?

– Specjalne szyszki chmielowe. To tutejsza odmiana, Marynka.

– Dlaczego mnie wezwałś? – zapytał Smuga, przerywając powstałe milczenie.

– Podobno miałeś scysję w gospodzie z dwoma frajerami w skórzanych kurtkach.

– Scysję? Tak bym tego nie nazwał.

– Są niebezpieczni. – Stary podszedł do ogniska i dorzucił dwa polana.

– Nie wydaje mi się. Ta sklepowa nie w ciemną bita, poradzi sobie.

– Nie o Janeczkę się tu rozchodzi.

– Nie. A o kogo? – Smuga spojrział na starca z zainteresowaniem.

– Byli w sklepie myśliwskim w Wetlinie. Kupowali naboje do sztucerów.

– I co w związku z tym?

– Oni przyjechali tu zapolować na wilki. Nasze wilki – powtórzył stary.

– Skąd to przypuszczenie?

– Takie rzeczy się wie.

Przed chatą zapanowała nagle cisza. Przerwał ją nagły trzepot wielkiego ptaka, który zerwał się z drzewa i krążył nad pobliską granią, jakby nie mógł znaleźć właściwego miejsca do założenia gniazda.

– Watahę nie tak łatwo wytropić. Gdyby nie ty, nigdy bym nie trafił na jej ślad – przerwał milczenie Smuga.

– Już ją wytropili.

– Skąd wiesz?

– Byli przy strumieniu. Widziałem ich.

– Mogą mieć zezwolenia na odstrzał?

– Nie mogą. Wilki są pod ścisłą ochroną, a teraz to w szczególności, bo jest okres ochronny, wadery piastują młode szczenięta.

Było bezwietrznie. Niebo płonęło purpurowym blaskiem. Polana w ognisku żarzyły się, nie poddając się nadciągającej wieczornej rosie. Smuga pomyślał, że mógłby tu pozostać na dłużej. Może na zawsze. W krainie bez zbędnych pytań i wielkich potrzeb.

– Długo tu mieszkasz? – Smuga zgarnął do środka ogniska dopalające się bierwiona.

– Od zawsze. Jestem ostatnim Łemkiem ze Smereka. Widziałem, jak wojsko spaliło nasz dom, tam po drugiej stronie wzgórza. – Wskazał ręką za siebie. – Moja matka zabrała ze sobą tylko ikony i pierzynę. Resztę nam spalili. Wróciłem w 1984. Wtedy żyły tu tylko wilki.

– Nie wiedziałem.

– Stare dzieje.

– Wspominasz czasami tamte czasy, te sprzed deportacji?

– Nie, po co? One już nie wrócą. A ja zamykam korowód. Prawda o tamtych czasach nikomu już nie jest potrzebna.

– Prawda to zawsze prawda.

– Nie zawsze. – Stary zmarszczył brwi. – Czasami kłamstwo jest lepsze od prawdy. Podzielił się nią z innymi, a przecież nie wiesz, co tak naprawdę oni myślą i czy odwzajemnią się tym samym. Prawda jest jak cierń jałowca, potrafi zranić, zabołęć, wyrządzić przykrość, a nawet zniszczyć komuś życie. A kłamstwo, zwłaszcza w słusznej sprawie, jest jak plaster zakrywający ranę. Jestem

już stary, nauczyłem się, że pewne rzeczy lepiej zachować dla siebie. Prawda szczęścia nie daje, amen.

– A co to jest szczęście?

– Nikt go nie spotkał na drodze i nie dotknął, nie wiadomo jak wygląda – ale przecież istnieje. Ludzie go całe życie szukają, nogi sobie potrafią uchodzić do bąbli na stopach, a szczęścia nie znajdują. Dlaczego? Bo źle szukają, nie tam gdzie trzeba. W bogactwie i zaszczytach go tropią, a przecież nie każdy na sławę zasługuje. A tymczasem szczęście jest bliżej, niż myślimy: w dobrym uczynku na przykład i czasami jest go tam więcej niż w całym długim ludzkim żywocie.

– Jakbyś cytował Myśliwskiego.

– Kogo?

– Nieważne. Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

– Zrób coś z tym.

– Z tymi facetami z baru?

– Mordercami wilków.

– Niby jak?

– Coś wymyślisz. Jesteś policjantem.

– Byłem.

Stary nie odpowiedział. Podniósł się i okrył szczelniej derką. Smuga widział, jak, pochylony, wchodzi wolno do chaty. Górą wstrząsnął głuchy pomruk. Zbliżała się burza.

8.

Rano podjechał do Ustrzyk Górnych i zrobił zakupy w sklepie. Mapy, mazaki, rosyjskojęzyczny przewodnik po Bieszczadach. Wymienił w dwóch, odległych od siebie kantorach trochę dolarów i rosyjskich rubli. Ciągłe lało. Ledwo widział szosę, zalewaną strugami z nieba. Jego wysłużona kia wolno przebijiała się przez drogę, brodząc w strugach deszczu. Wycieraczki ledwo nadążały z odgarnianiem wody, zalewającej przednią szybę auta.

Na drodze wymijał wyrwane korzenie, ogromne kępy trawy i połamane gałęzie, niektóre o grubości ludzkiego uda. Raz musiał zatrzymać się na dłużej – szosę przegradzało zwalone drzewo. Musiał poczekać na pomoc. Razem z in-

nym przejeżdżającym kierowcą zdarli ręce do krwi, zanim usunęli przeszkodę i mogli pojechać dalej.

Gdy dotarł do chaty, cały dygotał z zimna. Opóźnił wzięcie leków – musiały starczyć do późnego wieczora. Przebrał się w suchy dres i zaparzył świeżej kawy. Następnie usiadł przy stole i rozłożył wielką mapę Bieszczad. Przez dłuższą chwilę pracował, nanosząc na nią stosowne znaki i inskrypcje. Następnie wziął na tapet jeepa. Sprawdził w necie jego typ i specyfikację techniczną.

Wyciągnął spod pryczy plecak i załadował do niego płaszcz przeciwdeszczowy, latarkę, fiński nóż i taśmę samoprzylepną. Po chwili zastanowienia wyciągnął z kufra glocka. Dawno nie miał go w dłoni. Świetnie wyważona broń nieraz ratowała mu życie. Rozłożył pistolet na części, wytarł je bawełnianą szmatką i złożył z powrotem.

Podniósł głowę do góry. Szum narastał, ale na razie papa wytrzymała. Wiadro było prawie puste, zebrało się w nim ledwie kilka kropli wody. Wołał nie myśleć, co by się stało, gdyby żywioł sforsował stworzoną przez niego prowizorkę i poszycie znowu zaczęło przeciekać. Włączył radio i przez chwilę słuchał wiadomości, czekając na prognozę pogody.

„Donald Tusk wezwał opozycję do wspólnego marszu 4 czerwca. Bachmut broni się zażarcie, obserwatorzy donoszą o ogromnych stratach wojsk rosyjskich. Prezydent Władimir Putin zapowiada kontynuowanie operacji specjalnej. Dmitrij Miedwiediew, wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej oskarża Polaków o chorobliwą rusofobię. Jarosław Kaczyński: *Oni ciągle kłamią. Nie możemy pozwolić, aby do władzy wróciła opozycja, formacja skrajnie antypolska i idąca na pasku Berlina.* Legia Warszawa zdobyła Puchar Polski. Pijany rolnik wjechał ciągnikiem w sklep w Wetlinie, miał we krwi ponad 2 promile alkoholu. Ostrzeżenia dla ludności: w Bieszczadach spodziewane są nocne burze i silne opady deszczu”.

Wyciągnął ze skrzyni drugi telefon i przez chwilę go programował. Skończył dopiero po szesnastej. Był gotów. Położył się na pryczy i przykrył kocem. Śmierdział kocimi szczynami, musi go wymienić jak najprędzej. Połknął podwójny xanax. Antydepresant działał nie tylko uspokajająco, ale także nasennie. Nastawił budzik w komórce i zamknął oczy.

Gdy je otworzył, za oknem było już ciemno. Deszcz ustał, ale wichura nadal wściekle obijała jakimś kawałkiem blachy o wiatrołap jego chaty. Przez chwilę wsłuchiwał się w siebie. Wewnętrzny wróg, ten nieuchwytny skurwiol, który pojawiał się, kiedy chciał, nie pytając o zaproszenie, jeszcze drzemał, znieczu-

lony antydepresantami. Jak długo będzie w uśpieniu? Spojrzał na omegę. Dwudziesta trzecia. Już czas.

Włożył kapotę przeciwdeszczową z kapturem, kupioną w Wetlinie. Wsiadł do samochodu. Zacerpnął ręką trochę błota i wymazał nim tablicę rejestracyjną wozu. Silnik odpalił dopiero za drugim razem. Zjeżdżał ostrożnie, wymijając jakiś korzeń wyrwany przez wichurę i tworzący barykadę na drodze. Jechał boczną drogą przez las, nie chciał być zauważony. Ponownie spojrzął na swoją omegę. Godzina 23.20. W oddali, zza kurtyny nasilającego się deszczu, widział nieliczne małe światełka w oknach domów. Obok majaczyły, podobne do igloo, kopuły przydomowych saun, które zaczęły ostatnio wyrastać w Bieszczadach jak grzyby po deszczu, ku uciechu turystów. Do tej pory nie spotkał żywego ducha. Ludzie chcieli przeczekać atak żywiołu w domowych pieleszach.

Dojechał do skraju wsi i tyłem wjechał na położoną wyżej ślepą ścieżkę. Zapewne wiodła na któryś z górskich szlaków. Zgasił światła. Sięgnął po lornetkę i wyregulował ostrość w wizjerze. Do pensjonatu miał stąd nie więcej niż dwieście metrów, oddzielała go od niego jedynie asfaltowa droga. Widział rozłożysty dach budynku, spiętrzony przez liczne lukarny i kominy. Zauważył, że światło paliło się jedynie w dwóch oknach.

Sięgnął po plecak, otulił się kapotą i wyszedł z wozu. Deszcz zaciął coraz mocniej. Schodził ostrożnie, hamując butami po rozmokłej i śliskiej ziemi. Przebiegł przez asfalt. Po kilku minutach był na miejscu. Czuł krople deszczu na skórze, chłód przenikał go do szpiku kości.

Rano, robiąc rozeznanie w terenie, przejechał koło pensjonatu, dzięki czemu znał już położenie wiaty. Znajdowała się po zachodniej stronie budynku, od strony góry. Nie włączał latarki, niemal po omacku przesunął się w stronę wiaty. Jeep stał po prawej stronie, frontem do podjazdu. Widział jego niezgrabny kontur rozkraczony na czterech masywnych kołach. Schylony przemknął pod wąty daszek. Krople deszczu bombardowały niezmordowaną blachę. Co kilka sekund powietrze rozdzierał grzmot piorunów, szalejących nad szczytami Smereka. Jeden z tych ognistych zygzaków rozdarł ciemne niebo. Musiał uderzyć gdzieś bardzo blisko, Smuga usłyszał głuchy huk.

Dotarł na miejsce i zatrzymał się na chwilę, próbując skupić myśli. Przede wszystkim musiał zneutralizować w samochodzie alarm, zakładał, że na pewno jest włączony. Miał kilka opcji. Rozpatrywał włamanie do pensjonatu i odnalezienie karty, ale opcję tę uznał za zbyt niebezpieczną. Postawił na sprawdzone rozwiązanie. Nie mógł ryzykować, miał tylko jedno podejście i nie zamierzał pozostawiać po sobie żadnych śladów. Dla kogoś takiego jak on

alarm nie był żadną przeszkodą. Dzięki przestudiowaniu instrukcji technicznej w internecie, znał jego usytuowanie pod deską rozdzielczą. Wystarczyło się do niego dobrać i w kilka sekund przełączyć odpowiednio kabelki. Musiał jednak za wszelką cenę zneutralizować sygnał alarmu, nawet jeśli miałby być on słyszalny tylko przez chwilę. Jeep nie mógł nosić żadnych śladów włamania, czy obcej interwencji. Inaczej cały plan brał w łeb.

Kłęknął przy wozie i założył lateksowe rękawiczki. Kilka sekund zajęło mu zneutralizowanie tuby dźwiękowej. Psiknął w nią zwykłą pianką izolacyjną. Podpatrzył tę prostą metodę u włamywaczy podczas pracy w policji. Następnie otworzył maskę wozu, podpiął moduł do laptopa i zainstalował własne oprogramowanie. Droga wolna, jeep stał otworem.

Spojrzał w stronę pensjonatu. Jedno okno zgasło. Wicher wzbijał w powietrze tumany liści i przyginał ku ziemi sosnę, rosnącą przed budynkiem. Jakiś pies z zapadłymi bokami przemknął przez podwórze. Jego ślepia nienaturalnie fosforyzowały w ciemności.

Smuga otworzył plecak i wyjął z niego śrubokręt. Kilkoma ruchami odkręcił podsufitkę i włożył pod nią mapę oraz plik dolarów. Do schowka wrzucił też rosyjskojęzyczny przewodnik oraz nową komórkę z tylko jednym połączeniem międzynarodowym z kierunkowym + 375. Otarł czoło i rozejrzał się dookoła. Wystarczy jak na przynętę dla lokalnych glińiarzy. Potem ściągnął chłopców z ABW i ruszy machina.

Wycofał się niepostrzeżenie tą samą drogą. Dotarł do samochodu zlanym deszczem. Zobaczył nagły rozbłysk za szczytami pobliskich drzew, falujących jak las rycerskich włóczy. Raz, dwa, trzy... Głuchy pomruk wstrząsnął naelektryzowanym powietrzem. Znowu było blisko. Zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, wytarł twarz i sięgnął po drugi telefon. Wybrał numer dyżurnego posterunku w Ustrzykach Dolnych.

– Oficer dyżurny, słucham. – Głos po drugiej stronie ledwie przebijał się przez szum wiatru zza szyby.

– Chciałbym zgłosić niepokojące zdarzenie, mogące zagrażać bezpieczeństwu państwa. Tak sądzę, bynajmniej – powiedział, modulując głos.

– Tak sądzicie, obywatelu? – Wyczuł sceptycyzm w głosie policjanta. – Ważne nazwisko?

– To nieistotne, nie chcę kłopotów. Powiedzmy, że dzwoni zatroskany obywatel.

– No dobrze. Co zgłaszacie, obywatelu?

- Wczoraj w gospodzie w Smereku widziałem coś, co mnie zaniepokoiło.
- W gospodzie, mówicie?
- Proszę nie upraszczać, nieważne, że w gospodzie. Sam słyszałem w TVP Info, jak nasz premier uczuła na niebezpieczeństwo ze strony rosyjskiej, tej no, agentury.
- Agentury? – Wyczuł natychmiastową zmianę w głosie policjanta.
- Ja tam nie wiem, ale sprawdzić warto. Dwóch gości przyjechało luksusową bryką, takim jeepem za pół melona. Zwykły człowiek musiałby tyrać na taki wózek całe życie...
- Do rzeczy...
- Cały czas konkretny jestem. No więc, tamci awanturowali się, podpici byli. Zaczepiali po chamsku barmankę, Janeczkę, znaczy się, możecie sprawdzić.
- Sprawdzimy, streszczajcie się.
- Stałem obok, tak z tyłu...
- To obok czy z tyłu?
- Jezu, na pewno nie z dołu, jakie to ma... W każdym razie nie widzieli mnie. Słyszałem, jak jeden z nich coś gadał przez telefon po rusku. A to Polacy byli. A potem zobaczyłem, że jednemu z nich z kurtki przewieszanej przez krzesło wystaje mapa Bieszczad.
- Mapa?
- Przecież mówię, bynajmniej. Ja tam prosty człowiek jestem, ale fakty kojarzyć potrafię. Miała dziwne oznaczenia, kółka, krzyżyki, dziwne znaki. Zrobione mazakami, zapewne przez nich.
- To jeszcze nic nie znaczy. Każdy może mazać po mapie.
- Jasne, że może. Tylko dlaczego wszystkie te znaki nanieśli na linii granicy państwowej.
- Jesteście pewni?
- A jużci! Durnia bym z siebie nie robił. Może to przemysłnicy jacyś. Zamknęliśmy granice na Podlasiu przed tymi kozojebcami, mur postawiliśmy, to może teraz szukają innej drogi? A może przez Ukrainę i na nasz Smerek właśnie skradają się? Albo to agenci Putina nasze bezpieczeństwo na granicy rozpracowują? Kto to wie? Pomyślałem, zameldować trzeba!
- Dobrze zrobiliście, obywatelu.
- Tak myślę.

– To wszystko?

– Jest jeszcze coś. Jak wyszedłem przed gospodę, zajrzałem przez szybę do tego jeepa. Tak coś mnie tknęło, nie żebym taki ciekawski był, bo nie, w ogóle. Patrzę, a tam na tylnym siedzeniu pod kocem dwa futerały rysują się. Jestem pewien, że to sztucery. Wiem, co mówię, sam poluję, broń rozpoznać potrafię, bynajmniej.

– Sprawdźmy to. Może podacie jednak swoje nazwisko?

– Już wam wystarczająco dużo powiedziałem. Reszta do was należy. Każdy musi swoje miejsce znać, jak nasz proboszcz prawi. Szczęść Boże, panie post-runkowy.

Wyłączył telefon i uruchomił samochód. Na mostku nad strumieniem zatrzymał się na chwilę i wyrzucił aparat do rzeki. Wody przybyło, wezbrany nurt unosił gałęzie drzew, śmieci, opadłe liście i foliowe torby, porwane z brzegu.

Gdy dotarł do domu, burza zelżała. Zdjął buty i mokre ubranie, strząsnął kapotę i powiesił na haku. Wytarł się do sucha ręcznikiem. Rozpałił ogień w kominku, wilgotna osika przez dłuższą chwilę nie chciała zająć się ogniem.

Dopiero gdy w chacie zrobiło się ciepło, wyszedł przed dom i spojrzął w dolinę. Czuł zapach mokrej ziemi, liści i natury budzącej się do życia. Opar unoszący się znad doliny miał intensywny zapach: zgnilizny, wilgoci, węgla drzewnego, wypalanego w okolicy. Mógłby tu zostać na zawsze i wtopić się w ten niespieszny świat, wyznaczany wschodami i zachodami słońca. Doszedłby do siebie, cisza leczy. Stałby się częścią tego ekosystemu, jak kamień, który znalazł swoje miejsce w prastarej puszczy.

Wszedł do chaty. Miał się już położyć, gdy nagle tknięty przecuciem, rzucił okiem na telefon. Wiadomość od Agi. Siedem nieodebranych SMS-ów. Nigdy tak nie robiła, nie aż tak. Poczul ukłucie niepokoju. Otworzył pierwszą wiadomość i spojrzął na ekran: „Karolina żyje. Błagam, wróć!”

Rozdział II

Dworzec Wschodni

Warszawa, czerwiec 2018, Bieszczady, kwiecień 2023

I.

To było niecałe pięć lat temu, a jednak wspomnienie tamtego dnia Agnieszka miała wyryte w pamięci: było jak trujący perz, który oplatał jej głowę. Akurat przeżywały z Karoliną złe dni. Była starszą siostrą, wprawdzie tylko o dwa lata, ale jednak. Może za bardzo wyzierał z niej ten protekcyjnalizm, może za bardzo chciała, a za mało słuchała? Teraz było to już bez znaczenia, nic nie można było cofnąć, wymazać czy unieważnić. A już na pewno: powtórzyć.

Kochały się bardzo i darły koty równie zażarcie, jak to siostry. Fizycznie były podobne do siebie, niektórzy myśleli wręcz, że są bliźniaczkami. Ale to nie była prawda. Agnieszka wiedziała, że są tak różne jak ogień i woda. Ją uważano za dziewczynę impulsywną, towarzyską i żywiołową. Co w sercu – to na języku. Karola pochodziła z innej planety. Bardziej skryta, nieprzenikniona, osobna... Zamknięta w swoim świecie, do którego nawet ona, Agnieszka, nie miała wstępu. Dłużej chowała urazę, w klasie trzymała się na uboczu. Nie miała szczęścia do chłopaków.

– Startują do mnie ci – powiedziała jej kiedyś – których ty odtrąciłaś. Jestem nagrodą pocieszenia. Taka młodsza i gorsza kopia wspaniałej Agnieszki.

– Bzdura. Jesteś moją siostrą.

– Szkoda, że nie możemy się zamienić.

Tych niepokojących rozmów i znaków było coraz więcej, zagęszczały się, ale po czasie ginęły w natłoku codzienności. Na przykład: zdała egzaminy na romanistycę i dostała się na drugi rok studiów. Miała powód do świętowania. Przyjechała do domu i odkryła, jak bardzo oddaliły się od siebie przez ostatni rok. Rozmowa kulała, sztukowana pólslówkami i pauzami.

– Poznałaś kogoś ciekawego? – zapytała Karolinę, próbując przerzucić rozmowę na lepiej rokujący tor.

– A co, chciałybyś mi go odbić?

– No co ty? Pogięło cię?

– Trafiłam, co? – Zabolalo ją to.

Zapamiętała później rozmowę z matką w kuchni.

– Z Karolą dzieje się coś złego. – Matka nie podniosła głowy, krojąc zaciekle marchewkę, jakby to był wrogi stwór.

– Niby co? Zdała maturę. Nie ćpa, wraca do domu o przyzwoitej porze, mówi rano „dzień dobry” – próbowała obrócić tę uwagę w żart.

– Nie o to chodzi. Zrobiła się taka drażliwa. Do tego jakaś wycofana i nieobecna.

– Nieobecna? A co to niby znaczy? Nigdy nie tryskała racami humoru, mamó, ten typ tak ma.

– I zamknięta w sobie. Tak naprawdę nic o niej nie wiem. Siedzi sama w pokoju, godzinami z kimś rozmawia, nawet nie wiem z kim.

– Mamó, w jej wieku też ciągle nadawałam.

– Nie ma cię tutaj, nic nie wiesz. – Matka zaczęła jeszcze energiczniej kroić warzywa.

To były znaki, ale wtedy ich nie dostrzegała. Złe słowa z drugim dnem. Czarne korale, które trzeba było wtedy nawlec na jedną nić, aby dostrzec ich ukryty, złowróźbny sens. Nie zadała sobie takiego trudu. Była ślepa.

Nie chciała jednak zawieść matki. Myślała, myślała aż wpadła na koncept, żeby wilk był syty i owca cała. Zaproponowała Karolinie wspólny wyjazd na Hel. Jej znajomy z klubu, w którym dorabiała, miał tam przyczepę, obiecał zostawić jej klucze na dwa tygodnie.

– Pojedziemy się zabawić, jak kiedyś – zaproponowała. – Ty i ja. Morze, Chalupy i przystojni surferzy.

– Kiedy?

– Za tydzień.

– To nie żart?

– Nie. Całkowita powaga.

– A co ty się nagle taka pomysłowa zrobiłaś? Pewnie ze starą gadałaś? Przyznaj się.

– Nie, stęskniłam się za siostrą. Będzie mega, jak kiedyś, pamiętasz?

– Pomyślę.

Wieczorem zapukała do drzwi jej pokoju.

– Zgoda, sister – powiedziała niespodziewanie Karolina. – Nawet dobrze się składa.

„Nawet dobrze się składa”. Wiele razy potem analizowała to zdanie, słowo po słowie, litera po literze, tak jakby ukryty w nim był klucz do tajemnicy, która ją obezwładniała. Co się złożyło, co do czego, do kurwy nędzy!

– Gdzie jesteś, siostrze? – Zagryzła wargi w bolesnym grymasie.

2.

Poczuł, że znowu się zaczyna. Znał swój organizm, potrafił już rozpoznawać jego ostrzegawcze pomruki, te prawie niezauważalne symptomy nadchodzącego nieszczęścia. Opadła w nim adrenalina, więc fala ruszyła. Zaraz przyjdzie zniechęcenie i apatia, będzie miał kłopot, żeby postawić się w pionie. Ile razy już to przechodził?

Ułożył w szeregu tabletki. Zgarnął je jednym ruchem do dłoni i połknął łączywie, jakby każda sekunda była ważna. Wróg był bezkształtny, ale czuł jego obecność w chacie. Wysysał z niego wszelkie siły, zatruwał nieokreślonym łąkiem, wpędzał w beznadzieję i apatię. Jutro przeleży cały dzień, nawet nie ruszy nogą. Będzie wegetował godzinami wyprężony jak struna na łóżku, wpatrzony w jeden nieruchomy punkt na suficie.

Spojrzał na smartfona. Powinien zadzwonić. Nie miał siły, ale musiał. Nie mógł milczeć po odebraniu tej dziwnej wiadomości, Aga na to nie zasługiwała...

– Aga?

– Jezu, tak się cieszę. Dzwoniłam kilka razy.

– Wiem.

– Dlaczego dopiero teraz?

– Miałem coś do załatwienia.

– Coś ważnego?

– Takie tam...

– Jak się czujesz?

– Ujdzie.

– To dobrze. Czytałeś moją wiadomość?

– Tak.

– Marek... – Głos jej się nagle załamał. – A jeśli to naprawdę ona...

– Nie możesz być tego pewna. – Zmuszał się do odpowiedzi. – Jest mnóstwo możliwości. Na przykład czyjś głupi i okrutny żart. Albo manipulacja, czy próba wyłudzenia.

– Ale ta dziewczyna ze zdjęcia wygląda jak Karola. To znaczy, tak by dzisiaj wyglądała. I to było chyba selfie. Zresztą sam zobaczysz.

– Tego nie wiesz. Słyszałaś o edytorach zdjęć? O sztucznej inteligencji? Nie masz pojęcia, co ona potrafi. Moduluje ludzki głos, pisze książki. Edytowanie postarzonego zdjęcia to dzisiaj pestka. – Czuł narastający ucisk w potylicy. – Może ktoś, kto wie o zniknięciu Karoliny, chce was naciąć na hajs?

– Sprawdziłeś adres, z którego wysłano wiadomość?

– Tak. Nadawca korzystał z TOR-a. To przeglądarka nie do identyfikacji.

– No tak. – Usłyszał w jej głosie rozczarowanie. – Marek, ja muszę wiedzieć na pewno. Rozumiesz?

Nie odpowiedział.

– Wrócisz do Warszawy? Bez ciebie nie dam rady.

– Muszę kończyć. Porozmawiamy jutro.

– Na pewno zadzwonisz? – zawiesiła głos.

– Tak. Ale na twoim miejscu nie robiłbym sobie specjalnych nadziei. Ludzie nie odnajdują się, ot tak, po pięciu latach. Dlaczego po prostu nie wróciła do domu?

– Może jest w niebezpieczeństwie. Napisała: ratuj!

– To dlaczego nie napisała nic więcej? Co się z nią działo przez te wszystkie lata, gdzie przebywa? Przecież wiedziała, że umieracie ze strachu i niepewności. Miała dostęp do komputera, mogła się odezwać.

– Nie wiem, jestem w szoku, nie mogę się ogarnąć. Mam przeczucie...

– Zadzwonię jutro. Prześpij się. I nie mów nic rodzicom. Nie rozdrapuj tej blizny, jeszcze nie teraz.

Odłożył słuchawkę, czuł suchość w ustach. Telefon zadzwonił ponownie niemal natychmiast. Tobiasz.

– Co tam?

– Zrobiłeś to.

– Niby co?

– Dobrze wiesz. Tak było trzeba. Przyjechali chłopcy z ABW, dwie furgonetki, jak na wojnę. Zabrali tych gnojów z pensjonatu. Strasznie się rzucali. Cały Smerek aż huczy. Podobno mieli w jeepie jakieś mapy z oznakowaniem obiektów wojskowych i instalacji na granicy.

– No popatrz. Może to jacyś szpiedzy byli?

– Może. Prędko z tego gówna nie wyleżą. I szybko tu nie wrócą.

– Tak bywa.

– Jesteś w porządku, Smuga. Mógłbyś być Łemkiem.

– Nie sądzę. Nic o mnie nie wiesz. Mam krew na rękach, tylko udaję, że żyję.

– Łykasz za dużo prochów, zauważyłem to.

– To tylko część problemu.

– Pójdziemy jutro w góry?

– Nie wiem.

Niczego nie był pewien. Sam był jednym wielkim znakiem zapytania. Podobnie jak ta długa, przerażająca noc, która go czekała.

3.

Dopiero gdy wysiadły z taksówki, Agnieszka uświadomiła sobie, że zapomniała kostiumu kąpielowego.

– W mordę. – Nie kryła złości. To przez to, że postanowiła wziąć ze sobą tylko plecak. Wrzucała do niego wyłącznie najpotrzebniejsze rzeczy: kilka ciuchów, kosmetyki, krem przeciwsłoneczny, okulary.

– Swojego ci nie pożyczę, bo mam większe cycki, przynajmniej tutaj jestem lepsza – dogryzła jej Karolina. Nadal między nimi iskrzyło. W drodze na dworzec prawie nie rozmawiały ze sobą. Negocjacje zostawiały na później. Przynajmniej tak wtedy myślała.

Ze zdziwieniem spojrzała na bagaż Karoliny. Dużą walizę na kółkach, uginającą się pod własnym ciężarem.

– Co ty tam masz? – zapytała. – Wzięłaś wszystkie swoje wypełniacze i wkładki do biustonosza?

Karolina nie odpowiedziała. Pokazała jej tylko fucka i szarpnęła walizę z miejsca.

Żar lał się z nieba. Czerwiec był wyjątkowo upalny tego roku. Wielka polewaczka krążyła niestrudzenie po Kijowskiej, zraszając wodą spękany od wysokiej temperatury asfalt. Z ulgą weszły do klimatyzowanej hali.

Wiele razy odtwarzała potem ten poranek, dzieliła go na kadry, obrazy, tawsowała, szukając ukrytego gdzieś szczegółu czy znaku, który wszystko by tłumaczył. Nigdy nie znalazła.

– Jesteśmy dużo za wcześnie – powiedziała wtedy z irytacją. – Mówiłam, że będziemy tu koczować.

– Wyluzuj. Mogły być korki, wiesz, jak to jest w piątek przed weekendem.

– Jesteśmy za wcześnie – powtórzyła uparcie, rozglądając się za jakimś miejscem do siedzenia. Wszystkie były zajęte przez tabuny ludzi z tobołami. Tylko jedna ławka w rogu hali pozostawała pusta. Szybko zrozumiały dlaczego. Obok spał jakiś mężczyzna w różowej wełnianej czapce. Był boso, miał poczerwiałe od brudu stopy. Wydzielał trudną do określania woń: bezdomności, porzucenia i nieprzetrawionych odpadków z pobliskiego McDonalda.

– Nie widzę pociągu na Hel – powiedziała Karola, zadzierając głowę. – A już powinien się pokazać.

– Fakt, pewnie za chwilę...

– O, teraz się wyświetlił, w ostatnim rzędzie.

– Widzę, peron czwarty.

– Okej. Przypilnuj bagażu, tylko skoczę siku. – Odwróciła się. Agnieszka widziała postać siostry. Czerwona bejsbolówka z logo Under Armour, lniana koszula, obcisłe dzinsy, letnie sandały na małym obcasie. Odprowadziła ją wzrokiem aż do drzwi toalety.

Kolejny kadr. W holu głównym powstało jakieś zamieszanie. Mężczyzna w słomkowym kapeluszu stał przed tablicą informacyjną i aż gotował się z wściekłości.

– Ożeż! Półtorej godziny opóźnienia? A co to, kurwa, wojna wybuchła? A może mróz chwycił w czerwcu?

Ludzie mijali go, odwracając głowy. Ten gość nie był pijany, po prostu tego ranka miał dosyć.

– Pisiory jebane! – Mężczyzna podniósł głos. – Mówili, że przejęli kraj w ruinie. To teraz co mamy? Państwo z kartonu?

Karolina już wróciła. Odeszły w stronę boksu z kawą. Agnieszka zamówiła dwie małe cappuccino. Przynajmniej mogły oprzeć się tu o ladę. Tłum nadal gęstniał, niekończący się strumień postaci i twarzy, znikających w czeluściach tunelu.

Niemal natychmiast wyrósł przy nich mężczyzna. Przystojniak w niebieskim blezerze, płóciennych spodniach i mokasynach za półtora kawałka. Agnieszka знаła ten typ, widywała co noc takich w klubie. Wieczny zdobywca, adonis, żigolo z Warsaw by night.

– Hej, dziewczyny – zagał i obdarzył je promiennym uśmiechem. – Wypad na urlop?

– Tak jakby. – Agnieszka upiła łyk kawy.

– Widziałem, że sprawdzałyście połączenia na Hel.

– Jaki spostrzegawczy – wtrąciła się Karola.

– Mam tam wypasionego kampera na polu kempingowym, Chałupy 6. Teraz stoi pusty. Mogę wam użyczyć.

– Tak za darmo? – Agnieszka zlustrowała go wzrokiem.

– Jasne. Dobrze wam z oczu patrzy. Trzeba ludziom pomagać.

– No.

– Karma wraca.

– Tak mówią.

– I bardzo ładne jesteście. Dojadę do was jutro i coś wymyślimy.

– Kwasisz.

– W jakim sensie? – Przesząpił z nogi na nogę.

– Jesteśmy lesby. Twój mały fiutek wprowadzałby tylko niepotrzebne zamieszanie.

Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Lesby? Ale czad! – Po raz pierwszy ujrzała uśmiech na twarzy Karoliny. – Nie spodziewałam się, że stać cię na takie odzywki.

– Znam ich więcej. Sprzedam ci je na Helu.

– No i mega.

Stały obok siebie. Agnieszka czuła zapach rozgrzanej skóry Karoliny. Snop światła, wpadający przez świetlik w dachu, znaczył ladę słonecznymi cęt-

kami. Chciała jej powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że wyjeżdżają razem. I że nie zmarnuje tej okazji, postara się, aby znowu było jak kiedyś, jak dawniej. A na dnie plecaka ma dla niej prezent: perfumy Dior J'adore, o których Karola niedawno wspomniała przy stole.

Chciała to wszystko powiedzieć, ale nie zdążyła.

– Chodźmy już na peron – powiedziała nagle Karolina, podnosząc się z miejsca. – Tutaj capi kebabem i w ogóle.

– Dobra.

– Przynajmniej łykniemy świeżego powietrza. A ten pociąg i tak jest chyba wcześniej podstawiany.

– No to w drogę! – Agnieszka zarzuciła plecak na ramię.

Dołączyły do długiego szeregu podróżnych, wędrujących na perony. Rodzina z czworgiem dzieci, grupa zakonnice z pochylonymi głowami, rozwrzeszczana grupa dzieciaków, wyjeżdżających na kolonie i wychowawczyni z desperacją w oczach, próbująca utrzymać w ryzach tę rozbrykaną trzódkę. Z mijanego śmietnika doleciał odór śmieci i zepsutej żywności.

Ludzie ocierali się o siebie, mijali z walizami na kółkach. Agnieszka musiała zwolnić, aby nie wpaść na zakonnice przed sobą.

– Idź przodem, ja się doturlam później z tą swoją walizą – doleciał ją z tyłu głos Karoliny.

– Spoko. – Skinęła potakująco głową i przyspieszyła kroku.

Jakiś otyły mężczyzna, przepychając się w ścisku, popchnął ją na ścianę tak, że prawie straciła równowagę. Co za cham! Jeszcze kilka metrów tunelu. Schody, nareszcie. Skręciła w prawo i po kilku sekundach znalazła się na peronie. Nareszcie trochę luzu i świeżego powietrza. Tuż za nią zameldowały się zakonnice.

– W mordę – westchnęła najmłodsza z nich i umilkła spłoszona wzrokiem Agnieszki. Ta oparła plecak o murek przy schodach. Będzie zajefajnie. Takie szalone pomysły zawsze są najlepsze. Kiedy ostatni raz razem gdzieś wyjechały? Dwa lata temu? Nie, trzy. Wynajęły apartament w Gdańsku, przehułały wszystkie pieniądze w kilka dni, a potem żywiły się tylko w barze w pobliskim centrum handlowym. Jak ono się nazywało? Aha, chyba „Przymorze”, naprzeciwko tego monstrualnego falowca. Od dwudziestej serwowali tam posiłki tańsze o połowę. Było cudnie.

– Wiesz co, młoda? – Obejrzała się za siebie i nagle urwała zaskoczona. Rozejrzała się wokoło. Gdzie ta siksa? Weszła na peron innym wejściem? Przeszła wolno przez całą platformę, ale nigdzie nie widziała Karoliny. A może pomyliła perony, ten dziki tłum ją przepchnął i przeoczyła właściwe wejście?

Podeszła do krawędzi torów i spojrzała na przeciwległy peron. Klębiła się tam zbita gromada podróżnych. Przesuwała wzrokiem po kolejnych ludziach, szukając charakterystycznej postaci w bejsbolówce. Nigdzie nie widziała Karoliny.

Wróciła w to samo miejsce. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer siostry. Bez odzewu. Spróbowała ponownie z takim samym skutkiem. Mogłaby, gówniara, przynajmniej odebrać, pomyślała rozeźlona. Zawsze była na bakier z czasem i poczuciem obowiązku. Czy ona się nigdy nie zmieni?

– Pociąg dalekobieżny na Hel wjedzie na tor drugi przy peronie czwartym, pociąg objęty jest całkowitą rezerwacją miejsc – doleciał ją głos z megafonu.

Niezależnie od tego, gdzie poniosło Karolę, przecież słyszy ten komunikat. Zaraz się pewnie zamelduje obok niej. Nic takiego się nie zdarzyło, powinna wyluzować. A jednak niejako wbrew sobie poczuła jak rośnie w niej nieokreślony niepokój, wypierający początkową irytację. Gdzie ta mała się zapodziała?

Spojrzała na zegar. Pociąg jeszcze nie przyjechał, do odjazdu było siedem minut. Podjęła nagłą decyzję i zbiegła w dół. Przez chwilę rozglądała się po tunelu, stając na palcach. Tłum wyraźnie się przerzedził. Pobiegła z powrotem do hali głównej. Na pozór nic się tu nie zmieniło. Gołębie tłukące się pod dachem. Bezdomny śpiący na ławce, z ręką zwisającą bezwładnie ku ziemi. Kiosk z kawą i ta sama kelnerka z kokiem na głowie. Zapach smażonego oleju i frytek, dobiegający z McDonalda. Tylko Karoliny nigdzie nie było.

Wybiegła na sekundę na zewnątrz dworca. Uderzyła w nią fala ciepłego powietrza. Szybkim spojrzeniem zlustrowała otoczenie. Kilka taksówek, autobus zakręcający na rondzie. Jedna z taryf ruszyła właśnie z miejsca. Widziała z tej odległości kobietę na tylnym siedzeniu w słomkowym kapeluszu i wielkich okularach Anny Wintour. Dziecko w oknie autobusu rozplaszczyło twarz o szybę i stroiło do niej głupie miny. Polewaczka zaczęła drugi krąg i nadal polewała asfalt strumieniami wody.

Jeszcze raz sięgnęła po komórkę. Słyszała długi sygnał, wwiercający się w uszy. Ogarnęło ją nieokreślone zdenerwowanie. Coś tu było nie tak.

Wbiegła z powrotem do budynku. Rzut oka na tablicę odjazdów. Pociąg do Helu odjeżdża za cztery minuty. Zdąży. Zatrzymała się na sekundę i wzięła

głębszy oddech. Niepotrzebnie panikuje, wszystko się zaraz wyjaśni. Pobiegnie na peron, a tam będzie czekała na nią ta gówniara oparta o swoją wielką walizkę. Pewnie z tym swoim kpiącym uśmiechem. Powie, że to taki żarcik, na dobry początek. Najważniejszy przecież jest fun. Cokolwiek to, kuźwa, znaczy.

Wbiegła na peron akurat, gdy elektrowóz wtoczył się na peron. Nigdzie nie widziała Karoliny. Ludzie przyspieszali kroku, szukając swoich wagonów. Miała jeszcze jedną szansę. Wagon 4, miejsca 41 i 43. Wskoczyła na stopień wagonu. Stojąca na peronie konduktorka sięgnęła po gwizdek.

– Proszę poczekać pięć sekund! Błagam! – krzyknęła.

– Nie mogę... – urwała tamta, widząc desperację w jej oczach.

Korytarz w lewo, jakiś facet wciskał walizkę do schowka, choć nie mogła się tam zmieścić. Miejsca 22, 23. Dalej, to musi być tam, w głębi. Spojrzała w tamtą stronę i poczuła, jak nagle zabiło jej serce. Czerwona bejsbolówka. Dzięki ci, Boże! Zabiję sikse!

Pociąg ruszył, powoli nabierał szybkości. Podeszła bliżej, mieląc w ustach przekleństwa.

– Gdzie byłaś do cholery! – Doszła wreszcie do fotela.

– Słucham?

Młoda dziewczyna spojrzała na nią zaskoczona. Była obsypana piegami, w rękach trzymała słuchawki iPhona. Prawie tak samo ładna i młoda jak jej siostra. Na głowie miała przekrzywioną czerwoną bejsbolówkę. Ale to nie była Karolina. To był ten ostatni dzień. Nigdy więcej nie zobaczyła siostry.

Rozdział III

Bez śladu

Warszawa, maj 2023

I.

Smuga stał w progu, jakby nie wiedział, czy zrobić krok do przodu, czy się wycofać.

– Jednak wróciłeś... – Agnieszka przełknęła ślinę.

– Jak widać.

Miał na sobie skórzaną kurtkę i wytarte džinsy. Z ramienia zwisał ciężki żeglarski worek, jednak wrócił na dłużej? Po chwili wahania przytuliła się do niego i pocałowała go w usta. Początkowo nie oddał pocałunku, ale potem przytulił ją do siebie.

– Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna. Umieram z niepokoju po tym mailu, nie mogę spać, nie wiem, co myśleć...

– Potem. Teraz zrób mi kawę. A ja wezmę prysznic, w Bieszczadach nie miałem takich luksusów.

Patrzyła w milczeniu, jak się rozbiera. Miał wymizerowaną, poczerniałą twarz. A może tylko spaloną słońcem? Chyba jeszcze nigdy nie był taki szczupły, widziała bliznę po kuli pod prawym obojczykiem. Przypominała mały krater o obłych krawędziach. Kiedyś go zapytała o pochodzenie tej rany.

– Nic specjalnego – odpowiedział.

– To znaczy? – Nie ustępowała.

– Facet celował mi w głowę. Potknął się w ostatnim momencie. Taki pech.

Podąła mu ręcznik i przymknęła drzwi. Słyszała szum wody dobiegający z łazienki. Mył się długo, nie spieszył się, tak jakby chciał zmyć z siebie cały ten bieszczadzki brud, ten mrok, w którym tkwił przez ostatnie tygodnie. Wzięła

jego dzinsy i koszulę i wrzuciła do pralki. Oparła rękę o wirujący bęben i spojrziała na jego żeglarski worek, leżący w kącie. Wrócił. Tylko to się liczyło.

Wyciągnęła z lodówki pomidora, owoc avocado i żółty ser. Na szczęście w chlebaku uchowały się jeszcze jego ulubione chrupki Vasa, które ona uznawała za niejadalną teksturę.

– Jesteś głodny? – zapytała.

– Jak wilk – odpowiedział niespodziewanie.

– Na co masz ochotę?

– Na ciebie.

Zmieniła pozycję i teraz to ona była na górze. Oparła się rękoma o jego uda. Widział jej sterczące piersi, wygięła ciało w łuk. Kropla potu pojawiła się w rowku pomiędzy piersiami, wędrując po skórze w stronę płaskiego brzucha. Miarowo nabijała się na niego, opadając co chwila z cichym jękiem. Chciał dotknąć jej tam ręką, ale powstrzymała go, tak jakby mógł coś zepsuć. Ta chwila należała tylko do niej. Uszanował to.

Godzinę później usiadł przy wielkim stole, zaślanym zdjęciami, kopiami artykułów prasowych, notatkami i dokumentami, przygotowanymi przez Agnieszkę.

– Jest tu wszystko, co udało mi się przez te lata zgromadzić. Od pierwszego dnia – powiedziała poważnie.

– Dobrze.

– Jestem pewna, że gliniarze zlekceważyli sprawę. Opowiadałam ci kiedyś tę historię.

– Pamiętam.

– Wiesz, młoda gówniara, lato. Pewnie pomyśleli, że jest na gigancie. Zakochała się i uciekła z lubym, żeby robić z nim wszystko to, na co rodzice jej nie pozwalali. Tylko że Karola nie była taka.

– A jaka? – Śmuga podniósł na nią wzrok.

– Trochę wycofana, zbyt poważna jak na swój wiek. Nieufna wobec obcych. A już na pewno nie lekkomyślne dziewczę, które zniknęłoby bez powodu, fundując rodzinie taki koszmar i nie pozostawiające żadnej wiadomości. To nie było w jej stylu, tak myślę. Cały czas obracam w głowie wspomnienie tej sytuacji i nie mogę zrozumieć, co się stało.

– Nie możesz się dziwić gliniarzom. Dla nich to rutyna. Rocznie zaginięciu ulega w Polsce około piętnastu tysięcy ludzi. Najczęściej dzieje się to na ich

własne życzenie. Przyczyny są prozaiczne. Niektórzy z zaginionych układają sobie życie na nowo, znajdują pracę, wchodzą w nowe związki. Inni stają się bezdomnymi, tułają się po dworcach, nocują w schroniskach i przypadkowych noclegowniach. Niektórzy – nie widząc wyjścia z sytuacji, w której się znaleźli – popełniają samobójstwo.

– A reszta?

– Najczęściej pada ofiarą przestępstw. – Uważnie dobierał słowa.

– To znaczy?

– Wpada w ręce przeróżnych kryminalistów, zboków czy dewiantów. Pamiętaj, że statystycznie rzecz ujmując, najczęściej zaginięciu ulegają nastolatki w wieku do siedemnastu – osiemnastu lat. W tym młode, atrakcyjne dziewczyny. Często decyduje przypadek. Ofiary znajdują się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Nie sądzę jednak, by to był casus twojej siostry.

– Skąd ten wniosek?

– Znajdowałyście się razem w publicznym miejscu, na dworcu. Były tam setki osób. Straciłaś ją z oczu tylko na chwilę. Nie uległa więc jakiemuś nagłemu wypadkowi, nie zaśląbla, nikt jej nie zaciągnął w jakiś ustronny kąt i nie zrobił tam krzywdy. Możliwe jest porwanie, ale w tych okolicznościach to też opcja dość mało prawdopodobna.

– Jakbym słyszała ówczesną policję.

– Mówili prawdę.

– Więc co się stało?

– Jeszcze nie wiem.

– Pomożesz mi?

– Daj mi trochę czasu. Nie odpowiem ci na to pytanie, dopóki nie przekopię się przez to dossier, które zgromadziłaś. Opowiadałaś mi kiedyś o tym dramacie, ale nie spodziewałem się, że siedzi to w tobie tak głęboko.

– Nie ma dnia, żebym o niej nie myślała. Nie ma dnia. – Spuściła głowę. – Gdybym nie była na nią wtedy zagniewana o byle gównu. I miała oczy szerzej otwarte. Gdybym nie zostawiła jej wtedy z tyłu. Gdybym...

– To samobiczowanie nie ma sensu – powiedział stanowczo. – I nic już nie zmieni. Pewne rzeczy się dzieją i nie mamy na to żadnego wpływu. – Opo-
wiedz mi lepiej o twoich rodzicach.

– Rodzicach? Mój ojciec zmarł dawno temu. Mam mamę i ojczyma. Nie nawalabym go tatą – urwała nagle.

– Tak, pamiętam, wspominałaś o stracie ojca. Niechętnie o tym mówisz...

– To prawda. Jeszcze nie czas...

– Rozumiem. Chciałem tylko wiedzieć, jak oni ze sobą żyją, jak przyjęli zaginiecie Karoliny i jak obecnie sobie radzą z tym poczuciem straty.

– Byli dobrym małżeństwem. On prowadzi od lat biuro doradztwa podatkowego. Wymagający, surowy, często nieobecny. Sercem domu była mama. Pracowała w biurze. Miałyśmy z nią lepszy kontakt.

– Powiedziałaś: byli?

– Od zniknięcia Karoli wiele się zmieniło. Rzadziej bywam w domu, ale wyczuwam napięcie. Żyją... osobno. Mało rozmawiają, tak jakby mieli do siebie skrytą, niewypowiedzianą urazę. Prawdę mówiąc, duszę się w domu... Dlatego przyjeżdżam tylko wtedy, kiedy muszę.

– Kto twoim zdaniem bardziej odczuł tę stratę?

– Dziwne pytanie – zmarszczyła czoło. – Jak niby miałabym to zmierzyć? Na pewno cierpią oboje, ale inaczej. Mama nigdy nie pogodziła się ze stratą córki, poruszyła wszystkie sznurki, pisała odwołania do prokuratury i na policję.

– A ojczym?

– Był bardziej pasywny, tak jakby nagle odcięto mu prąd. Bierny, milczący, nieobecny. Myślę, że mama uważa, iż on w pewnym sensie zawiódł. I że za wcześnie się poddał. Tak jakby nie walczył o Karolinę, bo nie była jego biologiczną córką. Nigdy nie powiedziała mu tego wprost, ale on to wyczuwa. A to nie polepsza atmosfery w domu.

– Masz ich zdjęcie?

– Jasne. Z pobytu w Karkonoszach. To było ich ukochane miejsce, spędzali tam wszystkie wolne chwile. To znaczy, kiedyś tak było. – Poczłapała do szuflady.

Ze zdjęcia spoglądała na niego para pięćdziesięciolatek. Roman stał na pierwszym planie, wsparty na kijkach do nordic walking. Był bez koszuli, odsłaniając otłuszczone ciało. Rozlane rysy twarzy, ciemny niedogolony zarost. Twarz, którą trudno było zapamiętać. Zofia wyglądała zza jego ramion. Ładna blondynka o rzadkich włosach. To ona przekazała geny urody córkom. Szlachetne rysy, skupiony wyraz twarzy, podkreślony przez zaciśnięte usta. I to spojrzenie ciemnych oczu, w których dostrzegał jakiś refleks głębokiego

smutku i pełzającego szaleństwa. A jednak stanowiła jedynie tło, element drugiego planu, podobnie jak góra wyrastająca na horyzoncie.

– To on grał pierwsze skrzypce, prawda? – zapytał Smuga.

– Raczej tak, chodził na nasze wywiadowki, lubił mieć zawsze ostatnie zdanie, kontrolował domowe wydatki i wypłacał nam kieszonkowe. Oszczędny w pochwałach. Kochał nas na swój sposób, ale miałam wrażenie, że wyrażanie uczuć, w przeciwieństwie do mamy, przychodzi mu z pewną trudnością. Nie pochwalał moich wyborów, nie podobali mu się moi chłopcy. Chciał, żebym poszła na prawo i rzuciła pracę w klubie nocnym... Zwłaszcza po tym, jak przez covid zawałam rok. Musiał mieć zawsze obiad na stole jak w tym filmie Kutza o Śląsku. Taki typ tradycjonalisty, swojskiego autokraty z blokowiska.

– A mama?

– Stanowiła jego przeciwieństwo. Serdeczna, na pewno bardziej emocjonalna, zawsze stawała po naszej stronie. Nie znam osoby, która by jej nie lubiła. A potem wszystko się zmieniło, on nagle sflaczał, jakby wyparował gdzieś cały jego apetyt na życie. A mama straciła blask... W tym sensie stali się podobni do siebie.

– A jak było wcześniej między nimi?

– Jak? No, normalnie – zawahała się przez chwilę z odpowiedzią. – Bywały ciche dni jak w każdym małżeństwie. Jednak byli, są – poprawiła się szybko – dobrym małżeństwem.

– Zawahałaś się – powiedział i spojrzał na nią uważnie.

– Nie, to nic... Mówiłam już, że wiele się zmieniło po zniknięciu Karoli.

– Nie dziwię się. To musiała być ciężka próba dla was wszystkich.

– Tak, ale nie o to mi chodzi. Miałam wrażenie, że ojczym reaguje jakoś nietypowo jak na niego. Zawsze był taki stanowczy, władczy, pełen pretensji wobec innych... A wtedy zapadł się w sobie, rozpadł na naszych oczach.

– Ta sytuacja go przerosła?

– Mama chyba tak myślała. To ona nie ustawała w poszukiwaniach, suszyła głowę policji, pisała monity na wszystkie strony, trafiła do fundacji Itaka, nawet wynajęła prywatnego detektywa, który wziął od nas dwadzieścia tysięcy za nic. A on tylko cierpiał... Jakby był czemuś winny.

– Jakie relacje panują teraz między nimi?

– Nauczyli się z tym żyć, ale nigdy nie zapomną. No i jeszcze mają mnie. Nigdy nie byliśmy ze sobą tak związani jak obecnie.

2.

Wyciągnął z garderoby starą tablicę korkową i ustawił w swoim pokoju. Tego systemu nauczył się w policji i to ta tradycyjna metoda służyła mu najbardziej. Pineskami poprzyпинаł najpierw zdjęcia. Portretowa Karolina en face. Ładna dziewczyna o trochę nieobecny spojrzeniu. Rzeczywiście, skóra ściągnięta z Agnieszki, choć na pewno trochę niższa.

Fotka Karoliny z profilu, widać było indiańskie kości policzkowe, letnia sukienka owijała się wokół kibici. Zdjęcie jej ostatniego chłopaka, z tego co mówiła Aga, zerwała z nim kilka miesięcy przed zniknięciem. Zginął tragicznie rok później. Uległ nieszczęśliwemu wypadkowi i utopił się podczas żeglowania na Mazurach. To byłby trop prowadzący donikąd.

Teraz ujęcia z miejsca zdarzenia. Plan Dworca Wschodniego, rozkład peronów. Zdjęcia z lotu ptaka terenu przed dworcem: ogródek restauracyjny, postój taxi, małe rondo na zakręcie. Dojazd ulicą Kijowską. I jeszcze jedno ujęcie zrobione na tyłach dworca od Lubelskiej, z przystankiem dla taxi i autobusów. Czekala go jeszcze wizja lokalna.

A teraz najciekawsze: dokumenty. Dużo tego, zaskakująco dużo. Widać było, że rodzina Agnieszki nie zasypiała gruszek w popiele i stawała na głowie, aby dotrzeć do prawdy. Leżały przed nim kopie protokołów z przesłuchań i wezwania policyjne. Suche zapisy i bezduszne w swej wymowie, lakoniczne odpowiedzi na monity rodzinne, obnażające całą bezradność policyjnej maszyny w zderzeniu z sytuacją niewyjaśnioną, której w żaden sposób nie dało się wtłoczyć do wypracowanych schematów. Potrafił czytać takie papiery, przebywał po drugiej stronie lustra przez wiele lat, był częścią tej maszyny. Policjanci szukali bez przekonania. Tak aby nikt im nie zarzucił, że nic nie robią – ale bez wiary w sens własnych poczynań. Jak zawsze wtedy, gdy rozwiązanie dochodzenia było żmudne, a sama sprawa zagmatwana i nierokująca szybkich i spektakularnych sukcesów. Policja już tak ma, i to nie tylko w Polsce. Musiał dotrzeć do dokumentów z postępowania, zeznań świadków, zapisu monitoringu. To, co miał przed sobą, było lekturą pożyteczną, ale jednak makulaturą.

Wyszedł przed dom. Oleiste kałuże połyskiwały w słońcu. Wsiadł do samochodu i uruchomił radio. „Kaczyński wzywa do obrony dzieci i polskiej rodziny. Miedwiediew o Polsce: *Zrównamy z ziemią tę bandę rusefobów*. Góry śmieci po wielkiej majówce w Sopocie. Czy książkę Harry rozwiedzie się z Me-

ghan? – rewelacje brytyjskiego dziennika *The Sun*. Kolejny gwałt w taksówce Ubera...”

Zaparkował przy Kijowskiej i pieszo doszedł do dworca. Dawno tu nie był. Modernistyczna hala unosiła się niczym latawiec nad placem pełnym zaparkowanych samochodów. Obszedł okolicę, zrobił kilka zdjęć z zewnątrz i wszedł do środka. Była niedziela, dworzec wypełniony był po brzegi podróżnymi, spieszącymi na perony i zaludniającymi halę główną. Także przy kasach widać było długie kolejki podróżnych. Jakaś rodzina, owinięta ukraińską flagą, siedziała oparta o ścianę. Dziewczyna w T-shircie z napisem „Pomagam!” dzieliła jedzenie pomiędzy trójkę dzieci. Każde otrzymywało razowe kromki z plasterem żółtego sera. Nikt z podróżnych się przy nich nie zatrzymywał. Smuga zauważył, że zniknęli wolontariusze, których jeszcze pół roku temu było tu więcej niż uchodźców. Współczucie dla braci ze Wschodu już przygasło, empatia spowszedniała.

Przeszedł całą trasę, jaką pokonały niegdyś obie dziewczyny: od Starbucksa po peron numer 4. Jeden długi tunel, kilka wejść na perony. Po obu stronach reprezentacyjne hale wejściowe: jedna od Kijowskiej, druga mniejsza od Lubelskiej. Wyszedł na zewnątrz z tej drugiej strony i zatrzymał wzrok na autobusie 147, który właśnie podjeżdżał na stanowisko. Obok zatrzymywały się taksówki.

Minął go jakiś chłopak w postrzępionych dżinsach. Poruszał się niepewnie, miał szklisty wzrok i powiększone źrenice. Tak, mogli jej coś wstrzyknąć, albo jej zagrozić. Wsadzić do busa lub Ubera i pojechać w stronę dalej. W ścisisku, który wtedy panował, nikt niczego by nie zauważył. Dawno już przestaliśmy zauważać innych.

Wrócił do hali głównej i schodami wszedł na pierwsze piętro. Biuro obsługi podróżnych. Kobieta z głębokim marsem na czole z uwagą wpatrywała się w monitor. Na regale obok zauważył „Wyborczą”.

– Dzień dobry.

– Dobry to już był. – Kobieta nie oderwała wzroku od monitora.

– Jestem prywatnym detektywem. – Pokazał jej legitymację, którą ledwie musnęła wzrokiem. – Interesuje mnie zaginięcie, do którego doszło na terenie dworca.

– Tu codziennie giną ludzie. Albo lepiej – tu urywa się po nich ślad.

– Ale to było wyjątkowe. Pięć lat temu.

– Dawno.

– Ano dawno, wtedy jeszcze nie było inflacji.

– Teraz też nie ma. Nie słyszał pan w telewizji? Widocznie oni kupują w innych sklepach. – Podniosła wreszcie na niego wzrok. – Dlaczego tamta sprawa była wyjątkowa?

– Na dworcu pełnym ludzi zaginęła osiemnastoletnia dziewczyna. Nazywała się Karolina Sikorowska. Była z siostrą, miały razem wyjechać nad morze. Nic nie zapowiadało dramatu. Rozpłynęła się w powietrzu. Podobnie jak policyjne śledztwo, które później podjęto. Nie znaleziono żadnego śladu, poszlaki, nic.

– Pamiętam. Pracowałam już wtedy na dworcu. Pokazywali jej zdjęcie w gazetach. Ładna dziewczyna.

– No właśnie. Rodzina nadal jej szuka. Nie może zapomnieć. Pomagam im. Ma pani dzieci?

– Dwie córki – zawahała się.

– Mam wrażenie, że wtedy nie wszystko zrobiono tak, jak należy. Zlekceważono tę sprawę. A potem zamieciono pod dywan.

– Tak bywa.

– Przyszło mi do głowy, że to wcale nie musiało być porwanie. Może dziewczynie coś zaaplikowano, a potem wciągnięto do samochodu.

– Jak na filmie?

– Jak w życiu. Wiem, że na dworcu jest monitoring. Może mógłbym przejrzeć taśmę z tamtego dnia?

– Może i mógłby pan, bo dobrze panu z oczu patrzy. Ale nie pomogę, niestety.

– Dlaczego?

– Przechowujemy nagrania tylko przez trzy lata. Już dawno je skasowano, nowe obrazy nagrywamy na te same dyski. Zresztą nagranie z tamtego dnia zgrała na płytę i zabrała policja.

– Mówi się trudno.

– Nie może pan zwrócić się do policji? Oni na pewno mają te zapisy.

– Nie lubią mnie.

– No to ma pan problem.

– Miło się z panią rozmawiało.

3.

Mieszkanie zatopione było w szarości. Agnieszka jeszcze nie wróciła. Uchylił okno i odsłonił zasłony, wpuszczając trochę światła. Jakiś lump szedł środkiem ulicy. Ciągnął za sobą dziecięcy wózek, wyładowany złomem i zbieraniną przedmiotów, wyłowionych pewnie ze śmietników. Widział z góry cały ten szam: sterczące w niebo pordzewiałe rury, kratkę kanalizacyjną wyrwaną z bruku, emaliowany nocnik wielkości wiadra. Kółka wózka zgrzytały niemiłosiernie, walcząc o utrzymanie się w pionie.

Od kiedy wrócił do Warszawy poczuł się niespodziewanie lepiej. To jednak było jego miasto. Depresja ustąpiła, czając się gdzieś w tych szarościach. Adrenalina, zmiana klimatu? Chuj jeden raczy wiedzieć. Wyciągnął komórkę i odnalazł numer.

– Komisarz Lena Kalinowska. – Miała przyjemną barwę głosu, nie pasowała do policjantki.

– Smuga. Czarna owca.

– O, surprajs. Znowu kogoś wyrzuciłeś przez okno?

– Też się cieszę.

– Jestem w pracy.

– Jak zawsze. Mogę ci zająć chwilę?

– Jak długą?

– Krótką.

– Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że uratowałeś nam dupę w tej ostatniej sprawie. I byłeś kiedyś dobrym policjantem. Z naciskiem na byłeś. Ale reszta pozostaje bezet. U komisarza nadal jesteś na indeksie. W wydziale nie wolno nawet wymieniać twojego nazwiska. Masz szlaban.

– Chyba się pochlastam.

– To by nawet do ciebie pasowało.

– Ale miło. Ale teraz serio: potrzebuję twojej pomocy. Prowadzę pewną sprawę. Pięć lat temu z Dworca Wschodniego zaginęła bez śladu młoda dziewczyna, Karolina Sikorowska.

– To nie nasz rewir i nie ten level.

– Wiem, ale rozumiesz, podobno w policji mam szlaban. Rodzina nie może się pogodzić ze stratą. Uważa, że dochodzenie zostało spartolone, a cała

sprawa potraktowana po macoszemu. Ostatnio dostali maila i zdjęcie, sugerujące że dziewczyna żyje. Chcą wznowić poszukiwania. Pragnę im w tym pomóc.

– Znasz drogę formalną. O wznowieniu postępowania decyduje prokurator. I musi mieć poważne przesłanki, aby nakazać wznowienie śledztwa. Nie sądzę...

– Oboje wiemy, że nie kiwnie palcem.

– Ty to powiedziałeś.

– Potrzebne mi dokumenty policyjne z tamtego dochodzenia.

– Zapomnij. To materiały wewnętrzne policji. Sorry, ale nie.

– Miło się z tobą gada. O ile wiem, dochodzenie prowadził wtedy komisarz Jan Borkowski. Ustaliłem, że wkrótce po tym zdarzeniu na dworcu przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Ma popularne nazwisko. I jest RODO. Nie mogę go namierzyć, a chciałbym z nim pogadać. Potrzebny mi jego adres z waszych akt osobowych. Tylko tyle.

– I myślisz, że dla ciebie złamię procedury i regulamin?

– Nie ukrywam, że taka myśl przemknęła mi przez głowę.

– Pomyślę.

Odłożył telefon i podszedł do okna. Blok naprzeciwko był blisko, za blisko. W oświetlonym kwadracie widział jakąś kobietę w eleganckiej czarnej garnsonce. Musiała dopiero co wrócić z pracy, zzuła czerwone szpilki, leżały porzucone przy drzwiach. Siedziała sama przy stole. Przed nią stała butelka czerwonego wina. Wstała i po chwili wróciła z kieliszkiem w ręku. Nalała wina, starając się nie uронić ani kropli. Piła łączywie, po chwili kieliszek był pusty. Nalała jeszcze raz.

Ponownie sięgnął po telefon.

– No nie. – Głos po drugiej stronie brzmiał głucho i nieprzyjaźnie.

– Też się cieszę.

– Miałaś już nigdy więcej nie dzwonić. Nigdy.

– To był impuls. Stęskniłem się.

– Pierdol się. Wylączam się.

– Oddałem ci kiedyś przysługę. Uchroniłem ci tylek przed tymi z wewnętrznej, pamiętasz?

– I spłaciłem się już po trzykroć. Ostatni raz przy sprawie tego archiwisty i Kornów. Jesteś jak ten jebany rzep, nie do odczepienia.

– Nie dzwoniłbym bez potrzeby. To mała sprawa.

– Jasne, ty startujesz tylko z takimi. Ostatnio o mało nie wywalili mnie przez ciebie z roboty. Wiedzieli, że był przeciek. Jak ty kiedyś trafisz do policji? Bardziej pasujesz do mafii.

– No widzisz, jestem jak ten człowiek o stu twarzach.

– Czego chcesz?

– Masz jakiś długopis?

– Nie, kurwa, piszę gęsim piórem...

Z uchylonego okna dobiegał wieczorny chłód. Podszedł, aby je przymknąć. Kobieta zrzuciła już górę od kostiumu. Miała na sobie czarny, koronkowy biustonosz. Właśnie otwierała kolejną butelkę. Spojrzała na niego nagle, a on cofnął się i zamknął okno.

4.

Przesyłka nadeszła dwa dni później. Koperta bez nadawcy, ktoś musiał wrzucić ją do jęgo skrzynki pocztowej. Jeszcze w południe, po wizycie listonosza, skrzynka była pusta.

Rozerwał kopertę, wysypał się z niej plik ciasno zadrukowanych kartek. Kopie zeznań świadków. Niewiele tego, przerzucał pojedyncze kartki. Dziewczyna ze Starbucksa, konduktorka z pociągu na Hel, jakiś nawiedzony, który zgłosił się sam i twierdził, że tydzień po zdarzeniu widział zaginioną w habicie zakonnym w Świątyni Opatrzności Bożej. Zeznanie kobiety zarzekającej się, że Karolina pracuje w sex biznesie na Sycylii. Nie może powiedzieć, skąd wie... Służbowe notatki funkcjonariuszy z komisariatu policji na dworcu. Żadnych wiarygodnych tropów czy konkretów, punktów zaczepienia, typowe bicie piany. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, deficyt punktów zaczepienia. Meldunek z przechowalni bagażu: nikt nie zostawił tam walizki podobnej do tej, która należała do Karoliny. Sprawę z komisariatu przy Lubelskiej przekazano w gestię komisariatu przy Wilczej. Wreszcie postanowienie o umorzeniu śledztwa. Spojrzał na końcowy podpis: komisarz Borkowski.

Tak, Borkowski. Ustalił to już wcześniej. Do tego kojarzył to nazwisko ze swojej policyjnej praktyki. Unosił się nad tym gliniarzem smrodek podejrzeń o korupcję. Podobno brał w łapę, żeby przymknąć oczy wtedy, kiedy trzeba je

było mieć szeroko otwarte. Mówiono, że wybrał ucieczkę, rzucił papierami i przeniósł się na zasłużoną emeryturę, zanim ci z wewnętrznej zdołali dobrać mu się do tyłka. Rozmawiali kiedyś o nim w kantine. Ciekawe, że to właśnie on podpisał decyzję o umorzeniu dochodzenia. Rodzina zareagowała natychmiast: „Składamy zażalenie na postanowienie o umorzeniu śledztwa. Nasza córka, Karolina Sikorowska, zaginęła w biały dzień na terenie wielkiego obiektu – wypełnionego setkami ludzi, monitorowanego przez systemy wizyjne i kontrolowanego przez funkcjonariuszy policji i służby ochrony kolei. W dochodzeniu nie dochowano, naszym zdaniem, należytej staranności. Nie przesłuchano wszystkich możliwych świadków, nie zbadano wszelkich ewentualności, z porwaniem na zlecenie włącznie. Odgórnie przyjęto, nie wiedzieć czemu, za wiodącą hipotezę, że córka nasza zniknęła na własne życzenie. Dlaczego miałyby to zrobić? Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Karolina nie zniknęłaby, nie pozostawiając rodzinie żadnej wiadomości czy wytłumaczenia swojego zachowania. Nigdy nie zafundowałyby nam takiego cierpienia i niepewności. To jest kochane dziecko. Nie zbadano, skąd logował się jej telefon. Mamy przeświadczenie, że policja od początku robiła tylko to, co musiała – a nie to, co powinna...”.

Miał wrażenie, że rozpoznaje w tym piśmie pazur Agnieszki. „Robiła tylko to, co musiała – a nie to, co powinna”. Trafiony, zatopiony.

Spojrzał na nią przez drzwi. Miała skupiony wyraz twarzy. Czytała jakąś książkę, widział, jak drżą jej ręce. Od kiedy zajął się tą sprawą, starała się nie naciskać na niego, choć wiedział, że Karolina pochłania jej wszystkie myśli. Doceniał to. Rozstawali się rano po śniadaniu. Ona szła do pracy, a on wrzucał na siebie dres i biegał przez godzinę po lasku przy torach. Powoli odzyskiwał formę. Pobyt w Bieszczadach dobrze mu zrobił. Ataki depresji ustały, choć nie wiedział na jak długo. Musiał maksymalnie wykorzystać okienko, jakie zafundowało mu życie. Nie miał specjalnych złudzeń co do losu Karoliny, ale nie chciał zawieść jej siostry.

Zajrzał ponownie do pokoju Agnieszki. Teraz siedziała na kanapie oparta o ścianę, wpatrzona w monitor laptopa. Porzucona książka leżała na podłodze.

– Co oglądasz?

– Film na Netfliksie.

– O czym?

– O miłości starszego faceta i młodszej kobiety.

– To już było.

- A jednak ciągle się powtarza.
- Dobrze się kończy?
- To się okaże. On ciągle ma wątpliwości.
- Z jakiego powodu?
- Nie potrafi cieszyć się tym, co ma. Ciągle ogląda się za siebie.
- No, bywają tacy marudni goście.
- Nawet znam jednego.
- Aha. Mam coś lepszego, monitoring z dworca.
- Skąd? Jak to załatwiłeś? – Zerwała się z kanapy.
- Grzecznie poprosiłem takiego jednego.
- Jak chcesz, to potrafisz.

Wrzucił płytę z monitoringu do odtwarzacza. Obraz był zaskakująco dobrej jakości. Postanowili obejrzeć nagranie od godziny siódmej rano. Na pierwszej płycie widoczne było ujęcie hali głównej od strony ulicy Kijowskiej. Dworzec powoli wypełniał się ludźmi. Fala podróżnych wędrowała do kas, do skrzydła restauracyjnego, by potem łączyć się ponownie i wlewać w tunel wiodący do peronów.

Agnieszka z napięciem wpatrywała się w ekran. Rzeczywistość wracała, te same obrazy, kadry, szczegóły, które po tylekroć analizowała. Czas związał się i przenosił w przeszłość. Rodzina z ukraińską flagą. Dziecko z buzią umazaną masłem. Bezdomy ukladający się na ławce.

- Czego szukamy? – zapytała, nie spuszczać wzroku z monitora.
- Tego gościa, który zaczepił was koło Starbucksa. To mógł być naganiacz.
- Myślisz, że ją porwali? I że chodzi o handel żywym towarem?
- To jedna z możliwości, nie można jej wykluczyć. – Zatrzymał na chwilę obraz. – Pracuję nad tą wersją, rozmawiałem z kimś ostatnio...
- Z kim?
- Nieważne. Nie ogląda filmów o miłości.
- Jak mieliby to zrobić? Na dworcu pełnym ludzi?
- Wbrew pozorom to dogodne miejsce dla takich praktyk. Moloch, ciągle w ruchu, zatłoczony i pełen ludzi, ale paradoksalnie, właśnie dlatego absolutnie anonimowy. Ma wiele zakamarków i odnóg. Łatwo tu zaobserwować i wyłowić ofiarę.
- A monitoring?

– Pamiętasz sprawę nigdy nieodnalezionej Iwony Wieczorek? Zaginęła w Sopocie, wracając z dyskoteki nadmorską promenadą. Cała trasa była monitorowana przez kamery, mimo wczesnej pory mijali ją ludzie, kręcił się wóz z ekipą sprzątającą. A jednak przepadła na amen i mimo długoletnich poszukiwań ze strony policji, służb, prywatnych detektywów i dziennikarzy, nikomu nie udało się wpaść na jej ślad. Pewne rzeczy się po prostu zdarzają, choć wydają się nieprawdopodobne.

– W takim razie czego szukamy?

– Czegoś nietypowego, wyrastającego ponad ten pozorny chaos. Kogoś, kto was obserwuje, krąży wokół. A przede wszystkim, tego mężczyzny spod Starbuckska.

Włączył ponownie obraz. Po kilku minutach poczuł jej uścisk na swoim ramieniu.

– Jesteśmy!

– Tak.

Widział je wyraźnie. Dwie postacie, przekraczające próg hali, przez chwilę prześwietlone słońcem. Agnieszka odgarniająca włosy z czoła, szukająca wzrokiem tablicy odjazdów. I Karolina, w swojej czerwonej czapce, kontrastującej z szarzyzną otoczenia. Założyła ją celowo? Była znakiem, żeby łatwiej można było ją wyłowić z tłumu? Dla kogo?

Smuga potarł czoło. Zmienił płytę. Teraz obraz ujmował fragment hali przy kiosku kawowym. Stały przy ladzie, Karolina bokiem. Widział jej prosty profil. Przybliżył obraz. Dziewczyna nie patrzyła na siostrę. Miała dziwnie rozbiegane oczy, jakby nie potrafiła skupić ich na jednym punkcie.

– Nie wygląda zbyt happy – powiedział. – Jakby jechała na pogrzeb, a nie wakacyjny wypad z siostrą.

– Też to widzę – szepnęła Agnieszka. – Ale pamiętaj, wtedy iskrzyło między nami.

Na ten moment czekał. Mężczyzna w niebieskim blezerze, z podwiniętymi rękawami, niestety ujęty przez kamerę od tyłu. Widać było, jak podchodzi do sióstr. Gestykuje lewą ręką z widocznym tatuażem na przedramieniu, pochyla głowę do Agnieszki. Ta początkowo słucha, rozbawiona, po czym porząsa głową i odwraca się do niego plecami.

– Właśnie mu powiedziałam, żeby spadał.

Smuga w napięciu wpatrywał się w monitor. Mężczyzna oddalił się kilka metrów dalej w stronę wejścia. Sięgnął po telefon, przez moment z kimś rozmawiał. Po chwili zniknął z kadru. Nie było widać, aby znowu kogoś nagabywał.

Przedostatnia płyta. Ukazywała niepowstrzymany strumień ludzki, płynący głównym tunelem i znajdujący ujścia w poszczególnych wejściach na perony. Godzina 8.13, dziesięć minut do odjazdu pociągu na Hel. Wejście na peron. Nagle Smuga drgnął. Głowa Agnieszki, dwa metry za nią czerwona czapeczka.

– Jest! – Podniecona Agnieszka wskazała mu palcem.

– Widzę.

Po kilku sekundach oboje jęknęli z zawodu. Obraz urywał się nagle, na kilka metrów przed wejściem na peron.

– To wszystko? – zapytała zawiedziona Agnieszka.

– Tak. Kamera zamontowana jest tylko nad tunelem od głównego wejścia. Mamy pecha. Ale obejrzymy film do końca. Jeśli wróciła do hali głównej, to kamera powinna ją pokazać.

Obejrzeni zapis wolno, klatka po klatce. Nigdzie nie było widać Karoliny wśród tłumu podróżnych. Przełomu nie przyniósł też film z kamery, zamontowanej w małej hali przy drugim wyjściu od strony Lubelskiej.

– Przecież nie mogła wyparować? Tak jakby zapadła się pod ziemię na tych kilku metrach tunelu, tuż przed wejściem na peron. – Agnieszka wpatrywała się w monitor roziskrzonymi oczami.

– Na pewno jest jakieś wytłumaczenie, tylko my go nie widzimy.

– Człowiek tak nagle nie znika, trudno go nagle wykasować, wywabić jak jakiś znak czy tatuaż...

– Coś ty powiedziała? – przerwał jej, tknięty nagłą myślą.

– O co ci chodzi?

Ale Smuga już nie słuchał. Odszukał pierwszą płytę i ponownie uruchomił odtwarzanie. Rozmowa przy Starbucksie. Mężczyzna w niebieskim blezerze. Zrobił zbliżenie kadru, zatrzymał go i zapisał. Następnie przeniósł na pulpit i uruchomił specjalną aplikację do powiększania zdjęć. Agnieszka obserwowała w napięciu jego poczynania.

– Co robisz?

– Zaraz się dowiesz.

– Ale szukasz czegoś?

– Matki Boskiej.

Uruchomił zooma i najechał na przedramię mężczyzny. Wzmocnił ostrość i kontrast. Kliknął i wstrzymał oddech. Po chwili na ekranie ukazał się wzór tatuażu: początkowo rozpixselowany, szybko scalał się w wyrazisty obraz: twarz Madonny, nad którą unosiła się aureola z liści marihuany.

– Marek, zlituj się... – jęknęła Agnieszka.

– Znam tego gościa. – Odwrócił do niej głowę. – A przynajmniej wiem, kto to jest.

– Kto?

– Nie chciałyś go poznać.

5.

Jeszcze raz sprawdził adres przysłany SMS-em przez Lenę Kalinowską. Bursztynowa w warszawskim Międzyzylesiu, niski budynek za kościołem przypominającym lotniczy hangar. To tutaj.

– Jak pan do mnie trafił? – Mężczyzna stojący po drugiej stronie furki nie spuszczał z niego badawczych oczu. W ręku trzymał naprężoną smycz z wyrwijającym się psem.

Rottweiler z obnażonymi kłami, mój ulubiony piesek, kurwa. – Smuga odruchowo odsunął się od siatki.

– Też byłem gliną – powiedział, nie spuszczać oczu z wyrwijającego się psa.

– To kiepski argument.

– Jesteśmy we dwóch. – Smuga odsłonił połę kurtki z butelką chivasa.

– A to już lepiej.

We wnętrzu domu śmierdziało stęchlizną i nieprzetrawionym alkoholem. W zlewie piętrzył się stos brudnych talerzy z rudymi śladami na krawędziach.

– Rzadko otwieram okno. – Borkowski zauważył jego spojrzenie.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Ten kościół obok. Czarni uważają się za panów świata. Napierdalają tak tymi dzwonami na całą okolicę, że własnych myśli nie słyszą. – Spojrzał na

zegarek. – Masz niewiele czasu, kolego. Za kwadrans znowu będzie tu kościelny łomot.

– Rozumiem.

– Ale zanim zaczniemy, to się wzmocnimy.

Komisarz powędrował do kuchni, wrócił po chwili z dwoma szklankami.

– Nie za wcześnie?

– Na to nigdy nie jest za wcześnie. Jeszcze trochę – a będzie na wszystko za późno. Prosit!

Whisky miała metaliczny posmak. Smuga poczuł, jak podnoszą mu się włoski na skórze. Dawno nie pił alkoholu. Xanax działał szybciej.

– Zgodziłem się na rozmowę w pewnym sensie z ciekawości. – Borkowski obliznął wargi i odstawił szklankę.

– To znaczy?

– Jak zadzwoniłeś, popytałem o ciebie tu i ówdzie. Miałeś kiedyś wszystko. Dobrą robotę, uznanie, uważali cię w dochodzeniówce za gwiazdę. Podobno pewnego pięknego dnia wyjechałeś przez okno faceta, który miał być świadkiem koronnym w ważnym śledztwie. I tylko dlatego, że był pedofilem i skrzywdził własną pasierbicę. Została z niego mokra plama i dobrze rokująca kariera poszła się jebać. Prawda to?

– Nie pamiętam. To było dawno temu.

– Aha – Borkowski rzucił mu szybkie spojrzenie. – Jeszcze po jednym?

– Ja już dziękuję, ale ty się częstuj.

– Jasne. No to ad rem. Wal, z czym przychodzisz. Tylko konkretnie, nie lubię rozwlekłych opowieści. Uwaga mi siada.

– Postaram się. Pięć lat temu na Dworcu Wschodnim zaginęła bez śladu młoda dziewczyna, Karolina. Była z siostrą, miały bilety na Hel. Ciągnęła za sobą ciężką walizę, była już o kilka kroków od wejścia na schodki, wiodące na peron. Wokół pełno ludzi i kamer. A jednak wyparowała w biały dzień, w środku miasta.

– Tak jakby. – Borkowski nie spuszczał z niego oczu.

– To ty prowadziłeś dochodzenie.

– Zgadza się.

– Sprawa była w swoim czasie głośna. Rodzina nie dawała za wygraną, nie zaniedbała niczego. Stosowne komunikaty ukazały się w prasie i telewizji,

uruchomiono Itakę, wyznaczono nawet nagrodę pieniężną za jakąkolwiek informację, mogącą naprowadzić na trop sprawcy. Wszystko na nic.

– Zdarza się. W większości przypadków te sprawy pozostają niewyjaśnione. – Komisarz wypił i odstawił pustą szklanę. – Przyczyny są rozliczne: śmierć ofiary bez odnalezienia zwłok, świadoma zmiana tożsamości, wyjazd za granicę itp. Jesteśmy tylko policją, a nie jebanym Scotland Yardem. Tyle możemy, ile umiemy. Wszystko znajdziesz w postanowieniu o umorzeniu śledztwa. Nic nie znaleźliśmy, tkwiliśmy w martwym punkcie. Po co wracasz do tej sprawy? Tej dziewczyny już nie ma i nie będzie, w takim czy innym sensie.

– Na adres mailowy jej siostry nadeszło ostatnio zdjęcie. Jest na nim Karolina, żywa, kilka lat starsza. I komunikat z błaganiami o pomoc.

– Słyszałeś o Photoshopie, o programach do postarzania twarzy? Mam ci tłumaczyć, że dzisiaj przy pomocy specjalnych programów graficznych można wszystko: nawet ożywić trupa?

– Słyszałem, jestem w tym bardziej biegły, niż ci się wydaje.

– Tym bardziej daj sobie siana. To wygląda na zwykłą próbę wyludzenia kasy od zrozpaczonej rodziny. Dodam, że to częsty proceder. Ten naród tak ma.

– Też bym tak pomyślał, gdyby nie jeden haczyk.

– Jaki? – Borkowski podniósł ciężkie powieki. Alkohol już działał, pokrył jego oczy szklistą powłoką.

– Poza tym jednym zdjęciem, nie przyszło nic więcej. Żadnego przekazu, wezwania do zapłaty, nic.

Borkowski milczał, przeżuając rewelacje Smugi. Miał starcze plamy na dłoniach.

– No to masz problem – powiedział wreszcie.

– Dlatego tu jestem. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia, jakiejś igły w stogu siana, którą być może przeoczono na pierwotnym etapie prowadzonego przez ciebie dochodzenia. Moim zdaniem punktem wyjścia jest tu sam dworzec. Porwać człowieka można na tysiąc sposobów, istnieją dogodniejsze miejsca i sytuacje niż ta z zatłoczonego tunelu dworcowego. Słowem, jeśli Karolina miała zniknąć właśnie tam, to istniał ku temu jakiś cholernie dobry powód. Dotarłem do monitoringu z dworca.

– W jaki sposób? – zainteresował się Borkowski.

– Tajemnica służbowa.

– No jasne – skrzywił się Borkowski.

– W każdym razie na dworcu zaczął dziewczyny pewien facet. Wyglądał jak naganiacz, taki żigolo z żelazem na włosach. Wydał mi się znajomy. Powiekszyłem zdjęcie. Oto ono.

Smuga położył na stoliku kadr wielkości A4. Borkowski przyglądał się przez chwilę zdjęciu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Ten gościu przewinął się przez jakieś śledztwo, w każdym razie nie moje – powiedział Smuga. – Dawno temu. Nie pamiętam szczegółów, poza jednym – to był szemrany, śliski typ. Handlował dragami. Zapamiętałem go, ponieważ miał charakterystyczny tatuaż na ręce. Pójdę tym tropem.

– I dobrze. Do czego ja ci jestem potrzebny?

– Muszę szybko znaleźć tego gościa.

– Nie znam przyjemniaczka. – Borkowski wzruszył ramionami.

– Ale masz kolegów w policji. Mógłbyś pokazać im to zdjęcie, popytać tu i tam.

– Mylisz się, nie mam tam już kolegów. To nie moja policja.

– A po drugiej stronie? Tacy ludzie jak ty, nigdy nie przechodzą na pełną emeryturę. Dawne znajomości i kontakty w półświatku pozostają na zawsze.

– Tyle masz, ile znasz.

– Właśnie. Pomożesz?

– Chciałbym, ale prawda kosztuje.

– Właściwie to jesteśmy tu we trójkę. – Smuga sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę.

Borkowski wziął ją do ręki i sprawdził zawartość.

– A co to? Bawimy się w 500 plus? – Komisarz wydał wargi.

– Więcej nie będzie. Jestem tylko prywatnym detektywem na dorobku.

– Jak się nie ma, co się lubi... – Borkowski rzucił kopertę na komodę. – Załatwione.

– Jeszcze jedno pytanie na koniec – powiedział Smuga.

– Myślałem, że już się pożegnaliśmy.

– Prawie. Czy w trakcie tego dochodzenia trafiliście na jakiś obiecujący trop, którego z jakichś powodów nie podjęliście?

– Dziwne pytanie. – Borkowski potarł brodę.

– Przeciwnie, jak najbardziej naturalne. Zapominasz, że sam pracowałem w policji. Zawsze były jakieś sprawy, na które nie starczało czasu, ludzi lub zwyczajnie chęci.

– Niech pomyślę... No tak, mieliśmy takie doniesienie. Ktoś przeczytał komunikat w mediach o zaginięciu tej dziewczyny i doniósł, że kogoś podobnego ze zdjęcia widział w Berlinie kilka tygodni po zdarzeniu. Odwiedzał znajomego w Rajchu i natknął się na tę dziewczynę. Widział ją tylko przez chwilę, kogoś mu przypominała. Później skojarzył fakty i doszedł do wniosku, że to ta zaginiona z Dworca Wschodniego.

– W Berlinie? – Smuga poruszył się niespokojnie.

– No tak. Z tego, co pamiętam, przyuważał ją w squacie tych szwabskich hippisów. Żyła z nimi w komunie, wiesz: wolna miłość, narkotyki i te sprawy.

– Wiem, co to squaty. Gdzie to było?

– Pamiętam, że w takiej dzielnicy opanowanej przez Turków.

– Może w Kreuzbergu?

– O, właśnie.

– A gdzie dokładnie?

– Na Oranienstrasse, to akurat zapamiętałem.

– Co działo się dalej?

– Nic. Mieliśmy zwrócić się do policji niemieckiej o pomoc, żeby zweryfikować te informacje, ale nic z tego nie wyszło.

– Dlaczego?

– Wiesz, jak to jest.

– Nie wiem.

– Osoba, która znała język akurat była na urlopie. A potem sprawa jakoś przyszła. Było tyle innych, lepiej rokujących sygnałów i doniesień. A to niby tu ją widziano, a to tam... Gdybyśmy mieli to wszystko sprawdzać, to musielibyśmy się skupić tylko na tym dochodzeniu, a to przecież nierealne. Byliśmy zrobieni po pachy.

– Zapamiętałeś jakieś szczegóły z opisu dotyczące tej dziewczyny?

– Niby jakie?

– Na przykład jak się zachowywała, czy wyglądała na ćpunkę, jak była ubrana?

– Człowieku, to było pięć lat temu.

– To ważne.

– Jasne, wszystko jest ważne. – Borkowski skrzywił się. – Ale było coś. Z tego doniesienia wynikało, że dziewczyna była związana z szefem komuny. Jak miał na imię ten Belmondo?

– Jean Paul.

– No właśnie, dlatego zapamiętałem. Tamten też się tak nazywał. A ona to taka kochanica Francuza.

Smuga był już przy drzwiach, gdy odwrócił się i zapytał – A co z tym dilerem?

– Jutro zadzwonię albo pojutrze.

– Lepiej jutro.

– Możesz się wreszcie ode mnie odpierdolić?

– Ja też ci życzę miłego dnia.

6.

Siedzieli w modnej restauracji na Powiślu. Wiatr podwiewał dziewczynom sukienki. Jakieś bmw wielkości czołgu usiłowało zaparkować na pobliskiej ulicy. Smuga zamówił piwo bezalkoholowe. Jego towarzyszy, zwany Jurasem, gwiazda ogólnopolskiej bulwarówki demonstrował swoją umiejętność podzielności uwagi. Słuchał tego, co mówi Smuga, sączył browar wysokoalkoholowy i jednocześnie nie spuszczał wzroku z pięknych dziewczyn, których nie brakowało w lokalu.

– Ciekawa historia, ale do brzegu daleko. – Juras dolał sobie piwa. – Zniknięcie młodej dziewczyny przed pięciu laty? Kogo to dzisiaj ruszy? Na pewno nie po odpaleniu granatnika przez komendanta głównego. Albo po znalezieniu ruskiej rakiety w lesie przez babę na koniu po czterech miesiącach od zdarzenia. Nie mówiąc już o niemal codziennym katowaniu dzieci przez różnych psycholi. To są tematy na pierwsze strony mojej gazety. To za to mi płacą.

– Znamy się nie od dziś. Dotychczas stratny nie byłś – powiedział ugodowo Smuga.

– No nie.

– Tym razem też tak będzie. Jeśli mi się uda, dostaniesz prawo na wyłączność.

– A jeśli nie?

– To będę twoim dłużnikiem. A ty zrobisz coś w słusznej sprawie.

– Bosz... – skrzywił się dziennikarz.

– Nie utrudniaj, Juras. To będzie temat jak dzwon, zobaczysz.

– Dlaczego tak ci zależy? Dlatego, że to siostra twojej Agnieszki?

– To też.

– Jaka ona jest?

– Kto?

– No przecież nie Beata Szydło. O Agnieszkę pytam.

– Cierpliwa.

– Pytałem, jaka jest w łóżku?

– Nie autoryzuję tego pytania.

– Jaki džentelmen. – Juras skrzywił się z dezaprobatą.

– Ad rem. Muszę szerzej zarzucić sieć. Jedynym punktem zaczepienia pozostaje dla mnie Dworzec Wschodni. Z jakiegoś powodu Karolina tam właśnie zniknęła. Rusz głową, znasz mnóstwo ludzi, masz swoich informatorów. Popytaj o to zdarzenie. Sam jesteś z Pragi.

– Nie ma lepszego miejsca na ziemi.

– Jasne.

– Przychodzi mi do głowy pewien gość, który trzyma w tej okolicy wszystkie karty. Burdele na Pradze, handel żywym towarem itepe.

– Handel żywym towarem? – Smuga spojrział na niego uważnie. – Szczerze mówiąc, też o tym pomyślałem.

– Wiadomo, najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny. Ten gość nazywa się Leski, miał swoich naganiaczy. Na jego polecenie obserwowali ruch na dworcach. Wyłuskiwali dziewczyny na gigancie, ćpunka, kobiety ze Wschodu, głównie Ukrainki, bo to ładne kobiety są. Proponowali pracę w gastronomii, wikt i opierunek. A potem wiadomo, reguły gry ulegały zmianie i dziewczyny łądowały gdzieś w berlińskich burdelach, albo na Bliskim Wschodzie. Może ta dziewczyna wpadła im w oko? To wprawdzie nie wygląda na taki przypadek, bo ta Karolina nie była na dworcu sama, ale nigdy nie wiadomo.

– Jeśli tyle o nim wiedzieliście, to dlaczego nigdy nie trafił na pierwszą stronę? – Smuga poczuł suchość w gardle. Popił ją wodą ze szklanki.

– Zbieraliśmy na niego papiery, ale gość jest szczywany. Brakowało żelaznych dowodów. Ostatnio szefostwo zrobiło się ostrożniejsze. Przegraliśmy kilka procesów o zniesławienie, popłynęła kasa na odszkodowania. Nikt tego nie lubi, zwłaszcza ci goście z zarządu w dopasowanych garniturkach i mokasynach zakładanych na gołe nogi. To dlatego musimy sprawdzać teraz fakty i to w dwóch niezależnych źródłach.

– Zdaje się, że taka jest definicja rzetelnego dziennikarstwa.

– Niby tak, ale gazeta wychodzi codziennie. Czasu brakuje, bracie.

– Drzewiej inaczej bywało.

– No okej, ale nie dziw się, że Leski uszedł nagonce.

– Dasz mi namiary na niego?

– Pod warunkiem, że zapłacisz rachunek.

– Jeszcze jedno.

– No nie, człowieku ty nie znasz umiaru. Jesteś jak ten rzep...

– Z tego co pamiętam, znasz dobrze Berlin.

– Uwielbiam to miasto. Nigdzie nie ma lepszych klubów, muzy, kolorowych lasek. No i ten feel...

– Bywałeś w Kreuzbergu?

– Jak nie, jak tak. Świetna miejscówka.

– Zahaczyłem kiedyś o ten rewir, ale to było dawno temu. Mam kilka pytań, posłuchaj...

Rozdział IV

Aptekarz z Oranienstrasse

Berlin, maj 2023

I.

Dojechał U-bahnem linii U8 na Moritz Platz. Dworzec był podniszczony, ciemne smugi brudu niczym liszczaje oblepiały terakotowe kafle na ścianach. Jednym z czterech wyjść wydostał się na zewnątrz. To był ten Berlin, który lubił. Kosmopolityczny, wielobarwny i nieokiełznany, napoczęty już zębem czasu, a jednak nie pozbawiony swego seksapilu. Wzdłuż placu biegła ścieżka rowerowa wypełniona cyklistami, kierowcy samochodów na ulicy wyglądali tu na zbędny dodatek.

W kawiarni na rogu zamówił podwójne espresso. Młody kelner w rastafariańskiej czapeczce po chwili postawił przed nim filiżankę i zagaił:

– Hi, jestem Antonio.

– Marek.

– Nie widziałem cię tu wcześniej. Mamy tu stałą klientelę.

– Nie jestem stąd. – Smuga przeszedł na angielski, czuł się w tym języku zdecydowanie lepiej niż w niemieckim.

– Rosjanin?

– Nie, Polak.

– To lepiej.

– Też tak myślę. Skąd to skojarzenie, wyglądam na Ruska?

– Nie, po prostu dużo ich tutaj.

– Jasne.

– Co tu robisz?

– Ten lokal polecił mi mój kumpel, bywał tu wielokrotnie.

– Jak się nazywa?

– Juras.

– A, Dżuras! – Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Spoko gościu, wesoły, ciągle chodził na hajju.

– Cały Juras. Może mógłbyś mi pomóc?

– Niby jak? – Chłopak rozejrzał się po nadal pustawym ogródku i przysiadł na krześle, spod fartucha wystawały mu owłosione łydki.

– Szukam pewnego squatu.

– Nie wyglądasz na takiego, który szukałby tam schronienia.

– Skąd ten wniosek? – zaciekawiał się Smuga.

– Sneakersy, burżujów poznaje się dzisiaj po butach. Ten model Nike kosztuje ze dwieście euro.

– Nie wiedziałem, to prezent od dziewczyny.

– U mnie jest odwrotnie, to ja muszę kupować prezenty Johnny’emu.

– Aha. Znasz może niejakiego Jeana Paula, Francuza? Kilka lat temu kierował komuną na Oranienstrasse.

Obok nich przejechał sznur turystów japońskich na rowerach, nawet podczas jazdy robili zdjęcia swoimi smartfonami.

– Chyba coś słyszałem, ale upewnię się w barze.

– Okej.

Wrócił po kilku minutach z roslým barmanem o brodzie Rasputina.

– Ty szukasz Jeana? – zapytał tamten wprost.

– Tak.

– Dlaczego?

– Co ci do tego?

– Nic, ale muszę wiedzieć, czy nie jesteś kapusiem nasłanym przez miasto. Squatersi są dla nich jak ten cierń w dupie.

Smuga sięgnął do kieszeni po dowód osobisty. Brodacz studiował go przez chwilę, po czym oddał go bez słowa.

– W porządku, pozdrów od nas Dżurasa, pieprzonego rudzielca.

– Juras nie jest rudy i nigdy nie będzie. Ma czachę łysą jak kolano.

– Dobra, zdałeś test. Powiedz mu. – Brodacz obrócił się na pięcie.

– Nie miej nam za złe tej ostrożności. – Antonio uśmiechnął się przepraszająco. – Ale my tu wszyscy się wspieramy. Squatersi to nasi kumple. Mają różne

fazy z miastem, tamci czasami ich tolerują, a nawet wspierają, a czasami wprost przeciwnie. Jean nie jest ich ulubieńcem.

– Dlaczego?

– Sam sprawdzisz.

– Rozumiem.

– Pójdiesz w tamtą stronę. – Wskazał mu kierunek na wschód. – Ulica ma ze dwa kilometry długości. Po prawej stronie zauważysz dwupiętrową kamienicę z graffiti na frontowej ścianie. Przedstawia zwierzęta zwisające z dachu za tylną łapę: jelenia, czapłę i zająca. Taki stajl. Trudno to przeoczyć.

– Dzięki.

– A jakbyś szukał dobrego towaru, to wiesz, gdzie nas znaleźć.

– Dzięki.

2.

Jean Paul nie przypominał Belmonda. Można by o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest charakterystyczny. Czterdziestolatek o szczupłej sylwetce, ale takich na Kreuzbergu nie brakowało. Miał regularne rysy twarzy i kłócący się z nimi orli nos, a jednocześnie było w tej fizjonomii coś banalnego, jakiś rys powszedniości, który nie pozwalał zapamiętać jej na dłużej.

Przywitał Smugę przy wejściu do kamienicy. Nie wyglądała na pustostan. Elewacje były odnowione, okna wstawione, szeroka brama prowadziła do czystej klatki schodowej. Tylko wielki mural na ścianie odślaniał squaterską proweniencję domu. Smuga spojrział na ścianę. Na malowidle wielki jeleni zwisał na sznurze, zaczepionym o komin. Wyglądał jak żywy. Obok dyndały na sznurze pozostałe zwierzęta.

– Zajebiste, co? – Francuz powędrował wzrokiem za spojrzeniem Smugi.

– Wyraziste.

– Mają rangę symbolu. Ten sznur to symbol burżuazyjnego prawa własności. A te zwierzęta to my: zniewolona wolność, bez prawa do szczęścia i swojego miejsca na ziemi.

– Skąd wiedziałeś, że przyjdę?

– Dzwonili z baru.

– Czujni jesteście.

– *Oui*, tak trzeba. W jaki sposób trafiłeś właśnie do nas?

– Mój przyjaciel, dziennikarz z Polski, mi o was powiedział.

– Dobra, czego potrzebujesz? – Jean Paul obrzucił detektywa uważnym spojrzeniem.

– Schronienia na jakiś czas. Wyciszenia sam na sam ze sobą. Ucieczki przed życiem.

– Co ci w nim przeszkadza?

– Jest niesprawiedliwe, nierówne dla wszystkich. Jednych wynosi ponad miarę, a drugich gnoi i ogranicza, mimo iż nie oczekują od niego zbyt wiele.

– A czego ty oczekujesz? – Jean Paul nie spuszczał z niego swoich szarych oczu.

– Życia w harmonii, w zgodzie z samym sobą, a nie prawami narzucanymi mi przez opresyjny system. Przekonuje mnie to, co mówi Iwan Krastev: „Jeśli przyjmujesz, że cynizm i zła wola są fundamentem działania ludzi, to przestajesz rozumieć, co się dzieje, bo nie wierzysz absolutnie nikomu”. A ja chciałbym wierzyć: w ludzi, w solidarność, w wolny wybór.

– Czytujesz Krasteva?

– Za rzadko.

Smuga widział, że jego odpowiedzi zrobiły dobre wrażenie. Odetchnął z ulgą. Krótkie szkolenie, udzielone mu przez Agnieszkę, najwidoczniej przyniosło pożądaną efekt.

– Witaj w domu. – Francuz wyciągnął do niego rękę. – Przyda nam się myślący Polak, nie mamy ich tu zbyt wielu.

– Są tu jacyś Polacy? – Smuga uznał, że nadszedł czas, aby w sposób bezpieczny rozpoznać teren.

– Mamy dużą rotację. – Uwadze Smugi nie uszedł fakt, że Francuz zawahał się przy odpowiedzi. – Ale zanim przekroczysz próg naszej komuny, kilka słów o nas. Nie jesteśmy anarchistami czy bezdomnymi wyrzutkami społeczeństwa, jak przedstawiają nas niektórzy. Stanowimy wspólnotę wolnych ludzi. Stawiamy prawo do mieszkania wyżej od prawa własności. Zajęliśmy ten budynek wiele lat temu, bo był opuszczony. Urzędnicy przez lata trzymali w odwodzie tereny wokół Oranienstrasse pod łącznik z autostradą A 106. I głównie robili, jak to u nas.

Jean Paul urwał na chwilę. Żywo gestykulował jakby dla podkreślenia słuszności swego wyводу.

– Budynki popadały w ruinę – kontynuował. – W ten sposób ci biurokracjni partacze zablokowali na dziesięciolecia niezbędną renowację starej substancji budowlanej i doprowadzili do przekształcenia części Kreuzbergu w nieużytki. My to tylko wykorzystaliśmy, wprowadzając się do pustostanu. Żeby była jasność, nie jesteśmy okupasami, jak w Hiszpanii. To nasz dom. Wstawiliśmy okna, naprawiliśmy dach i elewację. Wszystko to, czego przez lata nie zrobił poprzedni właściciel. To kto ma większe prawa do tego budynku: mityczny właściciel, który nie kiwnął palcem, czy my?

– To dla mnie oczywiste.

– Dla mnie też. Poza tym stworzyliśmy tu chroniony prawem mir domowy. Uważamy, że dzięki temu obejmuje nas prawo lokatorskie, w świetle którego staliśmy się posiadaczami domu. Squatowanie to dla nas sposób na godziwą egzystencję, nasza życiowa samowolka, to odzyskiwanie marnujących się budynków, przestrzeni, czasu i własnej swobody. Kminisz to?

– Mnie to przekonuje.

– Niestety, jesteś w mniejszości – westchnął Francuz.

– Ale chyba nie czepiają się już was tak jak kiedyś. Przyjechałem do Berlina, bo słyszałem, że jesteście poukładani z władzami i że was już tak nie tępią jak jeszcze kilka lat temu.

– I tak, i nie. Nasze relacje z magistratem to jedna wielka sinusoida. Daleko oczywiście do niechęci sprzed lat, kiedy z nami walczyli i próbowali przedstawić jak barbarzyńców. Teraz panuje cichy rozejm. Tolerują takich jak ja, pozwalają przekształcać pustostany na artystyczne kluby czy studia. Ale jest tu kilku radnych, którzy uważają mnie za wroga.

– Dlaczego?

– Uważają, że chcę wywalić w powietrze cały system.

– A to prawda?

– Oczywiście, że chcę. – Uśmiechnął się Jean Paul. – Tyle że oni nie muszą o tym wiedzieć.

– Jasne.

– Jeszcze jedno. Pobyt w squacie to nie tylko darmowe schronienie. To także szkoła rewolucji i wiedzy. Uczymy się od siebie i innych. Zapraszamy wykładowców o podobnych antyglobalistycznych przekonaniach. To ludzie z czo-

łówki intelektualnej, otwarte umysły, potrafiące analizować świat i szukać panaceum na całe to kapitalistyczne gównno, w którym tkwimy. Niektórzy przyjeżdżają tu z MIT czy Sorbony, inni to towarzysze z rewolucyjnej Wenezueli czy Kraju Basków. Jedna zasada – nie nagrywamy tych spotkań. Nie chcemy, aby ci ludzie mieli kłopoty. Rozumiesz?

– Tak.

– Dlatego na spotkania приходzimy bez telefonów komórkowych. Zero zdjęć i nagrań. To, o czym tu rozmawiamy, o czym dyskutujemy – zostaje wyłącznie w naszym gronie. *Est-ce clair?*^{1*}

– Ciebie ta zasada też obowiązuje?

– Mnie przede wszystkim.

3.

Smuga siedział w małej dusznej salce na piętrze i wraz z innymi wysłuchiwał aktywisty z Brazylii, wysłannika jakiejś organizacji antyglobalistycznej. Trafił na dyżurny zestaw tematów: terror wielkiego kapitału, chciwość jako nowa religia, nowy kolonializm, potrzeba zmian, młodzież nadzieją...

Jean Paul stał oparty o ścianę. Miał półprzymknięte oczy, ale Smuga nie mógł pozbyć się wrażenia, że Francuz kontroluje wszystkich i wszystko. Obok niego na podłodze siedziało kilka osób z komuny. Dwie Hiszpanki, Inez i Dolores, niemogące od siebie oderwać dłoni, Lars, brodaty wiking ze Szwecji, kilku Niemców wpatrzonych w wykładawcę jak w boga. I Birgit, ładna Niemka z Lipska, która wyraźnie okazywała mu zainteresowanie. Niestety, nigdzie nie widział Karoliny. To jednak niczego nie przesądzało. Wiedział, że w tych wykładach biorą udział tylko zainteresowani. Squat był duży. Z tego, co się zorientował, na kilku piętrach mieszkało co najmniej kilkanaście osób. Ludzie przychodzili i wychodzili, niektórzy nocowali tu na stałe, inni pojawiali się tylko incydentalnie. Podobnie mogło być z Karoliną.

Wybrał taką, a nie inną metodę zweryfikowania informacji o jej pobycie we wspólnocie i teraz zaczął się zastanawiać, czy była to właściwa decyzja. Mógł zapytać o to Francuza wprost. Ale wtedy – zakładając, że Karolina nadal przebywa na terenie squata – mógł narazić się na nieufność i wrogość. Prywatny detektyw z Polski, prowadzący śledztwo na terenie komuny, byłby na pewno

ostatnią osobą, którą Jean Paul chciałby u siebie widzieć. „To nasza życiowa samowolka, kminisz to?”

Smuga wiedział, że squatersi pilnie strzegą swoich osobistych sekretów. Byli jak cywilna Legia Cudzoziemska: z chwilą przekroczenia progu domu na Oranienstrasse stawali się niewidzialni, pozostawiając na zewnątrz swoją przeszłość, kłopoty i tajemnice. Jeśli Polka przebywała na łonie komuny, to był to tylko jej wybór. Widocznie miała swoje powody. Gdyby chciała, to wróciłaby nad Wisłę.

Czy wypad do Berlina w ogóle miał sens? Potarł ręką czoło. Musiał sprawdzić wszelkie możliwości, i tak dreptał w miejscu. Berlin był pewną opcją, nie mógł jej wykluczyć z listy potencjalnych hipotez. Było możliwe, że z jakichś powodów Karolina uciekła z domu, a potem nie chciała się w nim pokazywać, aby uniknąć trudnych pytań i nie chcąc przyznawać się do porażki. Została zdradzona i porzucona? Zawiodła się na kimś? Mógł zrozumieć, że w takim przypadku wybrała squat na przeczekanie i zaleczenie ran. Pytanie tylko – dlaczego miałyby to trwać tak długo? Musiał jak najszybciej rozwiązać ten dylemat. Istniały tylko dwie możliwości: albo trwoniał tu czas, albo rozwiązanie znajdowało się na Oranienstrasse.

Podniósł głowę i ujrzał karcące spojrzenie Jeana Paula, tak jakby tamten dawał mu znak: słuchaj, gadamy tu o ważnych sprawach.

Mówca miał ogień w oczach. Wyrzucał z siebie zdania z szybkością karabinu maszynowego.

– Światem rządzi nowa kasta – perorował. – I nie są to bynajmniej politycy, jak sądzi większość, ogłupianej przez media, opinii publicznej. Tacy gracze jak Trump, Xi Jinping czy Putin tkwią mentalnie w ubiegłym stuleciu. W ich pojęciu realną władzę zapewnia podbój cudzych terytoriów, surowców i innych zasobów. To zwietrzałe klisze, nijak mające się do rzeczywistości. W dzisiejszym świecie liczą się tylko nowe technologie oraz globalizacja kapitałów i zysku. Realna władza spoczywa w rękach niewybieralnej garstki bogaczy, Mogolów XXI wielu, nieprawdopodobnie bogatych krezusów, którzy stanowiąc jeden procent populacji, zawłaszczyli ponad dziewięćdziesiąt procent zasobów i kapitału całej planety. Jak wynika z raportu organizacji humanitarnej Oxfam, która ostrzega przed pogłębianiem się nierówności ekonomicznych – ośmiu najbogatszych ludzi na świecie ma tyle majątku co 3,6 miliarda najbiedniejszych. Wyobrażacie to sobie?! To system chory – i dlatego musi upaść! I to nie kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale na naszych oczach, tu i teraz!

Smuga podniósł się z miejsca, przepaszająco podniósł rękę do góry i powiedział: – Muszę do toalety. Zaraz wracam.

– Poczekam z puentą do twojego powrotu – powiedział aktywista.

– To może potrwać. – Smuga wskazał ręką na brzuch.

Wyszedł na korytarz. Przez ścianę biegi ukośny napis. „Jebać Scholza i Putina! Jeden zdrajca, drugi świnia!”

Doszedł do schodów i wbiegł na pierwsze piętro. Wstąpił do swojego pokoju i zabrał ze sobą, przygotowanego wcześniej laptopa, chowając go w biegu pod swetrem. Teraz skręcił w lewo. Nigdzie nie widział innych mieszkańców. Większość siedziała na wykładzie, inni przebywali widocznie poza budynkiem. Pokój Jeana Paula mieścił się w ciemnej wnęce na końcu budynku. Spojrzał na zegarek. Miał pięć minut, nie więcej. Podszedł do drzwi. Z tego, co zdążył się zorientować, pomieszczenia w squacie były z reguły otwarte i dla wszystkich dostępne. Tak jak się spodziewał, pokój Jeana Paula był jednak wyjątkiem. Drzwi pozostawały zamknięte. Rozejrzał się dookoła, wszędzie panowała cisza. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wytrych. Potrzebował kilkunastu sekund, aby sforsować zamek. Pchnął drzwi i znalazł się w środku.

Pokój zatopiony był w szarej poświacie. Okna przesłaniały metalowe żaluzje, dziwnie powyginane, jakby jakiś żywioł siłą zburzył ich wertykalną symetrię. Smuga uważnie rozejrzał się dookoła. Rzeźbiona szafa, na ścianie portrety Engelsa i Che Guevary, jakiś dziwny totem indiański stojący w rogu. Uwagę zwracała prosta jednoosobowa prycza przykryta pachworkiem w etniczne wzory. Podszedł do dużego biurka. Zawałał je stos ulotek o jakimś mityngu, który miał odbyć się za tydzień na Kreuzbergu. „Towarzysze, Zieloni zdradzili Sprawę. Dość słów, nigdy nie było takiej potrzeby działania jak teraz. Amazonia ginie...”.

Minuta. Słyszał głucho walenie swojego serca. Telefon Jeana Paula leżał na skraju biurka przykryty gazetą. Na szczęście nie był to iPhone, ale Samsung z Androidem. Potrzebował kolejnych czterech minut, aby zamontować w nim, niewidoczną dla użytkownika, aplikację szpiegowską. W swojej karierze detektywistycznej często sięgał po to użyteczne i stosunkowo niedrogie narzędzie. Pozwalało nie tylko rejestrować wszystkie rozmowy, SMS-y i połączenia WhatsAppa, ale także śledzić lokalizacje GPS. Do podsłuchów miał dostęp z poziomu przeglądarki internetowej na swoim laptopie. Po wszystkich wytarł po sobie dokładnie odciski palców. To powinno wystarczyć.

Gdy powrócił do sali, aktywista przywitał go bladym uśmiechem.

– Zdążyłeś – powiedział. – Nowym władcom świata nie wystarczają już typowe znamiona luksusu: maybachy, prywatne odrzutowce czy nieruchomości porozrzucane po najpiękniejszych częściach globu. Nową religią stał się hedonizm. Rezerwują loty w kosmos, inwestują ogromne sumy w biotechnologie, sztuczną inteligencję. A przede wszystkim – niczym antyczni bogowie – próbują zapewnić sobie nieśmiertelność. Po prostu nie chcą umierać, ponieważ ich życie stało się tak wygodne, że ich zdaniem, powinno trwać wiecznie. Stworzyli więc nową religię: *anti-aging*.

– Dość ekscentryczna teza – rzuciła sceptycznie Birgit. – Jakież dowody na jej poparcie?

– Proszę bardzo. – Aktywista rzucił Niemce czujne spojrzenie. – Najbogatszy człowiek świata, założyciel Amazona – Jeff Bezos, założyciel PayPala – Peter Thiel czy jeden z wynalazców Google – Siergiej Brin inwestują ogromne sumy w badania nad długowiecznością. Jednym z proroków *anti-agingu*, prawdopodobnie najbardziej radykalnym, z prywatną praktyką w swoim domu, jest niejaki Bryan Johnson. Płaci on ok. 2 mln dolarów rocznie za swoje odmładzanie, które jest nadzorowane przez trzydziestoosobowy zespół ekspertów. Johnson to potentat z branży technologicznej. Zarobił 800 mln dolarów, gdy dziesięć lat temu sprzedał swój system płatności online Braintree firmie PayPal, a obecnie ma udziały w ponad 50 firmach. Johnson postanowił przestać się starzeć i po prostu odmłodzić. W tym celu opracował, wart miliony dolarów, oparty na algorytmach program o nazwie Blueprint, który analizuje i bada wszystkie narządy i procesy w jego organizmie, a także mówi mu dokładnie, czego potrzebuje jego ciało na co dzień, żeby zachować młodość.

Smuga słuchał tej tyrady z lekkim niedowierzaniem. Facet z Amazonii najwyraźniej mówił jednak na poważnie.

– W przeszłości chodziło o symbole zamożności i przynależności do kasty bogaczy – kontynuował. – Teraz symbolem statusu stało się własne życie. Dla tych ludzi najistotniejsze stały się nagle tematy takie, jak zdrowie i odmładzanie. A wszystko to w świecie, w którym setki milionów ludzi utrzymują się za jednego dolara dziennie, a całe obszary planety pustoszną w wyniku zmian klimatycznych. Za te 800 milionów Johnsona można by zbudować sieć szkół dla całego kraju, takiego jak Rwanda. Albo postawić na nogi służbę zdrowia w Malawi. Zamiast tego astronomiczne kwoty marnotrawione są na fanaberie, będące rażącym przykładem pogardy bogatych dla biednych. A teraz konkluzja. – Mówca potoczył wzrokiem po sali. – System jest przeżarty złem i korup-

cją do szpiku kości. Sam się nie odnowi. Potrzebna jest nowa rewolucja, taka prawdziwa jak w Rosji w 1917 albo ta wielka, francuska z gilotynami w tle.

– Inaczej się nie da? – zapytał brodaty Lars.

– Nie da. Potrzeba rewolucjonistów, a nie ciągle wątpiących i zrelatywizowanych intelektualistów. Liberalowie nas zdradzili. Przyjdą nowi bojownicy. Już rosną: w Kraju Basków, w Katalonii, w dżunglach Amazonii, w regionie Sahelu. Głodni, zdeterminowani i bezlitośni... Zachód toczy wojnę z islamistami, a powinien walczyć z wewnętrznym rakiem, który zżera go od środka...

– Kto będzie nowym Robespierre'em? – pytał dalej Lars.

– Może już siedzi pośród was.

Po wykładzie Smuga wrócił do użyczonego mu pomieszczenia. Hotel Marriott to to nie był. Zlustrował wzrokiem stojące w kącie szczotki, nad nimi powiewała wielka pajęczyna z unieruchomionym pajakiem pośrodku. Swojsko. W jakimś sensie ten owad przypominał mu jego samego.

Usłyszał szmer za swoimi plecami. W progu stała Birgit. Miała rozpiętą bluzkę, właściwie żaden guzik nie był zapięty.

– Hejka, Birgit – powiedział.

– Hejka.

– Zerwałaś się z kolejnego wykładu? Nie ciekawi cię walka pracy z globalnym kapitałem? – zapytał.

– Wali mnie to. Ty mnie ciekawisz – odpowiedziała. Miała spękane wargi.

– Naprawdę? Berlin jest pełen ciekawszych facetów.

– Nie sądzę. Przeleciałam połowę z nich, a pamiętam tylko pierwszego. Ty masz w sobie to coś. Jakąś tajemnicę.

– Naprawdę? Jestem poplątanym gościem. I złym chłopcem. Rozczarowałaś się.

– Nie wydaje mi się. – Nadal stała w progu, oparta o framugę. Światło słoneczne prześwietlało długą spódnicę, widział kształt jej nóg.

– To dlaczego tu jesteś? – Postanowił zmienić temat na bezpieczniejszy.

– Problemy osobiste. Poza tym ten squat to tylko przystanek po drodze. Mam tu dach nad głową. A to pierdolenie o walce klas można jakoś ścierpieć. Zauważyłam, że ciebie te nawiedzone gadki też nie zachwycają?

– No, średnio. My na Wschodzie jesteśmy z innej gliny. Przeżyliśmy komunę, nie po drodze nam z Che Guevarą i Engelsem.

– Lubię taką szczerłość.

– Co myślisz o Jeanie Paulu?

– Dobre pytanie... Wiesz, że on pochodzi z rodziny miliarderów? A jego rodzina ma podobno sieć największych aptek we Francji i Beneluksie? Walkę z burżujami powinien zacząć chyba od siebie.

– W takim razie dlaczego trafił na Oranienstrasse?

– Nie dogadywał się ze starym. Podobno ten dziad to obrzydliwy ksenofob i antysemita, otwarcie finansuje Marine Le Pen. Jean Paulowi trudno było to zaakceptować. Tu go akurat rozumiem, rodziny się nie wybiera, ale można z niej zrezygnować.

– Fakt.

– Zawsze jesteś taki małomówny?

– Akurat dzisiaj mam fazę na mówienie. Z reguły jestem bardziej lakoniczny. I co z tym Jeanem Paulem?

– Tego squata sam założył, jest tu bogiem. Stworzył własną religię i ma swoich wyznawców. Zwłaszcza wśród młodych dupencji. Nie widziałeś ich na wykładzie. Służą tylko do mszy i to na kolanach, jeśli wiesz o czym mówię.

– Raczej wiem. Ty też mu służysz?

– Jestem agnostyczką do szpiku kości. I sama sobie wybieram facetów do łóżka.

– Zdrowa zasada.

– Ja myślę. Dużo pytasz o Jean Paula – zauważyła.

– Nie spotkałem dotychczas nikogo podobnego.

– Pytałeś, co o nim sądzę. Dobrze się maskuje, ale moim zdaniem to pozer. – Skrzywiła się. – Mimo wszystko jest w nim coś fałszywego. Tak jakby ciągle tylko odgrywał rolę wszystkowiedzącego, lewackiego guru od weganizmu i walki klas, a w rzeczywistości był kimś zupełnie innym. Kiedyś przypadkowo podsłuchałam jego rozmowę. Gadał z kimś o jakichś papierach...

– Papierach?

– No tak, używał takiego zwrotu – chyba chodziło o jakąś forszę, tu się tak mówi na kasę, mówił: „daj mi sto papierów, a zrobię ci dobrze...”. Ale nie w tym rzecz. Z rozmowy wynikało, że mieli spotkać się w apartamencie Jeana Paula. Padło to słowo: apartament. Na pewno nie chodziło o tę dziurę na Oranienstrasse.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że nasz guru ma pewnie gdzieś w mieście swoją drugą metę. I to zapewne bardziej luksusową niż nasz squat. Może to tam przyjmuje te zapatrzone w niego laski. Mogę sobie wyobrazić, że trzyma tam swój prywatny harem. Tak gadają.

– Kto gada?

– A różni tacy. – Wzruszyła ramionami.

– Ciekawe, czy są wśród nich jakieś Polki?

– Tego nie wiem, a co, zazdrosny?

– No weź. Pytam z ciekawości.

– Kiedyś coś słyszałam. Miał na mieście jakąś Polkę, blondynę. Ktoś coś. W każdym razie nie mieszkała w squacie.

– Teza o haremie trzyma się kupy.

– Tak jakby. Wpadniesz do mnie wieczorem? – Zmieniła nogę. – Mam dobre zioło.

– Niestety, wychodzę na miasto.

– Dokąd?

– Jestem zaproszony na uroczystą kolację powitalną przez magistrat.

– Dobre. A co z ziołem?

– Preferuję swoje tabletki.

– Bierzesz MDMA?

– Nie, pastylki na depresję.

– Jakie?

– Escitalopram. Wzór sumaryczny $C_{20}H_{21}FN_2O$

– Ja pierdołę. To chyba gorsze niż fentany^{12*}.

– Chyba nie. Mnie pomaga.

– Aha, gdyby jednak, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Wiem, Birgit.

Była już w drzwiach, gdy nagle odwróciła się i zapytała:

– Na pewno jesteś hetero?

– Jak cholera.

– To już coś. Aha, jeszcze jedna sprawa. Nie zapomnij o swoim dyżurze.

– Jakim znowu dyżurze? – Spojrzał na nią pytająco.

– Sprzątasz dzisiaj na korytarzach i w kiblach, na wszystkich piętrach.

– Ja?

– Nie, Angela Merkel. Nie czytałeś grafiku dyżurów przy wejściu do sali?

– Szczerze mówiąc, nie.

– No to przeczytaj. Każdy tu ma jakieś obowiązki. Mogą różne rzeczy myśleć o tym żabojadzie, ale w jednym ma rację. Squat to nasz dom. Wszyscy dbamy o spokój, czystość i harmonię. Także w kiblach. Lubię siadać na czystej desce.

4.

Serwer wyświetlił pierwsze połączenie dopiero następnego dnia rano. Jean Paul nie należał do osób rozmownych, a może korzystał także z innych aparatów. Pierwsza rozmowa dotyczyła jakiegoś spotkania w Moabicie. Była prowadzona po niemiecku. Smuga zapisał jej treść, a później skorzystał z Tłumacza Google, aby ją odcyfrować. Z translacji wynikało, że chodzi o druk ulotek dla jakiejś lewackiej grupy z Frankfurtu.

Drugi zapis pochodził z WhatsAppa. Rozmowę prowadzono także po niemiecku i była bardzo pikantna. Podejrzenia Birgit były słuszne. Jean Paul na pewno nie prowadził życia mnicha. Seks uprawiał też wirtualnie.

Teraz! O, tak, głęboko.

Robię to.

Lubisz seks i jesteś niegrzeczną dziewczynką?

Tak.

Wyobrażałaś sobie wcześniej seks ze mną?

Jeszcze wcześniej.

To znaczy kiedy?

Jak czytałam twój artykuł.

Żałujesz tego, co zrobiliśmy?

Nie. A Ty?

Też nie. Strasznie mnie to nakręciło. To było silne doznanie. Chciałabyś to powtórzyć?

Chciałabym.

Autorką korespondencji była kobieta o imieniu Nica. Jej zdjęcie na WhatsAppie nie pozostawiało wątpliwości – to nie była Karolina. I na pewno nie

była to wymiana zdań na temat walki z globalizmem.

Zelektryzowała go dopiero następna wiadomość. Niejaki Marco pytał: „Jaki jest adres wysyłki?”. Odpowiedź była lakoniczna: „Taki sam jak poprzednio”. „Poprzedni kurier wpadł. Zaczynamy od początku”. „Powtórz adres” – widniał kolejny wpis. Dopiero teraz Jean Paul zdecydował się na bardziej konkretną odpowiedź: „Wintersteinstrasse 8 (Richard Wagner Platz)”.

Smuga sprawdził adres na mapie Berlina. To była elegancka dzielnica w zachodniej części miasta. Pasowała do Jeana Paula. Idealna meta, z dala od proletariackiego squat na Oranienstrasse. Dobre miejsce na skrywanie tego, co dla Francuza mogło być naprawdę ważne. Istniała też możliwość, że był to trop prowadzący donikąd, a rzeczywistość pozostawała zupełnie inna.

Sprzątając korytarz, robił celowo wiele hałasu. Chciał, aby jego obecność w squalu wieczorem została zauważona przez innych. Przy okazji zastanawiał się, kiedy ostatnio paradował z mopem i wiadrem z mydlinami. Wyszło mu, że w czasach, kiedy talibowie mieli lądować w Klewkach, czyli dość dawno temu.

– Musisz się tak tłuc? – W drzwiach jednego z pokoiów pokazała się rozczochrana głowa Inez. – Chcesz się zemścić na Niemcach za przegraną wojnę?

– To myśmy wygrali.

– Co ty powiesz? To dlaczego tu siedzisz, w stolicy Rajchu?

– Słyszałaś o masochistach?

Odłożył narzędzia do pakamery na końcu korytarza i przeszedł do swego pokoju. Położył się w ciemności na pryczy. Wbrew pozorom squat był wieczorem dość spokojnym miejscem. Jego mieszkańcy imprezowanie i chaos pozostawiali na zewnątrz. W milczeniu śledził fosforyzujące wskazówki zegarka.

Otworzył laptopa i ponownie przeczytał dane znalezione w sieci.

„Francuski guru na Kreuzbergu w opałach! Gęstnieje atmosfera wobec wspólnoty squatersów na Oranienstrasse, jednej z najstarszych na Kreuzbergu. Niedawno donosiliśmy, że sprawy idą ku dobremu. Radny Johan Stephens z CDU, znany z niechętnego stosunku do podobnych wspólnot, ogłosił nawet jakiś czas temu podpisanie porozumienia, zgodnie z którym użytkownicy bloku na Oranienstrasse zyskali prawo do tolerowanego pobytu w tym obiekcie. Miasto wyasygnowało nawet kwotę pięciu tysięcy euro na pokrycie kosztów niezbędnych napraw i wymiany instalacji sanitarnej.

Niestety, ten dobry nastrój burzą doniesienia o kolejnym dochodzeniu, wszczętym przez policję wobec samozwańczego przywódcy wspólnoty przy Ora-

nienstrasse, Jeana Paula Bouchera. Francuz, pochodzący podobno ze znanej rodziny przedsiębiorców francuskich, podejrzewany jest o sutenerstwo i wykorzystywanie małoletnich kobiet, przebywających w squacie. Charyzmatyczny guru wspólnoty, wykorzystując swoją pozycję, miał zmuszać do nierządu kobiety, zwłaszcza te pochodzące z Europy Wschodniej, które trafiły do zarządzanego przez niego domu. Boucher rzekomo zatrzymywał im paszporty i dokumenty, tak aby uniemożliwić kobietom wydostanie się z matni”.

Uważnie przeczytał też odpowiedź Francuza na te oskarżenia, opublikowane w lokalnej prasie.

„Walczę z systemem – dlatego ten system próbuje mnie zniszczyć. Robię to, w co wierzę i nie zamierzam ustępować pod presją sługusów skorumpowanego reżimu. Stworzyliśmy przy Oranienstrasse forpocztę wolnego, nowego świata i nie zamierzamy oddać tego bez walki. Wszystkie oskarżenia pod moim adresem są spreparowane przez tajne służby. Nie jestem o nic formalnie oskarżony – to tylko urzędowy hejt. Brudy o nadużyciach seksualnych są wyssane z palca. To wszystko, co mam do powiedzenia”.

Skopiował te informacje, zapakował w pliki i umieścił w chmurze. Dostęp do nich miała tylko Agnieszka. Tak się umówili.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia. Już czas! Otworzył okno i stanął na parapecie. Dostał lokum na wysokim parterze, więc miał ułatwione zadanie. Skoczył w dół i wylądował na ugiętych nogach. Przeszedł na wewnętrzne podwórze i zlustrował wzrokiem, stojące tam rowery. Należały do wspólnoty, można z nich było dowolnie korzystać. Wybrał solidnie wyglądającą kolarkę i cicho wyprowadził ją na ulicę przez wyłom w murze. Spojrzał w górę, szukając wzrokiem okna od pokoju Jeana Paula. Było w nim ciemno. Plan był prosty. Dojedzie do Moritz Platz, tam zostawi rower i wsiądzie do kolejki. Najpóźniej za godzinę powinien dotrzeć na Richard Wagner Platz.

Kamienica przy Wintersteinstrasse 8 była zaskakująco okazała. Trzy piętra dyskretnej elegancji, żadnych graffiti czy obszczanych murków, którymi capił Kreuzberg. W świetle latarni lśniły nowe, jasne elewacje. Wejścia broniły masywne drzwi z rzeźbioną kratą. Na murze ciemniał kwadrat domofonu.

Obszedł ulicę dwa razy, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Znalazł tylko jedno rozwiązanie. Kamienica obok była w remoncie, pokrywał ją szkielec rusztowań i przejść wyłożonych gołymi deskami. Całość spajała zielona siatka ochronna niczym rybacka sieć, zarzucona na cielsko wieloryba. Obie kamie-

nice stały blisko siebie, prawie stykały się dachami. To była jego szansa. Postanowił, że wróci następnego dnia lepiej wyposażony.

Stał po raz ostatni przed kamienicą i nagle drgnął. Pojawiło się blade światło na ostatnim piętrze, tak jakby ktoś zapalił lampkę nocną. Smuga odruchowo schował się za drzewem, wyrastającym z chodnika. Jakiś mężczyzna wyszedł na balkon. Widział ognik papierosa, żarzący się w ciemności. Mężczyzna podniósł skręta do ust i wtedy Smuga ujrzał orli profil Francuza. Jean Paul nie był sam. Zza jego pleców wyłoniła się kobieta. W bladym świetle widział jej nagie piersi. Przytuliła się do pleców Francuza i była w tym geście jakaś uległość i poddaństwo. Smuga nie widział jej twarzy, ale jakaś część jego doświadczenia i intuicji podpowiadała, że nie jest to konieczne.

Wycofał się w stronę stacji metra. Uszedł parę kroków, gdy poczuł czyjąś rękę na swoim barku.

– Masz zapalić? – Stojący przed nim niski mężczyzna miał smagłą cerę i orientalny wygląd.

– Nie.

– Ja nie pytałem o zioło, tylko o cigareta. – Mężczyzna najwyraźniej znał niemiecki gorzej od Smugi.

– Tym bardziej nie.

– Ja Kurd z Syrii, a ty?

– Z Polski.

– Pierdolić Niemcy, tu nie lubię takich jak my. Ja tęsknię do domu.

Smuga odwrócił się i podniósł kołnierz kurtki do góry. Dom. Dziwne słowo, które brzmiało obco w tym wielkim mieście w środku nocy, na pustym placu, lizanym światłami neonów, na granicy tego, co widzialne i niewidzialne.

5.

– Nie widziałeś jej twarzy? – W głosie Agnieszki wyczuwał utajone napięcie. Zadzwoił, bo musiał i od początku wiedział, że to nie będzie łatwa rozmowa.

– Niestety nie. Wiem jedynie, że miała długie włosy.

– Młoda?

– Raczej tak.

– Tak jak Karolina.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– Wiem, ale tropy prowadzą do tego Francuza. Tak przecież twierdzi ten komisarz. Sam mi powiedziałeś...

– Borkowski powtórzył mi tylko pewną pogłoskę i to sprzed pięciu lat. Policja jej nigdy nie zweryfikowała. Informator mógł się pomylić, ludzie w przypadkach osób zaginionych widzą ich wszędzie, najczęściej tam, gdzie tamci nigdy nie byli. Na tym balkonie mógł stać każdy: na przykład jakaś wielbicielka Jeana Paula z eleganckiego świata, którą woli ukrywać przed squatersami. Wolno mu.

Spojrzał w okno. Po przeciwległej stronie wewnętrznej studni domu widział kwaterę Inez. Na łóżku siedziała naga Dolores, wcierała krem w swoje szczerpłe ciało. Na pewno były razem.

– Marek, do szalu doprowadza mnie ta twoja żelazna logika. Potrafisz wszystko zakwestionować. Czasami jesteś jak cyborg. – Głos Agnieszki przywrócił go do rzeczywistości.

– Tak mnie wyszkolono.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– Aga, nie rezygnuję. Znasz mnie przecież – powiedział po chwili. – Tonuję tylko twoje oczekiwania. Wiesz, że zrobię, co trzeba.

– Wiem – spokorniała nagle. – Przepraszam, bardzo to wszystko przeżywam. Ty też mnie znasz. Jak sobie tam radzisz w tym squacie?

– Daję radę. Panuje tu kult wolnej miłości. Mam za sąsiadki dwie gorące Hiszpanki.

– Wracaj natychmiast.

– Nie ma mowy, robię postępy w hiszpańskim.

– Pamiętaj, że masz w domu specjalistkę od francuskiego.

– Pamiętam. Muszę kończyć. Obiecałem pomóc w rozwieszaniu bielizny na dachu. A wczoraj miałem dyżur sprzątacza i wymyłem wszystkie piętra i toalety.

– Masz jakieś zdjęcie z mopem? Puściłabym na fejsie.

– Zamorduję.

– Też cię uwielbiam.

Popołudnie spędził, wałęsając się po Kreuzbergu. Dzielnica bardzo się zmieniła od jego ostatniego pobytu. Widział kwartały zamieszkałe przez artystów,

pełne galerii sztuki, kolorowych murali i kosmopolitycznych knajpek z jedzeniem z całego świata. Ale nie brakowało też uliczek, jakby żywcem przeniesionych znad Bosforu, wypełnionych zapachem pieczonej baraniny, orientalnych przypraw i zawieszonymi w powietrzu kosymi spojrzzeniami młodych mężczyzn, podpierających mury i śledzących nieufnie każdy jego krok. Policja raczej rzadko tu zaglądała, nie widział żadnego radiowozu. A podczas krótkiego pobytu na Richard Wagner Platz widział ich przynajmniej kilka.

Zaszedł też na espresso do knajpki na Moritz Platz. Antonio powitał go jak starego znajomego.

– Hejka, bracie! Trafieś, gdzie trzeba?

– Tak, wielkie dzięki.

– Poznałeś już Jeana Paula?

– Od razu, pierwszego dnia.

– To przywilej, nie każdego tak wita. Pewnie dlatego, że jesteś z tego skansenu.

– Skansenu?

– No tak. Macie tu nie najlepszą opinię.

– Lubię swój kraj, choć nie należę do plemienia, które teraz rządzi.

– Spoko. Ja tylko tak... Tu każdy żyje po swojemu. Trzeba ci jeszcze czegoś?

– Poznałbym jakąś fajną dziewczynę. Najlepiej Polkę w kolorze blond, z długimi nogami. Bywają tu takie?

– To z kolei nie moje plemię. – Zaśmiał się Antonio. – Ale na mój ogląd, więcej tu fajnych Żydówek niż Polek. W Berlinie mieszkają tysiące Izraelczyków. Swoją drogą, jak to możliwe po tym, co Fryce zrobili Żydom w czasie wojny? Potrafisz to wyjaśnić?

– Nie.

W squacie wysłuchał kolejnego wykładu, tym razem o amerykańskim imperializmie kulturowym. Nigdzie nie widział Jeana Paula. Powrócił do swego pokoju i otworzył laptopa. Aplikacja zarejestrowała rozmowę na WhatsAppie. „Czekaj na mnie o 22. Nie zawieźdź mnie, tak jak poprzednim razem – Jean Paul”. „Będę gotowa. Będziesz zadowolony – Caro”. Smuga przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran. Osoba ukrywająca się pod imieniem Caro nie dodała do aplikacji zdjęcia. Zastępowała je nastrojowa grafika z napisem „I miss you”.

Wziął wieczorną dawkę leków i następną godzinę przeleżał, lewitując pomiędzy snem a jawą. O dwudziestej podniósł się z miejsca. Czuł trawiące go od wewnątrz napięcie. Miał świadomość, jak wiele zależy od tego, co wydarzy się tego wieczoru. Założył na siebie sneakersy, ciemny dres i bejsbolówkę New Yorkersów. Nie chciał wyglądać na bezdomnego, raczej na hipstera z modnej dzielnicy. Do małego plecaka zapakował latarkę i składany nóż. Uchylił okno. W pokoju Inez i Dolores paliła się lampka nocna. Przez falującą firankę widział dwa splecione ze sobą ciała.

Tym razem spuścił się na rękach i wylądował na mokrej trawie. Mżyło. Gdy dojechał na Richard Wagner Platz, przestało padać. Uważnie omijał kałuże. Jakaś beemka, nie zwalniając, wzbijał gejzer wody z jezdni, ochlapując nielicznych przechodniów. Doszedł do kamienicy okrytej siatką i schronił się po jej wschodniej stronie, ukrytej w cieniu. Rozejrzał się dookoła i wyciągnął z plecaka nóż. Jednym cięciem rozciął siatkę na tyle, aby móc się przez nią przecisnąć. Wyjął plaster i zakleił szparę od środka.

Od otoczenia odgradzała go teraz ażurowa przegroda. Widział przez nią kontury kamienic i migotliwe światła samochodów. Wdrapał się na drewnianą platformę na pierwszym piętrze i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Odczekał pół godziny, ruch na placu wyraźnie się zmniejszył. Przeszedł po platformie i zaczął się wspinać. Po kilku minutach znalazł się na ostatniej kondygnacji. Pod wąskim kątem miał teraz widok na okna mieszkania Jeana Paula. W jednym z nich jarzyło się blade światło. Ktoś na pewno był w środku. „Będę gotowa. Będziesz zadowolony”.

Miał teraz do wyboru dwie możliwości. Wspiąć się na dach po chybotałej rynnie albo dostać się tam w sposób bardziej ekwilibrystyczny, podciągając się po wystającym gzymsie. Wybrał to drugie rozwiązanie i po chwili wisiał na wyprężonych rękach, walcząc z siłami grawitacji i własną niemocą. Niedługo taka wspinaczka nie byłaby dla niego żadną przeszkodą. Podczas pracy w policji bez problemu zaliczał okresowe testy fizyczne. Najlepiej wychodził mu rzut trzykilonową piłką lekarską znad głowy i bieg na 1000 metrów, na którym wmiękali zwłaszcza chłopcy z kryminalnego. Ale to były dawne czasy, sprzed depresji. Teraz wisiał na gzymsie jak suchy szparag i nie mógł się podciągnąć, przeklinając w duchu swoją maliznę.

Powiodło mu się dopiero za trzecią próbą, wykorzystał jako podnózek pustą skrzynkę po narzędziach, pozostawioną przez robotników. Ciężko dysząc, wdrapał się wreszcie na dach i przykucnął skulony. W oddali słychać było mruczenie śpiącego miasta. Przez plac przejeżdżały już tylko pojedyncze samo-

chody. Spojrzał w dół. Balkon apartamentu Jeana Paula znajdował się bezpośrednio pod nim. Drzwi od balkonu były uchylone. Widział jaśniejszą strużkę światła dobiegającą z wnętrza mieszkania. Zaczął zsuwać się ostrożnie w dół, przywierając całym ciałem do elewacji. Centymetr po centymetrze opuszczał się w dół. Po chwili stanął na terakocie podłogi. Miał przed sobą raczej typowy taras: wiklinowy fotel, jakaś biała klatka na ptaki w arabskim stylu, zawieszony na ścianie klimatyzator.

Zajrzał przez szparę. Pokój pogrążony był w ciemności. Strumień światła przedostawał się z korytarza. Uchylił drzwi i wszedł do środka. Nerwy napięte miał jak postronki. Pokój był pusty, pod ścianami majaczyły prostokąty mebli. Z zaskoczeniem skonstatował, że było ich niewiele. Żadnego stołu, krzeseł, kredensów. Jedynie regał na książki i coś, co przypominało w ciemności wielkie kufry podróżne. Jeśli to był tajemny apartament burżuazji, to raczej skromnie, czy wręcz minimalistycznie wyposażony.

Przeszedł na korytarz. Biegł w obie strony, widział po parze drzwi po lewej i prawej ręce. Strużka światła przedostawała się spod uchylonych drzwi po lewej. Stanął przed nimi, nasłuchując, czy dobiegnie do niego jakiś dźwięk. Pchnął je lekko palcem i wstrzymał oddech.

Pod oknem, odwrócona do niego plecami, siedziała jakaś kobieta. Musiała być młoda, miała blond włosy upięte w kok. Ubrana była w narzutę w japońskie wzory, spływającą ku ziemi. Równie ciekawe było to, co znajdowało się przed nią. Widział duże biurko, jak rajzbret projektanta, zastawione dwoma profesjonalnymi monitorami, migającymi tajemnymi sekwencjami liczb i kolorów. Słyszał szum stojącej obok drukarki ze skanerem, wielkiej jak jego lodówka w warszawskim mieszkaniu. Obok, na blacie, leżało kilka zdjęć, formularzy i dokumentów, rozpoznał wśród nich okładki paszportów i formularzy z federalnymi pieczęciami w nagłówkach.

Prawie nie oddychał, a jednak kobieta wyczuła jego obecność. Odwróciła się wolno. Była młoda, ładna i biała. Ale to nie mogła być Karolina, w niczym jej nie przypominała. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W oczach kobiety nie widział strachu, raczej ciekawość. Wolnym ruchem, jakby ignorując jego obecność, dotknęła przycisku pod blatem.

– Nie wiem, czego chcesz, ale już stąd nie wyjdiesz – powiedziała chrapliwie.

– To pomyłka – odpowiedział, cofając się o krok.

– Nawet nie wiesz jak wielka.

Nie tego się spodziewał, jakby znalazł się nagle w innej rzeczywistości, wroгим matrixie, który go zwabił w absurdalną matnię.

Usłyszał szelest za plecami i wolno odwrócił głowę.

– Na kolana, psie. I nawet nie próbuj, bo nie zawaham się ani chwili. – Kurd celował do niego z glocka. Tym razem mówił płynną niemiecką.

– Radzę posłuchać Mahmuda. – W drzwiach pojawił się Jean Paul. – Służył niegdyś w PKK^{3*}. Podobno ucinął głowy tureckim wrogom. Tak mówią.

– Kiepsko dobierasz sobie przyjaciół.

– Mahmud to nie przyjaciel. Raczej zapora przed takimi jak ty. Kto cię przysłał? Nie wyglądasz mi na agenta z BfV^{4*}.

– Bo nim nie jestem. Zaszło nieporozumienie. Szukam pewnej kobiety, Polki, która zaginęła pięć lat temu. Ślady prowadziły do Berlina. Myślałem, że ją tu znajdę.

– A tymczasem znalazłeś to. – Jean Paul wskazał ręką pokój. – I mamy problem.

– Nie wydaje mi się. Pogadamy i zamkniemy sprawę. Tak jakby mnie tu w ogóle nie było.

– To nie takie proste. Nie jesteś głupi. Fakt, że tu dotarłeś, świadczy o tym najlepiej. Mahmud obszukaj go. I zabierz mu telefon.

– Falszujecie tu dokumenty? – zapytał Smuga.

– Mówiąc precyzyjniej, paszporty i wize wjazdowe do Unii Europejskiej. A wcześniej unijne paszporty covidowe. Niektórzy nasi towarzysze z krajów arabskich i Ameryki Południowej mają szlaban w Europie i znajdują się na czarnej liście. Musimy im pomóc.

– Francuski burzuj zdradza swoją klasę próżniaczą, produkując fałszywki?

– Ładnie to ująłeś.

– A squat na Oranienstrasse to tylko przykrywka? Podobnie jak ta legenda o bawidamku z Francji? Rozpuszczałeś celowo plotki o handlu żywym towarem, żeby odwrócić uwagę policji od swego rzeczywistego zajęcia?

– Popatrzcie, jaki domyślny. – Boucher się skrzywił. – Mógłbyś nam się przydać, gdyby nie to, że sam już znajdujesz się na czarnej liście. Mamy tu najlepszy sprzęt. – Wskazał ręką na blat. – I Caro. Pochodzi z Wenezueli, jest najdoskonalszym fałszerzem, jakiego znam.

– Nie jej szukałem. Chodzi mi o Karolinę, młodą Polkę, blondynkę. Podobno pięć lat temu widziano ją u twego boku.

– Kto tak twierdzi?

– Wpłynęło takie doniesienie do polskiej policji. Jakiś rodak widział ją w squacie u twego boku. Niestety nigdy nie zweryfikowano tej informacji.

– Owszem, była taka. Ale ani młoda, ani blondynka. I nie Karolina jakaś tam. Trzydziestoparoletnia ćpunka, która zabawiła u nas miesiąc, a potem zniknęła, zabierając trochę kasy swoim współlokatorkom. Ludzie zawsze wszystko przekrecają.

– Mam inne informacje.

– No to ktoś się pomylił, zdarza się. To duże miasto.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

– Bo nie zapytałeś. Poza tym – dlaczego ty przemilczałeś, kim naprawdę jesteś? Każdy ma swoje tajemnice.

– Spodziewaliście się mojej wizyty? – Smuga obejrzał się na Mahmuda, Kurd ciągle celował do niego z pistoletu.

– Nie do końca. Ale nie spodobałeś się wczoraj Mahmudowi, który zwyczajowo patroluje okolice domu w czasie gdy Caro pracuje. Opisał mi ciebie. To mogłeś być ty. Skryty, małomówny Polak, który pojawił się u nas na Oranienstrasse nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co. Zadawałeś za dużo pytań. Nie wyglądałeś na outsidera, raczej na przebierańca. No więc tak, spodziewaliśmy się twojej wizyty. No i bingo.

– Nic do was nie mam.

– To nie wystarczy. Za dużo widziałeś. Nie masz pojęcia, o jaką stawkę toczy się ta gra.

– I nie chcę wiedzieć.

– Za późno.

– Co chcesz zrobić? Zabić mnie? Morderstwo zawsze zostawia jakiś ślad, zawsze, wiem, co mówię. Zaszkodzisz wielkiej sprawie, o której tak wiele perorujesz.

– Przekażę cię Mahmudowi i jego kurdyjskim towarzyszą, oni już będą wiedzieli, co z tobą zrobić. Ja nie będę sobie brudził rąk. Znajdą cię naćpanego i bez dokumentów w jakiejś dziurze daleko od Kreuzbergu. Nigdy nie ustalą twojej tożsamości. Uznają cię za nielegalnego imigranta, pełno tu takich. Wiesz, ilu takich ginie co roku bez śladu, od kiedy Angela otworzyła granice? Bez liku, nikt nawet tego nie liczy.

– To nie takie proste.

– Czyżby? – Francuz zmrzął oczy.

– Nie doceniasz mnie. A to błąd. Nawet teraz nie zapytałeś, kim naprawdę jestem, ani w jaki sposób dotarłem do twojej dziupli tak łatwo. A to błąd do kwadratu, tak naprawdę niewybaczalny. Wiem o tobie więcej, niż myślisz.

– Blefujesz. – Jean Paul przestąpił z nogi na nogę.

– Zamontowałem aplikację szpiegowską w twoim telefonie. Znam się na tym, jestem prywatnym detektywem w Polsce. Nawet się nie zorientowałaś, zrobiłeś się nieostrożny, Jean Paul. Za długo ci się udawało. A może dlatego, że tutejsze tajne służby są tyle samo warte, co ta wasza pacyfistyczna Bundeswehra? Nie próbowali zrobić tego samego co ja, podsłuchiwać twoich rozmów? Choćby Pegasusem?

– Tu nie wolno używać Pegasusa bez zgody sądu.

– No weź, to całkiem jak u nas.

– Podsłuchiwałeś mnie? Niby kiedy to zrobiłeś?

– Podczas wykładu. Wszedłem do twojego pokoju i znalazłem twój telefon. Jezu, nawet nie masz kodu. Pycha kroczy przed upadkiem. W moim smartfonie mam zarejestrowane wszystkie twoje kontakty i wiadomości z ostatnich dni. Także te od pięknej i zdolnej Caro, z tutejszym adresem.

Boucher nie spuszczał z niego oczu. Skinął ręką na Kurda, a ten natychmiast sięgnął po telefon Smugi.

– Podaj kod – warknął.

– Sam to zrobię. – Smuga sięgnął po telefon i po chwili oddał go Mahmudowi.

– Mówi prawdę, skurwysyn – powiedział ten po chwili.

– Wiesz, co to oznacza. – Smuga czuł, że zyskuje przewagę. – Wszystkie te wrażliwe dane są już w chmurze, nie zdołasz ich wykasować. To moja legitymacja ubezpieczeniowa na wypadek, gdyby sprawy miały potoczyć się nie po mojej myśli. Ale to nam już nie grozi, prawda?

– Czego chcesz? – Boucher nadal zachowywał kamienną twarz.

– Tego co ty, świętego spokoju. Pozwolisz mi odejść, a ja zapomnę o tym, co tu widziałem. Wisi mi wasza rewolucja, interesuje mnie tylko odnalezienie dziewczyny. Obiecałem to komuś.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

– Obiecałem to komuś, na kim mi zależy.

– Nie ufam ci.

– I wzajemnie, ale co to ma do rzeczy?

– Jaką mam gwarancję, że nas nie zdradzisz? I nie wspiiesz glinom?

– Żadnej.

– To żadna propozycja.

– Innej nie będzie.

– I kiepski deal.

– Przeciwnie, jedyny możliwy. Pomyśl, co bym zyskał, idąc na policję? Same kłopoty: przesłuchania, zeznania, pytania. Straciłem tu w Berlinie mnóstwo cennego czasu, a mogę zmarnotrawić go jeszcze więcej. Po co mi to? A tymczasem poszukiwana przeze mnie dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Mam swoje zadanie, jestem zafokusowany tylko na nim. Mówiłem, wali mnie ta twoja rewolucja, nic mi do podrabianych wiz czy paszportów. Brzydzę się polityką. Nie mój cyrk, nie moje małpy. Poza tym nie lubię policji. Sam w niej kiedyś służyłem. I od tamtej pory nie przepadamy za sobą.

Zapadła cisza. Nagle w oknie pojawił się księżyc. Płonął zimnym blaskiem jak neonowe reklamy na Richard Wagner Platz.

Rozdział V

Wzgórze Trzech Szczytów

Warszawa, maj 2023

I.

Smuga wszedł do klubu i poczuł, jak niemal natychmiast podskoczyła mu adrenalina. Od powrotu z Berlina nie mógł odnaleźć równowagi. To miejsce też temu nie sprzyjało. Znał ten nocny świat: rozwirowane światła, biel koszul fosforyzująca w ciemności, opary suchego lodu unoszące się nad kolorowymi drinkami. Do tego zapach rozgrzanych ciał, rozlanego alkoholu i łatwej przyjemności. Wróciły wspomnienia, które były balastem.

Przepchnął się do baru i zamówił piwo. Minęła dopiero dwudziesta, a klub już wypełniony był po brzegi. Ładne dziewczyny, dziani, dużo starsi faceci w przyciasnych marynareczkach. Odszukał wzrokiem Agnieszkę. Przy drugim końcu kontuaru sączyła mojito, omijając go wzrokiem.

– Jakiego dobrego browara – powiedział do barmana.

– Innego nie podajemy.

– Dobrze wiedzieć. – Smuga upił łyka i pokiwał z ukontentowaniem głową. – Dobre, co to?

– Lokalny pils, browar Bytów. To nasza specjalność, podobnie jak te dziewczyny.

– Też z Bytowa?

– Niekoniecznie. – Barman obrzucił go szybkim spojrzeniem.

– Żart. – Smuga podniósł ku niemu kufel z piwem. – Śliczne. Prawie tak dobre jak te z „Kakadu”.

– Bywał tam pan?

– Zdarzało się. Gdzie mogę znaleźć szefa, pana Nejmana?

– Właśnie stoi za panem.

Smuga odwrócił się powoli. Mężczyzna był od niego dużo wyższy. Łysa głowa wyrastała mu prawie bezpośrednio z masywnego karku, tak jakby Stwórca zapomniał o takim drobiazgu jak szyja.

– Pan do mnie? – Mężczyzna wpatrywał się w niego świdrującym wzrokiem.

– Owszem.

– A kto pyta?

– Marek Smuga.

– Nie znam. Co gorsza, czas mi się kurczy. – Nejman spojrział w stronę sali, tak jakby stracił już zainteresowanie rozmówcą.

– Pracowałem dla Jakuba Korna w „Kakadu”. Wiem, że się znaliście.

– A, to pan. – Nejman omiół go spojrzeniem, jakby zobaczył go po raz pierwszy. – Dobrze się pan spisał, podobno to dzięki panu wykryto mordercę Kornów.

– Tak mówią.

– I co, szuka pan pracy? Z takimi kwalifikacjami chyba nie będzie z tym problemu?

– Nie, właśnie zażywałem odpoczynku, ale ktoś przerwał mi urlop.

– Co pan robił na urlopie?

– Podglądałem wilki.

– Wilki?

– No.

– I gites. Też bym, kurwa, tak chciał.

– Słusznie.

– No, ale do brzegu, Smuga. Czego pan chce?

– Szukam tego gościa. – Detektyw wyciągnął zdjęcie z kieszeni marynarki. – To Żelik, drobny diler, rozwozi prochy po klubach i swoich klientach. Ma charakterystyczny tatuaż na ręce, Matkę Boską. Trudno go pomylić z kimś innym.

– Matkę Boską czy Żelika?

– Żelika.

– Co ten Żelik przeszkrobał, że szukasz go po mieście? Nawalił z prochami? Były reklamacje?

– Nie interesuje mnie to.

– Więc co?

– Może coś wiedzieć o zaginięciu pewnej osoby. Próbuję ją odnaleźć. Prawdopodobnie był widziany w waszym klubie.

– Kto tak twierdzi?

– Mam swoje źródła. – Smuga wytrzymał przeciągłe spojrzenie Nejmana. Informacje przekazane mu przez Borkowskiego mogły być nieścisłe, ale nie miał nic lepszego w zanadru.

– W naszym klubie? Na Mazowieckiej jest ich siedem. Może komuś coś się pojechało?

– Może. Ale muszę wiedzieć na pewno.

– Aha. Znamy tego leszcza? – Nejman podał zdjęcie barmanowi, przysłuchującemu się rozmowie.

Ten przez dłuższą chwilę wpatrywał się w fotografię, po czym powiedział: – Może raz czy dwa go widziałem. Ale to nie stały klient. I na pewno u nas nie diluje.

Smuga kątem oka spojrzął na Agnieszkę. Nadal tkwiła nad mojito, ale przesunęła się kilka metrów w ich stronę. Siedziała teraz prawie naprzeciwko barmana. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały.

– Słyszałeś, kolego? – Nejman znowu rozejrzał się po sali. – Pomógłbym, ale nie mam jak. Szanowałem Korna. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi, czy jakoś tak. Ale jakbyśmy coś zauważyli, damy znać.

– Dzięki. Zostawię wizytówkę.

– No, strzel sobie jeszcze jedno piwko. Na mój koszt.

– Dzięki, ale muszę gnać na drugi koniec miasta.

– Twoja strata.

Smuga wyszedł na zewnątrz, starając się nie patrzeć w stronę Agnieszki. Nie czuł się najlepiej. Jednym ruchem rozsunął zamek błyskawiczny w kurtce. Sięgnął po tabletkę xanaxu i przełknął ją bez popijania. Uszedł kilka kroków. Zaczęło padać, krople deszczu miarowo bębniły w parapety kamienicy. Na nierównym trotuarze natychmiast tworzyły się oleiste kałuże.

Jakaś para opuściła klub zaraz za nim. Czterdziestolatek w czarnej opiętej koszulce i młoda dziewczyna w minispódniczce.

– To twoja bryka? – Doleciało go pytanie dziewczyny.

– Beemka siódemka. – W głosie mężczyzny słychać było samczą dumę.

– Przewieziesz mnie?

– Mogę cię nawet przelecieć, jeśli będziesz grzeczna.

– A mam być?

– Nie wiem, czy jesteś wystarczająco dobra.

– Może sam sprawdzisz?

Detektyw schował się w bramie. Deszcz się wzmaczał. Strumień wody spiętrzał się tuż przed kratką kanalizacyjną. Agnieszka wyrosła przed nim nagle, nie słyszał jej kroków. Była cała mokra, wciągnął ją do bramy.

– No i jak? – zapytał.

– Spoko.

– A możesz jaśniej?

– Zasłużyłam na premię, panie detektywie.

– Aga!

– No więc tak. Stałam przy barze blisko, tak jak pan kazał. Po twoim wyjściu, ten z grubym karkiem...

– Nejman.

– No więc ten Nejman powiedział do barmana: „Sprawdź, gdzie on teraz jest. I ostrzeż go”. Barman wziął komórkę i zadzwonił. Musiał mieć numer do tego Żelika w telefonie, prawda?

– Tak jakby. Co było dalej?

– Żelik musiał natychmiast odebrać. Krótko rozmawiali. A potem barman wyłączył komórkę i powiedział: „Jest teraz w Zero zero”.

Oboje mimowolnie spojrzeli w tę samą stronę na końcu ulicy. Zza ściany deszczu wyzierał neon z nazwą klubu. Pierwsza litera uległa awarii, ale z szarości wieczoru nadal przebijał połyskliwy napis ERO ZERO.

2.

Żelik wyszedł z klubu i zadarł głowę ku górze. Neon nadal był zepsuty. Podobno odmawiał posłuszeństwa zawsze wtedy, gdy zaczynało padać. Jebana technika! Wciągnął jedną kreskę na zapleczu z Jerryem, ale nie chciał przesadzać. Był w robocie, dzień jeszcze się nie skończył. Warszawę czekał jeszcze piątkowy wieczór: dzień eventów, spotkań towarzyskich, kolacji, podkreśnianych alkoholem, seksem i amfą. To miasto: amorficzne i wiecznie głodne przy-

jemności nigdy nie spało, umiejętnie skrywając swoją mroczną i grzeszną naturę za ścianami korporacyjnych biurowców i eleganckich willi.

Telefon od barmana z klubu był niepokojący, ale nie na tyle, żeby zawałił robotę. Podjechał na Woronicza i zaparkował w umówionym miejscu. Dwudziesta druga. Był o czasie, słynął z punktualności, mawiali o nim: „punktualny jak Żelik”. Gmach telewizji majaczył w sieniej poświacie smaganej deszczem. Sięgnął po komórkę i wysłał SMS-a:

– Jacuś, jestem.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. – Już skończyliśmy. Lecę, jesteś *the best!*

– Ever.

Odkręcił szybę w samochodzie, wciągając z lubością świeże powietrze. Lubił deszcz. Splukiwał z brudów to niebezpieczne i nieoczywiste miasto. Tylko on wiedział, jak bardzo jest ono żarłoczne i głodne nigdy nie kończącej się przyjemności, łaknące seksu, dragów i zabawy.

Jacuś wyłonił się nagle przy samochodzie. Trzymał nad głową czerwoną parasolkę z logiem swojego show, targaną wściekle przez wiatr. Miał zawilgocone okulary.

– Dzięki, że podjechałeś – powiedział i otwierając drzwi samochodu, ułożył się na siedzeniu obok.

– Zawsze do usług.

– Mam dzisiaj domówkę, wiesz. Musi być przyjemnie.

– Jesteś w tym mistrzem. Dalej gustujesz tylko w młodych, długonogich dupciach?

– W moim wieku takie smakują najbardziej.

– Jasne.

– Jak interesy? – Gwiazdor schował do kieszeni kurtki torebkę, przekazaną mu przez dilera.

– Kręci się. To miasto nigdy nie śpi.

– I niech tak zostanie.

– Bywaj, jestem twoim dłużnikiem.

– Dopóki płacisz, nie jesteś.

– Cynceron!

Żelik wyjechał z parkingu, rozglądając się uważnie, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Był ostrożny, dyskretny i zawsze dostarczał towar na czas. Tylko dzięki temu mógł utrzymywać się na powierzchni tak długo. I był w stanie przeżyć w tej wielkomięskiej dżungli.

Skierował się w stronę Wilanowa i drgnął. Jakiś samochód podążał za nim, już go widział wcześniej, przed wjazdem na Woronicza. Kurwa! Nie lubił takich przypadków, w ogóle nie wierzył w zbiegi okoliczności. Dla pewności odbił w prawo. Przejechał dwieście metrów i spojrzął w lusterko. Para świateł uparcie podążała za nim. Psy go śledzą? A może ten chujek, co pytał o niego w klubie? Tak szybko go namierzył, raczej niemożliwe... Chyba że to paparazzi? Poczul zimny pot na czole. Samochód był czysty, ale on sam już niekoniecznie. Na chuja była mu ta kreska w Zero zero. Jeśli to gównojady z jakiejś bulwarówki, to pogrzebią go na amen. Nie mówiąc już o Jacusiu. To byłaby afera na cały pisiland.

Postanowił oddalić się od centrum. W ciasnych uliczkach nie miał szans na zgubienie ogona. Skierował się w stronę Ursynowa, co chwilę zerkając w lusterko. Czarna kia podążała za nim w bezpiecznej odległości jak przyklejona. W tunelu podziemnym pod Płaskowicką zwolnił, próbując dostrzec swojego prześladowcę. Nic z tego, kia również wyraźnie zwolniła. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Kurwa! Tyle lat dobrze żarło bez przeszkód, a teraz najwyraźniej stanął komuś na drodze. Może to jednak gównojady z jakiegoś Plotka?

Podjął decyzję. Po wyjeździe z tunelu na Puławską, gwałtownie dodał gazu. Po chwili przyhamował i skręcił z impetem w prawo, ignorując czerwone światło. Poczul smród palonej gumy. Minął centrum handlowe po prawej ręce, kierując się w stronę ulicy Kazury. Przymglone światła neonów za oknem zwały się w jedno połyskliwe pasmo. Rzucił okiem w tylne lusterko. Miał teraz za sobą kilka samochodów, nie miał jednak pewności, czy udało mu się zgubić ogon.

Wjechał w wąską uliczkę osiedlową. Zaparkował w rzędzie tak samo wyglądających aut: szarych i anonimowych. Wyszedł na zewnątrz i schylony przebiegł trawnik, podążając ku rysującej się na tle nieba górze Trzech Szczytów. Znał to miejsce, czasami umawiał się tu z klientami z Ursynowa. Naciągnął na głowę kaptur. Biegł zakosami ku szczytowi, nie oglądając się za siebie. Rachityczne krzaczki porastały pobocze. Ciężko dyszał, pot sływał mu po plecach. Dotarł do szczytu i zatrzymał się tylko na chwilę, ocierając spocone czoło. Nie był tu sam. Jakiś starszy mężczyzna trzymał psa na wyprężonej smyczy. Skrzy-

zowali się wzrokiem. Mężczyzna zionął gorzałą. Miał nieprzyjazne, wrogie spojrzenie.

Smuga zatrzymał samochód przed wjazdem na uliczkę osiedlową. Widział z oddali, jak Żelik wpasowuje się w długi szereg samochodów, zaparkowanych przed blokiem. Swoją drogą, co za zrządzenie losu, że to właśnie tutaj... Musiał mieć to wypisane na twarzy, bo Agnieszka spojrzała na niego zaniepokojona.

– Stało się coś? – zapytała.

– Nie. Zostań w wozie.

Sięgnął do schowka i wyciągnął noktowizor. Przeszedł między blokami i czekał przez kilkanaście sekund. Tak jak się spodziewał, Żelik wyłonił się sto metrów przed nim na asfaltowym placu. Widział teraz jego schyloną postać w świetle latarni. Biegł zakosami, co chwila zakrywanymi przez parkujące auta i drzewa. Nagle uciekinier zniknął, jakby wessała go szarość wieczoru. Smuga ponownie spojrzał przez noktowizor i przez chwilę skanował przestrzeń za placikiem. Jest! Odetchnął z ulgą. W wizjerze ujrzął postać mężczyzny, elektryzującego pająka pnącego się ku górze. Obserwował go aż do samego szczytu. Tam pająk wyprostował się na chwilę. Obok pojawiła się postać kogoś innego: bardziej masywnego i dużo niższego. Jeśli Żelik pobiegnie teraz prosto, w brzozy zagajnik i zniknie w Lesie Kabackim, to będzie problem. Zgubi go na amen.

Smuga w napięciu wpatrywał się w wizjer. Z ulgą skonstatował, że uciekinier truchta w stronę zachodniego zbocza wzgórza. Mógł mieć tylko jeden cel: kościół Ofiarowania Pańskiego, którego wieża rysowała się na tle nieba. Gwałtownie zawrócił i pobiegł w stronę samochodu.

Żelik obejrzał się za siebie. Cisza, spokój. Nareszcie zgubił ogon. Jebać to my, a nie nas. Przebiegł grzbietem wzgórza kilkadziesiąt metrów i wykonał kolejny manewr. Wydeptaną ścieżką zaczął schodzić w dół, w stronę kościoła przy ul. Stryjeńskich. Stawiał stopy na zewnątrz, by nie stracić równowagi. Po chwili był już na dole. Zatrzymał się na dłuższą chwilę, próbując wyrównać oddech. Lepka koszula kleiła mu się do pleców. Serce biło jak oszalałe. Potrzebne mu były, kurwa, takie atrakcje.

Szybkim krokiem zaczął obchodzić ogrodzenie kościoła. Dojdzie do Stryjeńskich, po kilku minutach będzie już na stacji metra Natolin. Podjedzie przystanek na Kabaty i będzie już w domu. Zrzuci te przepocone łachy, weźmie kąpiel i walnie stakana zimnej wódki, a potem drugiego, kto potrzebującemu zabroni. Najlepiej Belvedere, wiedział, że ma butelkę w zamrażarce. A potem po-

stara się zapomnieć o tym pierdolonym, pechowym wieczorze. Po samochod wróci rano. Wtedy przemyśli całą tę sytuację raz jeszcze. Ogarnie wszystko po swojemu, na zimno. Dowie się, kto na niego poluje. Z tym ciekawskim gościem, pytającym o niego w barze, sam sobie poradzi i tak nie wiedział, o co kaman. Jeśli to psy – pojedzie na Hel i zniknie im z oczu na jakiś czas. A jeśli gównojady, to ustali nazwiska i poprosi o pomoc Nejmana. Niech spuszczą łomot tym pedałam. I wszystko wróci do normy, bo on, Żelik, nie lubił niespodzianek, zwłaszcza kiedy wszystko szło jak należy. Da radę. Ostatecznie skończył filozofię, miał więcej oleju w głowie niż ci celebryci z bożej łaski, którym dowoził działki. Żalotne zera, znani z tego, że są znani.

W świetle latarni dostrzegł koniec muru okalającego kościół. Dochodził do przejścia, dobiegł go szum przejeżdżających wolno samochodów.

Mężczyzna czekał na niego po drugiej stronie muru.

– Ile można czekać, Żelik? Coś wolno biegasz, trzeba poćwiczyć. – Jego głos brzmiał obojętnie.

– A ty kto? – Żelik stanął w miejscu jak zamurowany.

– Kojak.

– Jak mnie tu znalazłeś? – Żelik nie potrafił ukryć zdumienia.

– Znam to miasto lepiej niż ty, frajerze.

– Czego chcesz? – Żelik rozejrzał się dookoła. Ten gnój go zaskoczył, ale były także dobre strony tej sytuacji. Co mógł mu zrobić na oświetlonej ulicy, tuż pod kościołem zresztą?

– Na pewno nie prochów.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie skończyłem... Potrzebuję informacji o pewnym zdarzeniu sprzed pięciu lat.

– Mam kiepską pamięć.

– Po prochach to normalne, ale radziłbym wysilić swoje szare komórki.

– Bo co mi zrobisz? – Żelik odzyskał już rezon.

– Mógłbym zaciągnąć cię z powrotem na górkę i zrobić ci krzywdę. Wierz mi, nikt by ci nie pomógł, nawet tutaj na ulicy. To jest Miasto Odwracających Główn. Myślałem o złamaniu ci nogi żelaznym prętem, najlepiej w śródstopiu. Kość pęka wtedy na wiele kawałków, wiesz mi, kurewsko trudno złożyć je z powrotem do kupy. No, masakra po prostu. Sądzę jednak, że nie będzie takiej potrzeby, bo będziesz grzeczny i wyśpiewasz wszystko, co wiesz.

– Skąd pewność, że się zgodzę?

– Lata praktyki, frajerze. Jesteś Żelik, diler gwiazd. Twoim klientom zależy na dwóch rzeczach: dobrym towarze i dyskrecji. Płacą ci, bo trzymasz gębę na kłódkę. Na tym polega ten biznes – na wzajemnym zaufaniu. Jeśli raz zawiesz, opuszczą cię wszyscy i skończy się eldorado.

– Niezła gadka szmatka, ale nieprzekonująca.

– Jest jeszcze coś. Ludzie lubią obrazki, kupują prawdę oczami. Nagrałem na parkingu filmik, jak dostarczasz ziolo znanemu celebrycie. Jacuś się nie ucieszy. Oj, nie! Jego szefowie z telewizji też nie będą zachwyceni. Jak myślisz?

– Błefujesz. – Żelik poczuł, jak koszula znowu lepi mu się do karku.

– Prawda życia, prawda ekranu. Zresztą zobacz sam. Nawet ładnie wyszedłeś, od razu widać, że to ty. – Smuga wyciągnął komórkę i puścił film nagrany na parkingu.

– To żaden dowód. Mogłem mu przekazać cokolwiek.

– Naprawdę? Późnym wieczorem, na parkingu przed gmachem telewizji, w trakcie nagrywania popularnego programu? I po cóż to Jacuś wyleciał na dwór? Zamówił kuriera z pizzą? Ależ nie, odebrał mały pakunek od niejakiego Żelika, dilera gwiazd. To twój samochód, zobacz, sfilnowałem także numery rejestracyjne. Naprawdę myślisz, że ktoś będzie prowadził poważne śledztwo w tej sprawie? Nie wiesz, jak działają dzisiaj media? Liczy się tylko news, obrędrą ciebie i Jacusia ze skóry.

– Dobra, dogadajmy się. Czego chcesz, bo chcesz czegoś, prawda?

– No, naprawdę zaczynasz mówić jak człowiek po wyższych studiach.

– Dużo o mnie wiesz. – Żelik poluzował kołnierz koszuli.

– Jestem prywatnym detektywem, zdobywanie informacji to mój zawód. A kiedyś byłem psem i z tamtych czasów cię zapamiętałem. Chcę wyjaśnić pewną sprawę, nad którą pracuję. I ty mi w tym pomożesz. Słuchaj...

Dwadzieścia minut później było już po wszystkim. Agnieszka w skupieniu wpatrywała się w oświetlony plac za kościołem, Smuga kazał jej zostać w wozie. Wiatr wyginał gałęzie drzew, targając nimi wściekle na wszystkie strony. Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała wysoką postać, wylaniającą się zza muru. Na widok Smugi poczuła coś na kształt wzruszenia. Ich związek był jeszcze świeży, nieuładzony, nieoczywisty. Dopiero poznawała Marka. Była jego kochanką, powierniczką, czasami pielęgniarką. Ale teraz wchodziła w skórę jego

wspólniczki. Na dobre i na złe. W śledztwie, które mogło jej przynieść wyzwolenie i ukojenie – ale równie dobrze doprowadzić do piekła.

– Jesteś wreszcie. – Otworzyła mu drzwi.

– Gostek nie był zbyt rozmowny. Musiałem użyć perswazji.

– I co? – Wpatrywała się w Smugę z napięciem.

– To nie on. Błędny trop – odpowiedział lakonicznie.

– Co to znaczy?

– Żelik rzeczywiście był wtedy na dworcu, podrywał was, ale nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Karoliny.

– Dlaczego w takim razie do nas zagadał?

– To przypadek. Zauważył was, Karolina wpadła mu w oko. Podśledzał, że rozmawiacie o Helu. Rzeczywiście ma tam przyczepę, w której gości różne chętne panny. Postanowił spróbować. Tyle.

– Wierzysz mi? – Pokręciła sceptycznie głową.

– Przycisnąłem go do muru. Pokazałem nagrany filmik. Uszło z niego powietrze. Ten gość żyje z dilerki, nic innego nie potrafi. Widział, że nie żartuję. Pogrywanie ze mną mogłoby być dla niego bardzo kosztowne. Zrobiłaby się afera medialna. Straciłby klientów i to, na czym zależy mu najbardziej: kasę. Dlatego myślę, że nie kłamał. Musimy skreślić go z listy.

– Co teraz?

– Szukamy dalej. Ten biznes przypomina strzelectwo. Musisz oddać kilka strzałów poza tarczę, zanim trafisz w dziesiątkę.

– Zgrabna myśl, ale to tylko bon mot.

– Wiem, że jesteś rozczarowana. – Położył jej rękę na ramieniu. – Rozumiem to. Ale niczego nie mogę ci zagwarantować. Mamy ciągle szansę na ten strzał w dziesiątkę, ale żadnej pewności, że to kiedyś rzeczywiście nastąpi.

– Źle mnie zrozumiałeś. Jestem ci wdzięczna za to, co robisz. I to bardzo. Wiem, że masz... swoje problemy – zawahała się przez moment.

– Panuję nad tym. – Sam się zdziwił, że ten frazes tak gładko przeszedł mu przez gardło.

– Wiem... Ja po prostu umieram ze strachu. Chcę poznać prawdę i jednocześnie bardzo się jej boję. To moja siostra. Chcę ją odnaleźć, jestem winna to nie tylko jej, ale także sobie. Nie byłam idealną siostrą, bywałam dla niej nieczuła, obca, egoistyczna, czasami wredna i małostkowa. Nie potrafię już tego zmienić, ale mogę teraz zmasać tę winę. Rozumiesz to?

– Staram się.

– Dręczę mnie różne myśli, z którymi nie potrafię się uporać. Co się z nią stało? Co teraz przeżywa? Gdzie jest, w jakim położeniu? Czy zrobili jej krzywdę? Czy zmuszają ją do rzeczy, o których nawet boję się pomyśleć? Przez te lata przyzwyczailiśmy się wszyscy, że ta sprawa to tajemnica. Jest jak jest, lepiej do niej nie wracać, bo zakłóci ten pozorny spokój, tę bańkę pozorów, w jakiej pozostaje moja rodzina. Moi rodzice się zmienili, oddalili od siebie. Mówiłam ci... Są jak dwie wyspy, dryfujące w bezpiecznej odległości od siebie. Ich relacje zawsze były skomplikowane, ojczym miał swoje wady. Ale teraz to karykatura małżeństwa. Zniknięcie Karoli zmieniło wszystko, także nas samych.

Słuchał jej w skupieniu, nie przerywając.

– Zrobię wszystko, co będzie możliwe – powiedział wreszcie. – Ale musisz przyzwyczaić się do myśli, że może nam się nie udać.

Zauważyła, że po raz kolejny użył liczby mnogiej. Teraz to była ich sprawa, a nie jego śledztwo. To już coś.

– To dla mnie trudne, ale spróbuję.

– Działamy dalej.

– Co teraz?

– Na celowniku mam teraz króla Pragi.

– Kto to?

– Ktoś, kto dużo wie i jeszcze więcej może.

3.

W nocy powrócił do Natolina. Do tego dnia, kiedy stracił żonę i córkę – wszystko, co kochał. Do miejsca bólu i cierpienia, które bezskutecznie próbował usunąć z pamięci. W tym śnie ciągle dzwoniła jego komórka, której nie odbierał. Nie mógł, przecież był w pracy. A praca, wiadomo, kurwa, zawsze była dla niego najważniejsza.

Unosił się nad okolicą niczym liść niesiony przez wiatr. Miał dziwne wrażenie, że śnił już ten sen wielokrotnie, że powracał on do niego jak niechciany bumerang, który zawsze trafiał go w najczulsze miejsce. Widział kościół i wzgórze Trzech Szczytów, na którym ścigał Żelika. Teraz lewitował nad

skrzyżowaniem dwóch ulic, ściągany w tamtą stronę przemożnym impulsem, nad którym nie miał żadnej władzy. Już z daleka widział, że coś tam się stało. Grupka ludzi stała na rogu, wszyscy krzyczeli, ale on ich nie słyszał. Widział tylko ich szeroko otwarte usta jak ciemne kleksy z obrazu Muncha. Nad asfaltem wił się warkocz szarego dymu. Spowijał rumowisko poskręcanych, zmiażdżonych blach o połyskliwych, ostrych krawędziach. Tylko tyle zostało z czyjegoś auta. Wszędzie unosił się smród śmierci i zniszczenia: odór palonej blachy, benzyny, zetlałego plastiku. Nad zmiażdżonym kadłubem samochodu pochylali się dwaj strażacy w niezgrabnych uniformach. Nożycami do rozcinania metalu próbowali otworzyć zakleszczone drzwi auta. Obok stała karetka z włączonym kogutem. Jakiś sanitariusz biegł do niej, by po chwili powrócić, ciągnąc ciężką torbę po asfalcie. Ciężko sapał, mrucał wzburzony coś pod nosem. W dali gdzieś na chodniku rozciągał się rzadki sznur gapiów. Byli nieruchomi i płacy, jak figurki wycięte z kartonu.

Obniżył lot, bo dostrzegł nagle strzaskaną do połowy tablicę rejestracyjną. Toyota Avensis. Przecież znał ten wóz, tę sekwencję liter i cyfr na tablicy. I wtedy wszystko zrozumiał. Znał przyczynę i przebieg tego, co się stało. Wiedział, co będzie potem. Tak jakby po raz kolejny musiał w ramach pokuty powrócić nad to rumowisko i zobaczyć to, co bezpowrotnie utracił.

Chciało mu się wyć, ale nie mógł odwrócić wzroku. Strażak zniknął z kadru i wtedy on ujrzał to, co zostało z buzi Marysi. I ten krwawy zygzak jak kokarda przyklejony do zmiażdżonego czoła. Obok leżała Zuzanna. Jej głowa spoczywała na kierownicy. Prawa ręka zwisała bezwładnie, jakby nie należała do niej. Widział pierścionek z bursztynowym oczkiem, który podarował żonie na ósmą rocznicę ślubu. Cała tapicerka pokryta była krwistą mazią, dziwną galareta, która emanowała zimnym blaskiem. Zawrócił gwałtownie i uniósł się ku górze. Chciał płakać, ale nie miał już łez.

4.

Smuga otulił się szlafrokiem z wyhaftowaną nazwą Hotel Intercontinental na piersiach i wszedł na basen. Widok rzeczywiście był niesamowity. Wielka przeszklona ściana odsłaniała widok na miasto. Kamienne kaniony kamienic i biurowców ciągnęły się w głąb, aż po horyzont, ginąc stopniowo w sonej poświacie.

Leski już tam był. Widział jego głowę w białym czepku i mocarne ramiona, pokonujące kolejne metry. Dobrze pływał, miarowo pokonując odległość od brzegu do brzegu basenu.

Smuga zrzucił szlafrok i wskoczył do wody. Jak można się było spodziewać, woda była podgrzewana, widział bąbelki, wydobywające się z filtrów. Dopłynął do pływaka i zatrzymał się w miejscu. Podpłynęli obaj do brzegu. Byli na basenie sami.

– Lubię tu przychodzić, zwłaszcza rano – powiedział tamten. – Jest luz i widok nieziemski. Wiesz, że na Złotej 44 Żydki wykupiły wszystkie apartamenty? Tam, żeby popływać musisz być właścicielem apartamentu. Dbają, żeby woda była koszerna, czy co? Tutaj jest demokracja, każdy może się popluskać.

– Nie wiedziałem.

– No to teraz już wiesz. Chyba kumasz, że nie muszę z tobą gadać?

– Leski rzucił mu kose spojrzenie. Miał twarz pooraną głębokim bruzdami. Jak na byłego taryfiarza, ćpuna i alkoholika z zespołem maniakałnym, był w niezłej formie.

– Teraz się dowiedziałem – odpowiedział.

– Zgodziłem się na to spotkanie z czystej ciekawości.

– Już to niedawno słyszałem.

– Czego może ode mnie chcieć były pan komisarz, upadła gwiazda dochodzeniówki? Facet, który stracił wszystko: odznakę, żonę i dziecko, bo ganiał za innymi, a nie potrafił przypilnować swojego?

– Nie jestem już komisarzem.

– Na szczęście.

– Ale pewne rzeczy jeszcze potrafię.

– Na przykład jakie? – Zainteresował się Leski, unosząc teatralnie brwi do góry.

– Potrafię ujaić gościa, który wyrósł ponad miarę. Zaczynał od przemytu papierosów i haraczy, a skończył jako biznesmen w jedwabnym garniturze, trzęsący połową Pragi. Nie byłbyś zresztą pierwszy na mojej liście, mam kilku takich gostków na rozkładzie. Ty też wyglądasz na takiego, co wyżej sra, niż głowę ma.

– To ma być groźba? – Leski roześmiał się głośno. – Czasy się zmieniły, Smuga, tylko ty tego nie zauważyłeś. Niegdyś podział był klarowny: państwo ścigało bandytów, a ci chowali się w mysich dziurach. Teraz kradną wszyscy

i nic nikogo nie dziwi. A najbardziej grabią ci na górze. Jak myślisz, kto jest bogatszy: ja czy żona premiera? Jestem spokojnym biznesmenem i płacę podatki.

– Jedno się nie zmieniło, Leski. Interesy lubią ciszę. Ci, którzy są nad tobą, też ją lubią. Gadałem z pewnym emerytowanym policjantem, który kiedyś deptał ci po piętach. Przekazał mi kilka ciekawych papierów, takich, co parzą w dłonie... I znam pewnego dziennikarza z dużej bulwarówki. Od pewnego czasu suszy mi głowę: szuka tematu na pierwszą stronę. Wiesz, zbliżają się wybory, miasto chce się wykazać, że walczy z przestępczością. A tak się składa, że ratusz zblatował się z właścicielami tej bulwarówki.

Leski nie spuszczał z niego oczu.

– O czym ja tu... Aha, no i ten koleżka dziennikarz męczy mnie okrutnie, wie, kim byłem. Ty, Marek, nawija, znasz przecież tych bandziorów. Podaj mi jakiegoś mafiosa na tacy. Zgrillujemy go, ujawnimy nieczne interesy i przekręty. I wszyscy będą happy, ratusz, redakcja, Polki i Polacy. A i tobie coś skapnie z mojego honorarium. I wiesz co, pomyślałem, że znam takiego frajera. Takiego, który kosi kasę na Pradze, handluje kurewkami, prowadzi dwie firmy taksówkarskie i jakby tego było mało, diluje prochami na wielką skalę. No, człowiek renesansu po prostu.

– Zgrabna gadka, ale jakoś mnie nie rusza.

– Naprawdę? A mnie się wydaje, że słuchasz mnie uważnie. Chcesz znaleźć się na pierwszych stronach? Mogę ci też załatwić występ w Uwaga TVN. Mam już nawet tytuł. „Dzieci z Dworca Wschodniego”. Bo wiesz, tam podobno o każdej porze dnia i nocy można kupić działkę od taksówkarzy niejakiego Leskiego. No, skandal po prostu.

– Zapytam hipotetycznie, nie żebym te twoje gadki brał poważnie, ze zwyczajnej ciekawości...

– Wal.

– Ile chcesz?

– Nie biorę. Jednak oczekuję informacji o pewnym zdarzeniu, do którego pięć lat temu doszło na twoim terenie, na Dworcu Wschodnim. Ktoś zaginął i się nie odnalazł. To młoda, ładna dziewczyna, prawie rodzina. Dowiedz się, kto maczał w tym palce. Może ktoś coś słyszał albo widział, ale uznał, że to nieważne i zapomniał. W szatni zostawię ci kopertę: masz tam wszystko co trzeba.

– Nie obiecuję. Ale gdyby nawet. Jaką mam gwarancję, że będziesz trzymał gębę na kłódkę?

– Żadnej. I jeszcze coś, podejdź bliżej.

– Po co?

– Nawet ściany mają uszy.

Leski zbliżył się, Smuga czuł jego oddech. Wyczekał chwilę i jednym ruchem zdarł mężczyźnie czepek z głowy. Schwycił go za włosy i gwałtownie wciągnął mu głowę pod wodę. Ten ruch zaskoczył Leskiego. Przez chwilę prychnął i próbował się uwolnić, mlóćąc wodę rękoma i próbując wyrwać się z żelaznego uścisku. Smuga nie zwolnił uchwytu. Wyczekał jeszcze trzydzieści sekund, unikając kopnięć słabnącego przeciwnika i wyciągnął mu głowę z wody. Leski ciężko dyszał z otwartymi ustami. Miał przekrwione oczy i wielkie nozdrza jak chrapy, łapiące powietrze.

– Jeśli jeszcze raz wspomnisz o mojej rodzinie, zabiję. Wiesz, że to potrafię. Dotarło?

Odpowiedziało mu skwapliwe kiwnięcie głowy.

– Znasz mój numer. Czekam trzy dni. Trzy, ani jednego dłużej.

5.

Smuga liczył tłuste oczka w zupie. Nie lubił rosółu, ale nie miał wyboru. Sam się wprosił na ten obiad.

– Porozmawiajmy z twoimi starymi o tamtej sprawie – naciskał na Agnieszkę kilka dni wcześniej. – Oni byli bliżej Karoliny. Może coś zauważyli, jakiś gest, zdarzenie, jej słowo. Coś nietypowego, co wymykało się codziennym schematom, czy jej typowym zachowaniem. Ostatecznie mieszkali pod jednym dachem, byli z nią na co dzień w różnych sytuacjach.

– Nie sądzę, Karola była zamknięta w sobie. – Agnieszka nie skrywała sceptycyzmu. – Bardzo strzegła swoich tajemnic, nawet przede mną, a co dopiero przed starymi, zwłaszcza ojczymem.

– Nigdy nie nazywasz go tatą.

– Bo nim nie był, mówiłam już – obruszyła się.

– Dobrze, ale musisz mi zaufać, taka rozmowa jest potrzebna. Brakuje mi faktów, domysłów, czegokolwiek.

– Jeśli tak uważasz... – Ustąpiła niechętnie.

– Tak właśnie uważam.

- Dobrze więc.
- Poza tym poznam twoich starych.
- A po ci to? Zamierzasz się oświadczyć?
- Niestety, już to obiecałem wcześniej innej pannie.
- Dziaders!
- Jestem tylko kilka lat starszy od ciebie.
- Przedwczesny dziaders. Tacy są najgorśli!

No więc siedział teraz w tym małym, klaustrofobicznym mieszkanku na Bielanych i rozglądał się po staromodnie urządzonej salonie. Wiekowy regał na całą ścianę z kryształowymi kieliszkami za szybą, kanapa z wyświechtanym obiciem, dwa obrazy święte z sercem Jezusowym, oprawione w złoczone ramy, ręcznie wydziergana koronkowa serweta na wielkim swarzędzkim stole, pamiętającym zapewne Gierka. Wszystko tu było typowe i bez charakteru: meble, zasłony i zakurzone żyrandole.

Tylko ludzie byli zagadką. Matka, ze śladami przemijającej urody, wyglądała starszej niż na zdjęciach. Przedwcześnie zmęczona życiem, z nieobecnym uśmiechem, płatającym się po twarzy, jakby nie był pewny czy odlecieć w przestrzeń, czy zakotwiczyć na stałe na tej twarzy. Miła, obdarzająca gościa chwilową uwagą, bo tak przecież trzeba, a później lewitującą gdzieś w innym świecie, oddalona na bezpieczny dystans i nieobecna. Ubrana była w kretonową sukienkę, którą ciągle gładziła rękoma, szukając nieistniejących fałdów i zagnieceń.

I on, Roman, w nieśmiertelnym uniformie emerytów: wędkarskim bezrękawniku z dziesiątkami kieszeni, których przeznaczenie zawsze intrygowało Smugę. Co ich właściciele w nich przechowywali? Papierosy, których nie można było palić, scyzoryk armii szwajcarskiej, otwieracz do piwa, zapasowe guziki, taśmę izolacyjną na wszelki wypadek? A może arsenał wędkarza: haczyki, woblerki i żyłki, które zawsze powinny być pod ręką na wypadek gdyby... Do tego poliestrowa koszula zapięta pod samą szyję i bezkształtne sandały.

Rozmowa się nie kleiła.

– Chciałbym porozmawiać o Karolinie – zagaił Smuga na wstępie.

– Nie teraz. Nie przy obiedzie. – Roman spojrział na niego z wyrzutem, tak jakby Smuga przekroczył jakąś cienką czerwoną linię, zakreśloną przy tym stole w sposób niewidoczny dla gościa. Tych tabu i niedopowiedzeń było tu zdecydowanie więcej. Widział to po zwieszanej głowie Agi i pasywnej posta-

wie matki, po krótkich słowach Romana, brzmiących jak komendy. To był jego dom w starym stylu, zgorzkniałego patriarchy rodu, naznaczonego uwielbieniem dla tego, co było i niechęcią do tego, co teraz. Dom, w którym niedzielny obiad celebrowano jak komunię świętą, w świecie, który już odarto ze świętości.

– Jak pan ocenia obecną sytuację? – Stary podniósł łyżkę do ust, po brodzie spływała mu kropla tłuszczu.

– Jaką sytuację?

– No, w polityce.

– Nie interesuję się polityką – odpowiedział Smuga.

– A czym się pan interesuje?

– Państwa córką. Teraz to już właściwie dwiema – poprawił się.

– Aha.

Przez chwilę w pokoju zapanowała cisza, przerywana tylko siorbaniem Romana.

– To wszystko idzie w złą stronę. Unia się wykołei, Bruksela prowadzi nas na manowce.

– Myśli pan? – Spojrzał na Agnieszkę, ale ta uciekła wzrokiem.

– A co pan sądzi o tych imigrantach? Bo chyba ma pan jakieś zdanie, każdy ma...

– Nie popieram nielegalnej imigracji – odpowiedział ostrożnie Smuga.

– No, to już coś. Wpuścili do Europy tych pastuchów, w takiej Szwecji nie da się już mieszkać. Jak można było do tego dopuścić? – Roman złożył serwetkę w czworokąt i wytarł usta. – PIS dobrze robi, budując mur na granicy. Nie chcemy tu tych Arabusów. Nawet platformersi, jak nie ma w pobliżu mikrofonu czy kamer, po cichu to przyznają. Ale tylko w domu, przy swoich. Taka hipokryzja jest... A wie pan, dlaczego ci z Zachodu tak często teraz do Polski przyjeżdżają? Nie do tego ich Saint-Tropez, ale do Sopotu właśnie? Nie tylko dlatego, że u nas piwo tanie. Przede wszystkim z tego powodu – zawiesił głos – że czują się w Polsce jak w swoim kraju, ale dwadzieścia czy trzydzieści lat temu. Na plaży sami biali ludzie leżą. Bezpiecznie, żadnych asfaltów na horyzoncie. Słyszał pan o tych gwałtach na białych kobietach w Rimini czy teraz na Majorce? A sprawy: sami śniadzi, co za niespodzianka, prawda? Oglądam telewizję, śledzę informacje, głupi nie jestem.

– Roman... – westchnęła cicho matka.

– Prawdę mówię. Ta nawala zaleje Europę, jak kiedyś ci barbarzyńcy, co zniszczyli Rzym.

– Tato, generalizujesz. Przestępcy są w każdej grupie i społeczności, ci ludzie, przynajmniej większość z nich, uciekają przed wojną, korupcją i przemocą w swoich krajach – usiłowała mu przerwać Agnieszka.

– Tak? To dlaczego nie walczą o te swoje kraje tam, u siebie? I dlaczego granice szturmują głównie tabuny młodych mężczyzn w modnych adidasach i z iPhoneami w ręku?

– Nie tylko...

– Młoda jesteś, gównu wiesz – przerwał jej bezceremonialnie. – Ale u nas też tak pięknie nie jest. Ludziom się dzisiaj we łbach poprzewracało. – Stary nawet nie spojrzął na córkę. – Za łatwo mają. Tylko kasa, kasa, kasa. Żadnego poczucia obowiązku. Człowiek wyjdzie na ulicę wieczorem i nie wie, czy do domu cały wróci. Czy mu za sto złotych łba nie urzną. Narkomania, alkoholizm, krewstwo. – Skrzywił się, jakby napił się octu. – Oto, do czego doprowadziła ta cała Unia. Wie pan, na komunę można pluć. Ale przynajmniej bezpiecznie było. Wszyscy biedni – ale i równi. Wypuszczało się dzieciaki na podwórko, na trzepak, i nikt się nimi przez cały dzień nie przejmował. A teraz? Wszystko spsiało. Nawet śniegu nie ma prawdziwego.

Smuga przymknął oczy. Miał ochotę wstać, zostawić ten tłusty rosół, śmierdzący kurą i tego starego zaprzańca z gębą pełną komunalów, ale nie po to tu przyjechał. Więc słuchał przez kolejne pół godziny wykładu o gejach, fałszywych Ukraińcach, którzy powinni przeprosić za Wołyń, zanim wyciągną łapy po więcej, o selekcji negatywnej wśród nauczycieli i dziadku rudego z Wehrmachtu. To był teatr jednego aktora, stand-upera w emeryckim bezrękawniku, szukającego bezkrytycznej publiczności. Spojrzął na matkę Agnieszki, prawie nie podnosiła wzroku znad stołu. Miał wrażenie, że przebywa gdzieś daleko od tego miejsca. Agnieszka trwała z zaciśniętymi zębami, mechanicznie dłubiąc widelcem w talerzu.

Przy deserze nie było lepiej. Między szarlotką a kompotem musiał wysłuchać kolejnego wykładu o dziadku Bidenie, potykającym się o własne nogi i ociepleniu klimatu, którego tak naprawdę nie ma, bo przecież „ciągle u nas pizdzi”. Wreszcie Smuga postanowił przerwać ten słowotok.

– Proszę opowiedzieć o ostatnich dniach Karoliny w domu przed zniknięciem. Czy coś państwa zastanowiło w jej zachowaniu? Może zdarzyło się coś nietypowego? – zapytał, wykorzystując, że Roman znowu zaczął siorbać zupę.

– Po co do tego wracać? – Stary odłożył łyżkę i oparł szklanekę z kompotem o brzuch.

– Po co? Mówiłam ci przecież o tym mailu i zdjęciu – wtrąciła się Agnieszka. Smuga widział, że była na granicy wytrzymałości.

– Ktoś się bawi naszym kosztem. To nie wróci życia Karolinie.

– Roman... – usiłowała mu przerwać żona.

– Niech pan to zostawi. Będą z tego tylko kłopoty. Ta rana już się zabiłiżniła, po co ją rozdrapywać? Karolina nie żyje. Tak twierdzi policja, prokuratura, wszyscy. Cóż, zdarza się. Koniec, kropka, finito. Widocznie Bóg tak chciał, niezbadane są wyroki jego. Gdyby było inaczej, to siedziałaby tu teraz z nami.

– Nie mamy pewności... – Nie ustępowała Agnieszka.

– A ty jesteś pewna, że jest inaczej? – Roman podniósł głos o jeden ton. – Niby skąd to wiesz? Zapomniałaś już, ile nas kosztowało wyjście z tej traumy? Chcesz, żeby matka znowu trafiła do psychiatrii?

To był ostateczny argument, ten cios poniżej pasa, który kończy każdą walkę, także tę niewypowiedzianą. Smuga spojrział na Agnieszkę. Zagryzała wargi do krwi. Miała lzy w oczach. Koniec, kropka, finito.

6.

Telefon zadzwonił tuż przed północą. Smuga oderwał się od laptopa. Wiatr poruszał zasłonami w oknie.

– Tu Leski.

– Czas się kończy.

– Takie sprawy muszą potrwać.

– Do brzegu, Leski. Zamieniam się w słuch.

Sięgnął po notes i z uwagą notował przekazywane mu informacje.

– To pewne? – przerwał tylko raz swemu rozmówcy.

– Pewne to jest tylko to, że wszyscy pójdziemy kiedyś do piachu. Ale kazałem wszystko dokładnie sprawdzić. Jest tak, jak mówię. Nie mamy z tym nic wspólnego.

– Niewiele tego.

– Więcej nie będzie. Ja się wywiązałem z mojej części dealu. Rozumiem, że powstrzymasz tego gównojada z bulwarówki?

– Spróbuję.

– Nie jestem już tym człowiekiem, co kiedyś, Smuga. Prowadzę dzisiaj legalny interes. Mój syn ma w tym roku komunię. Nie chciałbym, żebyś mi zepsuł uroczystość rodzinną.

– Nie wiedziałem, że ty wierzący jesteś.

– Każdy w coś wierzy.

– A ty niby w co wierzysz?

– Tak mi się powiedziało.

– Tak myślałem.

Wyłączył komórkę i przeszedł do sypialni. Agnieszka siedziała w kucki na łóżku, zatopiona w lekturze jakiejś książki. Rzucił okiem na okładkę. „Dolina”, Bernard Minier, też lubił tego autora, tyle że ona czytała go w oryginale.

– Czytałem – powiedział.

– Dobra? – Podniosła na niego oczy. Zauważył, że bardzo zmizerniała w ostatnich dniach.

– Mnie się podobała. Facet wie, jak budować klimat.

– Czytam z nadzieją, że później łatwiej zasnę – powiedziała. – Ostatnio budzi mnie każdy szelest. Stało się coś?

– Tak, dzwonił Leski. Przeprowadził wewnętrzne dochodzenie we własnej firmie, jeśli można tak powiedzieć.

– I co?

– Mówi, że jego ludzie nie mają nic wspólnego ze zniknięciem Karoliny. Nie było też w tym względzie żadnej samowolki, to znaczy działań bez jego wiedzy. Zresztą, jak twierdzi, już od lat nie bawią się w handel żywym towarem. Od pewnego czasu inwestuje w biznes restauracyjny i gastronomię na Pradze. Legalnie, oczywiście.

– Wierzysz mu? – Okryła się szczelniej prześcieradłem.

– Nie kupiłbym od niego używanego samochodu, jeśli o to chodzi. Ale gość za dużo ryzykuje, by kłamać. Wie, że mi zależy. I że jestem zdeterminowany. Odpowiedź brzmi więc – tak. Mam do niego ograniczone zaufanie, ale nie sądzę, by miał coś wspólnego z zaginięciem twojej siostry.

– Podobnie jak Żelik.

– Podobnie – zgodził się.

– To znaczy, że znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Przeciwnie. – Usiadł obok niej na łóżku i wziął ją za rękę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Odsunęła się gwałtownie.

– Wszystko ci zaraz powiem, ale zachowaj spokój, proszę. To tylko nowy ślad, obiecujący, ale jeszcze niezwyfikowany.

– Mów, błagam... – Jej oczy płonęły nienaturalnym blaskiem.

– Okej. Leski rozesłał zdjęcie Karoliny swoim ludziom, także taksówkarzom pracującym pod dworcem. Jeden z nich ją rozpoznał.

– Widział Karolinę? Boże...

– Tak, twierdzi, że zabrał kogoś bardzo podobnego do niej spod dworca mniej więcej w czasie, kiedy doszło do zaginięcia Karoliny.

– Mniej więcej? – Agnieszka nie spuszczała z niego oczu, prawie nie oddychała.

– No tak, pamiętaj, że mówimy o zdarzeniu sprzed kilku lat. Pamięć ludzka jest zawodna, ludziom wylatują z głowy rzeczy i zdarzenia, które miały miejsce przed miesiącem, a co dopiero po tak długim okresie. Tę dziewczynę zapamiętał jednak z uwagi na jej urodę. I wielką walizę, którą ze sobą taszczyła. Miała na sobie czerwoną bejsbolówkę.

– Dlaczego nie ujawnił tego wszystkiego policji? I dlaczego milczał przez tyle lat?

– Dobre pytanie. Też o to zapytałem Leskiego. To Ukrainiec, nie znał zbyt dobrze języka, nie oglądał telewizji. Poza tym na pewno nie chciał jakichkolwiek kłopotów z policją. Prawdopodobnie nie miał jeszcze uregulowanego statusu pobytu w Polsce. Tacy ludzie ze zrozumiałych względów unikają jakichkolwiek kontaktów z mundurowymi.

– Dokąd ją zawiózł?

– Na lotnisko Okęcie.

– Krajowe?

– Nie, na terminal międzynarodowy – powiedział Smuga, wolno cedząc słowa i obserwując, jak tężeje jej twarz.

– Boże...

– Jest jeszcze coś. Kierowca słyszał, jak ta dziewczyna rozmawiała z kimś przez komórkę, siedząc w taksówce. Nie zrozumiał wszystkiego, z jednym wyjątkiem: celu podróży.

- No i?
- Leciła do Afryki, przez Berlin.
- Przecież to niemożliwe. - Potrząsnęła oszołomiona głową.
- Dokładnie na Pembę¹, via Zanzibar.
- Gdzie?
- Na Pembę. To wyspa w Tanzanii.
- Co to oznacza?
- Zmiany. Czeka mnie daleka podróż.
- Teraz?
- Nie inaczej.

Rozdział VI

Dom węża

Zanzibar, Pemba, początek czerwca 2023

1.

Warkot silników Boeinga 757 działał usypiająco. Byli w powietrzu już od siedmiu godzin. Smuga chciał rozprostować zeszytywniałe nogi, ale bał się, że obudzi Agnieszkę. W milczeniu spoglądał na przytuloną do niego kobietę. Pewno było jedno: wyruszali w nieznaną.

Czy zabranie Agnieszki ze sobą w tę ryzykowną podróż nie okaże się fatalnym błędem? Bardzo nalegała, ale mógł przecież odmówić i postawić na swoim. Do tej pory sam prowadził swoje dochodzenia. Ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął, było narażanie na niebezpieczeństwo bliskiej mu osoby. Jak bliskiej? Sam zadawał sobie to pytanie. Po śmierci żony i córki na wiele miesięcy pograżył się w czarnej studni, z której nie widział wyjścia. Miał świadomość, że nikt nigdy nie wypełni tej straszliwej pustki i nie zrekompensuje mu poniesionej straty. W takich kwestiach nie ma ersatzów. Śmierć bierze w jasyr raz na zawsze, jest nieczuła na prośby i błagania, nie wchodzi w żadne negocjacje. Jest ostateczna.

Potem wywalili go z policji i studnia jeszcze się pogłębiła. Wpadł w depresję i wnyki się zamknęły. Okresy wyłączenia z codziennego funkcjonowania zdarzały się coraz częściej, tak jakby ktoś co jakiś czas przekreślał włącznik światła i zapadała ciemność.

Miewał epizody z innymi kobietami, ale żaden z tych związków nie przetrwał próby czasu. Najbardziej zaangażował się w romans z recepcjonistką jednego z luksusowych spa, w którym leczył zwichrowaną psychę i odmawiające posłuszeństwa ciało. Nie miał poczucia współuczestnictwa w zdradzie. Kobieta była mężatką, ale jako dorośli ludzie wiedzieli przecież, na co się decydują. Domyślał się, że jej mąż był nie tylko zazdrośnym, ale także brutalnym „damskim bokserem”. Potem ona zaczęła się wycofywać, rzekomo nie chciała

dalej zdradzać męża. Trudno mu było się z tym pogodzić, ale musiał. Ostatnie spotkanie było dla niego tylko upokorzeniem. To już nie była ta kobieta, którą znał i której tak długo pożałował. Nie rozumiał, jak mogła tak nagle, wręcz biegunowo, zmienić front i stać się soplem lodu. Cierpiał, minęło wiele czasu, zanim wyparł to uczucie i wyrzucił je na złom. A potem okazało się, że kobieta, o którą tak bardzo zabiegał i której poświęcił tyle myśli i uczuć – wdała się w sekretny romans ze swoim szefem. Wtedy postanowił sobie, że nigdy więcej nie da się oszukać ani zranić.

Tak było do czasu, gdy spotkał Agnieszkę. Od początku, zwłaszcza od sprawy Kornów, w której tak bardzo mu pomogła, stała się dla niego ważna. Chodziło o coś więcej niż tylko o seks. Widział w niej ożywczą odmianę, ratunek, dar od losu. Była inteligentna i miała swoje zdanie, którego potrafiła bronić nawet wbrew innym. Jako typ samotnika, doceniał to. Imponowało mu jej wykształcenie, czasami podbierał jej co ciekawsze książki. Uczyla się, pracowała w klubie i udzielała korków, miała prawo być zmęczona, ale nigdy nie słyshał, by się skarżyła. Bywała chimeryczna, ale tę wadę, znając siebie, wołał przemilczeć. Czasami przeginała, ale potrafiła wyciągnąć rękę na zgodę. Dużo zalet jak na jedną kobietę.

A jednak jeszcze nie przekroczył Rubikonu i nie zadeklarował się ostatecznie, choć wiedział, że ona na to czekała. Może dlatego, że happy endy są tylko w filmach. A może z tego powodu, że problem leżał gdzieś indziej – w nim samym. Musiał uporać się najpierw ze swoją przeszłością i dręczącymi go demonami, zanim weźmie odpowiedzialność za los ich obojga. Tyle i aż tyle.

W kwestii wyjazdu na Pembę nie dała mu wyboru.

– Lecę z tobą – powiedziała nastroszona.

– Nie ma mowy. To zbyt niebezpieczne. Tanzania to niestabilny kraj, nie wiem, co mnie tam czeka.

– To moja siostra. – Wiedział, jaka potrafi być uparta.

– Wiem, ale nie mogę ryzykować.

– To moja decyzja, nie twoja. Powiedziałeś kiedyś, że to nasza wspólna sprawa, wspólne śledztwo. Jak sobie to wyobrażasz? To ja poprosiłam cię o pomoc, a teraz miałabym pozostać w Warszawie i umierać z niepokoju? Pamiętaj, że ten e-mail przyszedł na mój adres. Może to tylko początek jakiejś gry i nastąpi ciąg dalszy, nie możesz tego wykluczyć. Poza tym, o ile wiem, część ludności w Tanzanii mówi w języku suahili, a ja trochę liźnęłam tego języka.

– Aga...

– Teraz ja mówię, Marek. Nie bądź taki cholerny macho, przyda ci się pomoc, tam na miejscu. Będziemy udawać małżeństwo na wakacjach, ty sam ze swoim policyjnym sznytem od razu wzbudzisz podejrzenia. A jeśli ją znajdziemy? Jak myślisz, kto pierwszy powinien się nią zająć? Kogo pierwszego powinna zobaczyć?

Niechętnie ustąpił. Zresztą, w tym, co mówiła, było wiele racji. Samotny facet zawsze przyciąga więcej uwagi niż para na urlopie. I było jeszcze coś. Zależało mu na tej dziewczynie. Nawet bardzo. Otworzyła przed nim jakieś drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewał. Znowu coś czuł, pragnął i był pożądanym. Nie chciał jej stracić, a tym bardziej sprawić jej zawodu.

Spojrzał przez okienko. Widział tylko bezkresny przestwór, miał kolor błoniebieskiego anemonu. Kołdra z chmur odgradzała samolot od ziemi, tylko czasami odsłaniając mleczone prześwity. Wtedy w dole widać było ziemię, dziwnie czerwoną z tej wysokości. W dali majaczyły zrudziałe wzgórza, usiane cętkami światła, spływającego z dziurawych chmur. Co ich czeka tam na dole? Nie miał precyzyjnego planu działania. Wiedział tylko, że tropy wiodą na tę małą wyspę na oceanie, młodszą siostrę Zanzibaru, zakotwiczoną przy afrykańskim brzegu. Pytań było nadal więcej niż odpowiedzi. Dlaczego Aga nie otrzymała kolejnego maila? Jeśli Karolina potrzebowała pomocy, dlaczego nie podała żadnych szczegółów, które naprowadziłyby na jej ślad? Taki pojedynczy mail wydawał się bez sensu, niczego nie załatwiał. Znajdowali się przecież w samolocie lecącym do Afryki, tylko dzięki jego zapobiegliwości, a nie informacjom od Karoliny.

Istniała też inna, niepokojąca możliwość. To nie Karolina wysłała maila. Fakt, dobrowolnie wsiadła do samolotu w Berlinie, ale to niczego nie przesądzało. W ciągu pięciu lat od tego zdarzenia wiele mogło się wydarzyć. Leciła do kochanka, który później ochłódł w uczuciach i przehandlował ją jakiejś mafii sutenerskiej? Wpadła w złe ręce? Ktoś umiejętnie podsycił napięcie u jej siostry, żeby później podbić cenę? Kolejna wiadomość mogła przyjść przecież w każdej chwili. Nie mówiąc już o tym, że dziewczyna, z sobie tylko znanych powodów, mogła powrócić z Afryki i być teraz wszędzie, może nawet w Polsce.

A może cała ta hipoteza była tylko domkiem z kart? I prawda była bardziej prozaiczna: ktoś mścił się na Agnieszce za prawdziwe lub wymaginowane krzywdy? Ona sama nikogo takiego sobie nie przypominała, ale to o niczym nie przesądzało. I ten ktoś uderzył tam, gdzie najbardziej bolało: w niezabliżnioną ranę, w pamięć o zaginionej siostrze. Chciał zabrać Agnieszce sen i spokój, wprowadzić w stan chronicznego niepokoju, sprawić, żeby cierpiała.

Świat był pełen takich popaprańców. Akurat on dobrze o tym wiedział. Nie mógł też wykluczyć, że zniknięcie Karoliny jest rodzajem zemsty na Romanie, zbyt mało o nim wiedział, by pominąć taką ewentualność.

Poza wszystkim na wyspie nie było bezpiecznie. Otworzył tablet i z uwagą przeczytał, skopiowany na pulpit, komunikat polskich władz.

„Ministerstwo Spraw Zagranicznych odradza podróże, które nie są konieczne do południowo-wschodniej części Zjednoczonej Republiki Tanzanii przy granicy z Mozambikiem, w szczególności w pasie do 20 km od granicy w regionie Mtwara. Od października 2017 r. w północnej prowincji Mozambiku Cabo Delgado, graniczącej z Tanzanią, ugrupowania ekstremistyczne prowadzą ataki wymierzone w ludność cywilną. W ostatnich miesiącach zdarzenia takie, choć incydentalnie, miały miejsce także po tanzańskiej stronie granicy.

W Tanzanii, zwłaszcza na Zanzibarze, mogą występować niepokoje na tle etnicznym i politycznym, w tym zamieszki. Należy unikać miejsc, w których gromadzi się duża liczba osób, w szczególności wieców i zgromadzeń. Zalecane jest również monitorowanie lokalnych mediów w celu unikania miejsc najbardziej zagrożonych. Podczas zamieszek policja może używać gazu i innych środków przymusu w celu rozproszenia tłumu”.

Tę niepokojącą diagnozę potwierdzał także kolejny artykuł sprzed kilku lat, skopiowany z sieci:

„Tanzańska policja apeluje do mieszkańców Zanzibaru i Pemby o zachowanie spokoju, po tym jak na wyspie doszło do gwałtownych starć ze zwolennikami niepodległości tego obszaru, obecnie znajdującego się w granicach Tanzanii. Demonstracja w Stone Town, stolicy półautonomicznego Zanzibaru, doprowadziła do aktów przemocy. W ruch poszły kamienie, a w odpowiedzi gaz łzawiący i armatki wodne. Odpowiedzialnością za demonstrację policja oskarża islamskie ugrupowanie Uamsho. Uamsho twierdzi, że stoi w obronie islamskich obyczajów i muzułmańskiej większości zamieszkującej na wyspie. Domaga się też zerwania unii z Tanzanią. Dalsze niepokoje mogą zaburzyć rozwój gospodarczy archipelagu, który większość dopływu obcych walut zawdzięcza turystyce”².

Nie wyglądało to dobrze. Zamieszki i niepokoje w Tanzanii mogły im tylko utrudnić poszukiwania. Po chwili, dla uspokojenia myśli, sięgnął po książkę, którą zabrał ze sobą i której lekturę rozpoczął jeszcze w Warszawie.

„Zanzibar był i jest ciągle zaludniony przez niezwykłych bohaterów z różnych bajek. Jedni noszą klejnoty Szeherazady, drudzy kaski tropikalne i sznurowane buty, inni są nadzy i w dybach albo nadzy z dzidami, jeszcze inni: z Biblią, w koloratce; w białych kolonialnych uniformach; w galabijach; w zdobycznych mundurach, z pałkami i maczetami; w maoistowskich bluzach; w garniturach i czarnych wyglansowanych butach; z pyskiem i skrzydłami nietoperza; w draperiach z kretonu o szalonych barwach; w T-shirtach i portkach; w piankach do nurkowania. Dorzucają do historii Zanzibaru własne epizody. Wielu z nich ma wspólny punkt w życiu – brak stałego domu. To wędrowcy świata, z konieczności albo wyboru”⁵.

Spojrzał kątem oka na Agnieszkę. Spała snem sprawiedliwego, z głową na jego ramieniu. Przed nimi jeszcze trzy godziny lotu. Zdąży się zdrzemnąć przed wylądowaniem na Zanzibarze. Zamknął ciężkie powieki. Wybudził go jakiś hałas kilka rzędów przed nim. Otworzył niechętnie oczy.

– Proszę zachowywać się ciszej. Pasażerowie się skarżą. – Stojąca w przejściu stewardesa próbowała uciszyć dwóch mężczyzn, zajętych głośną rozmową. Smuga już wcześniej zwrócił na nich uwagę. Trzymali w rękach plastikowe kubeczki, do których ciągle coś dolewali z termosu. Nie miał złudzeń, że nie była to kawa.

– Niby kto? – rzucił wojowniczo jeden z awanturujących się mężczyzn. Miał na sobie koszulkę Hilfigera ciasno opinającą ciało. Pod pachami wykwitły mu ciemne plamy potu.

– Na przykład ja. – Odwróciła głowę siedząca przed nim kobieta z dzieckiem. – Pijecie panowie od startu. I zachowujecie się coraz głośniejsze. Wytrzymać już nie można.

– To popuść, kobieto – odpowiedział jej mężczyzna, a jego kompan zareagował głośnym rechotem. – Ja jebię, Tedi, patrz co za cnotka. Powinna zostać w kruchcie, to jej środowisko naturalne.

– Zachowujcie się ciszej, panowie. – Stewardesa starała się wyjść z roli. – Na pokładzie obowiązują pewne przepisy, których pasażerowie powinni przestrzegać.

– Taak? To poproszę o podanie stosownego paragrafu! – „Hilfiger” był już bordowy na twarzy. Alkohol robił swoje. – Zapłaciłem za bilet i nikt mi nie zabroni gadać z kolegą.

Stewardesa spojrzała na niego bezradnie, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kabiny pilotów. Mężczyźni skwitowali jej odwrót okrzykami

zwycięstwa: Juppi! Co za pipa z tej skarżypyty!

Smuga rozejrzał się dookoła. Nikt nie zareagował. Ludzie udawali, że śpią, inni odwracali głowy, jakby w obawie, że ktoś uzna ich za stronę konfliktu. Podniósł się z miejsca. Agnieszka poruszyła się niemal natychmiast, próbując go powstrzymać.

– Zostań.

– Zaraz wrócę – powiedział.

Podszedł do awanturników.

– Co pijecie? – zapytał.

– Dobrą wodę ognistą. – Zciekawiony Tedi obrzucił go spojrzeniem. Sojusznik na pokładzie najwyraźniej by im się przydał. – A co, chcesz spróbować?

– Whisky?

– Yes.

– Daj powąchać, czy rzeczywiście taka dobra.

– Powąchać?

– Zawsze tak robię.

– Człowieku to chivas, dobry łyskacz, ale jak chcesz, wączhaj sobie. – Podał Smudze termos. Ten wziął go, odkręcił nakrętkę i przyłożył do niej nos. Następnie odwrócił się na pięcie.

– Hej, a ty dokąd? – Mężczyzna w koszulce Hilfigera podniósł się z fotela.

– Oddalam się na swoje miejsce.

– Oddaj łyskacza!

– Taak? To poproszę o podanie na to stosownego paragrafu.

– Zajebię! – Mężczyźni zerwali się z foteli.

W tym momencie w przejściu pojawił się kapitan, szczupły czterdziestolatek z gładko wygoloną czaszką.

– Proszę powrócić na miejsca, panowie – powiedział stanowczym głosem.

– A to niby dlaczego?

– Ano dlatego, że na pokładzie samolotu to ja decyduję o wszystkim. To jest ten paragraf, o który panowie pytali stewardesę. Jeśli nie posłuchacie, wylądujemy wcześniej i oddamy was w ręce policji, a potem otrzymacie rachunek od naszych linii lotniczych za to dodatkowe lądowanie. Zapewniam, że będzie widniało na nim wiele zer. Nie jestem pewien, czy macie panowie tyle na koncie.

Mężczyźni zgaśli niemal natychmiast. Tedi jeszcze przez chwilę mielił w ustach jakąś odpowiedź, ale po chwili opadł z powrotem na siedzenie, ciągnięty za rękaw przez swego towarzysza. Po chwili podniósł się jednak i poszukał wzrokiem Smugi. Gest, który wykonał – przejechanie palcem po szyi – nie pozostawiał wątpliwości, co do jego zamiarów. Smuga odpowiedział mu uprzejmym uśmiechem i fuckiem uniesionym do góry. Nie ma to jak udany początek podróży.

2.

Lotnisko na Zanzibarze przywitało ich zamglonym niebem. Powietrze było gęste i przesycone wilgocią, zatykało płuca lepką watą. Z tego, co przeczytali w gazecie, wynikało, że koniec pory deszczowej opóźnił się tego roku, zazwyczaj deszcze kończyły się w maju.

Nad betonową płytą lotniska unosił się zapach benzyny, wypalanej trawy i glonów gnijących na pobliskiej plaży. Smuga pomyślał, że dawno nie był w Afryce, ostatnio przed wielu laty w Kenii, na płaskowyżu Serengeti i przelotnie na Zanzibarze. Zawsze marzył, żeby powrócić do wschodniej Afryki, ale na pewno nie w takiej roli. Gdyby dwa tygodnie temu, gdy śledził watahę w bieszczadzkiej głuszy, ktoś mu powiedział, że wkrótce wyląduje na tej spalonej słońcem wysepce na wschodzie Afryki, to popukałby się w czoło. Nawet nie wiedział, czy znają tu xanax. A jednak życie pisze przedziwne scenariusze, przekonał się o tym nie po raz pierwszy w życiu.

Oboje z Agnieszką czuli się już zmęczeni upałem i wielogodzinną podróżą. Po wylądowaniu na Zanzibarze najpierw musieli odstać swoje na lotnisku, czekając na bagaże. Przy taśmie kłębił się wielobarwny tłumek. Kilku turystów z zachodniej Europy w lnianych ubraniach, małżeństwo z Niemiec, które zaczęło ich w samolocie pytając o lex Tusk, grupka siedemdziesięciolatek ze Szwecji, udająca hippisów i gromada krzykliwych Rosjan, tachających wielkie walizy Louisa Vuittona. Zanzibar był w ostatnich latach modny, przyciągając wielu turystów, spragnionych słońca, białych plaż i bezkarnego seksu.

Pozostał im ostatni etap. Lot samolotem lokalnych tanzańskich linii lotniczych na Pembę. Na wyspę można było dostać się także promem, ale wybrali to pierwsze rozwiązanie. Oszczędzali w ten sposób kilka godzin męczącej podróży.

W hali lotniska Chake Chake było duszno. Najprawdopodobniej wysiadła klimatyzacja. Smuga rozpiął koszulę, czuł, jak krople potu spływają mu po plecach. Przeszli kontrolę paszportową, urzędnik poprosił ich także o pokazanie żółtych książeczek, dokumentujących konieczne zaszczepienie przeciwko żółtej febrze. Odebrali bagaże i wyszli poza barierkę. Potrzebowali chwili, aby odnaleźć w tłumie witających się ludzi, właściwego człowieka. Młody chłopak w przykurzonej czapeczce bejsbolowej wymachiwał nad głową tabliczką z napisem „Mr. Smuga”. Na ich widok uśmiechnął się szeroko, odsłaniając garnitur imponująco białych zębów.

– Witamy w Afryce! Jestem Amir.

– Dobrze cię widzieć Amir.

Na zewnątrz było trochę lepiej. Przynajmniej można było oddychać, asfalt lśnił po ulewie, w jego nierównościach zbierały się oleiste kałuże. Smuga spodziewał się zapachu goździków, z których słynęła wyspa, ale uderzył w nich jedynie podmuch powietrza przesiąkniętego zapachem gorącego asfaltu i śmieci, rozwleczonych przy drodze. W rowie wały się strzępy gazet, kuzego pierza, wybebeszone puszkę po konserwach, a nawet porzucone kule inwalidzkie. Dwa bezdomne psy, z zapadniętymi bokami, śledziły zaropiałymi oczami każdy ich ruch, szukając cienia pod starą toyotą, którą przyjechał po nich Amir. Ten odgonił je jednym wściekłym warknięciem i kopnięciem nogą w asfalt.

– Są wszędzie – powiedział usprawiedliwiająco. – Nie wiadomo, skąd się biorą.

Zapakowali walizki do bagażnika i wsiedli do samochodu. Auto nie odpaliło za pierwszym razem. Silnik przez chwilę rzęził i prychał, aby wreszcie złapać właściwy ton.

– Pojedziemy wzdłuż wybrzeża – powiedział chłopak, zerkając na nich z ciekawieniem. – Tam jest lepsza droga. Poza tym będzie bezpieczniej.

– Bezpieczniej? – spytała Agnieszka. Była najwyraźniej podekscytowana, Smuga widział, jak błyszczą jej oczy.

– No tak. – Amir nie rozwijał tematu. – Proszę mi zaufać.

– Okej.

– Pierwszy raz w Afryce? – Amir zwrócił się do Smugi.

– Nie, byłem już w Kenii i Tanzanii jakieś piętnaście lat temu.

– Zanzibar i Pemba to nie Tanzania – odpowiedział poważnie kierowca.

– Nie?

– No nie. Tak naprawdę jesteśmy kolonią. Arabską kolonią w morzu czarnych. Wcielili nas siłą do tego karykaturalnego państwa.

Smuga chciał odpowiedzieć, ale Agnieszka szturchnęła go w bok, aby nie wdawał się w polityczne dywagacje. Nie po to tu przyjechali. Zresztą jeszcze przed wylotem z kraju ostrzegano ich, aby na miejscu zachowywali ostrożność. Kraj był ostatnio niestabilny politycznie i wstrząsany waśniami plemiennymi, podobnie jak cała wschodnia Afryka. To dlatego postanowili zamieszkać w wiosce bungalowów prowadzonych przez Polaka, którego polecił im Grzegorz Gapła, podróżnik i dobry znajomy Smuga.

– Nie masz zbyt wielkiego wyboru – powiedział mu Gapła. – Pemba to nie Zanzibar, na który zapanowała ostatnio swoista moda. To mała wyspa, z jednym małym lotniskiem położonym siedem kilometrów od stolicy Chake Chake. Byłem tam, wiem, co mówię. Mniej znana od Zanzibaru, a niesłusznie. Wyspa jest zaskakująco zielona, to raj dla pletwonurków przybywających tu z całego świata. Prawdziwy tropikalny *paradise*. A jednak nie znajdziesz tu zbyt wielu turystów ani hoteli o europejskim standardzie. Polecam ci hotel Polaka, Alana Benesa, będzie swojsko. Facet siedzi tam od lat, zna miejscowe realia, a przy tym to sympatyczny i pomocny gość.

Droga wiła się wzdłuż wybrzeża. Słońce stało coraz wyżej, przebijając zasłone z ocieżytałych chmur. Temperatura rosła, ale lekkie podmuchy wiatru znad oceanu łagodziły nadchodzącą spiekotę i upał. Po drodze mijali pola manioku i namorzynowe zatoki, wgryzające się żarłocznie w wybrzeże. Nieliczni tubylcy pracowali na polach, wyglądając z tej odległości jak figurki z ołowiu. W oddali na oceanie kołysały się trójkątne żagle arabskich łodzi, o kształcie znanym tu od wieków.

– To *ngalawy*. – Kierowca zauważył jego spojrzenie. – Wykonuje się je z jednego pnia. Do tej pory nie wymyślono nic lepszego.

Skręcili prawie pod kątem prostym na wschód i nagle wszystko się zmieniło. Na drodze przed nimi wyrósł wojskowy jeep, tarasując im drogę.

– Mama jamani! – przeklął pod nosem Amir i poruszył się niespokojnie.

– Co on powiedział? – zapytał Smuga.

– To chyba było *kurwa mać*, tyle że w suahili – odpowiedziała Agnieszka.

– Co teraz? – zapytał Smuga kierowcy.

– Zachowujcie się spokojnie, nie prowokujcie ich. I nie patrzcie im w oczy, nie lubią tego. Wszystko będzie dobrze. – Amir zwolnił i zatrzymał się na po-

boczu, kilka metrów przed jeepem. – Pewnie polują na partyzantów.

Żołnierze pojawili się nagle po obu bokach toyoty. Byli ubrani w cętkowane mundury. Krzyczeli coś głośno, celowali do nich z kałasznikowów. Jeden z nich gwałtownym ruchem otworzył drzwi auta i wycelował automat w czoło Smugi.

– *Outside!*

Wyciągnęli ich na zewnątrz i kazali stanąć z rękoma założonymi za głowę. Żołnierze natychmiast zabrali się do przeszukiwania plecaków i bagaży. Słońce prażyło teraz niemiłosiernie. Pióropusze pobliskich palm zwisały smętnie, pozbawione choćby najlżejszego podmuchu wiatru. Smuga czuł kamienne podłoże pod podeszwami butów. Niemal natychmiast obsiadła ich chmara owadów, tnących niemiłosiernie po twarzy i odsłoniętych kończynach. Spojrzała na Agnieszkę. Miała spuszczone oczy.

Oficer, który do nich podszedł miał chyba ze dwa metry wzrostu. Był w panterce i ciemnych okularach. Najpierw podszedł do Amira. Zapytał go o coś, widocznie nie był zadowolony z odpowiedzi. Pchnął kierowcę na auto, aż ten zatoczył się do tyłu i uderzył go na odlew w twarz.

– Muszę zaprotestować – powiedział Smuga. – To tylko hotelowy kierowca.

– Proszę milczeć! – Oficer nawet nie odwrócił głowy. Następnie wrócił do indagowania kierowcy. Smuga mógł się tylko domyślać treści tego przesłuchania. Rozmawiali w nieznanym mu języku. Wreszcie oficer podszedł do Smugi, trzymając w ręku jego paszport.

– Kim pan jest? – zapytał po angielsku.

– Turystą z Polski.

– Co pan robi na Pembie?

– Zamierzam wypocząć. I dobrze się bawić.

– Bawić?

– Tak. Wziąłem na poważnie zaproszenie waszego rządu. – Smuga wskazał wzrokiem broszurę, wystającą z kieszonki leżącego na ziemi plecaka z wielkim sloganem na okładce: „Witamy na wyspie żółwi i białych plaż”. Obok wciśnięty był folder ilustrujący atrakcje Prison Island na Zanzibarze³.

– Tak, to piękny kraj. – Oficer uniósł okulary i obrzucił Smugę przenikliwym spojrzeniem, jakby szukał w jego słowach ukrytego sztyderstwa.

– Nie szukamy kłopotów.

– Ja myślę. – Oficer strzyknął śliną spomiędzy zębów.

- Jakiś problem? Chętnie pomożemy, tylko musimy wiedzieć w czym?
- Do jakiego hotelu jedziecie? – oficer odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Do Africa Beach, jesteśmy gośćmi Alana Benesza.
- To samo twierdzi kierowca.
- Bo to prawda. Zna pan Benesza?

Afrykanin nie odpowiedział. Rzucił paszporty na maskę samochodu i ruchem ręki nakazał swoim ludziom odwrót.

Wsiedli do toyoty i przez kilka minut pozostawali w ponurym milczeniu.

– Co to było? O co im chodziło? – przerwała milczenie Agnieszka.

– To wojska rządowe. Szukają separatystów, którzy ostrzelali posterunek na wybrzeżu – odpowiedział Amir.

– Na Pembie trwa jakaś wojna?

– Od pięćdziesięciu lat, sir – odpowiedział kierowca i dotknął opuchniętej twarzy.

3.

Po wydarzeniach z godzin porannych pobyt w Africa Beach wydał im się powrotem do normalności. Mały hotel otoczony był zespołem bungalowów, pomiędzy których wyrastały palmy. Bryza od oceanu chłodziła rozpalone płuca, a lokalny drink zwany dawa – świetnie orzeźwiał.

Alan Benesz okazał się uważnym i sympatycznym gospodarzem. Pulchny czterdziestolatek, z twarzą obsypaną piegami i burzą rudych włosów na głowie ugościł ich na werandzie hotelu z olśniewającym widokiem na ocean.

– Przykro mi, że byliście świadkami tej sceny na drodze – powiedział na przywitaniu. – Amir mi wszystko opowiedział. To nie powinno się zdarzyć. Chłopak pracuje u mnie od niedawna, powinien od razu powiedzieć ludziom z patrolu, dokąd was wiezie, ale przestraszył się i początkowo zapomniał języka w gębie. Inna sprawa, że ten patrol zachował się wyjątkowo brutalnie. To się tu nie zdarza zbyt często, zwłaszcza w stosunku do zachodnich turystów. Pewnie mieli zły dzień.

– Na szczęście puścili nas wolno – powiedział Smuga z lekkim uśmiechem.

– Zapomnijcie o tym. Przejdźmy do rzeczy przyjemniejszych. Pierwsza rada – polubić *dawę*. – Alan od ich przyjazdu do hotelu nie wychodził z roli uprzejmego gospodarza. – To dobrodziejstwo przywędrowało do nas z Kenii. Serwuje się je w szklankach do whisky. Najpierw wrzucamy kawałek limonki i łyżeczkę brązowego cukru trzcinowego. Następnie ugniatamy składniki tak, by wycisnąć z limonki możliwie jak najwięcej soku. Do takiej mieszanki dodawany jest lód, a następnie zmrożona wódka. Wierzcie mi, taki drink świetnie schładza i orzeźwia, co przy panujących na Pembie temperaturach ma swoje znaczenie. Choć teraz, z uwagi na przedłużoną porę deszczową i tak jest czym oddychać.

Zjedli razem obiad, Smuga dopiero teraz poczuł wilczy głód. Kelner podał im *ndizi nyama*, lokalną specjalność z mięsa, zielonych bananów i gorzkich pomidorów.

– Cieszę się, że przyjechaliście. Przyjaciele Grzegorza Gapli są moimi przyjaciółmi – powiedział Alan ceremonialnie i wytarł usta chusteczką.

– Od dawna prowadzisz interesy w Afryce? – zapytał Smuga.

– Od dziesięciu lat. Przyleciałem tu kiedyś na wakacje. I wpadłem jak śliwka w kompot, tak się to mówi, prawda? No, trafiony, zatopiony. Miałem trochę zaoszczędzonej kasy. Postanowiłem rzucić w cholerę dotychczasowe życie i spróbować czegoś nowego w tropikach.

– Kim byłeś w Polsce? – Smuga postanowił zmienić temat.

– Zdziwicie się. Byłem inżynierem dźwięku, obsługiwałem wielkie gwiazdy i kapele muzyczne. Pracowałem przy festiwalu opolskim i gdyńskim Openere. A potem podpadłem komuś i mnie wyжебali, o sorry. – Spojrzał przepraszająco na Agnieszkę.

– Nie szkodzi. Nie jestem już małą dziewczynką.

– Okej. W każdym razie podczas tego wypadu do Afryki wpadłem na genialny pomysł. Rodacy korzystają z usług niemieckich touroperatorów, a potem skarżą się, że w TUI traktują ich gorzej niż Niemców, albo że dostają pokoje nad kuchnią czy śmietnikiem. Nie wnikając, ile w tym racji, bo nasi rodacy lubią marudzić, postanowiłem to zmienić.

– Budując czasowe kondominium tylko dla Polaków? – Smuga pociągnął kolejny łyk dawcy.

– Nie tylko. Przyjmuję każdego, choć nasi mają pierwszeństwo. Postanowiłem najpierw zbudować mały hotel, a potem otoczyć go kolonią bungalowów, które wykupują u mnie rodacy. Po spłaceniu rat zostaną pełnoprawnymi wła-

ścicielami tych apartamentów, a potem albo sami w nich zamieszkają – budują tu kilka takich – albo je wydierzą innym za moim pośrednictwem.

– Słowem chcesz zbudować własny raj za cudze pieniądze. – Smuga uniósł szklaneczkę z alkoholem ku górze.

– Jeśli tak mówisz. – Roześmiał się Alan. – Ale z tymi bungalowami to dopiero startujemy. Przed nami jeszcze daleka droga. Na razie funkcjonujemy raczej jako mały hotel dla wtajemniczonych. Gości teraz nie za wielu, jeszcze nie skończyły się deszcze.

– Kiedy przestanie lać? – zapytał Smuga.

– Właściwie mamy tu dwie pory deszczowe. Pierwsza trwa od marca do końca maja i jakoś się wydłuża. Druga nadejdzie w listopadzie i potrwa do grudnia. Mamy wtedy martwy sezon, leje jak z cebra.

– Nie jesteśmy tu na wakacjach, chcieliśmy... – Smuga postanowił przejść do rzeczy, ale Alan przerwał mu niemal natychmiast.

– Jasne, wszystko opowiecie, gdy przyjdzie na to pora. W Afryce czas biegnie inaczej, nie trzeba go ponaglać. O innych sprawach pogadamy wieczorem przy kolacji. A teraz rozkoszujcie się chwilą, odpocznijcie, wykąpcie się w oceanie.

Dostali umeblowany po spartańsku pokój o pobielonych ścianach, z niewielkim tarasem, wychodzącym na ocean.

– Nie mam nic lepszego – tłumaczył się Alan. – Kilka pokoi jest w remoncie, chcemy zdążyć przed wysokim sezonem.

Nie narzekali. Prysznic z deszczownicą o wielkości pizzy XXL działał bez zarzutu, a wielkie łóżko przykryte moskitierą niczym baldachimem zajmowało pół pokoju. Chyba jednocześnie pomyśleli o tym samym.

– Ale ręce przy sobie – powiedziała poważnie Agnieszka i pchnęła go na łóżko. – Wszystko zrobię sama.

4.

Restauracja na tarasie była wypełniona tylko w połowie. Kwadrans wcześniej nad hotelem przeszła gwałtowna nawałnica. Żywiol wyginał czubki palm. W powietrzu fruwały resztki glonów, namorzynu i traw, wyrwanych z brzegów laguny, pokrytych lasem mangrowym. Wszędzie czuć było zapach elektryzującej wilgoci.

Alan tym razem wystąpił w białym lnianym garniturze i równie śnieżnobiałej koszuli. Nie zapomniał nawet o poszetce, wystającej z kieszonki marynarki. Zaproponował, że najpierw oprowadzi ich po terenie ośrodka.

– Zobaczycie, na czym tłukę kasę. – Roześmiał się.

Zajrzeli do lśniącego białą budynku głównego. Obserwowali pracę kucharza w kuchni, porcjującego wielką rybę, świeżo złowioną w oceanie. Miała dobry metr długości i wielką jak wachlarz bladoróżową płetwę. Potem zajrzeli do bungalowu dla gości, przy którym krzątali się jeszcze robotnicy. Wszystko lśniło świeżością, co było pewnym novum w tym kraju, gdzie już po kilku miesiącach wszechobecna sól wżerała się w każdą ścianę i każdy tynek.

– Ciągłe malujemy i odnawiamy – powiedział Benesz z pewną dumą. – To taka robota głupiego, ale nie ma wyjścia. Widzieliście domy w Stone Town na Zanibarze? Wszystkie są już szare, jakby stały na Śląsku.

– A ten budynek? – Smuga wskazał palcem niski, brzydki budynek, przyklejony do tyłu hotelu, okolony rzędami kolczastych krzewów.

– A, to stara olejarnia odziedziczona po poprzednim właścicielu. Jest zatruta na dwa metry w głąb. Mój największy wrzód na dupie – skrzywił się Benesz. – Kiedyś jednak ją oczyszczę i urządzę tam klub jazzowy. Wiem, wychodzę na wariata, ale zrobię to. Wszystko w swoim czasie.

– Nie masz lekko – powiedział Smuga.

– No nie.

Doprowadził ich do małego pawilonu w ogrodzie hotelu.

– Siadajcie do stołu – zaprosił ich szerokim gestem. – Najpierw dobrze zjemy, a potem pogadamy.

Tym razem usługiwał im człowiek w nienagannie białej galabii i w arabskim fezie na głowie. Miał przyklejony do twarzy uśmiech i wielką głowę, osadzoną na nieproporcjonalnie krótkiej szyi.

– To Ahmed, moja prawa ręka w hotelu – przedstawił go Benesz. – Człowiek do zadań specjalnych, można powiedzieć.

Ahmed uprzejmie skłonił głowę. Nie uszło uwadze Smugi, że nawet nie spojrzął na Agnieszkę. Nie lubił kobiet? Arabski gej? A może drażniła go jej roznegliżowana sukienka? Smuga wiedział, że na wyspie dominuje radykalna odmiana islamu, a roznegliżowane Europejki bywały tu czasem przedmiotem ataków miejscowej ludności. Musi zwrócić na to Adze uwagę, niepotrzebne im były tego typu problemy.

Ryba zapiekana w bananowych liściach była pyszna, ale Smudze pilno było do rozmowy. Benesz chyba to wyczuł, bo po posiłku odstawił sztucce i spojrzął detektywowi prosto w oczy.

– No to wal.

Smuga spojrzął na Agnieszkę, a ta skinęła głową. Rozumiał to, ciągle nie była gotowa, by opowiadać komuś obcemu o zaginięciu siostry tak, jak należało to teraz uczynić: dbając o klarowność wyводу i ważąc słowa. Woląta, by zrobił to Smuga. Benesz słuchał uważnie z pochyloną głową. Tylko czasami podnosił ją i obrzucał spojrzeniem parę przed sobą – ludzi, których trauma przywlekła do tego rajy palm i namorzynów.

– Czy kierowca dowożący ją na lotnisko się nie przesłyszał? – zapytał. – Sami mówiliście, że to był Ukrainiec, słabo kumający po polsku.

– Twierdzi, że dobrze to usłyszał, ale pewności oczywiście nie mamy – odpowiedział Smuga.

– I przylecieliście na drugi koniec świata tylko dlatego, że jakiś Ukrainiec pięć lat temu coś usłyszał? Albo dlatego że ktoś mógł zrobić głupi żart, wysyłając maila?

Po tych słowach przy stole zapanowała cisza. Słyszać było tylko uderzenia fal o brzeg w lagunie.

– Chodzi o moją siostrę, Alan. Muszę ją odnaleźć. Nie wiem, czy to zrozumiesz, to bardzo osobiste, dotyczy skomplikowanych relacji pomiędzy dwiema siostrami, kiedyś, w przeszłości. Chciałabym jej to zrekompensować, ale to niemożliwe, dopóki jej nie odnajdę. A ona żyje, ja to wiem. A przede wszystkim zapewne spotkało ją coś złego, nie wiem co... – W oczach Agnieszki widać było napięcie.

– Spoko, tylko pytam. – Benesz osunął się w fotelu i skinął na Ahmeda, który natychmiast uzupełnił zapas wina i whisky na stole. – Swoją drogą, chciałbym mieć taką siostrę. Ale mam tylko brata, który jest wyjątkowym bucem i mendą. Na szczęście mieszka w Kanadzie i nie mam z nim żadnego kontaktu, z korzyścią dla obu stron.

Agnieszka odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

– Trafiliśmy do Africa Beach, bo polecił nam ciebie Grzesiek Gapła – włączył się do rozmowy Smuga. – I nie chodziło tylko o konkurencyjne ceny pobytu w ośrodku prowadzonym przez rodaka.

– Domyślam się.

– Zakładamy, że Karolina dotarła na wyspę. A jeśli tak, to twoja ewentualna pomoc może okazać się bezcenna. Po pierwsze mieszkasz tu od lat, znasz miejscowe stosunki i realia. Potrzebujemy wsparcia w tym względzie. Po drugie, byłeś tu już przed pięcioma laty. Pemba to stosunkowa niewielka wyspa. Być może coś słyszałeś na temat Karoliny, może coś obilo ci się o uszy. A nawet jeśli nie, to mógłbyś podpowiedzieć nam, gdzie powinniśmy szukać.

– To Karolina, tak wygląda. – Agnieszka położyła na stole powiększone zdjęcie siostry.

– Po kolei. – Alan wziął do ręki zdjęcie i dołał sobie wody do szklanki. – Nic nie wiem o Karolinie. Nigdy nie zetknąłem się z tą dziewczyną, a już na pewno nie nocowała w naszym hotelu. Zapamiętałbym, mam pamięć do twarzy. Swoją drogą, jest bardzo podobna do ciebie – zwrócił się do Agnieszki.

– Tylko fizycznie, tak naprawdę byliśmy zupełnie różne.

– Po drugie, Pemba to wprawdzie nie Zanzibar, ale od kilku lat wyspa robi się coraz modniejsza. Jest bardziej kieszonkowa, mniej tu turystycznego zgiełku i nie ma resortowych kolosów na setki miejsc, ale to nie oznacza, że cieszy się małym zainteresowaniem turystów. Wręcz przeciwnie, ta kameralność wyspy niektórym się bardzo podoba. Ściągają tu między innymi Skandynawowie, głównie żeby ponurkować w oceanie i dobrze wypocząć. Tak więc, wbrew pozorom, rocznie przewijają się tu setki ludzi. Patrząc z tej kilkuletniej perspektywy, twoja siostra, jeśli rzeczywiście tu dotarła, była jak ziarnko piasku na plaży.

– Po prostu mieliśmy nadzieję, że może coś słyszałeś. – Smuga potarł czoło. – Od czegoś musieliśmy zacząć.

– Jasne, przykro mi, że was rozczarowałem. Coś jednak przychodzi mi do głowy...

– Tak? – Agnieszka zawisła spojrzeniem na jego ustach.

– Na północnym krańcu wyspy znajduje się The Aiyana Lodge. To hotel należący do Stiega Blume, Szweda. Wiele o nim słyszałem i to niekoniecznie dobrych rzeczy. Ksenofob, rasista, nieprzyjemny typ. A przede wszystkim, jakby to powiedzieć przy damie: skrajny hedonista.

– Co to znaczy? – Smuga spojrział na niego uważnie.

– To znaczy, że Blume ma podobno nienaturalny pociąg do młodych dziewczyn. Krążą słuchy, że ściąga je tu z całego świata dla własnej wygody, ale też dla przyjemności swoich bogatych gości. Mówi się, że The Aiyana Lodge to zakamuflowany burdel, a sam Blume to po prostu rajfur wysokiej klasy, który

z własnej niepokromionej chuci uczynił sposób na życie. Klientów mu nie brakuje, krążą plotki, że to taki afrykański Jeffrey Epstein^{6*}, który wie, jak zadbać o swoich celebryckich, nadzianych przyjaciół z całego świata.

– Dlaczego nam o tym mówisz? – zapytał Smuga. Nie uszło jego uwadze, jak bardzo zbladła nagle Agnieszka.

– Mam być miły czy szczerzy? – Alan odpowiedział mu pytaniem na pytanie.

– Oczywiście szczerzy.

– Okej. No więc nawiązałem do tego dlatego, że podobno wśród tych dziewczyn, sprowadzanych do The Aiyana Lodge, niektóre pochodzą z Europy Wschodniej, w tym z Polski. To może nic nie znaczyć, pewnie nawet tak jest. – Rzucił szybkie spojrzenie na Agnieszkę. – Ale pytaliście mnie o jakieś sugestie. Po prostu Blume przyszedł mi niejako automatycznie do głowy.

– Jasne. Zetknąłeś się z nim osobiście? – zapytał Smuga.

– Tak, raz czy dwa razy. Typ pełen sprzeczności. Wybrał Afrykę, a w skrytości ducha gardzi Afrykanami. Utrzymuje dobre relacje z miejscowymi władzami, a najchętniej zapewne przywróciłby tu kolonializm. Sam powiedział mi, że Afryka to takie niedorozwinięte, niedojrzałe dziecko, które bez białych, prędzej czy później, stoczy się na samo dno. Twierdzi, że Europa więcej włożyła pieniędzy i środków w afrykańskie kolonie, niż z nich wyciągnęła. Ma głębę pełną anachronicznych frazesów o wyższości rasy nordyckiej, ale sprowadza do siebie głównie Słowianki. Sam jest agnostykiem do szpiku kości, ale finansuje misję ewangelicką, którą mamy tu pod nosem, z niesztampowym pastorem na czele. Et cetera, i tak dalej. – Alan machnął ręką. – Nic nie jest takie, na jakie wygląda.

– Pomożesz nam do niego dotrzeć?

– Spróbuję, wiem, że nie przyjechaliście tu na wakacje. To jednak nie będzie łatwe, musicie mieć tego świadomość. Blume jest nieufny i ostrożny. Do tego niebezpieczny, parę lat temu głośna była sprawa pewnej młodej Czeszki, która rzekomo utopiła się w oceanie. Rzekomo, bo krążyły głosy, że ktoś jej w tym pomógł. Miała ponoć za długi język i zaczęła rozpowiadać o tym, co działo się w sypialniach The Aiyana Lodge.

– Nie było śledztwa?

– Było, ale szybko je umorzono. Musicie zrozumieć, że to nie Europa. To oddzielny świat, pełen absurdów i paradoksów. Jest jak dżungla, trzeba znać jej reguły, żeby przeżyć. Myślę, że najlepiej będzie, jak dotrzecie do hotelu Blume jako para turystów zakochanych w Afryce, a nie para śledczych na tro-

pie. Ja was oczywiście zapowiem, choć nie przeceniałbym tej rekomendacji, bo nie mamy jakichś specjalnych relacji.

– Świetnie, chciałbym jeszcze powrócić do incydentu z patrolem.

– Wał, jeśli musisz. – Benesz szeroko rozłożył ręce.

– Szukali jakichś separatystów. O co tu chodzi?

– To skomplikowane. Potrzebny będzie krótki kurs historii, ale przyda się wam w przyszłości, bo Pemba i Zanzibar to raje turystyczne, ale jednocześnie prawdziwe pole minowe. Trzeba wiedzieć, jak się tu poruszać, żeby nie wylecieć w powietrze. Ale najpierw się napijmy.

Skinął na Ahmeda, który natychmiast ruszył ku ich stolikowi. Smuga pomyślał, że jak na hotel na islamskiej wyspie, płynęło tu zadziwiająco dużo alkoholu.

– Od czego by tu zacząć? – Benesz spojrzał na nich badawczo. – Powiedźcie, co już wiecie.

– Staraliśmy się odrobić lekcje przed przyjazdem – odpowiedziała Agnieszka. – Wiemy, że Pemba wraz z Zanzibarem uzyskała niepodległość w grudniu 1963 jako sułtanat, w którym władzę sprawowali Arabowie. A po kilku miesiącach obalono sułtanat i obie wyspy przyłączono do Tanganiki, tworząc dzisiejszą Tanzanię, którą rządzą rdzenni, czarnoskórzy Afrykanie. Wiemy też, że wielu mieszkańców wyspy do dzisiaj nie pogodziło się z tym faktem i marzy o odzyskaniu niepodległości.

– Brawo! – Benesz spojrzał na nią z uznaniem. – To i tak wiele, bo większość kojarzy Pembę tylko z białymi plażami, żółtymi i nurkowaniem w oceanie. To prawda, ale wyspa, podobnie jak Zanzibar, przypomina dzisiaj etniczny i religijny tygiel. Geneza tych niewygasłych konfliktów na obu wyspach sięga właśnie czasów odzyskania niepodległości. Już wtedy, gdy powstał sułtanat Zanzibaru i Pemby, większość ludności stanowili czarnoskórzy Afrykanie. Ale władzę sprawowali, stanowiący mniejszość, Arabowie i Hindusi⁴.

– Zgodnie ze starą zasadą brytyjską: divide et impera? – wtrącił Smuga.

– Dokładnie tak. To te nacje zdominowały gospodarkę i politykę obu wysp, przy wsparciu kolonizatorów zresztą. Brytyjczycy byli dobrzy w te klocki. Czarnym się to nie podobało. Czarę goryczy przelały wybory z 1963 roku, w których partia rdzennych mieszkańców Afryki zyskała ponad połowę głosów, a jednak, dzięki niesprawiedliwej ordynacji wyborczej, władzę zachowali Arabowie. W styczniu 1964 doszło do otwartej wojny domowej. Wybuchła rewolucja, obalono sułtana, który wraz z tysiącami swoich popleczników uciekł

do Omanu. Rozpoczęło się polowanie na Arabów, w krwawych walkach zginęło kilka tysięcy ludzi. Arabowie i Hindusi nigdy nie zapomnieli i nie wybaczyli tej krwawej łaźni. Dzisiaj Pemba, podobnie jak Zanzibar, wchodzi w skład Tanzanii i cieszy się dość szeroką autonomią. Wielu ludziom to jednak nie wystarcza, chcą pełnej niepodległości. Przez wiele lat panował tu względny spokój. Jednak ostatnio pojawili się separatyści, atakują posterunki rządowe, palą magazyny ropy i żywności. Niedawno zaatakowali posterunek na wybrzeżu, stąd to nagłe polowanie na partyzantów, które i was dotknęło. To nadal nie jest prawdziwa rewolta, co najwyżej pełzająca ruchawka, której większość turystów w ogóle nie zauważa. Nie ulega jednak wątpliwości, że napięcie na wyspie stale rośnie.

Wywód Benesza przerwało nagłe poruszenie na podjeździe hotelu. Widać było zajeżdżającego wojskowego jeepa. Sterczący dotychczas obok Ahmed udał się w tamtym kierunku. W jego ślady wkrótce podążył sam Benesz.

– Przepraszam was na chwilę, ale mamy ważnego gościa – powiedział i uniósł się z fotela.

Smuga odprowadził go wzrokiem. Z jeepa wyskoczyło dwóch żołnierzy z automatami. Stanęli nieruchomo po obu stronach schodów. Zza ich pleców wyłonił się wysoki oficer w panterce. Światło gazowej lampy rysowało świetliste kręgi na jego łysej czaszce. Benesz podniósł ręce do góry w powitalnym geście.

– Co za niespodzianka pułkownik! Witamy w Africa Beach!

Po chwili od strony kuchni pojawił się Ahmed. Dźwigał jakąś wielką torbę. Podszedł do jeepa, jeden z żołnierzy przejął od niego pakunek i wrzucił na tylne siedzenie.

Agnieszka patrzyła na tę scenę z niedowierzaniem.

– Czy widzisz to samo, co ja? – Przeniosła wzrok na Smugę.

– Chyba tak.

– Przecież to ten sam brutal w panterce, który zatrzymał nas na drodze.

Smuga nie odpowiedział. Ta wyspa była pełna tajemnic. Nic nie jest takie, na jakie wygląda.

Kolejne dwa dni spędzili w stolicy wyspy, a także na Zanzibarze, tak jak to wcześniej zaplanowali. Na Pembie mieszkało na stałe tylko niecałe trzysta tysięcy ludzi. Nic dziwnego, że Chake Chake było małe i prowincjonalne. Agnieszka wzięła na siebie kwerendę po pembiańskich hotelach ze zdjęciem Karoliny w garści. Zawsze istniała szansa, że zatrzymała się ona w którymś z nich po przylocie na wyspę. Dla pewności kolejny dzień spędzili w bardziej okazałym Stone Town, starej części stolicy Zanzibaru. Dopuszczali wersję, że Karolina zahaczyła także o większą z wysp. Postanowili potwierdzić lub wykluczyć tę ewentualność.

Smuga zamierzał także odwiedzić komendę miejscowej policji w Chake Chake, niezależnie od tego, czego mógł się spodziewać po tutejszych stróżach prawa. Alan uprzedził go, że korupcja w tutejszej policji jest czymś naturalnym i bez bakszyszu niczego nie załatwi. Być może właśnie dlatego liczył na jakiś, choćby najbardziej wąty ślad.

Posterunek znajdował się u wylotu długiej ulicy, obsadzonej drzewami przypominającymi platany. Kilkanaście metrów przed budynkiem dojazdu broniły cementowe słupki wmurowane w asfalt. Między nimi kłębiły się zwoje drutu kolczastego. Tylko jedna bramka pozostawała przejezdna. Dwaj uzbrojeni po zęby żołnierze w kamizelkach kuloodpornych i hełmach z kevlaru pilnowali, opuszczanej na zwykłym sznurze, przegrody. Widać było, że strach przed separatystami dotarł już do stolicy.

Smuga zaparkował w bocznej uliczce i podszedł do wartowników. Na jego widok pierwszy z nich wymierzył automat w jego stronę, a drugi położył znacząco rękę na kaburze.

– Spokojnie! Chcę tylko porozmawiać z komendantem! – krzyknął po angielsku i podniósł ręce do góry.

Następnie wylegitymował się i poddał dokładnemu przeszukaniu. Czuł na plecach ich wzrok, gdy wchodził na posterunek. Cuchnęło tu ludzkim potem i jakimś niedookreślonym zapachem, chyba gotowanej kury, który dobiegał z podwórza.

Dyżurny policjant zatopiony był w lekturze miejscowej gazety. Jego opięty mundur trzeszczał w szwach. Pod pachami wykwitły mu plamy potu. Smuga przez dłuższą chwilę tłumaczył mu cel swego przybycia, a policjant uśmiechał się przez cały czas, kiwając głową i pokazując rząd żółtych, zepsutych zębów. I gdy detektyw uznał, że przebrnął już przez tę przeszkodę, policjant odezwał się nagle łamanym angielskim.

– Ja nie rozumieć. Ni chuja. Ty czekać.

Następnie niechętnie podniósł się z miejsca i zniknął na zapleczu.

Komendant Chipaku długo mierzył Smugę wzrokiem, jakby nie mógł zrozumieć, co ten Europejczyk robi na jego komendzie i to na kwadrans przed obiadem z rosółu, który dyżurna mama przygotowywała w kuchni na podwórzu. Równie uważnie przestudiował paszport Polaka, trzymając go koniuszkami palców, jakby mógł ubrudzić się tym świństwem. Najważniejsze jednak, że mówił po angielsku.

– Panie komendancie, jak już mówiłem, poszukuję pewnej kobiety. – Smuga raz jeszcze postanowił powtórzyć swój przekaz. Pięć lat temu wylądowała na wyspie. I zaginał po niej wszelki ślad. Próbuje ją odnaleźć. Oto jej zdjęcie.

Komendant nawet nie spojrział na fotografię, nie spuszczał oczu ze Smugi.

– Mam powody, by wierzyć, że ona żyje.

– Pięć lat temu, dobrze zrozumiałem?

– Tak.

Komendant Chipaku zaśmiał się najpierw bezdźwięcznie, potem wprawił w kolisty ruch swój brzuch, by wreszcie ulec atakowi ni to kaszlu, ni to niepohamowanego śmiechu.

Smuga pozostał nieporuszony.

– Bardzo mi zależy na odnalezieniu tej kobiety. To prawie rodzina. Może pozostał po niej jakiś ślad w policyjnej kartotece: zapis jakiegoś zdarzenia, cokolwiek. Byłbym bardzo zobowiązany za pomoc w tej sprawie, zdaję sobie sprawę, że bez wsparcia policji wiele nie zdziałam.

Komendant nadal dławił się swoim kaszłomiechem.

– Ja rozumiem, że ludzie o pewnych sprawach zapominają, to normalne – powiedział Smuga i sięgnął po kopertę.

Komendant nadal rechotał, ale na pewno zauważył ten ruch.

– Zwłaszcza jak się ma tak wiele obowiązków, jak pan, komendancie. Trzeba to rozumieć. I doceniać. – Smuga uchylił kopertę i przejechał palcem po pliku dolarów.

I wtedy zdarzyło się coś, czego Smuga nie przewidział. Chipaku najpierw wziął do ręki zdjęcie. A potem sięgnął do szuflady biurka. A więc jednak? Smuga przymknął oczy. Gdy je otworzył, Chipaku mierzył do niego z wielkiego pistoletu, pochodzącego chyba z czasów wojny burskiej.

– Myślisz, kurwa, że kim jesteś? – wyszczał. Zmienił mu się wyraz twarzy. Smuga miał wrażenie, że te białe białka zaraz eksplodują. – Będziesz mi ubliżał? Na moim komisariacie? I traktował mnie jak czarną małą, która za kilka parszywych dolarów zrobi, co mu pan każe?

– Źle mnie pan zrozumiał. – Smuga próbował ratować sytuację.

– Nie, kurwa, dobrze zrozumiałem.

– Niech pan posłucha...

– Milcz, białasie! To ty posłuchaj. Komendant Chipaku nie brudzi sobie rąk takim gównem. Może inni, ale nie ja. Mógłbym cię aresztować za próbę przekupstwa urzędnika państwowego na służbie, a tam, w celi moi współplemieńcy zrobiliby ci z dupy rzeszoto, jeśli wiesz, o czym mówię. Po drugie, mam tu ważniejsze zadania niż szukanie jakiejś kobiety, która pewnie postanowiła się zabawić ze swoim kochasiem na Pembie czy Zanzibarze. Przybývają tu setki takich jak ona, naćpanych lub szukających łatwej przygody. Te kobiety same na siebie ściągają nieszczęście. Jak mielibyśmy monitorować każdą z nich?

– Komendancie, bardzo przepraszam za zaistniałą sytuację. Wprowadzono mnie w błąd. – Smuga postanowił posypać głowę popiołem. – Widzę, że mam do czynienia z właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Z ideowym urzędnikiem państwowym. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że zaginiona jest siostrą mojej narzeczonej. To jak rodzina. Wierzmy, że żyje i przydarzyło się jej jakieś nieszczęście. A swoich bliskich nie należy zostawiać w potrzebie. To obowiązek każdego porządnego człowieka, niezależnie od jego pochodzenia, religii czy kraju pochodzenia. Niezależnie od tego, czy dzieje się to w Europie, czy Afryce.

Chipaku przez chwilę ważył jego słowa, a potem opuścił broń.

– Wypad! I żebyś cię tu więcej nie widział.

To nie był udany dzień. Agnieszce poszło niewiele lepiej. Obeszła nieliczne hotele i pensjonaty, zostawiając zdjęcia Karoliny. Nigdzie nie uzyskała informacji, które dawałyby, chociażby cień nadziei na jakiś dobrze rokujący trop. Tylko w jednym z pensjonatów, położonym nad samym oceanem, starszy recepcjonista przez chwilę się zastanawiał, aby potem sprawdzić za dwadzieścia dolarów stosowny wpis w księdze meldunkowej przed pięciu laty. Okazało się, że pomylił Agnieszkę z pewną jasnowłosą Polką, która gościła tu przed laty i bawiła się świetnie, rozdając sute napiwki obsłudze.

Stali w miejscu i nic nie mogło zatrzeć tego dołującego wrażenia. Wyjazd na Pembe, przynajmniej jak na razie, nie przynosił spodziewanego przełomu. Smuga miał wrażenie, że stąpa po kruchym lodzie. Karolina nadal była tylko mirażem. Prawdziwe były natomiast konflikty, które kłębiły się tu pod powierzchnią. Trafili w sam środek małego afrykańskiego piekła i mieli wrażenie, że wszyscy walczą tu ze wszystkimi. Wojska rządowe z separatystami, islamistami z chrześcijanami, czarnoskórzy Afrykanie z mniejszością arabską i hinduską. W tych realiach stojące przed nimi zadanie przypominało próbę odnalezienia igły w stogu siana.

Było już popołudnie. Spotkał się z Agnieszką w centrum. Zaczął im doskwierać głód. Postanowili coś zjeść w hinduskiej dzielnicy i wyruszyć z powrotem do Africa Beach, tak aby zdążyć przed wieczorem. W wybranej przez nich knajpce pachniało orientalnymi przyprawami: smażonym curry i szafranem. Upał nie odpuszczał. Przybrudzona markiza smętnie zwisała nad kilkoma stolikami i krzesłami z rattanu. Starsza kobieta owinięta sari z namszczeniem podała im zamówioną potrawę *butter chicken*, której Smuga już kiedyś próbował podczas pobytu w Afryce. Jedli w milczeniu, pochłonęci własnymi myślami. Już kończyli, gdy nagle coś się zmieniło. Tak jakby świat na zewnątrz nagle ożył, wydobywając się z tropikalnej sesty i marazmu.

Najpierw usłyszeli czyjś krzyk: krótki i przzerwany w połowie zgłoski. Potem tupot nóg i hałas u wylotu ulicy. Kobieta w sari znieruchomiała z parującą tącą w rękach. Miała w oczach strach. Potem ciszę przerwała krótka seria z automatu. Głucha, tak jakby kule obijały się o tynk pobliskich domów. Tym razem krzyków przerażenia było więcej, zbijały się w rosnącą kakofonię trwoźnych głosów. Smuga schwyił Agnieszkę za ramię i pociągnął ją ku ziemi. Podobnie uczyniła para Niemców, siedzących przy sąsiednim stoliku.

Usłyszeli warkot samochodu. Smuga podniósł głowę. Kilka metrów od nich ulicę przegrodziła wojskowa furgonetka. Wysypało się z niej kilku żołnierzy z kałasznikowami. Panterki, berety, ciemne okulary. Podobnych widział na drodze do Africa Beach. Rozbiegli się po całej ulicy. Słyszał było łomot ich podkutych butów na bruku. Chwilę potem rozległ się hałas, dobiegający z wybijanych okiennic i drzwi, krzyki przerażenia i trzask miażdżonego szkła.

– Uciekajcie. – Hinduska pokazała im drzwi na zapleczu. – Oni są nieobliczalni.

Na czworakach wycofali się we wskazaną im stronę. Za nimi podążali Niemcy. Słyszeli sapanie kobiety, miała przerażenie w oczach. Płakała, rozlany tusz spływał jej po policzkach.

– Mówiłem ci, szlag, że to dziki kraj, ale ty zawsze wiesz lepiej. – Otyły Niemiec nie krył wściekłości, przesuwając się za nią z trudnością na kolanach.

– To ty nas zaciągnąłeś do tej nory – odpowiedziała mu zdyszana kobieta.

Smuga z Agnieszką przemknęli przez małe podwórko i wpadli w amfiladę sklepików, sprzedających hinduskie tkaniny, jedwab i sari. Ich sprzedawcy zniknęli.

– Szybciej! – Smuga obejrzał się za siebie, poganiając Agnieszkę. Ta potknęła się nagle i wpadła w duży wieszak z kolorowymi materiałami. Przez chwilę walczyła o utrzymanie równowagi, próbując zerwać z głowy oplatającą ją muślin.

Za ich plecami ponownie rozległy się strzały. Przyspieszyli kroku, trzymając się tym razem za ręce. Nigdzie nie było widać żywego ducha, okiennice domów zamykały się z głuchym trzaskiem. Przebiegli przez opustoszałą ulicę i znaleźli się na małym zakurczonym rynku z nieczynną fontanną. W jej rynnie wygrzewał się wychudzony kot, wpatrując się w nich zaropiałymi oczami. Smuga natychmiast rozpoznał to miejsce. Mijał je w drodze na komendę. W bocznej uliczce sto metrów dalej mieli zaparkowany samochód.

– Dlaczego właściwie uciekamy? – zapytała Agnieszka, z trudnością łapiąc oddech. – Nic złego nie zrobiliśmy.

– Mogliby nas zatrzymać i poddać przesłuchaniu. Zadawać dziesiątki zbędnych pytań. Lepiej tego uniknąć i zejść im z oczu. Słyszałaś, co mówiła ta Hinduska. Są brutalni i nieobliczalni.

– No tak.

Dotarli do samochodu. Na uliczce śmierdziało moczem i zepsutymi odpadkami. Smuga otworzył drzwiczki i wtedy go zobaczył.

Mężczyzna miał ciemną karnację skóry, ale na pewno nie był Afrykaninem. Raczej Hindusem lub jakąś szlachetną mieszkanką obu tych ras. Z kruczoczarnych włosów kapłała mu krew, spływając po policzku. Klęczał w załomie bramy naprzeciwko wozu, skryty za kolumną podpierającą wejście. Tkwił w matni. Przed nim była tylko otwarta ulica, za plecami miał, blokującą ucieczkę, ażurową kratę zamkniętej bramy.

– Jezu... – Agnieszka podążyła za wzrokiem Smugi.

– Pomóżcie. – Szept dobiegający zza kolumny był stłumiony i niewyraźny.

Smuga obrzucił spojrzeniem ulicę. Miał wrażenie, że strzały i hałas się przybliżają. Dobiegały teraz z rynku, przez który niedawno przebiegł.

- Zabieramy go – powiedziała nagle Agnieszka.
 - Jesteś pewna? Pewnie to jego szukają.
 - Przecież go tak nie zostawimy. Zastrzelą go na miejscu.
- Smuga skinął ręką na zbiega.
- Szybko!

Ten trochę niepewnie podniósł się z miejsca i zachwiał się na nogach. Agnieszka uniosła klapę bagażnika. Smuga pomógł mężczyźnie dokuścić do wozu. Ułożyli go z podkurczonymi nogami.

- Leż cicho. Wywieziemy cię za miasto. Tam cię opatrzymy.

Mężczyzna skinął głową. Ruszyli z piskiem opon. Smuga kierował się drogą na wschód, pamiętał, że tam zabudowa miasta była najrzadsza. Resor uderzał o nierówności i kocie lby. Minęli opustoszałą stację wymiany butli gazowych z napisem Dodoma Petroleum na blaszanym baraku. Dalej wzdłuż drogi rozciągał się skład złomu: zbiorowisko zdezelowanych lemieszki i maszyn rolniczych, potrzaskanych wentylatorów i obudów przeżartych przez rdzę. Wiatr roznosił po całym terenie strzępy podartych gazet i zeschniętych liści. Wyglądały jak confetti, wirujące w zawieszynie z kurzu i piasku.

Smuga spojrział na Google Maps. To tutaj! Na skrzyżowaniu odbił na południe i po chwili minęli tablicę z nazwą Chake Chake. Spojrział na Agnieszkę, a ta wysunęła kciuk w geście zwycięstwa i odetchnęła z ulgą. Po kilku kilometrach minęli nieczynny wiatrak i wjechali w drogę, otuloną karłowatymi drzewami namorzynowymi. W dali na horyzoncie falowały zielone wzgórza, wiatr poruszał czubkami drzew. Ocean był blisko. Czuli jego lekko zgniły zapach. Smuga odbił w prawo, wjechali w zielony tunel. Zatrzymał się i otworzył klapę. Zbieg łapczywie oddychał, mrużąc oczy, porażone słońcem. Dopiero teraz wiadać było ranę nad skronią. Kula musnęła mu czaszkę, zdzierając kawałek skóry wraz z włosami. Nadal mocno krwawił, czerwona struga biegła wzdłuż jego koszuli i kończyła się dopiero gdzieś w okolicach pasa.

- Zaraz cię opatrzymy – powiedział Smuga i skinął na Agnieszkę, która stała już w pogotowiu z apteczką w dłoni.
- Dziękuję, zwłaszcza pani – powiedział mężczyzna. – Jestem Meer.
- Marek i Agnieszka, z Polski.

Agnieszka przemyła ranę, spryskała Octeniseptem i sprawnie obwiązała bandażem.

– Nie mamy nic lepszego. To prowizoryczny opatrunek – powiedziała. – Na długo nie wystarczy.

– Dam radę. Jestem wdzięczny. – Meer skrzyżował ręce w tradycyjnym geście i skłonił głowę.

– Jesteś Hindusem?

– Właściwie Gudżaratem.

– To nie to samo? – Zaciekawiał się Smuga.

– Jesteś Europejczykiem, ale gdybym powiedział, że jesteś Niemcem, tobyś zaprzeczył, prawda?

– Pewnie tak.

– Z nami jest podobnie. Wywodzimy się z Półwyspu Indyjskiego, ale mamy własny język i kulturę. I od setek lat naszą ojczyzną jest Zanzibar i Pemba.

– Rozumiem. Dlaczego cię ścigali?

– Próbuje tylko odzyskać to, co tamci nam ukradli. Tyle ci wystarczy wiedzieć. Tak będzie dla was bezpieczniej.

– Jak chcesz. Gdzie mamy cię zostawić?

– Jeszcze kawałek. Pokażę wam gdzie.

Wjechali w zadziwiająco zielony tunel, pełen drzew i krzewów. Potem otworzył się przed nimi płaskowyż, usiany białymi głazami. Ujechali kilkaset metrów, gdy Meer podniósł rękę do góry. Od zbocza góry oderwały się ludzkie cienie. Zbliżały się do nich, szybko przybierając ludzkie kształty. Mieli na sobie mundury w kolorze khaki, w ręku trzymali izraelskie uzi.

– To moi ludzie – powiedział Meer, prostując ciało. – Tu się rozstaniemy.

– Bywaj! – Smuga wyciągnął do niego rękę na pożegnanie.

– Nie zapomnę wam tego. My, Gudżaraci, potrafimy spłacać nasze długi. Może kiedyś ja będę mógł zrobić coś dla was.

– Nie sądzę, ale dziękuję. – Smuga poklepał go po ramieniu.

Przez chwilę patrzyli, jak Meer ze swymi towarzyszami znika na wąskiej ścieżce, prowadzącej na szczyt, a potem wycofali samochód i wrócili na asfaltową drogę.

Alana nie zastali po powrocie. Podobno pojechał na kontynent w interesach i miał wrócić dopiero za dwa dni. Wykąpali się nago w oceanie, w małej zatoczce za hotelem. Smuga z przyjemnością zanurzył się w wodzie. Zanurkował i długo nie wypływał na powierzchnię. Woda była przezroczysta, widział korallowe kaniony na dnie i wielobarwne ryby, omijające go szerokim łukiem. Miał wrażenie, że zmywa z siebie zmęczenie i trudy tego ciężkiego, pełnego rozczarowań dnia. Agnieszka przepłynęła obok, poczuł jej piersi na swoich plecach. Wiedział, że to obietnica, prolog tego, co nieuchronne.

W nocy kochali się długo, nie mógł się nią nasycić. Skończyli tak, jak lubił, nie odsunęła głowy.

– Nie musisz – szepnął.

– Ale chcę...

Zasnęła prawie natychmiast potem. Słyszał, jak miarowo oddycha, przekręcając co chwilę ciało. On zasnąć nie potrafił. Zapadał w płytki sen, by za chwilę wybudzić się z oczami wpatrzonymi w wiatrak na suficie, mielący uparcie stojące, duszne powietrze.

Przez głowę przelatowały mu rwane obrazy z minionych godzin. Wylot lufy komendanta Chipaku, białka jego oczu, jaśniejące w twarzy pozbawionej szczegółów, wychudzony kot, afrykański Behemot z zaropiałymi oczami. A potem dźwięki wystrzałów pod hinduską knajpą, łomot buciorów po bruku, skamieniała Hinduska w sari i dziwny zbieg, skrywający się za kolumną – Gudżarat o oczach sarny.

Wyspa podobno pachniała goździkami, kurkumą, wanilią. Pięknie wyglądała na turystycznych widokówkach, sprzedawanych na straganach w Chake Chake. On odbierał ją inaczej. W tym półśnie wyczuwał jedynie odór ludzkiego potu i strachu, kury warzonej w garze i rozpalonego asfaltu. Dopiero dobrze po północy zapadł w czarną otchłań snu, do której nie docierały ani odgłosy, ani zapachy. Spał bitych sześć godzin, a i tak po wybudzeniu miał wrażenie, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki. Czuł suchość w ustach, szumiało mu w głowie. Niemal natychmiast nadpłynęła myśl o nadchodzącym ataku depresji, ale udało mu się ją odgonić od siebie, zwalając niedyspozycję na karb niewyspania.

Agnieszki już nie było w pokoju. Zostawiła mu kartkę na stole. „Nie chciałam cię budzić. Pojechałam do misji ewangelickiej, o której wspominał Alan. Nie bój się. Nie zaciągnę się, wrócę. Pa!”

Zjadł śniadanie na tarasie, wmuszając w siebie kawę i kilka plastrów ananasa. Wrócił do pokoju i nagle poczuł, że to nie niewyspanie. Stary wróg jednak powracał. Dał się oszukać na jakiś czas przez zmianę strefy czasowej, klimatu i diety – ale nie zapomniał o nim. Jakże by inaczej, kurwa. Zło zawsze powraca, zawsze.

Sięgnął po szaszetkę i drżącymi dłońmi wysypał leki na stół. Gdzie jest ten escitalopram? Jebany zbawca, brat bliźniak, jego drugie ja. Teraz xanax i witaminy, dużo witamin. Popił tabletki szklanką wody, potem następną i odstawił ją drżącymi dłońmi na stolik. Dobrze, że nie ma Agnieszki. I że tego nie widzi. Katolicka Bozia jednak nad nim czuwa. Amen.

Wzięła na recepcji dokładny adres i mapkę okolicy. Gdy wróciła, Amir właśnie mył jej samochód, splukując przednią szybę z martwych insektów i owadów.

– Wszystko w porządku, Amir? – spytała, bacznie przyglądając się jego twarzy. Pod okiem wykwitł mu granatowy siniec.

– Do ramadanu się zagoi, madame – odpowiedział, nie przerywając pracy.

Wyjechała szutrową drogą z hotelu, kierując się na wschód i zostawiając ocean za plecami. Okolica była dość bezludna i zaskakująco zielona. Tylko raz napotkała plantację drzew kakaowca, obsypanych owocami o swojskim kształcie ogórka. Wokół nich krzątała się grupka krajowców z szerokimi kapeluszami na głowie. Doleciały ją frazy pieśni, którą śpiewali przy pracy: przejmująco rzewne i smutne. Na pierwszej krzyżówce skręciła w niebudzącą zaufania dróżkę, wysypaną kamiennym miałem, postanawiając zawierzyć hotelowej mapce.

Misja pastora Taubena leżała na małej polance w środku lasu. Z jednej strony oparta była o wzgórze, a z drugiej jej naturalnym przedłużeniem był drewniany pomost na palach, wchodzący w głąb niewielkiego jeziora. Kościółek zbudowano z cegły, widać było, że najlepsze lata ma już za sobą. Po murze pięły się ku górze białawe wżery z soli morskiej. Jeden z witraży był strzaskany, rozeta na górze pod szczytem dachu była zniszczona do połowy. Tak jakby ktoś zadał sobie trud, aby trafić kamieniem lub pociskiem właśnie w koronę cierniową na głowie Chrystusa. Resztki zmiażdżonego szkła leżały na ziemi i lśniły w słońcu. Jedyne znaki krzyża wryte były dyskretnie nad wejściem, trzeba było skupić uwagę, aby go dostrzec. Budynek przypominał Agnieszce raczej anglosaską szkołę z internatem dla chłopców, przeniesioną w tropiki, niż chrześcijańską świątynię.

Zaparkowała na podjeździe i przeszła na tył kościoła. Rozciągał się tu rząd chaotycznie postawionych budowli: wiat krytych liśćmi palmowymi, drewnianych bungalowów bez ścian, podpartych jedynie na nieheblowanych słupach i małych komórek na żywy inwentarz. Za ogrodzeniem pasło się stado gdaczących kur i indyków, uparcie dziobiących wypaloną słońcem ziemię. Krajobraz zamykał szpaler palm iglastych. Długie liście rafii falowały leniwie na wietrze.

– Szuka pani drogi do nas czy do Boga? – Dobiegł ją głos zza pleców. Drgnęła i odwróciła się trochę spłoszona.

– Jestem pastor Tauben.

Stał przed nią trzydziestokilkuletni mężczyzna w koszulce Lacosta i markowych dżinsach. Na nogach miał mokasy. Nie wyglądał na księdza.

– A to nie to samo? – zapytała.

– Nie do końca. Nasza misja to tylko przystanek w drodze do Boga. A ta bywa długa i ciernista. Zwłaszcza tutaj, w Afryce.

– Tak, słyszałam, że nie macie tu łatwo.

– Nie skarżymy się. To, co zbyt łatwe, często okazuje się nietrwale.

Zaskakiwał ją ten pastor o urodzie amanta filmowego, od pierwszej chwili i od pierwszego słowa.

– Przepraszam, powinnam się przedstawić. Jestem Agnieszka. Od niedawna gość Africa Beach. Przepraszam za najście.

– Nic nie szkodzi. Chociaż miałem nadzieję, że niebo zsyła nam kolejną wolontariuszkę.

– Wolontariuszkę?

– Chyba nie myślisz, Agnieszko – niedostrzegalnie skrócił dystans – że sam radzę sobie z tym wszystkim? – Wykonał nieokreślony ruch ręką. – Zresztą sama się przekonaj, zapraszam. Chętnie oprowadzę cię po misji. Po drodze opowiesz mi, czemu zawdzięczamy twoją wizytę. Mam jeszcze godzinkę do lekcji.

– Macie tu też szkołę?

– Raczej szkołkę. Uczę dzieci naszych parafian języka angielskiego. Pemba jest mała, mieszka tu tylko trzysta tysięcy ludzi. Ale krajowcy posługują się kilkunastoma językami i narzeczami, głównie z rodziny Bantu, ale także suahili, masajskim i gudżarati. Angielski to tutejsza *lingua franca* – język, który może ułatwić życie.

Weszli do niewielkiego budynku, przyklejonego do tyłu kościoła, którego wcześniej nie zauważyła. Pełnił funkcję zakrystii i plebanii zarazem. Ściany zbudowano z glinianych cegieł, ale dach stanowiło tylko kilka arkuszy blachy falistej z wyliniałym logo *British Petroleum*, widocznym od spodu.

– Otrzymałiśmy je w darze, po likwidacji stacji benzynowej. – Pastor zauważył jej spojrzenie. – U nas nic się nie marnuje. W ogóle istniejemy tylko dzięki ludzkiej dobroci.

Wnętrze plebanii zajmowało pomieszczenie z długim stołem. Stały przy nim trzy kobiety. Jedną z nich była Afrykanka o pomarszczonej skórze, która układała wzdłuż blatu liście palm kokosowych i kawałki sizalowego sznurka. Jej dwie towarzyszki były białe i młode. Śledziły uważnie poczynania swojej starszej koleżanki, próbując ją naśladować. Na widok pastora podniosły wzrok, obdarzając go promiennym uśmiechem. Agnieszka zobaczyła w tym spojrzeniu coś więcej niż tylko przywitanie: uległość, może fascynację?

– To moja brygada kobieca – powiedział pastor. – Właśnie szykują ozdoby z liści kokosowych, sprzedajemy je turystom podczas festynu w Chake Chake. Onigma – wskazał ręką na Afrykankę – jest ze mną od zawsze. A Karin i Emma to wolontariuszki, które przyjechały z Niemiec.

– Ciekawy sposób na wakacje – zagaiła Agnieszka, podając rękę Onigmat i Niemkom.

– To nie wakacje. – Młodsza z nich pokręciła przecząco głową. – Staramy się zrobić coś pożytecznego. I sensownego. W Europie jest z tym problem. Liczy się tylko kasa, ludzie nie wierzą już w nic. Tu jest inaczej niż na Ibizie.

Jakby słyszała Karolinę. Kiedyś. Wracaly pociągiem nie wiadomo skąd. I siostra się wtedy otworzyła, na krótką chwilę, której wtedy ona, Agnieszka, nie doceniła, bo nie wiedziała, że nie będzie już powtórki. Jej siostra zawsze była pełna sprzeczności: z jednej strony introwertyczna, z drugiej trochę afektowana i naiwna. Karolina mówiła wtedy, że ich pokolenie jest stracone. Nie ma w co wierzyć, polityka jest brudna, rządzi tylko pieniądź i kłamstwo. Najchętniej wyjechałaby z Polską Akcją Humanitarną budować studnie w Sudanie. Albo do misji katolickiej na koniec świata. Do misji? Nagle otworzyło się w jej głowie jakieś okienko, które do tej pory było zamknięte.

– Dziewczyny ciężko pracują na polu, uprawiamy tu maniok. – Tauben pogładził pieszczotliwie Emmę po policzku, a ta przekrzywiła ku niemu głowę jak dziecko. – Zajmują się kurnikiem, wynoszą odchody, szorują kościół, myją

podłogi, prowadzą zajęcia dla dzieci. Do tego pomagają Onigmie w kuchni. To naprawdę nie Baleary.

– Jak tu trafiłyście? – zapytała Agnieszka.

Karin otworzyła usta, ale pastor uprzedził ją z odpowiedzią.

– Raz do roku odwiedzam Berlin z cyklem wykładów o potrzebie rechrystianizacji Europy. Karin była na jednym z nich. A Emma odnalazła drogę do nas poprzez naszą stronę internetową.

– Dużo tu trafia takich wolontariuszek?

– Co roku ktoś się pojawia. Nie jestem w stanie im płacić. Zapewniam tylko spanie i wyżywienie. I jeszcze coś: poczucie przydatności.

– To naprawdę niezwykle, co tu robicie. – Agnieszka pokiwała z podziwem głową.

– Nie mnie to oceniać. Bóg wszystko widzi, to jedyny sędzia naprawdę sprawiedliwy.

Pastor zaprosił ją do kościoła. Panował tu przyjemny chłód. Dziura w witrażu wpuszczała do wnętrza snop światła.

– Dwa tygodnie temu nas zaatakowano. – Tauben spojrzął w górę.

– Kto?

– Nie wiem. Najprawdopodobniej islamiści. Większość mieszkańców Tanzanii to chrześcijanie, głównie katolicy, ewangelicy i zielonoświątkowcy. Ale tu, na wyspie jest inaczej. Dominuje radykalna odmiana islamu, nie brak też animistów. Zdziwiłabyś się, jak wielką rolę wśród tubylców odgrywają szamani i czarownicy.

– Dlaczego was zaatakowali?

– Bo ich zdaniem to ziemia Allacha. A chrześcijaństwo to wrzód, który należy bezlitośnie wypalić ogniem i żelazem. Dosłownie. I niechciana pamiątka po kolonializmie. Takie narzędzie białych, służące do uzależniania czarnych.

– A jest tak?

– Oczywiście, że nie. Tu, na Pembie czy na pobliskim Zanzibarze, jesteśmy kościołem uciskanych, jak kiedyś w czasach rzymskich. To nie Europa czy Stany. Widzisz ten znak ryby? – Wskazał jej rysunek wyryty nad skromnym ołtarzem. – To symbol skromności, cnoty i pokory. To dlatego takie dziewczyny z bogatych domów, jak Karin, Emma i wiele innych, szukają tu drogowskazu, nowego początku, sensu życia. Jak zwał, tak zwał. Rzecz w tym, że Europa jest totalnie zmaterializowana, zeświecczona, odwrócona tyłem do wszelkiej du-

chowości. Czytam Slavoja Žižka. Ma rację. Zachód stracił busolę moralną. Ciągłe powiększają się nierówności dochodowe. Bogaci są coraz bogatsi, biedni jeszcze bardziej ubożeją. Już Thomas Piketty przestrzegał, że ta niepokonwana chciwość doprowadzi nas do katastrofy. Jako rozwiązanie tego problemu proponował globalny podatek od zysków kapitałowych. Chrystus na pewno byłby za. Tylko że syty Zachód nie chce go płacić. Dlaczego? Bo ludzie nie potrafią już myśleć w kategoriach moralnych. Nową religią stał się konsumeryzm, relatywizm moralny i skrajny egoizm.

Obrzucił ją długim spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy te słowa robią na niej wrażenie, a ona z aprobatą pokiwała głową.

– Jesteś jak afrykański Savonarola.

– No, bez przesady. Jestem tylko prostym księdzem z doktoratem. Ale przecież nie przyszłaś tu, aby wysłuchiwać wykładów o Žižku i Piketty. I zagubionym Zachodzie, kroczącym ku przepaści.

– To prawda. – Agnieszka sięgnęła ręką do torby. – Poszukuję mojej siostry. Być może znajduje się tu, na Pembie. Może mógłbyś mi pomóc?

– Oczywiście. Zamieniam się w słuch.

– Będę wdzięczna.

Pół godziny później wracała do samochodu. Tauben pożegnał ją na progu kościoła.

– Z Bogiem, Agnieszko!

Westchnęła głęboko i przyspieszyła kroku. Kolejne rozczarowanie. Które to już podczas pobytu na Pembie? Czego zresztą się spodziewała? Cudu, z uwagi na miejsce? Słowa pastora ciągle rozbrzmiewały w jej głowie. „Nie, nigdy nie spotkałem, ani nie widziałem twojej siostry. Do misji na pewno nie dotarła. Kręte są ścieżki Pana, ale nie trać wiary. Wiara to nadzieja, a nadzieja to pokarm dla duszy. Zostaw mi to zdjęcie, popytam wśród swoich parafian...”

Tym razem wybrała drogę wzdłuż jeziora. Wąska ścieżka wiła się po czerwonej ziemi niczym porzucona szarfa. Doszła do małego cypla i zamierzała już skręcić, gdy nagle dobiegł ją niepokojący szmer. Początkowo wzięła go za odgłos wiatru, ale po chwili się powtórzył. Brzmiał jak ludzka modlitwa, jakieś wersy powtarzane w obcym, niezrozumiałym języku. Głosy dobiegały z małej wysepki na środku jeziora, porośniętej sitowiem. Ponad trzecinę wystawał jednak dach jakiejś chaty.

Spojrzała w kierunku kościoła i ujrzała postać pastora. Patrzył w jej stronę. Było coś nienaturalnego w tym spojrzeniu: długim, nieruchomym, badaw-

czym. Pomachała mu ręką i zбочzyła na podjazd. Wsiadając do samochodu, jeszcze raz obejrzała się za siebie. Taubena już nie było.

Po powrocie do Africa Beach wślizgnęła się do pokoju hotelowego. Marek już nie spał, widziała od tyłu jego nagie plecy pochylone nad laptopem.

– Wróciłam! – krzyknęła w przelocie, kierując się do łazienki pod prysznic.

– Jakoś mnie to nie zaskoczyło – mruknął, nie odwracając głowy.

– W sensie? – Przez chwilę walczyła z pordezwiąłym kurkiem.

– Pewnie chcesz zdążyć na lunch. Bo przecież nie dla mnie.

Smuga był nie w humorze, zdarza się – pomyślała. Kątem oka spojrzała na szufladkę w bambusowej toalecie. Była wysunięta. Wzięła do ręki opakowanie escitalopramu i policzyła tabletki. Codziennie tak robiła w tajemnicy przed Markiem. Bywały dni, gdy ich nie ubywało. Jednak nie dzisiaj.

Gdy wyszła z łazienki, już na nią czekał. Znała ten wymuszony uśmiech, przyklejony do twarzy. Tamto wróciło.

– Co robisz, gdy mnie nie było? – zapytała.

– Pracowałem.

– No tak. – Obrzuciła przelotnym spojrzeniem skłębione prześcieradła.

– Nie pytasz, jak mi poszło?

– Jak ci poszło? – Nareszcie na nią spojrzął. Miał cienie pod oczami.

– Sama nie wiem. – Usiadła w kucki na fotelu. – Odwiedziłam misję, to nie-daleko, dwadzieścia minut samochodem. Na pierwszy rzut oka wygląda imponująco. Uroczy kościółek w neogotyckim stylu, szkółka na świeżym powietrzu, kurnik z indykami, własna plantacja manioku. Robią dużo dobrego. No i pastor Tauben...

– Co z tym pastorem? – Spojrzął na nią uważnie.

– Charyzmatyczny, z doktoratem. Młody i jak wycięty z żurnala. Na pewno wie, jak zrobić dobre wrażenie. I je robi. A jednak coś jest z nim nie tak...

– Co masz na myśli?

– Dużo mówił o potrzebie powrotu do czystych źródeł. Do pokory, skromności i cnoty. Pokazywał mi rybę, znak pierwszych chrześcijan, wyrytą nad ołtarzem.

– To chyba dobrze. Można by wysłać do niego naszego ojca Tadeusza na staż pokutny.

– Nie o to chodzi. Jak na służę Chrystusa zbyt wiele w nim samouwielbienia. On nie mówił, ale głosił. Nie informował, ale perorował.

– Księża tak mają. Kazania to ich zawód.

– Być może. Jednak cały czas sprawdzał, jakie robi na mnie wrażenie. Niewątpliwie obdarzony jest charyzmą, ale sędzę, że używa jej do manipulowania ludźmi. Zastałam u niego dwie młode Niemki, Karin i Emmę, wolontariuszki. Obie śliczne. Wpatrywały się w niego jak w obraz. Był w tym jakiś rodzaj uwielbienia, ślepego oddania, może nawet fascynacji. Nie twierdzę, że erotycznej, ale jednak wyglądało to dziwnie. Młody atrakcyjny mężczyzna w markowych ciuchach i dwie superlaski, które porzuciły Ibizę na rzecz, odnalezionych na afrykańskiej wysepce, wartości. No właśnie, wartości czy samego Taubena? I jeszcze coś. Miałam też wrażenie, że mu się fizycznie podobam, tak jak kobieta podoba się mężczyźnie.

– Naprawdę? Jak to możliwe? – Smuga zrobił teatralnie wielkie oczy.

– To było słabe, Smuga.

– Żart.

– To nie żartuj. Mówię poważnie. Jest jeszcze coś. Te wolontariuszki, to, co mówiły... Tak jakbym słyszała Karolinę. Kiedyś w rozmowie ze mną użyła tych samych słów, jakby cytowała ten sam podręcznik dla zaangażowanych aktywistek i zbawicielek globu. Gadała o poszukiwaniu sensu życia, straconym pokoleniu, czy wreszcie o pracy w misji gdzieś na końcu świata.

– Myślisz, że zetknęła się z Taubenem? – Smuga potarł czoło.

– Nie wiem, ale to możliwe. Pastor sam wspominał, że rokrocznie odwiedza Berlin, to rzut beretem od Polski. Jego misja ma też swoją stronę internetową. To w ten sposób zwerbował jedną z tych Niemek. Karolina mogła do niego trafić także w ten sposób, poprzez sieć.

– Zapytałaś go o Karolinę? Pokazałaś mu zdjęcie?

– Oczywiście. Zaprzeczył, twierdzi, że nigdy jej nie spotkał. Ale miałam wrażenie, jakby się zawahał przed odpowiedzią. Może tylko tak mi się wydawało, sama nie wiem. – Zmarszczyła czoło. – Obiecał, że pokaże zdjęcie swoim ludziom z misji.

– Nie widzę powodu, żeby mu nie wierzyć. Markowe ciuchy u księdza to raczej plus niż okoliczność obciążająca.

– Wiem, a jednak coś mnie w nim niepokoi. Tak jakby nie był do końca szczerzy i ciągle grał przede mną opanowaną do perfekcji rolę. Sam mi kiedyś

opowiadałeś, jak duże znaczenie ma dla ciebie zwykle przeczucie i instykt. I że często waży ono więcej niż naukowy, laboratoryjny ślad.

– Tak mówiłem.

– No właśnie. Teraz to ja mam takie przeczucie, że coś tu jest nie tak. Jest jeszcze coś. Gdy wracałam do samochodu, zboczyłam nad jezioro koło misji. Usłyszałam dziwne głosy...

– Głosy? – Smuga spojrzal na nią sceptycznie.

– Jestem tego pewna, tak jakby ktoś recytował modlitwy w dziwnym języku. To był wielogłos, dobiegał z chaty na wyspie, widziałam tylko jej słomiany dach.

– Może rzeczywiście coś słyszałaś. A może to tylko złudzenie. Afryka jest pełna odgłosów i szeptów. Nie mogę tu spać.

– Może. – Nagle poczuła zmęczenie. – O której jutro wyjeżdżamy do The Aiyana Lodge?

– O świcie.

7.

Początkowo droga pięła się ku górze, mijali wzgórze, porośnięte bujną roślinnością. Gdzieniedzie, jak krowie placki, jaśniały niewielkie wioski, których dachy pokryte były słowiałą, łuszczącą się blachą falistą. Mijali przechylone tablice drogowe o trudnych do wymówienia nazwach: Mkanjuni, Kinyasini. Znowu zapowiadał się upalny dzień.

Raz musieli zatrzymać się na dłużej, przepuszczając na skrzyżowaniu karawanę wozów, ciągniętych przez woły, załadowanych owocami papai i batatami. Kierujący kawalkadą Afrykanin siedział na wozie nieruchomo, jakby wykuto go z kamienia. Miał na sobie spranego T-shirta z napisem *Manchester City*. Obrzucił ich długim, otwarcie wrogim spojrzeniem. W połowie drogi, w Gombani, przystanęli na kawę w przydrożnej kawiarence, odkrywając tam, ku swemu zaskoczeniu, okazały stadion piłkarski. Usługująca im kobieta, jak się okazało pochodząca z Mozambiku, podała im napar w dwóch różnych kubeczkach na wyszczerbionych talerzykach, ale się nie skarżyli. Kawa była esencjonalna, zaskakująco mocna i pobudzająca.

Oceaniczna bryza schładzała powietrze na wyżynie. A potem zjechali w dół i niemal natychmiast musieli podkręcić klimatyzację. Zmienił się też krajobraz na mniej zielony, a bardziej wypłaszczony i zbiegły, usiany szachownicą z poletek manioku.

– Wiesz, wczoraj przed kolacją zjrzałam z ciekawości do kuchni. Alan tam był, ale mnie nie widział – powiedziała Agnieszka.

– No i?

– Pracowały tam trzy kobiety, wszystkie starsze. Do każdej podszedł, podał rękę, powiedział coś miłego. Nie rozumiałam co, ale musiało to być coś zabawnego. To miły człowiek.

– Chyba tak. – Smuga zwolnił przed kolejnym zakrętem. – Wydaje się sympatyczny, na pewno może nam być pomocny. Zresztą nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Gapła wypowiadał się o nim w samych superlatywach.

– Skreślamy go z naszej listy podejrzanych? Europejczyków na wyspie pewnie nie ma zbyt wielu.

– Tego nie powiedziałem. Za mało o nim wiem. Pozory a rzeczywistość to dwie różne sprawy.

– Skąd wyniosłeś te mądrości?

– Z policji.

– Wyrzucili cię stamtąd.

– I tak bym odszedł. Bardziej mnie zastanawia wizyta tego Idiego Amina w jego hotelu.

– Mnie też, ale rozumiem, że facet musi żyć dobrze z władzą. Mimo wszystko jest tu tylko przybyszem. Poza tym jest okej. Chciałabym żyć tak jak on: na łonie natury, robiąc to, co się lubi. Nie musi nam pomagać, a jednak to robi.

– Fakt.

Smuga nauczył się ostrożnie oceniać ludzi. Wiedział, że doskonale potrafią się maskować i zakładać nawet najbardziej zdumiewające maski, aby skryć swe prawdziwe oblicze. Benesz miał jednak ten rodzaj kindersztuby, który wglądał na autentyczny. Może tak było, a może nie.

Konde wyrosło przed nimi nagle, wyłaniając się zza palmowego gaju. Osada była niewielka, kilka pobielonych budynków w arabskim stylu, pusty, teraz zakurzony plac targowy i jakiś urzędowy budynek z powiewającą przed nim tan-

zańską flagą i zakurczonym motocyklem, zaparkowanym przed wejściem. Pamiętali jednak o słowach Alana, który radził im zatankować samochód.

– To ostatnia czynna stacja benzynowa w drodze na północy wyspy – przestrzegał.

Stąd mieli tylko kilka kilometrów do The Aiyana Lodge. Dziurawa droga nagle zamieniła się w świeżo położony asfalt z równymi krawężnikami. Widocznie goście pana Blume zasługiwali na ten komfort.

Hotel był kameralny, nie przypominał luksusowych resortów, których wiele znaleźć można było na pobliskim Zanzibarze. Zaskakiwał za to rozległym obszarem, który obejmował. Biały budynek okolony był blankami, elegancki drewniany taras ciągnął się do samej plaży. Dookoła rozrzuconych było kilka bungalowów. Kilka młodych kelnerek bezszelestnie roznosiło kolorowe drinki z obowiązkową palemką w środku. Gdzieś z kuchni dobiegał korzenny zapach przypraw: goździków, curry i jakiejś nieznannej im przyprawy, wwiercający się w nozdrza.

Recepcjonistka na pewno nie była Afrykanką. I podobnie jak jej koleżanki z baru przy plaży, ołsniewała urodą.

– Witamy w The Aiyana Lodge. Jestem Tina. Świetnie, że Państwo do nas dotarli. Na pewno spędzicie u nas udane wakacje. Wszystko się zgadza. – Rzuciła okiem na monitor komputera. – Niestety macie państwo rezerwację na bungalow od strony basenu.

– Taki macie teraz ruch? – zapytał Smuga i spojrzał ponownie w stronę tarasu. Wszystkie kelnerki były białe.

– Chodzi panu o porę deszczową?

– Tak.

– To prawda, do właściwego sezonu jeszcze trochę i o tej porze na wyspie przebywa niewielu turystów. My jednak robimy różnicę. A to dlatego, że cieszymy się bardzo dobrą opinią. – Uśmiechnęła się recepcjonistka. – Poza tym na Zanzibarze robi się za duży tłok. Nie wszystkim się to podoba. A u nas naprawdę można wypocząć o każdej porze roku.

– To znakomicie się składa, zamierzamy dobrze się bawić. Prawda, kochanie? – zwrócił się do Agnieszki, która milcząc, rozglądała się dookoła, jakby zamierzała wyłowić gdzieś cień swojej siostry.

– O niczym innym nie marzę. – Wiedział, że wymusił na niej tę odpowiedź.

– O, widzę, że państwo z Polski? – Recepcjonistka spojrzała na nich z zainteresowaniem. – Można powiedzieć, że jesteśmy prawie krajanami.

– Tak?

– Pochodzę z Ukrainy.

– Wspaniale. – Agnieszka obdarowała ją najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów. – Może będziemy mogły usiąść kiedyś przy kawie i pogadać?

– W innej sytuacji chętnie, ale pan Blume zakazał nam tego typu kontaktów z przyjezdnymi. – Recepcjonistka nadal się uśmiechała, ale nie sposób było nie odnieść wrażenia, że coś się zmieniło.

– Zakazał? – Brew Agnieszki zawisła wysoko.

– Może użyłam złego słowa. – Tina uśmiechnęła się przeprasząco. – Pan Blume prosił nas o... wstrzeźliwość w wypowiedziach. Przynajmniej do zakończenia śledztwa w sprawie śmierci tej Polki.

– Polki? – Smuga z Agnieszką spojrzeli na siebie. – Słyszeliśmy, że chodziło o Czeszkę.

– Krążyły różne wieści. Nie wiem, nie pracowałam tu wtedy. Dla tutejszych Polka czy Czeszka, co za różnica. I tak nas nie odróżniają. Podobno to jednak była dziewczyna z waszego kraju. W każdym razie i tak już było za dużo plotek na ten temat.

– Plotek?

– Państwo wybaczą... – Recepcjonistka pochyliła głowę. – To potrwa jeszcze tylko minutkę. Na tarasie już czeka na państwa obsługa z drinkiem powitalnym.

– Oczywiście, rozumiemy – powiedział Smuga i odebrał klucz. – Czy jest szansa, aby porozmawiać z panem Blume?

– Każdego wieczoru wita nowych gości przy kolacji.

– Ale drinka przy barze ze mną chyba możesz wypić? Zapraszam – nie ustępowała Agnieszka.

– Oczywiście, jednego drinka jak najbardziej.

Agnieszka poczuła jakiś szmer za swoimi plecami. Odwróciła głowę. Boy w białym uniformie podjechał wózkiem bagażowym. Nie był Afrykaninem, rude kosmyki włosów wysuwały mu się spod czapki.

– Nasze bagaże? Oczywiście. – Wskazała mu ręką na ich plecaki.

Boy nie od razu zareagował. Intensywnie wpatrywał się w Tinę.

8.

Otworzyli drzwi do pokoju. Agnieszka weszła pierwsza i wycofała się natychmiast z cichym okrzykiem.

– Co się stało? – Smuga spojrział na nią zaniepokojony.

– Na ścianie jest jaszczur. Ogromny.

Smuga uchylił drzwi. Rzeczywiście do białej ściany przywierał płasko metrowy gad. Wyglądał jak blaszana płaskorzeźba, tylko oczy zdradzały żywe stworzenie. Widocznie dostał się do pomieszczenia przez otwarty taras.

– To mały waran.

– Wygoń go stąd.

Smuga rozejrzał się dookoła. Sięgnął po tyczkę opartą o chatę. Wrócił do środka i uderzył kijem o ścianę, tuż za ogonem gada. Ten zniknął niemal natychmiast, szorując brzuchem po terakocie tarasu.

– Masz zawsze zamykać drzwi od ogrodu! Zawsze! – powiedziała Agnieszka z naciskiem.

– Przecież kochasz przyrodę. Jesteś taka eko.

– Nie przeginaj.

W milczeniu rozpakowywali plecaki. Bungalow był nadszpiewanie duży, z wygodnym łóżkiem pod moskitierą i bambusowymi meblami. Duży wiatrak miał pod sufitem powietrze. Było chłodno. Dach ze sprasowanej słomy okazywał się niezłym izolatorem. Na trawniku przed bungalowem rosły dorodne krzewy bugenwilli.

– Myślisz, że to ona? – Agnieszka podniosła na niego umęczone spojrzenie.

– Co ona?

– Dobrze wiesz. Że to Karolina się utopiła?

– Nie myślę.

– Mówisz tak, by mnie uspokoić.

– Nie, po prostu nie wyciągam przedwcześnie wniosków. Jesteśmy na samym początku podróży w nieznane. To, że się tutaj znaleźliśmy, to przecież przypadek. Gdyby Benesz nam o nim nie powiedział, to nie mielibyśmy pojęcia o Blumie, The Aiyana Lodge, ani o tym wypadku sprzed lat. Nie wierzę w takie cuda. To po prostu zbieg okoliczności. W Afryce giną co roku dziesiątki turystów, w nieszczęśliwych wypadkach, utopionych w oceanie, czy po-

żartych przez dzikie zwierzęta. Dowiemy się więcej o tym wypadku, ale musisz zachować spokój.

– To trudne.

– Wiem, ale musisz być dla mnie wsparciem, a nie obciążeniem. Chciałem przylecieć tu sam, uparłaś się, pamiętasz? I jeszcze coś. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Nie jestem psychoterapeutą. Sam go potrzebuję. Nie wiem, czy nam się uda. Niczego nie obiecywałem ponad to, że będę bardzo się starał. To inny kontynent. Mają swoje własne piekło, sama widziałaś. Jesteśmy tu obcy i na nikogo nie możemy liczyć, tylko na siebie.

– Nie musisz się tak rzucać.

– Nie rzucam się. Mówię, jak jest.

– Wściekasz się, bo nie jesteś w formie. Liczyłam tabletki. To nie moja wina, że masz depresję.

– To było słabe, naprawdę. – Odwrócił się plecami. – Idę się przejść.

– Marek... – Ruszyła ku niemu, ale on był już na zewnątrz. Drzwi głucho zamotały o framugę.

9.

Stieg Blume nie miał w sobie nic z wikinga. Nie był rudy ani przesadnie wielki. Stał przed nimi szczupły sześćdziesięciolatek o wysportowanej sylwetce i długich, kruczoczarnych włosach, zaczesanych do tyłu i odsłaniających wysoko sklepione czoło. Na szyi miał jedwabną chustkę od Hermesa. Raczej przypominał francuskiego dandysa, bawiącego w Afryce niż Skandynawa. Uwagę zwracały jego oczy: żywe i połyskliwe, których nie spuszczał z Agnieszki.

– Witamy w The Aiyana Lodge – powiedział. – Mamy tu taki zwyczaj, przeniesiony z dawnej Europy, że właścicielowi przysługuje prawo pierwszej nocy z najpiękniejszą kobietą spośród nowych gości. Właśnie dokonałem wyboru i padło na panią. Mam nadzieję, że nie będziecie łamać tej uświęconej tradycji?

– Ależ skąd. Szanujemy tradycję. – Smuga zaprosił Blumego, aby usiadł. – U nas z kolei panuje taki zwyczaj, że to kobiety same wybierają sobie mężczyzn. Wiem, że to przesąd, ale tak jest.

– Jesteśmy na remis. – Roześmiał się swobodnie Blume. – Ale nie spytaliśmy o zdanie pięknej pani?

– Miewałam lepsze propozycje, panie Blume.

– Nie wierzę, ale na tym poprzestańmy. Powiało feministyczną Europą – powiedział i skinął na kelnerkę czujnie przyczajoną w pobliżu. – Jestem rozczarowany, bywałem kilka razy w Polsce i wyniosłem stamtąd przekonanie, że Polki lubią obcokrajowców.

– A my słyszeliśmy, że mieszka pan w Afryce, mimo iż nie lubi pan tego kontynentu – powiedział Smuga.

– Skąd te rewelacje? – Blume nie spuszczał oczu z Agnieszki.

– Od Alana Benesza. Zatrzymaliśmy się w jego ośrodku. Dzwonił w naszej sprawie.

– A, tak, rzeczywiście. No cóż, Benesz. Niebezpieczny typ.

– Niebezpieczny? Dlaczego?

– Nie wiadomo, co myśli.

– To chyba ostatnio częsta przypadłość – powiedział Smuga.

– Być może. – Blume skrzyżował nogi w mokasynach.

– To prawda z tą Afryką? – zapytała Agnieszka i skosztowała wina. Dawno nie piła tak dobrego Chardonnay. Pochodziło z RPA.

– Szczerze mówiąc, to półprawda. Ten hotel odziedziczyłem po moim bracie, Larsie. To on zadurzył się w Afryce już w młodości, był tu jednym z pierwszych białych biznesmenów. Ja prowadziłem firmę meblarską w Malmö. Dobrze mi szło, robiłem interesy z Ingvarem Kampradem, tym z Ikei.

– Słyszeliśmy co nieco o Ikei.

– Na pewno, Ingvar lubił wasz kraj. Chyba ogołocił Polskę z połowy drewna. A potem Lars nagle zmarł i odziedziczyłem po nim hotel na końcu świata. Nie byliśmy z bratem zbyt blisko, więc zapis w testamencie mnie zaskoczył. Nawet nie wiedziałem, gdzie ta Pemba leży. Powstało pytanie, co zrobić z jego afrykańskim biznesem. Przyjechałem, żeby sprzedać The Aiyana Lodge, ale po krótkim pobycie zmieniłem zdanie.

– Dlaczego? – Smuga uniósł kieliszek z winem do góry.

– Spodobało mi się tu. Jeśli spytacie, co konkretnie, to odpowiem, że wszystko: klimat, ocean, bliskość natury, prostota. Postanowiłem się wstrzymać ze sprzedażą, zwłaszcza że nie było żadnej satysfakcjonującej oferty kupna. A potem w Szwecji wszystko się zawaliło. Kamprad szukał tańszych dostawców, przeniósł swoje interesy do waszej choleryjnej Polski, moja firma pod-

upadła. I wtedy, niespodziewanie dla samego siebie, dokonałem roszady. Sprzedałem interes w Malmö i przeprowadziłem się do Tanzanii.

– Nie żałuje pan tej decyzji? – spytał Smuga i spojrzął na Agnieszkę. Byli razem, ale nadal siedzieli osobno, oddzieleni niewidzialną barierą po wcześniejszej kłótni.

– I tak, i nie. – Blume wygładził kant na białych spodniach. – Żyję tu, jak chcę. Interes się kręci. Mam wszystko, czego potrzebuję: piękne kobiety, dziką przyrodę i ocean. W tej kolejności. – Uśmiechnął się do Agnieszki. – Ale dostrzegam też minusy Afryki. Nieprawdopodobną korupcję, napięcia etniczne i religijne, które w każdej chwili mogą przeistoczyć się w krwawą pożogę. Także rasizm...

– Rasizm?

– Owszem, rasizm w najczystszej podręcznikowej postaci, skierowany przeciwko białym. Za powiedzenie „czarnuch” możesz pójść do paki, ale „białasem” to jestem częstowany na dzień dobry. Rozumiem, że to konsekwencja i odregowywanie lat kolonializmu, ale to nie tłumaczy wszystkiego.

– Europejczycy zachowywali się w czarnej Afryce fatalnie. To, co działo się w Kongo za Leopolda II woła o pomstę do nieba – powiedział Smuga. – Czytałem książkę Adama Hochschilda o kosztach pełnych poobcinanych kończyn. W ten sposób belgijscy kolonizatorzy karali Afrykanów za niechęć do niewolniczej pracy na plantacjach kuczuku.

– Też ją czytałem. Mocna rzecz. I rzeczywiście tak było, to hańbiąca karta. Ale po pierwsze Tanganika, Zanzibar i Pemba w niczym nie przypominały Konga. Może na początku ery kolonialnej, gdy rządili tu Niemcy. Później jednak nastali Brytyjczycy. Przypomnę, że to oni kilka dziesięcioleci wcześniej zakazali niewolnictwa^{2*}. Gdy przejęli niemiecką Afrykę Wschodnią, budowali drogi, porty, mosty i plantacje, wprowadzali nowe uprawy. Zaprowadzili rządy prawa, utrzymując kruchą równowagę pomiędzy Afrykanami z kontynentu a wyspiarzami. Mieli swoje za uszami, ale wciągnęli ten kraj na wyższy poziom. A co osiągnęli Afrykanie? Wszystko zniszczyli. Pierwszy prezydent Tanzanii, Julius Nyerere, chciał tu budować socjalizm. Socjalizm, wymyślony przez żydowskich myślicieli w Europie, chciał zaszcześcić na Czarnym Lądzie, kontynencie analfabetów i pastuchów bydła! Jezu! Przecież to musiało przynieść opłakane skutki.

– To kontrowersyjne tezy – powiedziała Agnieszka.

– Ale moje własne, mam do nich prawo. I weryfikowalne natychmiast, tu na miejscu. Wy, w Europie, od pewnego czasu chorujecie na poprawność polityczną posuniętą do absurdu. Nawet święta Bożego Narodzenia przerabiacie na Święto Drzewka. Jestem agnostykiem do szpiku kości, ale mnie to po prostu odrzuca. Bądź co bądź judeochrześcijaństwo to nasz wspólny fundament, tradycja kulturowa. Powinniśmy ją szanować dla zachowania własnej tożsamości. Tymczasem dbamy bardziej o wrażliwość imigrantów, plujących na naszą kulturę – niż o własną. Afrykanie ciągle uskarżają się na spuściznę kolonializmu. Jednak już ponad pół wieku rządzą się sami. I co osiągnęli? W Tanzanii siedmiu na dziesięciu mieszkańców żyje dziś poniżej progu ubóstwa, za półtora dolara dziennie. To gorzej niż za Anglików! Dlaczego? Bo nie potrafią zarządzać ani administrować własnym krajem. I jeszcze coś. Ciągłe zmuszają nas do przeproszania za kolonializm i niewolnictwo. Pomijam już fakt, że Szwecja nie miała kolonii, a nawet gdyby miała, to nie odpowiadam za czyny swoich przodków. Rzecz w tym, że fałszywie adresują swoje pretensje.

– To znaczy?

– Powinni je przede wszystkim kierować do Arabów, a nie Europejczyków. To arabscy kupcy i poganiacze zmajoryzowali rynek niewolników w osiemnastym i dziewiętnastym stuleciu. To oni ściągnęli do wschodniej Afryki w pogoni za zyskiem. I to oni pędzili, złapanych w interiorze Afrykanów do zbudowanych przez siebie faktorii i portów, gdzie ładowano ich na statki i wysyłano w świat. Biali stanowili tylko ostatnie ogniwo tego łańcucha. Ale tego nie przeczyta pan w liberalnych mediach. Wygodniej jest ciągle szczekać na białasów.

– Zauważyliśmy napięcia pomiędzy władzą a tutejszymi Arabami i Hinduśmami. Sami dostaliśmy rykoszetem – powiedział Smuga.

– No właśnie. Tutejsi mają inną optykę. Stare grzechy z czasów niewolnictwa nie rdzewieją. To jedna z przyczyn tych ciągle tłących się, etnicznych i religijnych waśni. Siedzimy tu na beczcze prochu. Na razie na Pembie jest relatywnie spokojnie, choć policja i wojska reżimowe zrobiły się ostatnio bardzo nerwowe. Pojawiła się partyzantka. Mam wrażenie, że lepiej to już było. A te konflikty będą tylko narastać.

– Dlaczego w takim razie pan stąd nie wyjedzie?

– Mów mi Stieg.

– OK. Jestem Marek, a to Agnieszka.

– Wracając do twojego pytania... Dokąd miałbym powrócić? Szwecji, którą pamiętam, już nie ma. Sztokholm opanowany jest przez imigranckie gangi,

chyba nie czułbym się tam najlepiej. W tym kontekście Tanzania ma swoje ewidentne zalety. Jakże? To najpiękniejszy kraj na świecie. Smak kokosa z rwanego z palmy jest tu niepowtarzalny. Ocean jest ciepły, a kobiety gorące. A ja mogę być tu kimś i żyć według własnych reguł. Ale dość już o tym. Teraz trzy zasady bezpieczeństwa, którymi częstuję każdego z moich gości.

– Pierwsze brzmi pewnie: tylko jeden drink wieczorem.

– To zasada zdroworozsądkowa, zwłaszcza w tropikach. Jeden wieczorny drink ma działanie wręcz medyczne: zabija bakterie, doradzał to sam Hemingway. Ja jednak podpowiadam, jak ochronić własną głowę. Wybieracie się także na stały ląd?

– To bardzo prawdopodobne.

– Okej. Pamiętajcie, to kraj dzikich zwierząt. Uważajcie nad rzeką za hotelem. W Tanzanii krokodyle uśmiercają przez pożarcie dwie osoby miesięcznie. Potrafią skakać do trzech metrów. Łatwym łupem są dla nich dzieci, myjące się i pluszczące przy brzegu.

– Notuję. – Smugę lekko drażnił ten paternalistyczny wykład „króla dżungli”, ale postanowił zachować ten sceptycyzm dla siebie.

– Wróg numer dwa to lwy. W ciągu ostatnich trzech miesięcy zabiły w Tanzanii osiemnaście ofiar. Gustują w ludzkim mięsie, bo człowiek spożywa dużo soli i smakuje jak chips. Reguła numer trzy – schodzimy z oczu słoniom. Potrafią wdrzeć się na podwórko, które staranują, jeśli są głodne i poczują owoce. Zabijają w furii i strachu człowieka, jeśli stanie im na drodze. I wreszcie hipopotamy, to one zabijają lub ranią najwięcej ludzi. Niebezpieczne są zwłaszcza w nocy. Potrafią staranować człowieka, jeśli poczują się zaniepokojone lub zagrożone.

– Nie ma co. Prawdziwy *paradise* – powiedziała Agnieszka.

– To Afryka, często dzika i nieujarzmiona. A teraz przejdźmy do rzeczy przyjemniejszych. Co was sprowadza na Pembe?

– Mamy konkretny cel. – Smuga położył na stole zdjęcie Karoliny. – Szukamy tej dziewczyny. To siostra Agnieszki.

– Dlaczego szukacie jej właśnie tutaj? – Blume wziął do ręki zdjęcie.

– Podobno dotarła tu pięć lat temu. I ślad po niej zaginał.

– To przykre, ale nadal nie odpowiedzieliście na moje pytanie. Dlaczego szukacie jej właśnie w The Aiyana Lodge?

– Szukamy jej nie tylko tutaj. Byłem na policji, sprawdzamy księgi meldunkowe hoteli w Chake Chake, przestudiowałem rubryki o wypadkach w lokalnej gazecie, rozpytujemy nawet w misjach chrześcijańskich. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia, żadnego tropu. Dlatego postępujemy trochę na oślep, z nadzieją, że natrafimy na jakiś ślad. Wyspa nie jest duża. Karolina musiała się gdzieś zatrzymać. Najpewniej w hotelu lub pensjonacie. Nie ma ich tu aż tak wiele. Poza tym to atrakcyjna dziewczyna, Europejka. Ktoś mógł ją zauważyć.

– Czym zajmujesz się zawodowo?

– Jestem prywatnym detektywem.

– To widać.

– Po czym?

– Nie wiem, po sposobie, w jaki zadajesz pytania. Z ciekawości, zabiłeś już kogoś?

– Dziwne pytanie.

– Taki deser przy Chardonnay.

– Może. Jednego.

– Żałujesz tego?

– I tak, i nie. Ale chyba zrobiłbym znowu to samo.

– Zaczynam się ciebie bać, Mr. Smuga. – Blume sięgnął po kieliszek.

– Tylko wtedy, jeśli masz coś na sumieniu, Mr. Blume.

– Składam się z samych grzechów. A jęzor mam czarny. – Roześmiał się Blume. – Na pewno pójde do piekła. Nie to, co twoja śliczna, młoda żona.

– Nie jesteście małżeństwem – powiedziała szybko Agnieszka.

– Tym lepiej dla mnie. – Blume puścił do niej perskie oko.

– Była tutaj czy nie? – Smuga poczuł zniecierpliwienie tą grą w półśłówka.

– Spokojnie, u nas życie płynie wolniej. Nie, nigdy nie widziałem tej dziewczyny. A zapamiętałbym, mam dobrą pamięć do pięknych twarzy.

– Dowiedzieliśmy się, że jakiś czas temu doszło tu do nieszczęśliwego wypadku. Zginęła młoda Polka...

– Skąd o tym wiecie? – Przez twarz Szweda przemknął cień.

– Benesz nam powiedział.

– Szkoda, że nie powiedział wam wszystkiego o sobie, zamiast kolportować bzdury. To był nieszczęśliwy wypadek. Dziewczyna przyleciała z Polski, wyraż-

nie szukała przygody. Musiała coś zażyć w pokoju hotelowym. Poszła się wykąpać w oceanie o świcie i to była fatalna decyzja. Znalaziono ją dwa dni później wyrzuconą na plażę, w odległości dwóch kilometrów od hotelu.

– Spędziła tę noc sama?

– Zawodowa ciekawość? – Blume upił tyk wina. – Nie muszę ci odpowiadać, ale zrobię to.

– Dziękuję, doceniam to.

– Przyleciała sama. Spędziła u nas raptem dwie noce. Nie śledzimy swoich gości, nie wiem, z kim spędziła noc. To był nieszczęśliwy wypadek, śledztwo policyjne to potwierdziło.

– Rozumiem.

– Pomyśleliście, że to była dziewczyna, której szukacie?

– Owszem, nie ukrywam, że taka myśl przemknęła mi przez głowę. – Agnieszka zauważyła, że od początku tej rozmowy Marek ją ignoruje, jakby indagował Blumego tylko we własnym imieniu.

– Nie, to na pewno nie wasza Karolina. Nazywała się Ewelina, nazwiska nie pamiętam, ze ski na końcu.

– Uff, w takim razie będziemy szukać Karoliny dalej. Możesz pokazać to zdjęcie obsłudze hotelu? Może ktoś coś?

– Oczywiście, zrobię to. Każę sprawdzić też na wszelki wypadek księgi mel-dunkowe. Ale to mało prawdopodobne, aby się u nas pojawiła nawet jako osoba towarzysząca. Osobiście witam wszystkich gości tak jak was.

– Dziękuję. Zatrzymamy się tu na kilka dni. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy pokręcili się po obiekcie i popytali też na własną rękę?

– Nie ufasz mi?

– Ufam tylko sobie. – Smuga starał się nie patrzeć na Agnieszkę.

– Przykro mi, ale muszę odmówić. Takie węszenie zasiałoby tylko niepokój wśród naszych gości. Przyjeżdżają tu, aby wypocząć i oderwać się od problemów, żadna chmurka nie powinna im przesłaniać nieba. Taką mamy zasadę i zamierzamy się jej trzymać.

– Zrobiłbym to dyskretnie. – Nie ustępował Smuga.

– Moja odpowiedź brzmi: nie. – W głosie Szweda pojawił się ostrzejszy ton. – Wypoczywajcie, ale nie psujcie wypoczynku innym.

– I jeszcze ostatnie pytanie, jeśli pozwolisz?

– Chyba przestanę cię lubić...

– Zatrudniasz dużo młodych, atrakcyjnych Europejek. Prawie w ogóle nie widać tu Afrykanek. Chodzą słuchy, że to ośrodek dla... hedonistów. – Smuga zawahał się przed chwilę.

– Gdzie tak słyszałeś?

– W CNN mówili.

– Dobrze. Żeby was uspokoić, nie, nie jesteśmy zakamuflowanym burdelem na Czarnym Łądzie dla zachodnich zboków. Bo o to pytasz, prawda? Taki mam po prostu pomysł na biznes. Mówiłem już. To ma być *paradise*, tropikalny raj. Moi goście zostawiają swoje kłopoty, stresy i zimne, wyrachowane żony w Nowym Jorku albo w Sztokholmie. Tu mają się zanurzyć w innym świecie, pełnym słońca, relaksu i seksu, jeśli im się poszczęści. Wiedzą, że spotkają tu młode, atrakcyjne kobiety. Ale moje hostessy same decydują o swoich wyborach. Do niczego ich nie zmuszam.

Przerwał, bo podszedł do niego ubrany na biało boy i zaczął mu szeptać coś do ucha.

– Muszę was pożegnać. – Blume podniósł się z miejsca. – Mamy problem w kuchni. I tylko pułkownik Kurtz^{8*} może go rozwiązać.

Oboje patrzyli za nim, jak znika w wejściu do budynku. Milczeli. Ciszę przerywał tylko stłumiony odgłos fal uderzających o głazy, którymi usiana była plaża pobliskiej laguny.

– Co teraz? – zapytała Agnieszka, przerywając ciężkie milczenie.

– Mimo wszystko powęszę tutaj trochę. Dyskretnie, po swojemu – odpowiedział. – Sprawdźę też dla pewności tę wiadomość o Ewelinie Ski. Pogoogluję trochę. Choć nie spodziewam się rewelacji. W tym przypadku kłamstwo miałyby krótkie nogi.

– Straszny z niego bufon i ksenofob. Te gadki o kolonializmie, Jezuu.

– Sam nazwał siebie Kurtzem. Nie ufam mu – powiedział Smuga. – Przekazał nam tylko to, co mieliśmy usłyszeć. Do tego wszędzie te młode dziewczyny. – Smuga obrzucił wzrokiem przechodzącą obok kelnerkę. – To jednak zastanawiające.

– Mam podobne wrażenia. Oślizgły typ. Miałam wrażenie, że cały czas rozbierał mnie wzrokiem.

Smuga nie odpowiedział, wpatrzony w linię palm nad ich głowami.

– Nie przeszkadzało ci to? – zapytała.

– Jesteś wolną kobietą, możesz robić, co chcesz.

– Przecież to nieprawda. Jestem twoja. Marek, to co powiedziałam wtedy...
Żałuję, wiesz, że tak nie myślę.

– Nie wiem, co tak naprawdę myślisz. Nigdy nie ukrywałem swoich słabości. Jestem, jaki jestem. Nie chcę być dla nikogo ciężarem.

– Marek...

– Nie wiem, jak się to wszystko skończy. Ale nigdy więcej nie licz moich ta-
bletek.

– Przyrzekam.

– Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć pewne rzeczy. Wrócimy do tego póź-
niej. Teraz skupmy się na poszukiwaniu Karoliny. Po to tu jesteśmy.

– Dobrze.

– Trzymajmy się wcześniejszego planu. Zostawię cię tu samą i zobaczymy,
jak na to zareaguje Blume. Posiedź w barze, poobserwuj jego gości. I może uda
ci się jednak pociągnąć za język tę Tinę. Miała jakiś strach w oczach, gdy mó-
wiła o tej topielicy z Polski.

– A ty?

– Odwiedzę posterunek policji na wybrzeżu. To oni prowadzili dochodzenie
w sprawie utonięcia Eweliny. Najpierw jednak pojedę do misji pastora Tau-
bena. Sprawdzę tę chatę na wysepce. Niepokoją mnie dziwne głosy, które sły-
szałaś. Wrócę za dwa dni.

– Będę czekała.

Nie odpowiedział.

10.

Wymknął się na godzinę przed świtem. W nocy musiało znowu padać. Liście
pobliskiego bananowca lśniły od wilgoci. Podjechał do bramy, zaryglowanej
zwykłą poprzeczką z bambusa i z zaskoczeniem odkrył, że pilnuje jej ciemno-
skóry strażnik. Nie widział go tu wcześniej. Ubrany był w białą kurtkę od nie-
określonego munduru i rozczłapane sandały. Na piersiach, niczym chlebak,
przewieszony miał karabinek AK 47. Echa partyzanckiej wojny docierały aż tu-
taj, na północny czubek wyspy?

– Poranna wycieczka? – Strażnik z trudnością podciągnął do góry po-
przeczkę.

– Tak jakby.

– Wraca pan dzisiaj?

– Nie wiem.

– Proszę uważać, na drodze niedaleko stąd separatysty ostrzelali wczoraj autobus.

– Okej.

Postanowił rozpocząć wyprawę od misji pastora Taubena. Droga była pusta, długimi światłami rozganiał mrok, wiszący nad wstążką asfaltu. Na prostych odcinkach wciskał pedał gazu, chcąc jak najszybciej dotrzeć do misji. Zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg. Jeszcze raz sprawdził lokalizację na Google Maps. Wszystko się zgadzało. Szersza droga prowadziła na wschód, w stronę hotelu Benesza. Wąska nitka, wiodąca na zachód, musiała prowadzić do misji.

Wjechał w kolczasty zagajnik i zostawił samochód w cieniu baobabu. Następnie wspiął się na grzbiet małego wzniesienia, za którym powinny leżeć interesujące go zabudowania. Dniało. Szara wata unosiła się coraz wyżej. Przed nim rozciągał się pas rzadkich zarośli. Za nimi wylinał się ceglany budynek misji i położonych jeszcze dalej szop i bungalowów. Na podjeździe stała furgonetka z bezwładnie zwisającą ku ziemi plandeką. Nigdzie nie było widać oznak życia. Smuga rozejrzał się uważnie dookoła. Po prawej ręce jaśniała ciemna ściana lasu. Nad drzewami dostrzegł jakiś podest, wyglądający jak ambona myśliwska. Spojrzał w drugą stronę i zatrzymał wzrok na lśniącej tafli jeziora. Wysepka zarośnięta była sitowiem i namorzynami. Agnieszka się nie myliła. Wyraźnie widział dach chaty z prasowanej słomy. Miał wrażenie, że trzcina przed chatą nagle zafalowała, tak jakby przeszedł tamtędy jakiś człowiek, ale nie był tego pewien.

Podjął decyzję. Schylił się i zbiegł po wzgórzu w stronę jeziora, kryjąc się za krzewami i przedzierając się przez zarośla z twardymi kolcami. W pewnym momencie syknął z bólu i zatrzymał się na chwilę. Kolec rozciął mu lewą dłoń. Obwiązał ranę chustką i podążył dalej. Był coraz bliżej. Jakiś wielki ptak hałasował, bijąc skrzydłami o nieruchomą tafle wody.

Dotarł do brzegu. Było cicho, słyszał bicie własnego serca. Ściągnął buty, spodnie i koszulę. Zrolował to zawiniątko, włożył do płóciennego worka i schował pod krzakiem. Następnie, znalezionym po drodze drągiem, zbadał grunt w jeziorze. Musiało być głębokie. Już po kilku metrach od brzegu przestał wyczuwać twarde podłoże pod kijem. Odrzucił drąg i zanurzył się w wodzie. Była przyjemnie chłodna. Płynął przez plamy zielonych rześ, unoszących się na po-

wierzchni. Po kilku minutach dotarł do brzegu wyspy. Ktoś wybudował tu prowizoryczny pomost: dwie deski przymocowane do słupów, wbitych w dno. Obok przycumowane było czółno, wydrążone z jednego pnia. Pomost na pewno był niedawno użytkowany. Wiodła od niego wąska ścieżka, wydeptana pośród wysokich, bujnych traw. Przeszedł jeszcze kilkanaście metrów i stanął zaskoczony zapachem życia. Wąska strużka dymu wiła się nad otworem w dachu chaty. Ta była zaskakująco obszerna, zbudowana z cegieł, wyrobionych z mułu, zwierzęcych odchodów i trawy. Widywał takie w wioskach masajskich na kontynencie. Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Brzeg, z którego przybył, barwił się już wschodzącym słońcem.

Nagle z chaty dobiegła go cicha pieśń: rzewna, pełna tęsknoty, jakiejś bolesnej skargi i dramatycznego napięcia. Niektóre frazy powtarzały się niczym refren. Zdziwiła go tonacja tych głosów, łagodnych i miękkich, kobiecych czy wręcz dziecięcych. Agnieszka nie miała omamów słuchowych, w tej chacie na pewno przebywali żywi ludzie. I nagle zakiełkowała w nim porażająca myśl, początkowo nieśmiała i nieopierzona jak przecucie, ale w ułamku sekundy zyskująca na prawdopodobieństwie. Czy pastor więził tych ludzi? Przetrzyzymał ich na wyspie z dala od ludzkich spojrzeń? Czy to możliwe, że przebywa wśród nich Karolina? Odrzucona, krnąbrna wolontariuszka, która pięć lat temu, w tajemnicy przed najbliższymi wybrała służbę w misji, a trafiła do afrykańskiego piekła? A potem przejrzała na oczy lub zdemaskowała prawdziwą twarz pastora Taubena i teraz za karę dogorywała w tym wyspiarskim łągrze? „Ma niewątpliwie charyzmę, ale używa jej do manipulowania ludźmi. Zastąpiła u niego dwie młode Niemki, wolontariuszki. Wpatrywały się w niego jak w obraz”. Niczym bumerang wróciły do niego słowa Agnieszki po wizycie w misji. Zasłona się rozdarła?

Podszedł do drzwi, mocarnych i zbitych z owalnych palików. Głosy się wzmogły, pieśń przelewała się przez szpary w murze. Pchnął drzwi, a one niespodziewanie uchyliły się ze zgrzytem na szerokość kilku palców. I wtedy zdarzyły się dwie rzeczy jednocześnie. Śpiew zamarł nagle jak ucięty nożem. Za plecami usłyszał szelest. Odwrócił głowę i ujrzał dwumetrowego Afrykanina, który właśnie wyprowadzał znad głowy cios czymś w rodzaju maczugi. Napastnik miał twarz pełną nacięć i blizn, połyskiwały w niej wrogo białka oczu. Smuga próbował zasłonić się ręką, ale było już za późno. Cios trafił go w skroń. Poczul, jak ziemia ucieka mu spod nóg, a powietrze nagle straciło swą przejrzystość, zaciągając się szarym woalem. Zachwiał się na nogach, kolejne uderzenie trafiło go w brzuch. Poleciał do tyłu, wyważając do końca drzwi chaty.

Ostatnim obrazem, jaki zabrał ze sobą, był widok dziwnych twarzy: wykrzywionych trwogą i białawych, jakby ktoś obsypał je kredowym pyłem.

Gdy się ocknął, leżał w jakiejś komórce cuchnącej zwierzęcymi odchodami. Poruszył się i niemal natychmiast poczuł kopnięcie w bok.

– Leżeć, białasie!

Czarny olbrzym pochylił się nad nim i schwycił go za gardło. Tak wygląda koniec? Nie było na co czekać. Teraz albo nigdy. Smuga wyczekał moment, a potem, dobrze wycelowanym kopnięciem obu nóg, trafił tamtego w jądra. Afrykanin zachwiał się, a następnie opadł na kolana. Na jego twarzy malowało się zdumienie. Smuga zerwał się na nogi, próbując wykorzystać moment chwilowej przewagi. Zaatakował nogą z półobrotu, wkładając w to uderzenie wszystkie swoje siły. Jego przeciwnik poleciał na wznak, niczym wielki kloc, wzbijając tuman kurzu. Jednak niemal natychmiast otrząsnął się i potrząsając wściekle głową, runął na Smugę. Przez chwilę przewalali się i kotłowali na ziemi, okładając się pięściami. Smuga miał świadomość, że to gra do jednej bramki. W parterze nie miał żadnych szans, nie mógł wykorzystać swojej zwinności. Przeciwnik przytłaczał go swoją masą. Detektyw podjął ostatnią próbę. Ten sposób zawsze przynosił efekt. Dwoma sztywno ułożonymi palcami z całą mocą uderzył Afrykanina w gałki oczne. Ten zawył i nagle sflaczał, jakby jego ciało straciło nagle całą swoją masywność. To był ten moment. Teraz uderzy olbrzyma pięścią w krtań, poczeka, aż tamten straci oddech, a potem narzuci mu na głowę worek z juty, leżący pod ścianą. Siądzie mu na piersi i będzie trzymał tak długo, aż tamten straci przytomność. Potem wybiegnie z tej matni, byle dalej stąd. Dotrze do wzgórza nad jeziorem, odnajdzie tobolek z ubraniem i pobiegnie na wschód w stronę samochodu zaparkowanego w lesie. A następnie wróci tu z ludźmi Alana i skończy ten cyrk z wielebnym pastorem w roli głównej.

Zacisnął pięść do uderzenia i wtedy ktoś wyważył drzwi do chaty. Nie zdążył zareagować. Tamci skoczyli mu na plecy, wrzeszczeli w jakimś narzeczu, okładali go pięściami, sprowadzili najpierw do parteru, a następnie wcisnęli mu głowę w piach. Trzymali go tak w żelaznym uścisku, dopóki Smuga nie zaczął charczeć i wierzgać konwulsyjnie nogami. Dopiero wtedy poluzowali uchwyt. Detektyw łapczywie oddychał, czuł ołowiany, rozpalony ciężar w piersiach. Piekły go oczy. Przekreślił głowę. Czarna pięść, która spadła na jego głowę przypominała pancerny młot. Znowu zapadła ciemność.

II.

Agnieszka ledwo zdążyła na śniadanie. Wmusiła w siebie tosta i plaster ananasa. Miała sobie za złe scysję z Markiem. Nie zachowała się najlepiej, powiedziała o jedno zdanie za dużo. To musiało go zboleć, może nawet upokorzyć. Cholera! – Odstawiła wystygłą kawę. Inna sprawa, że Marek też nie ułatwiał sprawy. Nie spodziewała się, że okaże się tak drażliwy.

Przez głowę przelatywały jej dziesiątki myśli: rozbieganych i sprzecznych, zderzających się ze sobą i powodujących tylko jeszcze większy mętlik. Podróż na Pembę na razie przynosiła same rozczarowania. Przylatując do Afryki, miała w głowie tylko jeden cel: odnaleźć Karolinę. Reszta wydawała się tylko dekoracją, nic nieznaczącym tłem. Pobyt na wyspie szybko zweryfikował ten ogład. Pemba żyła własnym życiem. Ugrzęźli w piekielku plemiennych waśni i napięć, na ich drodze wyrosli ludzie niejednoznaczni, jak Benesz, Tauben czy Blume, skrywający własne tajemnice. Przedzierali się oboje przez dżungłę pełną niebezpieczeństw i znaków zapytania. Pomyślała, że bez dwóch zdań zostali razem z Markiem poddani ciężkiej próbie: charakterów, cierpliwości i siły woli. Niezauważalnie narastał stres i zmęczenie, nic dziwnego, że doszło do wybuchu. Rzecz w tym, by ten pożar szybko zgasić, inaczej nie osiągną tu nic – a stracić mogą wszystko.

Wracając do pokoju, postanowiła zajrzeć na recepcję. Już z daleka zauważyła Tinę, pochyloną nad blatem. Pomachała do niej na powitanie ręką, ale Ukrainka ją zignorowała.

– Tina, miło cię widzieć – zagaiła, ale nagle głos uwiązł jej w gardle. Nie trudno było zauważyć, że na policzku recepcjonistki wykwitł siniak, który ta próbowała zatuzować grubą warstwą fluidu i pudru.

– Dzień dobry. – Tina ledwie podniosła wzrok.

– Stało się coś?

– Nie, dlaczego?

– Przestań, przecież widzę.

– A, to. Nie, to nic. Uderzyła mnie gałąź podczas joggingu. Zwykły wypadek.

– Rozumiem. – Agnieszka uznała, że dalsze dociekanie może przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. – Drink polepszy ci nastrój. Dasz się zaprosić?

– No, nie wiem. – Tina westchnęła, odkładając długopis.

– Nie daj się prosić. Do której masz dyżur?

– Do szesnastej.

– Wpadnę po ciebie. Jak pojawi się blondyna cała ubrana na biało, to będę ja.

– No dobrze. – W głosie recepcjonistki nie usłyszała entuzjazmu.

W pokoju sprawdziła pocztę w laptopie, podświadomie czekając na jakąś kolejną wiadomość od Karoliny. W skrzynce czekał tylko mail od matki. „Niepokoję się o ciebie. Wracaj jak najszybciej. Z tą Afryką to nie był dobry pomysł. Ojciec też tak uważa, znasz go zresztą. Wszyscy tu żyjemy od kilku dni tym dramatem młodej Polki na Kos”.

Zaintrygowana, weszła na stronę Onetu. „Dalsze rewelacje w sprawie Anastazji, Polki zgwałconej i zamordowanej na wyspie Kos. Choć mężczyzna z Bangladeszu, który został aresztowany przez policję grecką, wciąż nie przyznaje się do winy, to wiele poszlak wskazuje właśnie na niego. Według mediów trzydziestodwulatek sam sobie przeczy w zeznaniach. W jego domu – oddalonym o około 1 km od miejsca, w którym porzucono zawinięte w worek ciało Polki – znaleziono DNA i włosy ofiary. Ponadto na twarzy i dłoniach mężczyzny stwierdzono zadrapania, a na dłoniach – ślady walki. Sekcja zwłok potwierdza, że Anastazja była przed śmiercią torturowana. Ojciec zamordowanej 27-latkii w rozmowie z PAP powiedział, że jego córka była wspaniałą i ufną dziewczyną, ale znalazła się w złym miejscu i zaufała niewłaściwym ludziom”.

Informacje o Anastazji zajmowały połowę dziennego serwisu, wypierając newsy polityczne ze świata. „Zalew skandalicznych komentarzy w sieci” – czytała dalej. „Sama sobie winna”, „Dlaczego Polki wołają śniadych?”, „Miała jednego, wołała pięciu”, „Widziały gały, co brały”. Odsunęła gwałtownie laptopa od siebie, żalując, że w ogóle do niego zajrzała. Ludzie jednak są okropni. Gdzie jesteś, siostrzyczko? Co teraz czujesz, o czym myślisz? A może w tej właśnie kosmicznej mikrosekundzie jesteś myślami ze mną?

Zarzuciła na siebie plażowe pareo i postanowiła przespacerować się do baru na plaży. Marek prosił ją, aby miała oczy i uszy otwarte. Piasek parzył ją w stopy. Dwie monstrualnie duże rybitwy krążyły nad plażą, coraz bardziej zniżając lot. Usiadła na wysokim stolku i zamówiła mojito.

Jej przyście zwróciło uwagę pary trzydziestolatków, która okupowała stolik obok. Mężczyzna był atletycznie zbudowany i spalony na brąz. Uwagę przykuwał rozległy tatuaż na karku i plecach. Przedstawiał rycerza na spienionym koniu, z wyciągniętą przed siebie włócznią, przechodzącą aż na biceps. Próbowała odczytać napis, okalający tatuaż, ale siedziała pod złym kątem i musiała zrezygnować. Jego towarzyszka, długonoga piękność nieustannie wystawiała

twarz do słońca. Cała się świeciła: od grubo nałożonego kremu i złotej biżuterii: gustownych kolczyków i kolii na szyi. Przed nimi leżała amerykańska powieść „Dallas’63” Stephena Kinga, którą Agnieszka połknęła kiedyś w dwa wieczory.

– Świetna lektura – powiedziała Agnieszka po angielsku, wskazując palcem książkę. – Przez nią kiedyś spóźniłam się do pracy.

– Dopiero zaczynam – odpowiedziała kobieta, unosząc wyżej okulary. – Ale rzeczywiście wciąga.

– Fakt. Długo tu jesteście?

– Trzeci dzień.

– Ja dopiero przyjechałam. Mam nadzieję, że się nie zawiodę...

– Supermiejscówka.

– Dlaczego wybraliście właśnie The Aiyana Lodge?

– Wszystko mają tu w pierwszym gatunku. I spełniają najskrytsze marzenia. – Kobieta spojrzała porozumiewawczo na swego partnera.

– Tak? A jakie?

– Na pewno wiesz, o czym mówimy. Inaczej by cię tu nie było – włączył się do rozmowy mężczyzna.

– Aha – odpowiedziała, żeby zyskać na czasie. – Jesteście ze Stanów?

– Przeciwnie. Z Rosji. A ty?

– Z Polski. Uciekliście przed wojną?

Nie odpowiedzieli. Bez słowa podnieśli się z miejsca i bez pożegnania przemieśli na odległy kraniec baru. Dopiero teraz odczytała napis na plecach mężczyzny: *Sława rodzinie, sława Putinu.*

Dokończyła drinka i położyła się na jednym z plażowych szezlongów, krytych białym płótnem. Gości było niewielu. Przez chwilę wylapywała strzępy rozmów, by po chwili zasnąć snem sprawiedliwego. Gdy otworzyła oczy, słońce stało już wysoko. Przespała na plaży bite dwie godziny, jeszcze jej się to nigdy nie zdarzyło.

Kilka minut przed szesnastą zeszła do recepcji. Wcześniej ułożyła sobie w głowie plan rozmowy. Zamierzała pociągnąć Tinę za język. Miała nieodparte wrażenie, że Ukrainka z jakichś powodów źle się czuje w rajku Stiega Blume. Ku swojemu zaskoczeniu nie zastała jednak recepcjonistki. Za ladą stał poznany już wcześniej boy w białym uniformie, który odbierał ich bagaże.

– Szukam Tyny – powiedziała. – Gdzie mogę ją znaleźć?

– Przykro mi, ale nie udzielamy takich informacji.

– Informacji? Pytam tylko, gdzie jest ta dziewczyna? Byłyśmy umówione. To chyba nie jest tajemnica państwowa.

– Przykro mi. – Boy wzruszył ramionami, obrzucając ją przeciągłym spojrzeniem.

Odwróciła się, wzburzona, na pięcie. Za dużo sekretów, zbyt wiele dziwnych tajemnic, jak na zwykły hotel. Zresztą, czego się spodziewała po kolacji z Blumem? Jaki pan, taki kram. Poczekaj na powrót Marka, a potem przeszukają to dziwne miejsce od czubków palm do piwnic z Chardonnay. Do samych fundamentów i tak dokładnie jak to będzie potrzebne.

– Pułkownik Kurtz, Jezu – westchnęła. – Co za żenada!

Wyszła przed hotel. Minęły ją dwie starsze Afrykanki w hotelowych uniformach. W rękę trzymały wiadra i miotły. Kierowały się w stronę długiego baraku, który jak domyśliła się Agnieszka, mieścił mieszkania dla obsługi. W ułamku sekundy podjęła decyzję i pobiegła za kobietami.

– Przepraszam. – Zatrzymała je. – Mówicie po angielsku?

Starsza z nich przecząco pokręciła głową, na szczęście młodsza zareagowała.

– Ja mówić. Trochę.

– To super. Szukam Tiny, ona tu mieszka. – Wskazała ręką barak. – Gdzie?

– Tina? – Upewniła się młodsza z kobiet.

– Tak. Tina.

– Tu mieszkać. Prosto, tam. – Pokazała palcem wejście z napisem *Lion* nad drzwiami.

Poczekala aż kobiety się oddalą i podeszła do drzwi. Ku jej zaskoczeniu były uchylone. Weszła do środka i stanęła oniemiała. Szafa była otwarta. Wisiały w niej tylko gołe wieszaki. Niektóre leżały na ziemi, jakby ktoś je w popłochu opróżniał. Przez jasną terakotę podłogi biegło rdzawe pasmo. Przemknęło jej przez głowę, że takie ślady pozostawiłoby ciągnięte po podłodze zakrwawione i bezwładne ciało. Spojrzała na ścianę i serce jej stanęło. Widniał na niej odcisk zakrwawionej dłoni, stygmat czegoś strasznego i niewypowiedzianego, co stało się tu wcześniej. Dlaczego w tej właśnie chwili była tu sama?

– Ostrzegalem, żebyście nie weszli w moim ośrodku. Nie posłuchaliście. – Głos dobiegający zza jej pleców sprawił, że drgnęła jak rażona prądem.

Odwrociła się gwałtownie. Blume stał w progu, za nim widziała postać jakiegoś muskularnego Afrykanina tarasującego wyjście. W ręku trzymał pałkę. Dałaby głowę, że widziała na niej rdzawe bryzgi. Jeśli był jakiś archetyp matni, to ona właśnie się w niej znalazła.

12.

Drzwi skrzyknęły i uchyliły się na szerokość kilku palców. Przez powstałą szczelinę do wnętrza celi wdarł się promień słońca. Smuga zmrużył oczy porażone światłem. Pękała mu głowa, dotknął ręką skroni i cofnął palce unurzane we krwi. Miał wrażenie, że doskwiera mu wszystko: sam był jednym wielkim bólem.

Jak długo go tu trzymali? W ciemnym zamknięciu stracił rachubę czasu. To był ten sam, długi i feralny dzień, czy minęła już doba? Zabrali mu plecak z kórką i dokumentami. Był teraz zerem, anonimem bez tożsamości w rękach sadysty z koloratką – bezwzględnego i pozbawionego jakichkolwiek zahamowań. Poczuł ból w przegubach. Ręce skrępowali mu szorstkim sznurem. Więzy wrzynały mu się w skórę. Końcem języka zlizzał krew zastygłą na wargach. Śmierdział.

Drzwi skrzyknęły, uchyłając się szerzej. Olbrzym wszedł do środka i podszedł do Smugi. W ręku trzymał łańcuch.

– Wstawaj! – warknął.

Smuga nieporadnie podniósł się do pionu. Zachwiał się na nogach, szumiało mu w głowie. Afrykanin schwycił go brutalnie za ręce i pchnął pod ścianę. Następnie przeprowadził łańcuch pomiędzy konopnymi więzami i przymocował go do haka w murze.

– A teraz gadaj – powiedział.

– A gdzie dzień dobry? – Smuga przełknął ślinę w wysuszonym gardle. Zżerało go straszliwe pragnienie. Do tej pory nie dali mu ani kropli wody.

– Nie wkurwiał mnie, bandyto. Kto cię wynajął?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla siebie. Chcę rozmawiać z pastorem. To jakieś nieporozumienie.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw wyjaśnimy, kto cię przysłał. Handlarze?

– Handlarze? O czym ty bredzisz? Zawołaj pastora, natychmiast.

– Jeszcze będziesz mi tu rozkazywał, skurwielu? – Afrykanin uderzył Smugę na odlew w twarz.

– Chyba nie zostaniemy przyjaciółmi. – Smuga poczuł ciepłą krew na wargach. – A miałem cichą nadzieję. Jakoś dziwnie na mnie działasz, zwierzaku, ty.

– Zgrywasz bohatera? – Olbrzym przysunął się tak blisko, że Smuga poczuł jego nieświeży oddech. – Nie ty pierwszy. Ale źle trafiłeś, nie trawię takich jak ty. Właśnie dlatego pastor mi płaci – żebym utrzymywał tu porządek. I trzymał na dystans takie szczyry jak ty.

– Robisz wielki błąd, jestem turystą.

– Oszczędź sobie tych gadek. Wszystko wyśpiewasz, białasie, wszystko.

Olbrzym wyszedł na chwilę na zewnątrz. Po kilku minutach wrócił z emaliowanym wiadrem i blaszanym lejkiem w dłoni. Wiadro wypełnione było jakąś ciemną cieczą, po wierzchu pływały pokruszone liście jakiegoś zielska. Afrykanin postawił przyniesione przedmioty na ławie przed Smugą. Ten śledził te przygotowania spod wpół przymkniętych powiek. Co ten troglodyta mu szykuje? Chce go przytopić z głową w wiadrze? Prosta metoda, ale skuteczna. Tylko po co mu ten lejek? I dlaczego ciecz w wiadrze nie jest zwykłą wodą, której był tak spragniony?

Chwył był niespodziewany i bolesny. Olbrzym schwyił Smugę za włosy i jednym ruchem wpakował mu głowę do wiadra. Smuga nawet nie zdążył złapać powietrza. Ciecz była ciepła i smrodliwa. Szarpnął się to tyłu, ale uścisk nie zelżał. Przez chwilę jeszcze walczył, ale po kilkunastu sekundach odpuścił. Jeśli chcieli go zabić, to przecież nie w ten sposób? Po co by było tyle przygotowań? Wystarczyło zepchnąć go ze skały do wody albo roztrzaskać mu czaszkę pałką. Zakopaliby go na tym odludziu metr pod ziemią i zniknęłyby po nim wszelki ślad. Pomyślał o Agnieszce i jednak szarpnął głową.

W płucach nabrzmiewała mu ognista kula. Dusił się, ciemna ciecz przenikała przez jego nozdrza, uszy, wciskała się pomiędzy powieki, miał wrażenie, że wnika w jego ciało każdym porem i każdą możliwą szczeliną.

Poczuł szarpnięcie do góry. Jezu! Szeroko otworzył usta, łapiąc łapczywie powietrze. Teraz poczuł żelazne imadło na gardle. Jego prześladowca próbował wetknąć mu lejek pomiędzy zęby. Smuga usiłował je zacisnąć, ale Afryka-

nin drugą ręką ścisnął mu policzki z taką siłą, że Smuga mimowolnie szerzej otworzył usta. Brunatna ciecz wlewała się teraz wąskim strumieniem do gardła, brocząc mu szyję i pierś. Chcąc nie chcąc, musiał ją przełykać, aby uniknąć uduszenia. Miała dziwny, gorzkawy smak.

A potem opanowała go dziwna błogość. Nie czuł bólu. Miał wrażenie, że lewituje w tym parnym powietrzu ponad własnym, porzuconym ciałem. Czym go nafaszerował ten goliat? Narkotycznym roztworem z liści khatu²⁵? To świństwo dotarło już także do Polski, udając zieloną herbatę. Wiedział, że powoduje rozluźnienie, przyspieszenie rytmu serca i podniesienie ciśnienia krwi, a nawet halucynacje. Ostatecznie był ekspertem od tych spraw.

O to im chodzi, aby zmusić go do mówienia w narkotycznym delirium? Kiedyś przeczytał, że Afrykańczycy uprawiają tę roślinę, zbierają jej liście, a następnie wykorzystują jako środek relaksujący i podtrzymujący relacje między ludźmi na spotkaniach. Tylko że on nie był na towarzyskiej herbatce. A przynajmniej nikt go na nią nie zapraszał.

Omamy przyszły szybko. Przerażliwe obrazy tłoczyły się w jego głowie, na próżno szukając z niej ujęcia. Nadeszły także te, o których starał się zapomnieć. Oglądał tę scenę z góry, jakby go nie dotyczyła. Widział siebie, stojącego na balkonie jakiegoś obskurnego bloku. Słyszał własny głos, kierowany do kogoś we wnętrzu mieszkania.

– Chodź tutaj, Baniak. Muszę ci coś pokazać. – Skinął na niego ręką.

– Niby co?

– Coś, co tylko raz można zobaczyć.

Tamten początkowo nie zareagował. Dopiero ponaglony ruchem ręki pojawił się na balkonie. Był ujarany, leciało od niego nieprzetrawioną gorzałą. Oparł się rękoma o poręcz i spojrzał w dół.

– I co tu takiego niezwykłego? Leczcie telewizornię oglądając.

– To ten ostatni moment. Niepowtarzalny. Właśnie go oglądasz.

Tamten Smuga pochwycił Baniaka od tyłu za nogi i pchnął. Widział ze swojej wysokości, jak ten stukilowy kloc mięsa przez chwilę balansuje na poręczy. Ciszę rozdarł krzyk Baniaka. A potem runął głową w dół, próbując jeszcze uchwycić się szczebli balustrady. Zarejestrował widok jego butów, trzepoczących w powietrzu. Baniak leciał z szeroko rozpostartymi rękoma. Uderzył o beton, nawet nie wydając z siebie dźwięku. Było po wszystkim.

Obserwował, jak tamten Smuga wyciąga przed siebie dłonie i uważnie patrzy, czy nie drżą. Były nieruchome. Nie wiedzieć czemu poczuł, że jego także

przepelnia spokój. Zrobione. Tak trzeba było.

A potem napłynął inny obraz, początkowo niewyraźny i bezdźwięczny. Mała salka Biura Spraw Wewnętrznych przy Puławskiej. Jest duszno, ale nie otwierają okna. Trzech mężczyzn w mundurach za długim stołem. Kobieta z wysokim kokiem pod ścianą. To psycholog policyjny, ma czuwać nad tym, by egzekucja przebiegła bezboleśnie. I jak najszybciej, według z góry założonego scenariusza. No i on po drugiej stronie barykady. Ma założoną nonszalancko nogę na nogę, ale czuje walenie własnego serca w piersi.

– Czy prawdą jest, że spowodował pan upadek Romana Szczerskiego, pseudonim Baniak, o statusie świadka koronnego, z balkonu na szóstym piętrze bloku przy ulicy Trockiej, ze skutkiem śmiertelnym? – Siedzący pośrodku oficer każde wypowiedziane słowo podkreślał uderzeniem dłoni o blat stołu. Miał wypielęgowane palce.

– To był nieszczęśliwy wypadek – odpowiedział.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, komisarzu, że niezależnie od pedofilskich skłonności świadka koronnego...

– Skłonności? Ten troglodyta chwilę wcześniej zgwałcił swoją nieletnią pańsierbicę, a potem ciężko pobił konkubinę. To chyba nie jest normalne?

– To nie ma związku z przedmiotem dochodzenia. Proszę odpowiadać na pytania, a nie je zadawać.

– Oczywiście.

– Tak więc, czy jest pan świadomy, że niezależnie od pedofilskich skłonności świadka koronnego, jego śmierć storpedowała śledztwo o istotnym znaczeniu dla bezpieczeństwa publicznego? Dochodzenie, w które od lat, kosztem ogromnych starań i nakładów finansowych, ponoszonych przez skarb państwa, zaangażowanych było kilkunastu funkcjonariuszy policji?

– To pytanie retoryczne.

– Nie polepsza pan swojej sytuacji – powiedział siedzący dotychczas w milczeniu oficer po prawej.

– A jaka jest ta moja sytuacja? Można mi co najwyżej zarzucić niedopełnienie obowiązków i to też na siłę. Przyznaję, byłem w dziupli, to jest w lokalu służbowym na Trockiej w czasie, kiedy przebywał tam Baniak. Nie zaprzeczam też, że na chwilę straciłem go z oczu. Był ujarany i pod wpływem, są na to świadkowie. Wykazała to także sekcja zwłok, ledwo trzymał się na nogach. Wyszedł na balkon, ja w tym czasie przygotowywałem mu kanapki.

– Co takiego? – Obruszył się oficer z prawej.

– Kanapki, kurwa. Bardzo dbaliśmy o Baniaka. To przecież ważny świadek był. Takie były rozkazy, więc obchodziliśmy się z nim jak z jajkiem. Wracając do sprawy... Baniak musiał się wychylić zbyt głęboko przez poręcz. Pod blok podjechała taksówka, może to go zainteresowało. Usłyszałem tylko krzyk. Poleciał głową do dołu. Widziałem, jak przez sekundę balansował na poręczy. Nie mogłem nic zrobić. Moje zeznania są zresztą w aktach, macie je państwo przed sobą.

– Zaprzecza pan więc, że pomógł pan Baniakowi wyskoczyć przez ten balkon?

– Oczywiście, że zaprzeczam. Niby dlaczego miałbym to zrobić?

– To już ustali sąd, jeśli dojdzie do rozprawy. My próbujemy ustalić tylko faktyczny przebieg tego zdarzenia. Od pańskiej otwartości i szczerości, komisarzu, zależeć będzie ciąg dalszy tej sprawy.

– Więc zmierzajmy do brzegu.

– Mógł się pan kierować impulsem, który trudno później zrationalizować – powiedziała psycholog, wpatrująca się w niego intensywnie, tak jakby zdradzić go mógł jakiś nerwowy tik na twarzy. – Baniak był odrażającą postacią, pedofilem, damskim bokserem. Nie lubi pan takich typów, prawda?

– Pracuję w policji od kilku ładnych lat. Spotykam się na co dzień z dewiantami, ćpunami i mordercami. Zdążyłem przywyknąć.

– Pańska córka miała... doświadczenie z pedofilem. – Psycholog zawiesiła głos. – A potem stracił pan ją i żonę w wypadku samochodowym w czasie, gdy był pan w pracy, prawda? To dramatyczne wydarzenie o dewastujących skutkach dla psychiki. Ta trauma mogła rzutować na pańskie późniejsze postępowanie.

– Nie życzę sobie wyciągania moich spraw rodzinnych – powiedział dobitnie i spojrzął jej w oczy.

– Przykro mi, ale to konieczne. – Psycholog nie spuściła wzroku.

– Nie sądzę.

– Tak więc nie przyznaje się pan do winy i udziału w zejściu śmiertelnym Romana Szczerskiego?

– Nie przyznaję się. Nie ma żadnych dowodów mojej winy. To tylko domysły.

– Odnoszę wrażenie, że pan nie chce współpracować, komisarzu. – Pałeczkę znowu przejął ten ze środka. – Czy zdaje pan sobie sprawę, że ten brak szczerości może zniszczyć panu karierę? Był pan jednym z najlepszych oficerów dochodzeniowych. – Oficer trzepnął palcami w leżącą przed nim teczkę. Chce pan tego?

– Przecież już mnie pogrzebaliście – powiedział i wstał z miejsca.

– Proszę usiąść, jeszcze nie skończyliśmy.

– Wy może nie, ale ja tak.

Ktoś przerwał tę scenę, salkę przy Puławskiej nagle zalało światło. A potem lunął deszcz, lał się strugami ze stropu, z przeciekającego sufitu.

Ktoś szarpał go za ramię, ale nie była to pani psycholog. Otworzył ociężałe powieki i ujrzał przed sobą twarz olbrzyma. Nie był sam. Za nim stał młody mężczyzna w dżinsach.

– To on, pastorze. – Olbrzym wskazał oskarżycielsko palcem na Smugę. – Ten biały diabeł, który chciał ukraść nasze skarby.

– Wychodzę – wybełkotał, a głowa opadła mu ponownie na ziemię.

13.

Bała się, cholernie się bała, ale postanowiła nie dać tego po sobie poznać.

– Witam, panie Blume. – Przywołała na twarz najbardziej promienny ze swoich uśmiechów. – Ale mnie pan przestraszył.

Ta przemowa nie odniosła jednak pożądanego skutku.

– Kim właściwie jesteście? – Szwed nie spuszczał z niej oczu. – Ciągłe bruźdzenie. Ostrzegałem, prawda?

– To nieporozumienie, które zaraz wyjaśnię. Umówiłam się rano z Tiną, tą recepcjonistką...

– Wiem, kim jest Tina.

– Miałyśmy wypić drinka po jej pracy. Marek wyjechał na jeden dzień, czułam się osamotniona.

– Dokąd wyjechał? – Blume miał czujny wzrok.

– Do misji pastora Taubena na wybrzeżu.

Szwed dał znak ręką i jego towarzysz natychmiast zniknął, jeszcze w drzwiach sięgając po komórkę.

– No więc nie zastałam Tiny na recepcji, tak jak to było umówione. Zastępujący ją boy nie potrafił mi powiedzieć, co się stało. Postanowiłam ją odwiedzić w służbowej pokojarni.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jej szukać?

– Zapytałam dwóch sprzątaczek, które tamtędy przechodziły. Jedna starsza, druga młodsza. Może pan sprawdzić. Co tu się stało? – Postanowiła przejść do kontraktaku. Opuszczenie pokoju przez goryla z pałką dziwnie ją uspokoiło.

– Nie twoja sprawa. – Blume stał nieporuszony.

– A te ślady? Przecież to krew. Gdzie jest Tina?

– Nieporozumienie pomiędzy kochankami. To prawdziwe życie, nie telenowela.

Goryl wrócił, widziała jego błyszczącą od potu, tłustą twarz. Patrzył tylko na Blumego, jakby w tym pokoju nie było nikogo innego i jakby stanowił on jedyną punkt odniesienia. Nachylił się i powiedział coś do ucha pryncypałowi, a ten wolno skinął głową.

– Kassim, odprowadź panią do pokoju. I przypilnuj, by nie sprawiała już więcej kłopotów.

– Muszę do łazienki – powiedziała stanowczo.

Blume pokręcił przecząco głową.

– Natychmiast – powiedziała. – Naprawdę muszę.

– Pilnuj jej! – Blume po chwili wahania wydał polecenie Kassimowi.

– W toalecie i tak nie ma okien, sir.

– Przypilnuj i zaprowadź ją do jej pokoju. Niech jej dostarczają posiłki, dopóki jej kochaś nie wróci.

Weszła do mikroskopijnej łazienki. Kassim został za drzwiami, nie pozwolił ich zamknąć. Faktycznie, nie było żadnego okna, tylko dlatego jej pozwolili. Usiadła na sedesie i sięgnęła po komórkę. Wybrała numer do Marka i wysłała przez WhatsAppa wiadomość. „Jestem w niebezpieczeństwie. Wracaj!” W napięciu wpatrywała się w wizjer. Miała nadzieję, że zobaczy dwie niebieskie kreski, zwiastujące odebranie wiadomości. Nie odebrał. To było niepokojące. Umawiali się jeszcze na lotnisku na Zanzibarze, że będą ze sobą w stałym kontakcie. I że odbierają wiadomości natychmiast. On także znalazł się w kłopotach?

– Wyłaź! – Kassim walnął pięścią w drzwi.

Odkręciła kran, żeby zyskać na czasie. Skasowała wysłaną wiadomość w pamięci swego telefonu. I tak poszła już w świat. Wyszła na zewnątrz, Kassim spróbował schwycić ją za rękę.

– Precz z łapami! – krzyknęła.

Afrykanin spojrział na swego pryncypała, a ten skinął przyzwalająco głową.

– Idź do swego pokoju, a nie stanie ci się nic złego.

– To tak traktujesz swoich gości? Nie ujdzie ci to na sucho, Blume. Nie odpuszczę, zawiadomię polską ambasadę i napiszę o tym wszystkim w internecie. Skończy się dobra renoma.

– Nie sądzę – odpowiedział spokojnie. W rękę trzymał jej paszport, najwidoczniej znaleziony w szufladzie podczas jej nieobecności. – Zabrałeś jej komórkę?

Kassim ruszył ku niej nagle i wyrwał jej torebkę. Wyciągnął z niej telefon i podał go Blumemu. Ten pokręcił z dezaprobatą głową i przez chwilę przewijał zawartość komórki, sprawdzając połączenia.

– Przynieś mi jej laptopa. A potem zanieś wraz z paszportem do mojego biura. Zostaw wszystko na biurku. Jeszcze raz to przestudiuję.

– Nie odważysz się.

– Nie wiesz, do czego jestem zdolny, ślicznotko. Łączy nas więcej, niż ci się wydaje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?! – Szarpnęła się ku niemu.

– Dowiesz się. Obiecuję. – Położył palec na ustach.

Kassim popchnął ją brutalnie w stronę drzwi.

14.

Wzdrygnął się. Strumień zimnej wody podziałał na niego pobudzająco. Wyprowadzili go na zewnątrz. Poczul falę gorącą. Po jeziorze majestatycznie pływał flaming. Jego jaskrawo różowe pióra skrzyły się w słońcu. Wyglądał surrealistycznie w tej sytuacji, miał wielkie ludzkie ślepia, którymi nieustannie wodził za Smugą.

Polewali go wodą z wielkiego wiadra. Wraz z wodą ściekało z niego zmęczenie i brud ostatnich dni. Dali mu się napić. Łapczywie łykał wodę, wielkimi haustami, wlewając ją do gardła. Powoli wracało mu czucie w dłoniach, narkotyki jeszcze krążyły we krwi, ale powoli przestawał działać.

– A teraz proszę, jak na spowiedzi. – Pastor przysunął się bliżej i usiadł na pieńku. – Co pan tu robi? Dlaczego zakradł się pan do naszej misji niczym złodziej?

Smuga odpowiadał krótkimi zdaniami. Ciągłe szumiało mu w głowie. Tauben słuchał uważnie, z charakterystycznie przekrzywioną głową. Cała ta sytuacja wydała się Smudze równie absurdalna co nierzeczywista. Spowiedź czy raczej przesłuchanie na brzegu jeziora. Dziwny pastor z sadystycznym osiłkiem za plecami. Fluorescencyjny flaming na jeziorze. Te upiorne, białe twarze w chacie. Czy mignęła mu wśród nich twarz Karoliny? Nie pamiętał, to był ułamek sekundy.

– A więc twierdzi pan, że jest partnerem pani Agnieszki, która odwiedziła nas przed kilkoma dniami? – Pastor nie spuszczał z niego oczu. Nie zdradzał żadnych emocji.

– Twierdzę.

Gdzieś obok zaczął grać jego skonfiskowany telefon. Wiadomość na WhatAppie. Agnieszka?

– Oddacie mi telefon.

– Nie teraz. Jeszcze nie skończyliśmy.

– A może pan odwołać tego goryla?

– To była rasistowska uwaga.

– Nie bardziej niż „białas”, którym poczęstowano mnie na przywitanie. Nie mówiąc już o podtapianiu, pojeniu na siłę narkotycznym gównem i ciosie pięścią. Trenujecie tu boks? Macie na to czas oprócz klepania pacierza?

– To zachowanie usprawiedliwione okolicznościami. Muszę mieć pewność, że nie przyszedł pan tu we wrogich zamiarach. To sprawa życia i śmierci, panie Smuga. – Pastor wolno wertował jego paszport, podany mu przez olbrzyma.

– O czym pan mówi? Zostałem napadnięty na terenie misji. Uwięziony, pobity. Na koniec wiano we mnie jakiś afrykański kwas, pewnie khat. Jeśli Jezus to widzi, to ma pan u niego przejebane, pastorki. Zresztą u mnie też.

– Uporządkujmy tę rozmowę, panie Smuga. To pan, nieproszony, o świcie wdarł się na teren misji. Dlaczego nie zapukał pan po prostu do drzwi?

– Po tym, co Agnieszka zauważyła na wyspie, wolałem sam sprawdzić, czy jej podejrzenia są słuszne. Mówiła panu, szukamy jej zaginionej na Pembie siostry. Agnieszka jest podejrzliwa, żyje w stresie, co zrozumiałe. Ta chata na wyspie wzbudziła jej niepokój. Słyszała dobiegające stamtąd błagalne głosy. Chciałem tylko sprawdzić, kogo przetrzymujecie w chacie.

– Przetrzymujecie? – Pastor zacisnął wargi.

– Jak to inaczej nazwać? Wyspa odgrodzona od stałego ładu, chata ukryta w szuwarach. I brutalny strażnik, mający wszystko na oku. Jestem detektywem, potrafię kojarzyć fakty. Kogo pan tam przetrzymuje?

– Nie przetrzymuje, ale chroni.

– Chroni?

– Dobrze pan słyszał.

– Co to znaczy?

– Niech pan się sam przekona. Zapraszam. – Ksiądz wskazał mu ręką chatę.

Szli gęsiego, pochód otwierał pastor, a zamykał olbrzym. Nadal dzierżył pałkę w rękę. Smuga bił się z myślami. Czy to nie kolejny podstęp? Jego niepokój zelżał, ale nie na tyle, żeby poczuł się bezpieczny po tym, co przeżył w ostatnich godzinach.

Doszli do chaty. Smuga najpierw poczuł zapach ludzkiego potu, jaki powoduje stłoczenie większej liczby ludzi na małej powierzchni. Potem dobiegł go szmer głosów, ale inny niż poprzednio, mniej modlitewny i elegijny. Weszli do środka. Detektyw potrzebował chwili, by przyzwyczaić oczy do panującej w chacie szarości. Dopiero po chwili zaczął rozróżniać ludzkie kształty. Było ich kilkanaścioro, same dzieci, kilka nastolatek. Zebrani na pewno się różnili między sobą, ale jedno rzucało się w oczy: wszyscy wyglądali mało afrykańsko. Mieli białe włosy, jasny odcień skóry i czerwonawe tęczęwki oczu. Na widok obcego cała ta grupa zbiła się w jedną, trwożną gromadkę.

– To albinosi – wyszeptał Smuga ze zdumieniem.

– Właśnie odkrył pan naszą tajemnicę – powiedział pastor.

Uwadze Smugi nie uszło, że stłoczone dzieci uśmiechają się do Taubena. Pomyślał, że ofiary raczej nie reagowałyby tak przyjaźnie na widok swego ewentualnego oprawcy.

– Trzymacie tu dzieci chorujące na albinizm? – zapytał.

– Nie inaczej – odpowiedział poważnie pastor.

– Dlaczego?

– Ratujemy im w ten sposób życie.

– Jak mam to rozumieć?

– Całkiem dosłownie. Tanzania to kraj przesądów i magicznych obrzędów.

Tubylcy wierzą, że organy albinosów wykazują magiczne moce⁵.

– Chodzi o ich organy?

– Tak, podobnie jak o skóry jaszczurek lub lwów, zęby guźców, strusie jaja, ogony małp lub osłów i ptasie łapki. Ten utrwalony przez wieki zabobon szerzą głównie tutejsi czarownicy i znachorzy. Dlatego ludzie polują na albinosów. Ucinają im kończyny, uśmiercają i wrywają organy wewnętrzne. Traktują tych nieszczęśników jak dawców magicznych organów.

– Trudno w to uwierzyć. – Smuga patrzył wstrząśnięty na dzieci.

– Ale tak niestety jest. Pod koniec grudnia na północy kraju porwano czteroletnią albinoską dziewczynkę. Nadal nie udało się jej odnaleźć. W połowie tego uprowadzono osiemnastomiesięczne niemowlę. Wkrótce znaleziono jego ciało – dziecku amputowano ręce i nogi. A na początku marca kilku uzbrojonych mężczyzn zaatakowało sześciolatniego chłopca i odcięło mu dłoń.

– To straszne.

– Takie są tutejsze realia. Sądzę zresztą, że fala tych ataków ma związek ze zbliżającymi się wyborami, w których kandydaci chcą zapewnić sobie zwycięstwo poprzez magię. – Tauben przytulił najbardziej wrywające się do niego dziecko. – Policja zatrzymała już ponad dwustu czarowników i znachorów w ramach operacji, mającej powstrzymać ataki na albinosów, których organom przypisywane są magiczne moce. Zatrzymania trwają od połowy stycznia. Nie mam jednak złudzeń, że te nieludzkie ataki nie ustaną, bo wpisane są od wieków w tutejszą subkulturę.

– Dlatego otworzyliście dla nich podwoje misji?

– Więcej. Jeździmy po całej wyspie, namawiamy rodziny albinoskie, aby przekazały nam swoje dzieci, przynajmniej na jakiś czas, dopóki ta wyborcza fala nie opadnie. Zapewniamy im opiekę i dach nad głową. Trzymamy to w sekrecie, inaczej tajemnica nie byłaby tajemnicą. Otaczają mnie wyłącznie zaufani ludzie, tacy jak Joseph. – Wskazał olbrzyma, a ten odpowiedział mu uśmiechem odsłaniającym całe dziąsła.

– Być może źle go ocenilem – powiedział Smuga.

– Nawet na pewno. A jednak dwa tygodnie temu zauważyliśmy na brzegu grupkę uzbrojonych ludzi – kontynuował pastor. – Nie wiem, czy coś wyęszyli. Musimy być jednak ostrożni, bardzo ostrożni. Gdyby nie my, najprawdopodobniej te dzieci zostałyby zabrane rodzicom i prędzej czy później zabite lub w okrutny sposób okaleczone. Czy teraz pan rozumie, dlaczego musimy mieć oczy dookoła głowy?

– Jasne, przykro mi, że sprawiłem wam kłopot.

– A ja przepraszam, że Joseph potraktował pana jak intruza. Szkoda, że akurat mnie nie było. Inaczej nie doszłoby do całej tej sytuacji.

– Nic się nie stało. Posmakowałem khatu. Mam wprawę w degustowaniu różnych preparatów. Jeden więcej nie robi różnicy.

– Joseph chciał zmusić pana do mówienia. Jeszcze raz przepraszam. A na khat proszę uważać, jest bardzo uzależniający. Już po kilku dawkach ludzie odczuwają narkotyczny głód.

– Jasne.

– Co pan teraz zamierza?

– Wyruszę w drogę powrotną. Najpierw poproszę jednak o zwrot dokumentów, kluczyków do samochodu i telefonu.

– Oczywiście. – Pastor skinął ręką na Josepha.

Wyszli z chaty. Flaming zniknął. Słońce wydobywało teraz całą brzydotę tego krajobrazu. Płaski, błotnisty brzeg, rozpruty worek ze śmieciami, porzucony w trawie. Wyschnięte na wiór drzewo, kłaniające się ku równie suchej ziemi. Na brzegu wyczuwał dziwny zapach: rozkładających się odpadków, opuszczenia i beznadziei. Sięgnął po telefon i nagle drgnął, wyraźnie poruszony. „Jestem w niebezpieczeństwie. Wracaj!”.

Są takie dni, o których chce się jak najszybciej zapomnieć. Ten najwyraźniej jeszcze się nie skończył.

Rozdział VII

Gdziekolwiek jesteś

Zanzibar, Pemba, czerwiec 2023

I.

Kassim odprowadził ją do bungalowu. Czują jego wzrok na swoich plecach. Rozgrzane kamienie parzyły przez podeszwy sandałów. Teren nagle opustoszał. Nigdzie nie widziała turystów ani obsługi. Tak jakby nagle wszyscy, na rozkaz demonicznego Szweda, rozplynęli się w tym falującym powietrzu.

Afrykanin wszedł do jej pokoju.

– Siadaj, suko! – warknął.

– Jak śmiesz, chamie! – Czują, jak ogarnia ją wściekłość.

– Jeszcze słowo, a zamknę cię w piwnicy. Pełno tam węży, zrozumiałas?

Trzymała hardo głowę, ale postanowiła odpuścić. Drażnienie Kassima nic nie dawało, a jedynie pogarszało jej sytuację. Kassim metodycznie przeszukiwał ich pokój, wywalał na podłogę rzeczy z szuflady. Przez chwilę prowokacyjnie grzebał w jej bieliźnie. Nałożył na palec jej biustonosz, jakby oceniał jego wielkość. Wiedziała, że pożera ją wzrokiem głodnego psa, ale nie dała mu tej satysfakcji i nie spojrzała na niego. Następnie wrzucił do worka jej laptopa i notes z biurka, w którym Marek zapisywał swoje uwagi.

– Wróć jeszcze do ciebie – powiedział, stojąc już w drzwiach, i oblizał grube, mięsiste wargi.

– Precz! Spróbuj tylko mnie tknąć! Moja ambasada wie, gdzie jestem. Pewnie już mnie szukają. Europejki nie znikają bez śladu – powiedziała i dopiero po chwili dotarła do niej absurdalność tej wypowiedzi.

Roześmiał się kpiąco i zamknął za nią drzwi.

Znalazła się w odosobnieniu, które nazwać można by aresztem domowym. Zabrali jej komórkę i laptopa. Nie mogła opuszczać pokoju, choć miano dostarczać jej posiłki. Blume najwyraźniej czekał na powrót Smugi. Nie wie-

działa, jakie ma wobec nich zamiary, ale nie spodziewała się po nim niczego dobrego. „Łączy nas więcej, niż ci się wydaje”. Te złowrogie słowa tłukły się niczym giez po jej głowie. Czy dotarła do jądra prawdy, czy to kres ich afrykańskiej eskapady? Czy Karolina znajduje się gdzieś tu w pobliżu, zamknięta w dusznej piwnicy, skazana na zboczone zachcianki Blumego i jego bogatych klientów? Jak tu trafiła? Zwabił ją do pracy w hotelu? A może uwiódł ją podczas jednego z pobytów w Europie? Sam wspominał, że kilkakrotnie odwiedzał Polskę. Młoda, trochę egzaltowana dziewczyna mogła paść łatwym łupem takiego zawodowego żigolaka. Zawsze zakochiwała się nie w tych chłopakach, co trzeba.

Agnieszka miała wryte w pamięć słowa Alana Benesa: „Krażą słuchy, że ściga je tu z całego świata, dla własnej wygody, ale też dla przyjemności swoich bogatych gości. Mówi się, że The Aiyana Lodge to zakamulowany burdel, a sam Blume to po prostu rajfur wysokiej klasy, który z własnej nieposkromionej chuci uczynił sposób na życie”. Zagryzła wargi do krwi. Chciało jej się wyć, bezradnie uderzyła głową o ścianę. Marku, gdzie jesteś? Teraz gdy wreszcie przybliżyła się do prawdy, pozostała sama, zdana tylko na siebie. Bała się, że ta sytuacja ją przerośnie, już kilka razy traciła panowanie nad sobą, zżerana przez trawiący ją niepokój i stres.

Podeszła do okna tarasu. Po drugiej stronie siedział boy z recepcji. Wpatrywał się w jej okno, miała wrażenie, że widzi jego ciemne, skupione oczy. Na jej widok poruszył się.

2.

Zajechał na podjazd Africa Beach i zahamował z piskiem opon obok skrzyni z pomarańczami. Alan Benesz już na niego czekał na schodach hotelu.

– Byłem już w drodze do Chake Chake, gdy zadzwoniłeś – powiedział i zbiegł po schodach.

– Alan, potrzebuję pomocy!

– Co się stało?

– Agnieszka jest w niebezpieczeństwie, dostałem od niej wiadomość. – Pokazał ją Alanowi.

– Spokojnie, nie wiadomo jeszcze, o co chodzi. – Benesz z zafrasowaniem wpatrywał się w komórkę.

– Znam Agnieszkę. To odważna i rezydentna dziewczyna. Nie wywoływałyby fałszywego alarmu. Co się stało...

– Poczekaj...

– Poza tym umówiliśmy się jeszcze w samolocie, że wysyłamy takie alarmy tylko w razie wyraźnej potrzeby. To jest takie S.O.S. Chyba miałeś rację co do Blumego. Od początku mi się nie podobał.

– Rozumiem. Co mogę zrobić?

– Potrzebny mi kanister benzyny, żeby nie musiał szukać stacji po drodze. To tylko sto kilometrów, ale jechałem z powrotem na oparach.

– Wejdz na chwilę, odpocznij. Strasznie wyglądasz.

– Nie mam chwili do stracenia. Daj mi tylko świeżą koszulę i ładowarkę do telefonu. Wpadnę po rzeczy do pokoju. Wykąpię się i opatrzę te rany.

– Nie wyglądasz dobrze. Ktoś powinien cię obejrzeć, najlepiej w szpitalu w Chake Chake. Mam tam znajomego lekarza, zadzwonię.

– Dam radę. Nie ma czasu na pierdoły. Po drodze zadzwonię na komendę policji i poproszę o interwencję. Przekręcę też z samochodu do naszego konsulatu.

– Zostaw to mnie. – Benesz przywołał Ahmeda, który nagle wyrósł jak spod ziemi i przez chwilę przekazywał mu polecenia. – Po tym, co mi opowiadałeś, po ostatniej wizycie na komisariacie nie należysz do ulubieńców komendanta Chipaku.

– No nie. Na piwo razem raczej nie pójdziemy.

– Właśnie. Ahmed zaraz przyniesie rzeczy. Przebierz się i gnaj do The Aiyana Lodge. A ja poruszę niebo i ziemię. Biorę na siebie policję. Mam dobre relacje z władzami, dbam o to.

– Zauważyłem.

– Tak trzeba, taki tu mamy klimat. Poproszę, by wysłano patrol do hotelu Blumego.

– Dobrze.

– Jak dobrze pójdzie, to policjanci będą czekali tam na ciebie pod hotelem.

– Na wszelki wypadek zadzwoń też do konsula.

– Dobry pomysł. Rozmawiałem z nim kiedyś, poproszę, żeby zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Taki nacisk z Dodomy, na pewno dodatkowo zmotywuje komendanta Chipaku do działania. To nigdy nie zaszkodzi.

– Nie zapomnę ci tego.

- Nie chraźń. Trzeba sobie pomagać. Weź ze sobą Ahmeda.
- No nie wiem... – Smuga nie wyglądał na przekonanego.
- Przyda ci się. Mam do niego zaufanie. Jest bystry i silny. A przede wszystkim jest stąd, mówi tutejszym narzeczem, zna lokalne realia. Jako szef ochrony hotelu ma też pozwolenie na broń. Dam mu gnata. Nie podejrzewam, żeby musiał z niego korzystać, ale uzbrojony strażnik ci nie zaszkodzi.
- Dobrze więc. A my będziemy w kontakcie.
- Masz moje słowo.
- Daj mi znać, jak już będziesz po telefonach do komendanta i konsulatu.
- Okej.
- Lecę do pokoju.
- Tak jak prosiłeś, zatrzymałem go dla was. Nic nie zmienialiśmy, chyba nie było nawet sprzątaczkki.
- Dzięki. Ruszamy za kwadrans.
- Ahmed będzie gotowy.

Rolety w pokoju zostawili spuszczone, a jednak trudno było w nim oddychać. Klimatyzator pozostawał wyłączony. Smuga rzucił okiem na łóżko. Równy posłane prześcieradło, centralnie ułożona poduszka. Pomyślał o Agnieszce i ścisnęło mu się serce. Nazywał ją czasami Agula Pedantula. Nie lubiła bałaganu. Zawsze ścieliła posłanie, dbając by poduszka leżała symetrycznie pośrodku łóżka. Tej ostatniej nocy spali razem, ale oddzielnie. Jak dwoje obcych sobie ludzi. No tak, nigdy nie wiesz, czy coś nie zdarza się po raz ostatni.

Potrzasnął głową, musiał wziąć się w garść i otrząsnąć z tych ponurych myśli. Agnieszka miała tylko jego. Fakt, nie wszystko pomiędzy nimi było jasne i ustalone raz na zawsze. To uczucie potrzebowało czasu i przestrzeni. Stracił kiedyś wszystko to, co kochał i dobrze wiedział, że śmierć nigdy nie zwraca swoich ofiar. Strata była nieodwracalna, a próba jej wypełnienia wydawała mu się jedynie żalosną uludą, z góry skazaną na niepowodzenie. Dlatego miewał później kobiety, ale nie partnerki. Nigdy nie zostawały w jego życiu na dłużej, nie zatrzymywał ich. Z Agnieszką było inaczej. Miała nie tylko urodę, ale także klasę, charakter, wrażliwość i ten rodzaj czupurnej hardości, która uwodziła go zawsze najbardziej. Do tej pory w tych przypadkowych kobietach szukał odbicia swojej żony. Agnieszka świeciła własnym, nikomu nieskradzionym blaskiem.

Pendrive z szuflady, bielizna, nóż kupiony na drodze za lotniskiem zaraz po wylądowaniu. Wrzucił wszystko do plecaka i obrzucił czujnym spojrzeniem pokój. Czy jeszcze kiedyś razem tu wrócą? Wziął szybką kąpiel. Woda w kolo-rze rdzy splukiwała z niego krew i zmęczenie. Spryskał rany Octeniseptem i zakleił plastrem zranioną skórę. Spojrzał w lustro. Patrzył na niego poczer-niały na twarzy facet z głębokimi cieniami pod oczami. Wyglądał jak awatar, ludzki worek treningowy, którego przeznaczeniem było odbieranie ciosów i li-czenie nieustannych porażek.

Pięć minut później byli już gotowi. Ahmed czekał na niego przy samocho-dzie. Umieścili kanister w bagażniku. Benesz kazał dorzucić zgrzewkę wody i kosz z bananami. Ahmed bez słowa usiadł z tyłu samochodu.

– Powodzenia, Marku! – Głos Alana został zagłuszony przez warkot silnika, zostając gdzieś z tyłu, na spalonym słońcem podjeździe.

Jechali zatopieni w milczeniu. Smuga wpatrywał się w drogę. Musiał uwa-żać i co chwilę zdejmować nogę z gazu. Szosa była wąska, wiła się leniwymi zakosami ku górze, odsłaniając zaśmiecone pobocza. Waląły się tu odpadki, wypatroszone konserwy, plastikowe torby, strzępy gazet, a nawet gęsie pierze, wirujące w rozgazanym powietrzu i osiadające na szybie samochodu niczym abstrakcyjne, afrykańskie śnieżynki.

Za Gombani musieli zwolnić. Poruszali się teraz tempem żółwia. Mijali po-ganiaczy, pędzących bydło środkiem jezdni i tragarzy, ciągnących wózki wy-pełnione włóknami rafii. Smuga widział ich żyły na czole, nabrzmiałe niczym postronki.

– To dzień targowy – odezwał się, milczący dotychczas, Ahmed. – Dlatego na drodze jest większy ruch.

Smuga spojrzął w lusterko i obrzucił go spojrzeniem. Duży, mocny mężczy-zna. Miał w ruchach pewną oszczędność i skupienie, cechujące ludzi świadomych swojej siły. Widział jego muskularne ramiona i korpus, jakby wyrzeź-biony z jednego pnia sandałowego drewna. Tacy faceci zarabiali na wiejskich jarmarkach zginaniem podków palcami. Nie musiał tej krzepy demonstrować na zewnątrz, wystarczyła świadomość, że ją miał. Smuga początkowo podcho-dził sceptycznie do propozycji Alana, ale teraz poczuł, że dobrze zrobił, godząc się na obecność Ahmeda. Nie wiedział, co go czeka w The Aiyana Lodge, raczej nic dobrego. Taki pomocnik mógł okazać się wsparciem na wagę złota.

– Dobrze mówisz po angielsku – powiedział do Araba.

– Kończyłem szkołę przy klasztorze św. Józefa na Zanzibarze, prowadzoną przez angielskie zakonnice. Tę samą, do której uczęszczał Farrokh Bulsara.

– Kto?

– Freddie Mercury.

– Tak? Myślałem, że pochodził z Indii.

– Nie, urodził się w Stone Town na Zanzibarze. – Ahmed pokręcił głową. – To jego rodzice byli Parsami z Indii.

– Ciekawe.

– Niegdyś Zanzibar i Pemba były rajem. Dopóki władzy nie przejęli czarni i wszystkiego nie spierdolili.

– Co masz na myśli?

– To były nasze wyspy: Arabów, Gudżaratów, Hindusów. Ludziom się tu dobrze żyło. Czarni też tu mieszkali, ale zawsze w tle, na drugim planie. Łowili ryby, sprząтали w naszych domach, pracowali na plantacjach. Widocznie Allah tak chciał. Rządzili Anglicy, ale naszym prawdziwym panem był sułtan. A potem w 1963 przysłała niepodległość i wszystko się zmieniło. Czarni sięgnęli po noże. Zanzibar i Pemba spłynęły krwią. Sułtan uciekł do Omanu. Całą władzę przejęli tamci.

– To było dawno temu.

– Nigdy się z tym nie pogodzimy. Nie zapomnimy przelanej krwi. Ta wyspa należy do nas. A imię Allacha jest święte.

– Niedawno spotkałem niejakiego Meera, Gudżarata.

– Spotkałeś Meera? To człowiek widmo. – Ahmed rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Powiedzmy, że mu pomogłem. On również mówił o walce, o odzyskaniu wyspy. Tylko że dla Gudżaratów.

– Mamy tych samych wrogów, ale inne cele. Poza tym to ziemia islamu. Allah akbar!

– Trochę to skomplikowane.

– To Pemba.

Za radą Ahmeda przezornie jechali bocznymi drogami, chcąc uniknąć kontroli drogowych. Smuga po raz wtóry wykręcił numer do Agnieszki. Jej telefon nadal milczał. Spojrzał na zegarek. Jak dobrze pójdzie, za półtorej godziny dojadą do The Aiyana Lodge. Patrol policji powinien tam już na nich czekać. Miał nadzieję, że nie stało się nic naprawdę złego. Był bliski rezygnacji z całej tej

afrykańskiej eskapady. Może odbierze Agnieszkę i namówi ją do powrotu do Europy? Pojadą prosto na lotnisko i opuszczą tę przeklętą wyspę. Wystarczy. Trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć: dość. Inaczej można nie zyskać nic, a stracić wszystko.

Przed nimi był dłuższy odcinek prostej drogi. Dodał gazu, czując, jak kamyki uciekają spod kół, szorując po podwoziu. Jeszcze trochę jazdy i będzie po wszystkim. Wojskowy jeep wyłonił się nagle. Stał w poprzek drogi za zakrętem. Nie sposób go było ominąć.

– Kurwa! – Smuga uderzył ręką o kierownicę. – Znowu? Ile można?

Na asfalt wysypało się kilku żołnierzy w mundurach moro. Mierzyli do nich z automatów.

– Stać! – Słyszał komendy wydawane w suahili.

– Może jednak spróbujemy? Uderzę na pełnym gazie w tył jeepa i przejeździemy. – Spojrzał na Ahmeda. – Nie mamy czasu na kolejne przesłuchania i korowody.

– Zabiją nas – powiedział Ahmed. – To jednostka specjalna do zwalczania partyzantki. Mają złą sławę. Najpierw strzelają, potem pytają.

Smuga z rezygnacją wcisnął hamulec. Potrzebny był Agnieszce żywy, nie martwy.

3.

Agnieszka leżała kilka godzin w bezruchu w zaciemionym pokoju. Miała wrażenie, że balansuje na granicy snu i jawy. Wymęczony organizm domagał się odpoczynku, opadały jej powieki, jakby były z ołowiu, ale pobudzona wyobraźnia długo nie pozwalała jej usnąć. Wpatrywała się w wiatrak pod sufitem, miarowo mielący powietrze i liczyła uderzenia własnego serca. Dochodziła do stu i zaczynała od początku. Wreszcie usnęła.

Nie wiedziała, jak długo spała. Wydawało jej się, że ledwie przed chwilą zamknęła powieki, gdy wybudził ją szmer dobiegający zza pleców. Leżała skulona na boku. Odwróciła gwałtownie głowę i nagle poczuła czyjaś rękę na swojej szyi. Śmierdziała potem i jakimiś ostrymi przyprawami.

– Ani drgnij, suko... – Dobiegający ją głos był zimny i bezosobowy. Boy wpatrywał się w nią oczami z poszerzonymi źrenicami. Nigdy by o nim nie pomy-

ślała, większym zagrożeniem wydawał jej się Kassim. Musiał być podniecony, widziała, jak szybko oddycha i jak unosi mu się pierś.

– Czego chcesz? – wycharczała, próbując złapać oddech.

– Dobrze wiesz czego, suko. Nie masz wyboru, inaczej wiesz, co się stanie, prawda?

Czuła jego ręce na sobie, twarde i nieubłagane, rozdierające jej bluzkę, sięgające pod prześcieradło. Usiadł jej na nogi, ciężko dyszał. Jezu, pomóż! Zmusiła się, aby nie ulec panice.

– Wiem – powiedziała, kiwając wolno głową. – Ale nie zrobisz mi krzywdy? – Musiała zyskać na czasie.

– To od ciebie zależy. Pospiesz się. – Oddychał coraz szybciej.

Gorączkowo macała powietrze, próbując znaleźć stojący na stoliku spray przeciwko insektom. Gdzie on się podział, do cholery? Szumiało jej w głowie, z trudnością trzymała nerwy na wodzy.

– No już! – ponaglił ją.

Jest, nareszcie! Zamknęła palce na sprayu i odwróciła się w stronę swego prześladowcy. Celowała prosto w oczy, w te zaślepione kratery pełne żądy, nienawiści i przemocy. Niemal fizycznie czuła, jak żrący strumień trafia go w białka. Smuga zawsze jej tłumaczył, że gałki oczne to najsłabszy punkt przeciwnika. Teraz miała okazję to sprawdzić.

– Kurwa! – ryknął głośno i odskoczył do tyłu. Tylko na to czekała. Kopnęła go w kolano, a mężczyzna z jękiem zwałił się na podłogę.

– Zabiję!

Chwyliła za lamkę nocną stojącą na stoliku. Celowała ciężką podstawą w skroń boya. Niestety ten wyczuł jej zamiar i minimalnie odchylił się do tyłu. Metal zazgrzytał tylko na jego obojczyku. Mężczyzna przekręcił się na boku i już po sekundzie był na nogach. Runął na nią całą masą swego osiemdziesięciokilogramowego cielska.

Jeszcze nie widział zbyt dobrze, prychnął i wycierał lzy płynące mu z oczu, ale wiedziała, że straciła swoją szansę. Przez chwilę przewalali się skotłowani po podłodze, obijając się o sprzęty. Nie zamierzała tanio sprzedać skóry. Wierzyła nogami i gryzła go po rękach do krwi. Wrzeszczała przy tym na cały głos, wzywając po angielsku pomocy. Tego też uczył ją Marek: jak cię zaatakują, rób jak najwięcej hałasu. Nigdy nie umieraj, milcząc. Walczyła więc zażarcie, do ostatniego tchu, a gdy usiadł na niej wreszcie, wymierzyła mu cios prosto

w twarz, odnalezionym na podłodze kawałkiem potłuczonego abażura. Mężczyzna ryknął i odsunął się gwałtownie do tyłu, uderzając głową o ścianę.

– Ty zdrażciecka kurwo – usłyszała jego głos jak zza mgły. – Zapłacisz za to.

W świetle księżycy błysnęło ostrze noża. Był długi i zakrzywiony jak arabski kindżał. Mężczyzna drugą ręką schwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy.

4.

Smuga miał wrażenie déjà vu. Już raz to przerabiali. Ludzie w mundurach, krzyki, poganianie, czeluście łuf przytykanych do czoła, wypychanych w usta, miażdżących zębra. Tyle że tamci, zaraz po przyjeździe na Pembę, pochodzili z policji. Teraz miał do czynienia z wojskiem. Jak twierdził Ahmed, z patrolem jednostki specjalnej, przysłanej z kontynentu dla zwalczania separatystów. Za jeepem, w cieniu rachitycznych akacji stała półciężarówka.

– Nazywam się Marek Smuga. Jestem turystą z Polski. Z Unii Europejskiej – odpowiadał, sam nie wierząc, że może to coś zmienić.

Wysoki oficer w ciemnych okularach uważnie przeglądał jego paszport. Czy oni wszyscy noszą tu okularki w stylu Tonton Macoute^{10*}? I czy przez nie coś widzą?

– Jedziemy do The Aiyana Lodge na północy – ciągnął dalej Smuga. – Moja narzeczona jest w niebezpieczeństwie. Muszę się tam dostać bez zbędnej zwłoki.

Oficer nawet nie podniósł oczu znad dokumentu.

– Już po raz drugi jestem zatrzymywany bez powodu na wyspie przez siły bezpieczeństwa. Zapewniano mnie przed przylotem, że Pemba to przyjazna wyspa, a Tanzania to bezpieczny kraj, gościnny dla turystów z Europy. Jestem przekonany, że władzom w Dodomie na pewno zależy na renomie w Europie.

– Zamknij się! – powiedział krótko oficer i schował paszport Smugi do kieszeni.

– Pan chyba nie zrozumiał...

– Zabrać ich! – Dowódca skinął ręką na żołnierzy.

Rozgrzana blacha w półciężarówce parzyła skórę. Burty wymazane były rudą mazią. Krew czy ropa? Brakowało powietrza, tak jakby czerwone słońce

wiszące nad ziemią, wyssało z niej cały tlen.

Mały konwój wyjechał na szosę, kierując się w stronę Chake Chake. Otwierał go jeep, dalej podążała półciągarówka z aresztantami pod strażą, a kolumnę zamykał jeden z żołnierzy na zwykłej motorynce, próbujący dotrzymać tempa kawalkadzie.

Droga była opustoszała. Nagle zniknęli z niej pasterze, prowadzący stada bydła i tragarze. Mijali pojedyncze chaty i wiaty, kryte liśćmi palmowymi. Zbliżali się do ostrego zakrętu. Smuga pomyślał, że to ostatnia okazja, by uwolnić się od niechcianej eskorty. Mógłby wyprostowanymi nogami kopnąć w twarz, siedzącego w kucki naprzeciwko niego, żołnierza. Potem przetoczyłby się przez burtę i zniknął w gęstwinie lasu. Boczny drogami dotarłby do Africa Beach i rozpoczęłyby wyprawę na północ od nowa. To było realne, tyle że bezsensowne. Zabrali mu paszport, a bez tego dokumentu nigdy nie opuściłby wyspy. Nie mówiąc już o tym, że tamci by nie odpuścili. Nie wyglądali na takich. Rzucił spojrzenie w stronę eskortujących go żołnierzy. Mieli ponure, obojętne twarze. Jeden z nich żuł jakieś zielsko w ustach. Khat?

Znali jego personalia. Na pewno rozeszłaby za nim list gończy i uznali go za zbiega. Prędzej czy później by go złapali i postawili przed sądem. Zgniłby w jakimś klaustrofobicznym, dusznym więzieniu, w celi z przestępcami, dla których byłby naturalnym celem i chłopcem do bicia.

„Jestem w niebezpieczeństwie. Wracaj!” Zacisnął bezsilnie pięści. Agnieszka! Teraz gdy go najbardziej potrzebowała i gdy, być może, jej życie było zagrożone, on siedział pod bronią w wojskowej furgonetce, wiozącej go w nieznaną. Skąd znał to uczucie bezradności? Czyż nie była to kolejna kobieta, którą zawodził na całej linii? Z jakiego powodu przytrafiło się to właśnie jemu? Dlaczego tracił kobiety, na których mu naprawdę zależało i których los spoczywał w jego rękach? Był napiętnowany jakimś kurewskim fatalizmem, naznaczony pechem? A może ktoś, tam na górze, zagiął na niego parol, zamieniając jego życie w ciąg przypadków i katastrof? Mimowolnie sięgnął do kieszeni. Wymacał tabletkę, zawsze miał taką na wszelki wypadek. Miała gorzki smak, przelknął ją z wysiłkiem.

Po półgodzinie dotarli na miejsce. Niewielki fort umiejscowiony był pod miastem, w kotlinie otoczonej gajem z bananowców i kilku baobabów. Pochodził zapewne z czasów kolonialnych. Piaskowe mury pobudowano z bloczków wypełnionych gliną, żwirem i trawą. Wszystkie obramowane były blankami, co bardziej nadawało im wygląd pustynnych cytadel Legii Cudzoziemskiej gdzieś na Saharze niż byłych koszar brytyjskich.

Wartownik uniósł szlaban w górę. Wejścia broniły też przesuwane kolczatki, mające zapewne bronić fort przed atakiem terrorystycznym z wewnątrz. Samochody zatrzymały się na podjeździe. Smuga zauważył, że Ahmeda wyprowadzono jako pierwszego. Eskortowało go dwóch żołnierzy pod bronią. Zniknął w bocznym wejściu do budynku prowadzony przez żołnierzy. Szedł wyprostowany, nie odwrócił się do Smugi.

– Mbele!^{11*} – Żołnierz z ospowatą twarzą dźgnął Smugę lufą automatu.

Weszli do budynku. Panował tu przyjemny chłód, zapewniany przez grube, wiekowe mury. Prowadzili go korytarzem, obniżającym się wyraźnie w dół i wiodącym po schodkach do podziemi.

Zgrzytnęła porzewiała krata. Smuga poczuł popchnięcie w plecy i znalazł się w środku celi. Była mała. Tonęła w szarości, jedynie wąski promień słońca, przekradający się przez niewielkie okienko pod sufitem, tańczył po betonowej podłodze. Smuga rozejrzał się dookoła. Drewniana prycza, dziwny stół jakby wyrąbany z kamiennego bloku, sterta śmierdzącej słomy pod ścianą i emaliowana miska jak dla psa. W rogu wiadro wypełnione zbrzylonymi zwałami kału. Śmierdziało. No, Wronki to to nie były.

Dopiero teraz zauważył, że nie jest w celi sam. Jakiś Afrykanin siedział w kucki pod ścianą, w najdalszym rogu celi. Jego długie nogi, niczym bambusowe tyczki, wystawały spod czerwonej tkaniny, w którą był owinięty. Musiał być bardzo stary. Całą twarz pokrywała pergaminowa skóra poźłobiona dzieśiątkami zmarszczek i wżerów. Miał przekrwione oczy, wpatrzone w jeden punkt, zwieszony gdzieś za plecami Smugi. Obok siedział Europejczyk w pomiętym jasnym garniturze. Miał nadwagę i kruczoczarne włosy przylizane do skroni.

– O, tumbili mweupe – przywitał Smugę, podnosząc się z miejsca.

– Co to znaczy?

– „Biała mała” w języku suahili. Tak raczył mnie nazwać koleś w lennonkach, który zgarnął mnie w dzielnicy arabskiej w Chake Chake. Tak naprawdę jestem Morricone. Tyle że Enzo, a nie Ennio.

– Marek Smuga. – Polak odwzajemnił uścisk dłoni.

– Europejczyk czy Amerykanin?

– To pierwsze, z Warszawy. A ty dlaczego tu trafiłeś?

– Bóg raczy wiedzieć. – Włoch wzruszył ramionami. – Jestem dziennikarzem, freelancerem, pracuję dla włoskich mediów, w tym dla „La Stampa”. Na obu wyspach ostatnio dużo się dzieje. Mam dziennikarskiego nosa, pomyśla-

łem, że będzie z tego dobry materiał. Przerwałem urlop w Kenii i wyładowałem najpierw na Zanzibarze, a teraz na Pembie. Ciąg dalszy znasz. A ty?

– Zatrzymało mnie wojsko na bocznej drodze za miastem. Nie znam powodu. Nie jestem dziennikarzem ani nikim ważnym. Jechałem na północ, w sprawach, nazwijmy to, prywatnych. Jestem zwykłym turystą z Polski, dokumenty mam w porządku.

– To dziwne. – Morricone potarł nieogoloną szczecinę na twarzy. – Ale władze rzeczywiście zrobiły się ostatnio nerwowe, na Pembie i na Zanzibarze – osną w siłę separatyści...

– Tak, wiem.

– Nie słyszałem jednak, by podobne represje dotyczyły zwykłych turystów. To mogłoby wystraszyć gości z zagranicy. Ostatecznie turystyka to główny biznes na tych wyspach. Chyba z tych nerwów sami zaczynają strzelać sobie w stopę.

– Też mnie to dziwi. – Smuga usiadł na kamiennej półce. – Już raz mnie zresztą zatrzymano na drodze, gdy przyjechałem na wyspę, ale wtedy była to rutynowa kontrola policyjna.

– Coś im się nie spodobało. Byłeś sam?

– Nie, z ochroniarzem z hotelu, w którym się zatrzymałem.

– Afrykanin? – Włoch rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Nie, Arab.

– No, to masz odpowiedź. To nie ty stanowiłeś problem, ale tamten krajo-wiec. Opozycja ma poparcie głównie wśród mniejszości arabskiej i hinduskiej. Reżim jest na nich cięty, pokutują lata wzajemnych waśni i rywalizacji, jeszcze z czasów kolonialnych. Wtedy to Arabowie dominowali w policji i administracji, teraz Afrykanie biorą odwet.

– Być może masz rację. Tylko że to w niczym nie poprawia mojej sytuacji. Nie mam czasu, nie mogę teraz siedzieć w areszcie. – Na samą myśl o Agnieszce krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

– Nic na ciebie nie mają. Jesteś Europejczykiem. Przesłuchają cię i wypuszczą.

– Mam nadzieję. A ty jak długo tu siedzisz?

– Drugi dzień. – Morricone wyraźnie sposepniał. – Wczoraj pozwolili mi na jeden telefon do ambasady włoskiej w Dodomie. Attaché obiecał, że mnie lada moment wyciągnie. Czekam...

– Obyś miał rację.

– Bądźmy dobrej myśli, nic innego nam nie pozostało.

Pogadali jeszcze chwilę ściszonymi głosami, a potem Smuga podłożył zrolowaną kurtkę pod głowę i położył się na ziemi. Sen przyszedł niemal natychmiast, jakby czekał na wyrwę w tamie budowanej w ciągu ostatnich dni przez stres, poczucie zagrożenia i wyczerpanie.

Wybudził go rytmiczny zaśpiew. Początkowo miał wrażenie, że to tylko słuchowy omam, tłukący się gdzieś po rogatkach świadomości, ale zaśpiew powrócił: jeszcze bardziej gardłowy i donośny. Przetarł oczy i zamarł na widok, jaki się przed nim otworzył. Starzec z celi ożył. Już nie przypominał mumii złożonej w kącie. Odziany był jedynie w czerwoną tunikę, przewieszoną przez ramię i biodro. Początkowo zginał jedynie nogi w kolanach, ale z każdą chwilą jego taniec nabierał dynamiki i tempa. Podskakiwał wysoko i miarowo do góry, wyprostowany i sztywny jak tyczka od fasoli, wybijając się każdorazowo z kolan, zamiast ze stóp. Towarzyszył temu śpiew: dziwnie smutny i monotony, artykułowany chrapliwym, starczym głosem. Ucho Smugi wychwytywało te same frazy, powtarzane niczym refren jakiejś atawistycznej, pradawnej pieśni.

– To Masaj. – Morricone zauważył zdziwione spojrzenie Smugi. – Odprawia właśnie rytualny taniec. Trochę to dziwne...

– Dlaczego?

– Po pierwsze, nigdy jeszcze nie widziałem Masaja w afrykańskim więzieniu. Powszechnie wierzy się, że uwięziony Masaj umiera. Ten starzec musiał więc coś niezłe przeszkrobać, że go jednak posadzili. Pewnie ma coś wspólnego z separatystami. Poza tym śpiewy Masajów są z reguły zbiorowe. Ton nadaje olaranyani – przewodnik, a jego słowa powtarzane są przez pozostałych wojowników słowo w słowo.

– O czym śpiewa?

– Dość dobrze znam suahili... Chyba o złym duchu o imieniu Nenauner. Połowa jego ciała jest z kamienia, połowa przypomina człowieka. Ma olbrzymie oczy i słyhać jego głos z wielu kilometrów. Chętnie płata figle ludziom zagubionym w buszu, wabi słodkim głosem, a potem pożera. Zgodnie z legendą, w którą wierzą Masajowie, kiedyś było na ziemi niewielu Masajów i niewielu ludzi Ndorobo. Pewnego dnia Bóg oznajmił, że chce posłać im wszystkim wspaniały dar z nieba. Najpierw usłyszą dzwon, który ostrzeże ich, by czekali póki podarek nie dotrze na ziemię. A gdy się to stanie, odetną sznur od skóry,

w którą dar będzie owinięty. Masajowie czekali cierpliwie. Zobaczyli kawałek skóry, usłyszeli bicie dzwonów i nadal czekali.

Starzec nie przerywał swego rytualnego tańca.

– Kontynuować? – Włoch spojrział na Smugę.

– Pewnie.

– A gdy dar dotarł na ziemię, odciął sznur i ukazało się bydło. – Morricone wrócił do swojej opowieści. – Wkrótce obejście Masajów pełne było pożytecznych zwierząt. Potem z kolei przyszli po dar ludzie Ndorobo. Byli jak zwykle niecierpliwi. Ujrzeni kawałek skóry i usłyszeli głos dzwonów. Wówczas odciął sznur, nim dar dosięgnął ziemi – i zamiast bydła ukazały się dzikie zwierzęta, które rozpierzchyły się w różnych kierunkach. W tle pozostało kilka krów i te Masajowie szybko zagarnęli do swojej wioski. Od tego dnia wszelkie bydło na ziemi jest własnością Masajów, a wszystkie dzikie zwierzęta należą do ludzi Ndorobo, którzy muszą na nie polować...

Dalszą opowieść przerwał nagły hałas za drzwiami. Rosły strażnik w panterce uderzał miarowo kluczami o udo.

– Ty! – Wskazał palcem na Włocha. – Wypad!

– W ambasadzie jednak o mnie nie zapomnieli. – Morricone podniósł się z ziemi z wyraźną ulgą. – Trzymaj się, brachu.

– Powodzenia.

– Nie zapomnę o tobie. Postaram się ciebie stąd wyciągnąć. Jak tylko dotrę do Dodomy, zadzwonię gdzie trzeba. Także do polskiej ambasady.

– Byłbym zobowiązany. Naprawdę muszę stąd jak najszybciej wyjść...

– Wiem, piękna Słowianka na północy. Nie zapomnę. I pamiętaj, jak cię wezmą na przesłuchanie, odpowiadaj tylko na pytania. Uprzejmie i konkretnie. Żadnych uwag odnośnie do sytuacji politycznej, oni tego nie lubią. Powtarzaj jak mantrę, że jesteś turystą i jeśli cię natychmiast nie zwolnią, to w twojej sprawie będzie interweniować ambasada. I będzie wtedy z tej afery niezły dym.

– Tak zrobię, ale jakoś się nie spieszą. – Smuga zdusił w ustach przekleństwo.

– To Afryka, tu czas biegnie inaczej.

Zgrzytnęła krata. Włoch zniknął w jasnym prześwicie korytarza. Smuga objął głowę ramionami. Praca w policji nauczyła go, że należy przewidywać przyszłość i tak planować swoje ruchy, aby zawsze mieć przewagę nad przeciwni-

kiem. Potrafił zbierać dowody i uzbrajać się w wiedzę niewygodną dla przestępców. Dbał o to, by nigdy nie znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Długo mu się to udawało. Aż do czasu tego fatalnego dnia na Natolinie, gdy stracił wszystko, co kochał. Potrzebował wiele czasu, aby odbudować dawną pewność siebie. A teraz znowu znalazł się w matni. Czuł się bezradny, a to właśnie bezsilność była najgorsza. Do tego ubezwłasnowolniony, we wrogim i niezrozumiałym dla siebie świecie. Przymknął oczy. Powrócił obraz Agnieszki, coś do niego mówiła, ale nie słyszał jej głosu.

Miał też świadomość, że musi mierzyć się z jeszcze jednym wrogiem, podstępny i trudny do okiełznania. Depresja mogła powrócić w każdej chwili. Miał wrażenie, że tylko podniesiona adrenalina i stan wyższej gotowości całego organizmu, wywołany troską o Agnieszkę, utrzymuje chorobę na bezpieczny dystans. Pewne było jedno: bez leków długo nie pociągnie. A jego farmakologiczny sezam znajdował się w The Aiyana Lodge. I kółko się zamykało.

Masaj nagle ucichł. Przypominał teraz rzeźbę z hebanu opartą o ścianę. Zza krat okienka słychać było odgłosy życia. Stłumione komendy, trzepot flagi falującej na wietrze, skrzeczenie ptaków krążących nad fortem i wypatrujących pożywienia.

Smugę trawiło pragnienie. Nie pił nic od wielu godzin. Czuł odór, bijący z wiadra wypełnionego fekaliami. Dotknął dłonią czoła. Było rozpalone, ciążyła mu głowa, jakby była obcym ciałem. Konsekwencje napojenia khatem? Długo tak nie wytrzyma.

Nad podłogą, niczym w świetlistej zawieszynie, krążyły drobiny kurzu. W celi było duszno, a jednak wstrząsały nim dreszcze. Tylko tego jeszcze brakowało! Oddałby teraz wszystko za escitalopram, tego jebanego zbawcę, przepustkę do normalności, a przynajmniej za kilka tabletek aspiryny. Zamiast tego pozostawało mu przelitykanie gorzkiej śliny i wsłuchiwanie się we własny organizm, który powoli zaczynał wibrować własnym, niepokojącym rytmem.

Zgrzyt otwieranych drzwi rozdarł ciszę.

– Ty! – Paluch strażnika wskazywał w jego stronę.

Nareszcie! Smuga szybko podniósł się z podłogi. Miejsce rezygnacji natychmiast zajęła nadzieja. To tylko nieporozumienie. Zaraz go wypuszczą. Pewnie Alan zadzwonił, gdzie trzeba. Ożłopie się wody, odnajdzie Ahmeda i za godzinę będą w samochodzie pędzącym na północ.

Prowadzili go wąskim, niskim korytarzem. Musieli schylać głowy, aby nie zawadzić o powałę. Na ścianach zobaczył smugę krwi, tak jakby ktoś kurczowo

trzymał się ściany zranionymi dłońmi. Nagle zza muru dobiegło go ludzkie wycie: przeraźliwe, wwiercające się w uszy, zwierzęce. Spojrzał na strażnika, ale ten nadal szedł nieporuszony. Nigdzie nie widział innych żołnierzy, musiało ich być w forcie niewielu. Być może reszta patrolowała interior, polując na separatystów.

Za zakrętem wyłoniły się drzwi, zbrojone metalowymi ćwiekami. Afrykanin pchnął je końcem lufy. Smuga wszedł do środka. Przed stołem z nieheblowanego drewna stał rosły mężczyzna z uśmiechem przyklejonym do twarzy i rękoma skrzyżowanymi za plecami. Miał na sobie jasny, lniany garnitur. Smuga spojrział na niego i odetchnął z ulgą. To był biały, przysłali go z ambasady? Morricone tak szybko zadziałał? A może zbawienie zawdzięcza Beneszowi?

– Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę – powiedział po angielsku i wyciągnął rękę na przywitanie. – Przysłali pana z ambasady?

– Nie, z piekła.

Cios był bolesny, tym bardziej że niespodziewany. Pięść trafiła Smugę w brzuch. Ten zgiął się w pół, ugięły się pod nim nogi.

– Kim jesteś? – wycharczał.

– Diabłem. Ruskim diabłem.

5.

Ostrze wrzynało się jej w policzek, napinając skórę. Czula zimną stal. Pomyślała, że jeszcze chwila i przetnie jej twarz jak ananasa. Napastnik najwyraźniej bawił się jej niepewnością i strachem. Przyciskał klingę i zwalniał nacisk, jakby nie mógł się zdecydować, jaki wzór wyrzezać na jej twarzy. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że zmienił zamiar.

– Już wiesz, co cię czeka, jeśli znowu zaczniesz się stawiać. – Boy miał wysoki, prawie kobiecy głos.

Odłożył nóż i uderzył ją na odlew w twarz. Był pobudzony jak w amoku, wspomagał się nieartykułowanymi krzykami w jakimś niezrozumiałym dla niej narzeczu.

I nagle wszystko ucichło, niespodziewanie świat wokół stał się bezdźwięczny. Otworzyła oczy. Blume stał w drzwiach z nonszalancko założonymi rękoma. Kassim trzymał za włosy nagle spokojnego boya.

– Należą się pani przeprosiny, panno Agnes. – Głos Szweda dobiegał do niej jak zza ściany.

– Ten skurwysyn chciał mnie zgwałcić. Wdarł się tutaj i rzucił się na mnie. Groził mi nożem. – Ledwie powstrzymywała się od szlochów. Bezradnie zakrywała rękoma obnażone podbrzusze.

– Ten człowiek zostanie odpowiednio ukarany, zapewniam panią.

– Ja myślę. To zwierzę.

– Już go pani nigdy nie zobaczy, Oscar naruszył reguły...

– To chyba mało powiedziane...

– Nie skończyłem. Naruszył żelazne reguły, które panują w moim hotelu i są znane wszystkim moim pracownikom. A mówią one, że nie wolno tknąć choćby palcem kobiet, które należą tylko do szefa.

– O kim pan mówi, do jasnej cholery? – Zakryła się serwetą ściągniętą ze stołu i próbowała stanąć na nogach.

– O tobie, złotko. Dzisiaj muszę wyjechać w interesach, ale jutro wrócę. Wybacz mi tę zwłokę. Zrób się na bóstwo na mój powrót.

– Pierdol się, zboku.

– Nieladnie tak przeklinać.

– Smuga zrobi z ciebie miazgę, gnoju.

– Rozczaruję cię. On nigdy nie wróci. Powinnaś się z tym pogodzić.

– To się jeszcze okaże. Co zrobiłeś z moją siostrą?

– Za dużo pytań, kwiatuszku.

6.

Z pomocą strażnika skrupowali mu ręce i przywiązali sznurem do krzesła. Smuga zlustrował swego oprawcę. Mężczyzna nie wyglądał na najemnika. Miał twarz inteligenta, który tylko przez przypadek znalazł się w tej izbie tortur na afrykańskim zadupiu. Uwagę zwracały jego dłonie: szczupłe i delikatne. Na pewno dbał o formę fizyczną. Gdy ściągnął marynarkę, odsłonił tors opięty koszulką w marynarskie paski.

– Nie wyglądasz na Rosjanina – powiedział Smuga.

– A jak wyglądają Rosjanie?

– Podobnie jak Polacy. Jest jednak pewna różnica w zachowaniu.

– Jaka?

– Czasami brakuje im kultury osobistej. Nie stosują form grzecznościowych i biją na odlew na dzień dobry.

– Takiego mam stajla, sir. – Rosjanin roztarł butem kilka czerwonych mrówek krążących po podłodze. Było ich tu nadspodziewanie dużo. – Zresztą w połowie jestem Kazachem, ale służę Rosji.

– Pracujesz dla nich? O co wam właściwie chodzi? Moja ambasada i tak mnie stąd wyciągnie. Już wiedzą, gdzie jestem.

– Zapomnij, już nie istniejesz. Władze wszystkiemu zaprzeczą. Nigdy cię nie było, istniałeś tylko jako zapis w paszporcie i właśnie zostałeś wymazany. To czarna dziura, po tych, którzy w nią wpadną, ginie wszelki ślad. Może utopiłeś się w oceanie, a może zżarł cię krokodyl podczas kąpieli w rzece? Kto to wie?

– O co jestem oskarżony?

– To nieważne. Dla mnie to bezużyteczne szczegóły. Nie zaśmieciam sobie nimi pamięci. Mam robotę do wykonania.

– Kim właściwie jesteś? – Do Smugi zaczęła docierać groza położenia, w jakim się znalazł.

– Byłem najemnikiem z Grupy Wagnera. Najpierw Syria, potem południowy Sudan, teraz Tanzania.

– Dlaczego to robisz?

– Dla pieniędzy.

– W Donbasie też płacą. Mógłbyś walczyć z równymi sobie, a nie polować na Bogu ducha winnych turystów z Europy.

– Pierdole tę waszą zgniłą, pedalską kulturę. – Uwaga Smugi wyraźnie nie spodobała się Rosjaninowi. – Upadniecie pod własnym ciężarem, bo już w nic nie wierzycie. Ani w Boga, ani w rodzinę, ani w żadne wartości. To dlatego Rosja jest III Rzymem, a Unia Europejska zmurszałym tworem, który wylądował na śmietniku historii.

– Piękna przemowa, tylko z gruntu fałszywa. Jesteście nie III Rzymem, ale raczej ubogą, ruską kopią III Rzeszy. Putin skończy tak samo jak Hitler: strzałem w skroń.

– Nie sądzę. Nie znasz Rosji. Putin na pewno cię przeżyje. A wiesz, skąd to wiem? Bo to ja, ruski Oleg, skrócę twoje męki na tym ziemskim padole.

– Jednak zdecydowanie wolę Rosjanki.

– Jebać cię, psie!

Smuga rozejrział się po pomieszczeniu. Jeśli to była izba tortur do wymuszania zeznań, to brakowało tu niezbędnego instrumentarium. Nigdzie nie widział żelaznych szczypców do zdzierania paznokci, pejczy z bawolej skóry, młotów czy gwoździ do przebijania dłoni.

– Zastanawiasz się, jak to zrobić? – Oleg zauważył jego spojrzenie.

Smuga nie odpowiedział.

– Nie będę sobie brudził rąk, to nieestetyczne. – Oleg ściągnął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. – Poza tym nie mogę pozostawiać śladów.

– Jeszcze masz szansę się wycofać, Oleg. Nie blefuję. Włoch, którego niedawno stąd wypuściliście, już zawiadomił polską ambasadę. Zrobi się afera. Atak na Europejczyka, przetrzymywanie go bez nakazu sądowego, przemoc fizyczna i groźby – wystarczy, żeby zarobić na list gończy Interpolu.

– Masz gadanego.

– Po co to? Zarobisz jeszcze trochę dolarów na Czarnym Łądzie, a potem wrócisz do swojego III Rzymu i będziesz u siebie walczył z pedalstwem.

– Nic z tego, Polaczku. Mam zakorzenione poczucie obowiązku. Najpierw praca, potem przyjemność.

Rosjanin otworzył szufladę w stole i wyciągnął z niej jakiś pojemnik, umazany ciemnym smarem. Drugą ręką strzepnął kolejnych kilka mrówek, uparcie ciągnących w górę po nogach stołu.

– Wiesz, co to jest? – Oleg podniósł puszkę do góry.

– Jakaś ruska relikwia? Siki Władimira Władimirowicza Putina?

– Dobrze. Naprawdę będzie mi ciebie brakowało, Polaczku. – Oleg założył na ręce gumowe rękawiczki. – To nektar spadziowy. Nasi mali przyjaciele go wprost uwielbiają.

Rosjanin podszedł do Smugi i zdarł z niego koszulę. Następnie, sięgając co chwila do pojemnika, rozcierał mu po ciele lepkać maź. Smuga spojrział pod nogi. Mrówek było teraz dużo więcej. Wylazły zewsząd, z każdej dziury i szczeliny w spękany murze. Rosjanin ściągnął rękawiczki i wycofał się w stronę drzwi.

– To *linepithema humile*, mrówki argentyńskie, najbardziej żarłoczne i niebezpieczne owady świata – powiedział Oleg, ściągając rękawiczki. – Tam gdzie zakładają swoje kolonie, ginie cały ekosystem. Dotarły też do wschodniej

Afryki. Postanowiliśmy to wykorzystać, naśladowując zresztą Afrykanów. Oni znają ten sposób od dawna. Nazywają go *sikukuu ya mchwa*, czyli mrówcza uczta. My, w grupie Wagnera, zawsze szanowaliśmy lokalne zwyczaje i kulturę.

– Nie wątpię. – Smuga bezskutecznie próbował strząsnąć z siebie pierwsze owady, które zwabione słodkim nektarem zaczęły wędrować po jego rękach i łydkach.

– Już kilka razy przetestowałem tę torturę na prośbę moich afrykańskich przyjaciół. – Oleg z uwagą śledził poczynania mrówek. – Nigdy mnie nie zawiodła. Mrówki są wprawdzie małe i pozbawione trującego jadu, ale nie w tym rzecz. Mają ogromny apetyt na węglowodany, a ty masz ich w sobie bardzo dużo, Polaczku. Jesteś dla nich prawdziwym sezamem, do tego pachnącym i wabiącym słodkim nektarem. Będą cię zżerały powoli, ale nieustannie. Wkrótce pojawi się ich tu cała armia.

– Zapłacisz za to. – Smuga syknął z bólu, kilka mrówek szturmowało jego zaciśnięte usta, gryząc go w wargi.

– Nie sądzę. Najpierw poczujesz dziesiątki małych uszczypnięć, ale potem mrówki wżerać się będą w głęb twojego ciała. Pomału, kawałek po kawałku, aż skończą, a z ciebie pozostanie jedynie szkielet. Mówiłem ci już, że są nienasycone?

– Strasznie dużo gadasz. Musisz nad tym popracować, Oleg. Bo to trochę niemęskie jest, wiesz?

– Wy, Polacy, nigdy się nie zmienicie. Tromtadracja, walenie w pusty bęben i ułańska szabelka. A w rękę same blotki.

– Zdziwiłbyś się, Oleg, ale jestem mało polski.

– Zwisa mi to. Przekonasz się, że śmierć jest demokratyczna, w jej obliczu wszyscy są równi. Przeżywają ten sam strach, dławi ich to samo przerażenie. Twój poprzednik nie umierał ładnie. Nie panował nad sobą. Popuściły mu zwieracze w trakcie *sikukuu ya mchwa*. To był jakiś separatysta, chyba Hindus. I wiesz co, wcale nie wyglądał na pogodzonego z losem buddystę. Wył jak zwierzę. Ty też będziesz. A teraz *do swidania*, frajerze.

Zgrzytnęła żelazna krata w drzwiach. Smuga przez moment ujrzał kawałek nieba w okienku wybitym pod sufitem w korytarzu. Było koloru przeraźliwie niebieskiego i cukierkowatego, jak na podkolorowanych widokówkach sprzedawanych w Chake Chake.

Wzdrygnął się i spojrzął w dół. Nogi od krzesła ożyły, wypełnione amorficzną, pełzającą masą. W milczeniu obserwował, jak ta czarna ruchliwa armia podnosi się coraz wyżej i wyżej. Ukąszenia były coraz boleśniejsze. Małe owady wdzierały się na jego łydki. Wędrowały niestrudzenie po jego skórze, zatrzymując się na dłużej w miejscach wilgotnych i spoconych, pod kolanami i pachami, szukając dobrych miejsc do żeru. Próbował im przeszkodzić, wstrząsając ciałem i nogami, ale dobrze wiedział, że to walka z wiatrakami.

Nie mógłby sobie wyobrazić bardziej absurdalnej śmierci. Z dala od domu, na obcym kontynencie, na którym był tylko przechodniem, goniącym za ułudą, której nikt tu poza nim nie rozumiał. Rzucony w sam środek etnicznego konfliktu, którego nie był przecież stroną, a jednak to jemu przychodziło zapłacić najwyższą cenę. Do tego miał odejść w męczarniach, nie miał złudzeń, że Oleg wybrał mu najgorszy rodzaj śmierci z możliwych. Bał się, z trudem powstrzymywał ataki paniki. Gdyby w tym ostatnim momencie mógł mieć ostatnie życzenie, to poprosiłby o tabletkę escitalopramu.

Co stanie się z Agnieszką? Jak sobie poradzi bez niego na tym wrogim łądzie? Już samo jej wspomnienie przeszywało go paraliżującym lękiem. Tak, po raz kolejny zawodził kobietę, na której mu zależało. Na całej linii, totalnie. To była jego specjalność.

Poczuł bolesne ukłucie w policzek. Za chwilę owady dojdą do jego oczu. Zamknął powieki. Wolał niczego nie widzieć. Wystarczy, że wszystko czuł.

7.

Wszystko zależało od tego małego plecaka, leżącego w kącie obok szafy. A właściwie od tego, czy znajdzie w nim to, czego się spodziewała. Przenieśli ją do małego bungalowu na tyłach hotelu. Z dala od innych gości i ciekawskich oczu. Pozostawała w swoistym areszcie domowym, niepewna ani zamiarów Blumego, ani tego, co przyniesie jutro. Pewne było jedno, mogła liczyć tylko na siebie.

Opuszczając swój pokój hotelowy, zgarnęła swoje rzeczy, w tym plecak Marka. Pilnujący jej Afrykanin nie zwrócił na to uwagi. To była jej szansa. Być może jedyna, jaka jej pozostała. Musi wyrwać się z tego miejsca, dotrzeć do hotelu Benesza, odnaleźć Marka. A potem powrócić tu w asyście policji, może

urzędników konsularnych i przeszukać przepastne piwnice pod hotelem Blumego. To tam mogą przetrzymywać Karolę.

Uspokoiała oddech, westchnęła i otworzyła zamek błyskawiczny w plecaku. Zanurzyła w nim rękę i przez chwilę przeszukiwała jego zawartość. Przewodnik Pascala po Tanzanii, dwie fiołki leków, oczywiście... Plaster, baterie do laski, zapasowa ładowarka do smartfona. Nie ma... Boże. Usiadła na podłodze i oparła rozpaloną głowę o ścianę. Mur był chłodny. Spojrzała zrezygnowana na rozbebeszony plecak i nagle zerwała się z miejsca. Mała kieszonka z boku, prawie niewidoczna dla oka. Nie przeszukała jej! Wsadziła rękę i po chwili westchnęła z ulgą. Jest! Wyjęła metalowy przedmiot i podniosła go ku górze, pod światło. Dziwny wytrych, który Marek podobno „odziedziczył” po jakimś dolinarzu. Zapamiętała słowa Smugi: „otwiera wszystko z wyjątkiem kobiecego serca”. Zamknęła w dłoni wygięty klucz wycięty z dziwnego żółtawego metalu i położyła się na pryczy. Przymknęła oczy. Musiała odczekać do zapadnięcia ciemności. Plan, który od pewnego czasu obracała w głowie, był ryzykowny, ale możliwy do realizacji. Musiała tylko się przemóc, zepchnąć własną słabość gdzieś głęboko w czarną dziurę i stanąć na wysokości zadania. Tylko tyle i aż tyle.

Co powiedziałby teraz Marek? Chciała dodać sobie otuchy, grzebiąc w pamięci, aby przywołać jakieś jego akuratne credo czy wskazówkę, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Był taki małomówny. Oszczędny w wyrażaniu emocji, czasami wręcz wycofany. Nadal nie wyzbył się do końca traumy po stracie żony i córki. Rozumiała to, ale czasami miała już dość tej dwuznaczności. Za bardzo oglądał się za siebie, tracąc z pola widzenia to, co najważniejsze: wspólne dzisiaj. Na pewno nie był bohaterem w świetlistej zbroi. Ale też nigdy nie udawał przed nią kogoś innego. Nie małpował żadnego pieprzonego Jacka Reachera, o nie! Potykał się w przeszłości i błędził, i to niejednokrotnie. Nie potrafił skompletować dwóch takich samych skarpetek i bał się wind. Znała jego słabości, śledziła jego walkę z uzależnieniem od antydepresantów. A jednocześnie działał na nią jak żaden mężczyzna wcześniej. Podziwiała jego odwagę i bezkompromisowość. Nigdy się nie poddawał, czasami wycofywał, ale zawsze wracał na linię frontu. Cechowała go uczciwość i nie można go było kupić. Potrafił słuchać i była pewna, że nie czyni tego z przymusu czy wyrachowania. Uczył się jej i wychodziło mu to na korzyść. Wolałaby, żeby złagodniał i stał się bardziej empatyczny wobec innych, no ale nie można mieć wszystkiego. Ważne, że bywał zabawny i wiedział, jak ją rozśmieszyć. Było im

dobrze w łóżku, wiedział, jak odczytywać jej najskrytsze pragnienia. Dużo zalet jak na jednego faceta i to w dzisiejszym popapranym świecie.

Poza tym nie знаła nikogo, na kim mogłaby się oprzeć. Tylko jemu na niej naprawdę zależało, wiedziała to. Nie ojczymowi czy własnej matce, ale mrukliwemu mężczyźnie, poznanemu kilkanaście miesięcy temu. Ona też się zmieniła w trakcie tego związku, dojrzała, na wiele rzeczy patrzyła teraz z innej perspektywy. Towarzyszyła mu przecież przy sprawie Kornów. Czego się przy nim nauczyła. Potrafiła sama tę naukę nazwać i zrationalizować.

„Nie ma jednej sprawiedliwości, każdy ma własną. Jeśli musisz, zrób to. Bądź jak trzcina, mogą cię powalić i zgiąć, ale nie złamać”. Aha, i jeszcze cytaty ze Smugi, który niegdyś wydawał się jej prostacki: „Nie czekaj na cios, uderzaj pierwszy, bo będzie po tobie”. No pięknie, wtedy myślała, że jest spóźnioną studentką i zwykłą barmanką, a nie dziewczyną Bonda. I nawet nie przyszło jej do głowy, że tak szybko będzie musiała zrobić użytek z tych nabytych mądrości. A jednak...

Leżała na pryczy, wpatrzona w fosforyzującą tarczę zegarka. O dwudziestej trzeciej uznała, że już czas. Podniosła się z miejsca. Szybko spakowała swoje rzeczy do jednego plecaka. Włożyła nowe baterie do latarki. Wysmarowała twarz sadzą z kominka. Wciągnęła na siebie ciemne leginsy i bluzę od dresów z kapturem.

Podeszła do drzwi i położyła się na podłodze. Z zewnątrz przez szparę pod drzwiami przenikał blade strumień światła. Leżała tak kilka minut, próbując wyłowić najmniejszy szmer czy ludzki ruch. Było cicho. Wyglądało na to, że korytarz pozostawał opustoszały. Była dla nich tylko młodą, zastraszoną kobietą, zamkniętą na cztery spusty w bungalowie z oknem, zabarykadowanym od zewnątrz okiennicami, na opustoszałym terenie za hotelem.

Wsadziła wytrych w drzwi i zaczęła nim manewrować, szukając zapadki. Klucz zgrzytnął metalicznie, płosząc ciszę. Przestała, ocierając pot z czoła. Nie było żadnej reakcji, więc zaczęła wszystko od początku. Po kilkunastu bezskutecznych próbach dopadło ją zwątpienie. Nie mogła ustawić wytrycha we właściwej pozycji, nie miała w tym ani wprawy, ani odpowiedniego doświadczenia. „Jeśli musisz, zrób to”. Otarła czoło i włożyła wytrych głębiej, do oporu. Przekręciła go ukośnym ruchem do góry i stał się cud. Usłyszała ciche zgrzytnięcie. Zamek puścił.

Otworzyła drzwi i schylona wyszła na zewnątrz. Noc była czarna, elektryzująca od nagromadzonej wilgoci. Za plecami miała ciemną ścianę drzew. Wi-

działa ich pióropusze kiwające się na wietrze. Przed nią jaśniała ścieżka wiodąca do hotelu. Tylko w jednym oknie na dole paliło się światło. Wartownik?

Biuro Blumego znajdowało się po drugiej, zacienionej stronie. Po kilku minutach była na miejscu. Przemknęła pod rozłożyste drzewo i rozejrzała się dookoła. Nigdzie nie było widać żywego ducha. Wiedziała, że strażnik dyżuruje przez całą dobę przy bramie wjazdowej do ośrodka, ale ta znajdowała się po drugiej stronie obiektu. Oderwała się od drzewa i przemknęła pod biuro. Szwed urządził je w bungalowie, przyklejonym tylną ścianą do hotelu. Drzwi do niego były zadziwiająco masywne. Sięgnęła po wytrych i przez chwilę mocowała się z zamkiem. Niestety, tym razem się nie udało. Widocznie Blume zamontował mechanizm odporny na dość chaotyczne próby z jej strony i bardziej wyrafinowany niż w bungalowie.

Czuła, jak rośnie w niej napięcie. Usiadła pod drzwiami i spróbowała uspokoić rozbiegane myśli. Spojrzała na małe okno we wschodniej ścianie bungalowu i podjęła decyzję. Znalazła kamień i owinęła go własnym szalem. Jednym, dokładnie mierzonym, ruchem uderzyła w szybę. Ciszę nocy rozdarł brzęk zbitego szkła. Dopiero teraz dotarła do niej myśl, że jeśli Blume miał zamontowany w biurze alarm, to było po niej. Miała nadzieję, że w swoim królestwie nie potrzebował takich zabezpieczeń. Na szczęście dla siebie, nie pomyliła się.

Ostrożnie wyjmowała kawałki szkła z framugi, kawałek po kawałku. Następnie przecisnęła się przez powstały otwór i znalazła się w środku.

„A potem zanieś jej paszport do mojego biura. Zostaw go na biurku”. Musiała odzyskać dokument, jeśli miało jej się udać. Włączyła latarkę i omiotła snopem światła pomieszczenie. Klubowy, skórzany fotel, barek z baterią butelek alkoholu, jakiś obrazek północnego fiordu na ścianie z pionowym klifem sięgającym nieba. Podeszła do biurka zawalonego papierami. Katalogi, rachunki, jakiś certyfikat, instrukcja użytkowania nowych klimatyzatorów...

Najpierw znalazła laptop i telefon, przywalony jakąś mapą. Zaraz potem paszport. Granatowa okładka z polskim orłem. Odetchnęła z ulgą i schowała dokument do plecaka. Podeszła do szafki wiszącej na ścianie z kluczykami do motocykli Blumego. Wszystkie były opisane. Wybrała kluczyk zapłonowy do starego bmw. Znała ten typ, jeździła na podobnej maszynie Smugi w kraju. Bała się, że nowych motocykli – z uwagi na kody i zabezpieczenia elektroniczne – mogłaby nie uruchomić. Ten niemiecki staroć był jej jedyną szansą.

Wycofała się w ten sam sposób, przeciskając się przez okno. Zerwał się lekki wiatr. Liście palm falowały, kołysząc się na boki. Powietrze było parne

i duszne, zapowiadało kolejną ulewę. Miała wrażenie, że to tylko cisza przed burzą i że za chwilę rozpocznie się tropikalne pandemonium: otworzą się chmury, wiszące na niebie i potoki deszczu zaleją ziemię.

Musiała się spieszyć. Obrzuciła spojrzeniem bryłę hotelu, rysującą się w ciemności. Czy gdzieś tam w podziemnych kazamatach Blume więził jej siostrę? A może przetrzymywał ją w specjalnej celi na odizolowanym piętrze, przeznaczonym dla jego osobistego haremu? Jeśli tak, to była tak blisko celu. Karolina mogła przebywać sto metrów od niej, sto zwykłych kroków, które dzieliły ją od prawdy. Musiała się przemóc, aby zwalczyć pokusę nocnego spenetrowania podziemi hotelu. Jak miałyby to zrobić? Sama i pozbawiona wsparcia ze strony Marka? Dopiero co uwolniła się z pułapki, a czekała ją jeszcze długa droga ku wolności.

Przebiegła do wiaty z motocyklami Szweda. Ulokowana była po zachodniej stronie hotelu, w cieniu wielkiego baobabu. Zauważyła ją już pierwszego dnia pobytu w hotelu. Tym razem wytrych Smugi zadziałał bezbłędnie. Po kilkunastu sekundach była w środku. Pod kamiennym blatem stało kilka kanistrów z benzyną. Wybrała najmniejszy z nich i dołała paliwa do baku bmw. Był ciężki, przez chwilę mocowała się, aby wyprowadzić go na zewnątrz, manewrując pomiędzy innymi maszynami.

Wypchnęła go na zewnątrz i wyprowadziła na ścieżkę. Wiedziała, że okala ona hotel i wiedzie na drogę pod sam szlaban i budkę strażnika. Sto metrów, dwieście. Ledwie prowadziła ciężką maszynę po rozmokłej ziemi. W oddali widziała już dwa słupy, na których spoczywał szlaban. Mała budka wartownicza zatopiona była w ciemności. Nigdzie nie widziała jakichkolwiek oznak ludzkiej obecności: żadnego ruchu, ognika żarzącego się papierosa, konturu czyjejs postaci.

Dłużej nie mogła czekać. Wóz albo przewóz. Siadła na motocykl i uruchomiła maszynę. Przekręciła kluczyk stacyjki, wcisnęła sprzęgło i przytrzymała przycisk rozrusznika do momentu odpalenia silnika. Silnik zabulgotał, jego warkot spłoszył parę ptaków, siedzących na pobliskim drzewie. Wolno podjeżdżała do przejścia, trzymając rękę na gazie. Jeśli wyjdzie strażnik, doda gazu i schylając się, przejedzie pod szlabanem. Może się udać. Słyszała, jak trzepocze w piersi jej serce. Biło nierówno, co raz przyspieszając, by po chwili spowolnić lub w ogóle zagubić swój rytm. Jeszcze pięć metrów, dwa... Budka nadal była martwa. Podjechała pod szlaban i uniosła go ręką do góry. Nikt nie wyszedł. Widziała przed sobą, połyskujący w świetle księżycy, asfalt. Najpóźniej za dwie godziny będzie w hotelu Benesza. Dzięki ci, Panie!

Wartownik wyszedł z krzaków obok drogi kilkanaście metrów przed nią. Jeszcze zapinał rozpiorek. Na widok motocykla rozkraczanego na drodze przy szlabanie stanął zaskoczony. Widziała jego nieruchome oczy w świetle reflektora.

– Stój! – krzyknął i ruszył nagle w jej stronę, sięgając ręką za siebie.

Miał broń? Dodała gazu, motocyklem zarzuciło. O mało nie straciła równowagi. Niespodziewanie motor zgasł. Zanim go ponownie uruchomiła, Afrykanin dopadł już motocykla, próbując złapać ją za kaptur i ściągnąć z maszyny. Uchyliła się i kopnęła go w goleń. Mężczyzna krzyknął i przewrócił się na plecy. Zyskała w ten sposób kilka sekund cennej przewagi. Kluczyk, sprzęgło, rozrusznik. Zapal się na litość boską! Nareszcie, metaliczny charkot rozdarł ciszę. Ruszyła do przodu, prawie kładąc się na baku.

Zza pleców dobiegły ją dwa wystrzały. Odwróciła głowę. Wartownik trzymał pistolet na przedramieniu. Zobaczyła krwawe rozbłyski. Usłyszała kolejne dwa suche trzaski i świst kuli, która musiała trafić w drzewo obok drogi. Jeszcze kilka sekund i będzie poza zasięgiem strzelca.

Wjechała pełnym pędem w łuk drogi. Jeszcze raz spojrzała ukośnie w bok. Hotel nagle ożył, zapaliły się światła w kilku oknach. Zaraz zostanie wszczęty alarm. Mają na podjeździe jeeпа i motocykle Blumego. Na pewno nie odpuszczą, będą ją ścigać. Ale to trochę potrwa, na szczęście Szweda nie było na miejscu. Zapowiadał wyjazd z hotelu, nie widziała jego samochodu na podjeździe. Miała swoją szansę i nie zamierzała jej zmarnować. Zresztą, nie mogli jej złapać. Bóg na to nie pozwoli. Nie teraz, jeszcze nie odnalazła Karoli. Wróci tu ze Smugą, choć na wspomnienie tego ponurego miejsca, serce ścisnęło się jej z trwogi. Szosa uciekała jej spod kół.

8.

Było coraz gorzej. Owadów przybywało. Czuł, jak wędrują po jego łydkach i przedramieniu, wdzierają się pod koszulkę i spodnie, wżerając się poprzez nektar w jego ciało. Zagryzł wargi do krwi, żeby nie krzyknąć. Serce waliło mu jak oszalałe. Obficie się pocił, co jeszcze bardziej rozjuszało mrówki. Kąsały go teraz w dziesiątki miejsc, głównie w te, które Oleg wysmarował nektarem. Smuga rozbijał krzesło i wraz z nim przewrócił się na ziemię. Dzięki temu mógł przynajmniej jedną połowę ciała tarzać się po podłodze i rozgniatać

owady o twardą posadzkę. Nie miał złudzeń, że to walka z góry skazana na przegraną, a jednak nie przestawał.

Nagle do jego uszu doszedł huk wystrzału. Najpierw pojedynczy, potem poszła cała seria. Ci ludożercy rozwalają swoje ofiary? A potem do jego uszu doleciała cała kakofonia dźwięków: chrapliwych, metalicznych, drażniących zakrwawione uszy. Potrzebował chwili, aby zacząć je odróżniać: ludzkie krzyki i komendy od odgłosów wystrzałów, dźwięk tłuczonych szyb od głuchych uderzeń w mur, od których posypał się tynk w celi. Ktoś atakował posterunek i najwidoczniej nie byli to koledzy Olega.

– Pomocy! Ratunku! – Smuga zaczął krzyczeć najgłośniej, jak potrafił.

Hałas na zewnątrz się nasilał. Usłyszał eksplozję, jakby dźwięk rozrywanego granatu, a wkrótce potem kolejne serie z pistoletów maszynowych. Ktoś głośno krzyczał, a potem nagle urwał w połowie zgłoski.

– Jestem w celi, potrzebuję pomocy! – Smuga doczołgał się do drzwi i uderzył w nie miarowo nogami, nie bacząc na krępujące go więzy, którymi był przywiązany do krzesła. Mrówki nadal wżerały się w jego ciało.

Ktoś ostrzeliwał korytarz z automatu. Słyszał stukot kul, kilka z nich uderzyło w drzwi jego celi.

– Pomocy! Jestem tutaj! – Wznosił okrzyki.

Tamci byli blisko. Usłyszał potężne walenie w drzwi, tak jakby ktoś wielkim taranem próbował je wyważyć. Zdążył się przekręcić na bok, gdy drzwi, wyrwane z zawiasów, płasko uderzyły o podłogę.

– *Kumwachilia!*^{12*} – usłyszał komendę w suahili.

Podniósł głowę. Widział, jak przez mgłę dwóch ludzi. Mieli bandanki na czołach, w rękach automaty.

– *Sikukuu ya mchwa!*

Uderzeniem kolby zgruchotali krępujące go krzesło. Poczul zimną stal na przegubach i cięcie uwalniające go od powrozu. Wyciągnęli go za nogi na zewnątrz. Na korytarzu minęli ciało z prawie odstrzeloną głową. Kula wybiła oczodół. To był Oleg. Poznał go po zakrwawionym teraz garniturze i marynarskiej koszulce rozerwanej na piersi. Obok na ziemi leżeli pokotem czterej związani żołnierze, mieli przerażone twarze i kneble w ustach.

W prostokącie wywalonych drzwi ujrzał kawałek nieba. Wstawał świt. Zaciągnęli go do jakiegos chłodnego pomieszczenia i zdarli z niego ubranie.

Mocny strumień wody trafił go prosto w twarz, zatkało mu dech. Wraz z wodą do kratki ściekowej sphywały dziesiątki jego małych prześladowców.

Wytarł twarz rzuconym mu kawałkiem poszarpanej tanzańskiej flagi. Spojrzał na swoje ciało. Miał dziesiątki małych wżerów, ale mogło być gorzej. Odzież nadeszła w ostatniej chwili, cuda się jednak zdarzają.

Nagle w łazience ucichło. Ktoś wszedł do środka. Słyszał jego kroki, stawiane czujnie i ostrożnie. Podniósł głowę i spojrzał na przybysza. Był w mundurze moro. Miał przekrzywioną furazerkę na głowie, mapnik przy boku i pas z nabojami. Tylko buty zdradzały cywila: spod przydługich spodni wystawały płócienne tenisówki. Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy. Miał kruczoczarne włosy i ciemną karnację skóry. Smudze szumiało w głowie, widział teraz podwójnie, ale przecież skądś znał tę twarz, choć wydawało się to niemożliwe.

– Poznajesz mnie, bracie? – Mężczyzna odsłonił ręką bliznę nad skronią.

– *Meer!*

– W rzeczy samej.

– Jaki cudem...

– To przypadek. Od kilku dni planowaliśmy atak na posterunek i uwolnienie dwóch naszych ludzi.

– Bardzo dziękuję, Meer. Zawdzięczam ci życie.

– Miałeś po prostu szczęście. Inna sprawa, że choć my, Gudżaratowie wierzymy w reinkarnację, to swoje długi wolimy spłacać już w pierwszym wcieleniu.

– Chyba przejdę na waszą wiarę.

– Byłbyś dobrym Gudżaratem, bracie. Ale o tym później. Musimy zniknąć. Za pół godziny będzie tu wojsko. Moi ludzie cię opatrzą w wiosce. Odzyskaliśmy też twoje dokumenty i telefon.

– Dobry Boże! Jeszcze jedno. Razem ze mną wojsko zatrzymało Ahmeda, mojego kierowcę. Chciałbym zabrać go ze sobą.

– Nie ma go tu. Przeszukaliśmy areszt. Znaleźliśmy tylko ciebie, jakiegoś starego Masaja i dwóch moich ludzi. Nikogo innego nie przetrzymywali. Pewnie go gdzieś wywieźli albo rozwalili.

– Rozumiem.

– Zbieramy się. Ruchy!

– Ale ja muszę jechać dalej. Moja dziewczyna jest w niebezpieczeństwie.

– Twój wybór. Ale gołym okiem widać, że powinniśmy cię opatrzyć i dezynfekować rany. Grozi ci zakażenie. W tym klimacie to raczej pewne, a wtedy nigdzie nie dojedziesz.

Smuga przez chwilę chwiał się na nogach, potrząsając głową, jakby to mogło mu przywrócić jasność myślenia.

– Dobrze, ale pospieszmy się z tym – wydusił z siebie wreszcie.

Na podjeździe fortu stał wojskowy gazik z flagą Tanzanii, wymalowaną na drzwiczkach. Kilka metrów za nim zaparkował poobijany niemiłosiernie dodge. Na jego dachu siedziało dwóch partyzantów z bronią, czujnie obserwujących swego komendanta. Widać było, że Meer był tu niekwestionowanym przywódcą.

– Przejęliśmy jeepa na drodze za miastem. – Gudżarat zauważył spojrzenie Smugi. – Dzięki temu wpuścili nas do fortu, myśleli, że wracają swoi. Reszta moich ludzi dojechała dodgem.

– Co zrobiliście z żołnierzami z gazika?

– Puściliśmy ich wolno. Nie zabijamy bez wyraźnej potrzeby.

– A ten Rosjanin?

– To był Iwan?

– Tak, najemnik z grupy Wagnera.

– Nie mieliśmy wyjścia, ostrzeliwał się z kałacha do ostatniego momentu.

– Nie będę po nim płakał.

– I dobrze.

Po opuszczeniu fortu polną drogą pojechali na północ wzdłuż wybrzeża. Mieli wąskie plaże i kamienne ostańce, każdy wielkości ciężarówki. Po godzinie zatrzymali się w małej wiosce, położonej nad namorzynowym atolem. Składało się na nią kilka glinianych chat, krytych słomą i niewielka wiata, w której składowano owoce chlebowca, kokosa i melona. Żołnierze zniknęli. Meer pojawił się po chwili. Wyglądał teraz inaczej. Boso i w barwnej hawajskiej koszuli, w niczym nie odróżniał się od innych wieśniaków.

– Nie jesteśmy regularną partyzantką – powiedział do Smugi. – Pemba i Zanzibar są na to za małe. Brakuje tu gór i lasów. Pojawiamy się zniemacka i kåsamy w jeden punkt, jak moskity. A potem rozplywamy się we mgle, roztapiamy wśród sprzyjającej nam ludności.

– Nie boisz się, że któryś z tubylców cię zdradzi?

– Tylko głupcy się nie boją. Ale ci ludzie widzą, że bronimy ich przed reżimem. Płyniemy na tej samej łodzi.

W pół godziny później było już po wszystkim. Plastry drażniły Smudze skórę. Śmierdział środkiem dezynfekującym, jakim obficie połał go felczer separatystów. Nadal porządnie się pocił i musiał walczyć ze sobą, aby nie rozdrapywać swędzącego go wciąż ciała. Spojrzał na zegarek. Stracił tak wiele godzin!

Meer użyczył mu motorowej rikszy, jakie często widać było na tutejszych drogach. Smuga załadował też mały kanister, подарowanej mu benzyny.

– Życzę ci powodzenia. – Meer pożegnał go mocnym uściskiem dłoni.

– Oby cię nikt nigdy nie zdradził.

– Dobre życzenia. Bywaj!

Smuga objechał wioskę i zatrzymał się przed wjazdem na asfaltową szosę wiodącą na północ. Wykręcił numer do ambasady w Dar es Salaam. Nikt nie odebrał. Odnalazł konsularny numer alarmowy +255 742 713 423 i spróbował jeszcze raz. Tym razem połączenie zostało odebrane.

– Nazywam się Marek Smuga, jestem obywatelem polskim i pilnie potrzebuję pomocy.

– Dzień dobry. Siedziba ambasady znajduje się przy 15 Mtwara Rd w Dar es Salaam, zapraszamy. – Męski głos brzmiał bezosobowo.

– To nie jest możliwe, proszę pana. – Smuga starał się powściągnąć rozdrażnienie. – Stoję w pożyczonych gaciach na wiejskiej drodze na Pembie. Przed chwilą separatyści uwolnili mnie z rąk jakiegoś tanzańskiego gestapo, które zafundowało mi pożeranie przez mrówki argentyńskie, *Sikukuu ya mchwa...*

– Co proszę?

– Nieważne, wycofuję te mrówki. Proszę posłuchać, to sytuacja alarmowa. Chodzi o zaginięcie...

– Jeśli chodzi o zagubiony paszport podam właściwy numer, pod który należy zadzwonić.

– Czy to jest jakieś cholerne call center, do kurwy nędzy? Może mi pan nie przerywać i wysłuchać mnie do końca?

– Oczywiście. – Głos brzmiał równie beznamiętnie jak poprzednio.

– Jestem teraz na Pembie, moja narzeczona znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Proszę zanotować to, co mam do powiedzenia i podjąć natychmiast stosowne kroki. Od tego zależy być może ludzkie życie. Nie żartuję.

– Niepotrzebnie się pan irytuje. Proszę mówić.

– Nareszcie. Byłem oficerem policji, nie jestem typem panikarza i nie wszczynam alarmu bez wyraźnej potrzeby. Zwracam się do służb konsularnych, bo jako obywatel polski, przebywający w obcym kraju, mam do tego prawo. Czy to jasne?

– Oczywiście, panie...

– Już się przedstawiałem. Ale mogę jeszcze raz. Jestem Smuga, Marek Smuga. W mojej sprawie miał interweniować rano obywatel włoski, Enzo Morricone.

– Być może, ale taka informacja do mnie nie dotarła. Czy składa pan formalne zawiadomienie?

– Tak, kurwa, składam formalne zawiadomienie.

– Te wulgaryzmy nie są potrzebne.

– Pozwolę sobie się z panem nie zgodzić.

– Zamieniam się w słuch, panie Smuga. – Suche chrząknięcie w słuchawce.

– Nareszcie.

9.

Świt barwił czubki palm na różowo. Gdyby nie okoliczności, można by pomyśleć, że znajdowała się w raj. Dobrze jednak wiedziała, że tak nie jest. Pędziła pochyłona nad motocyklem, ścinając zakręty i modląc się, aby jej nie dogonili ludzie Blumego. Na pewno już się z nim skomunikowali, a ten zapewne wydał im dyspozycje. Jakże?

Miała też nadzieję, że po drodze uniknie niespodzianki w postaci policyjnego lub wojskowego patrolu. Niepotrzebne jej były kolejne korowody i tłumaczenie przed nieufnymi Afrykanami. Miała tylko jeden cel: jak najszybciej dotrzeć do Africa Beach, odnaleźć Marka i z pomocą Benesza zakończyć tę śmiertelną rozgrywkę z Blumem.

Dzień pojawił się szybko, jak z zaskoczenia. Słońce wstawało coraz wyżej. Mijała nizinne tarasy z ryżem, pośród których brodzili po kolana wieśniacy w wielkich słomianych kapeluszach. Omijała wozy, ciągnięte przez bawoły, wyładowane koszami z maniakiem i pąkami czerwonych goździków.

Pod Wete zatrzymała ją mała kawalkada riksza i wozów, jadących w stronę miasteczka. Dobiegł ją zapach stawy, gotowanej w jadalni na świeżym powietrzu przy małym placu wypełnionym kolorowymi straganami: ostry i aromatyczny. To zdecydowało, postanowiła się zatrzymać na chwilę. Była śmiertelnie zmęczona. Trawiło ją pragnienie i głód, pot ściekał jej po plecach. Musi coś zjeść i wypić, inaczej spadnie z tego motocykla. Do Africa Beach miała mniej niż godzinę drogi. Już jej raczej nie dogonią.

Zaparkowała pod pobliską akacją i zeszała z motocykla. Miała zeszywniałe nogi. Przeszył ją ból w krzyżu. Spojrzała na siniaki na przedramieniu. Ten skurwysyn Blumego nieźle ją poturbował.

Stała przy ladzie z jedzeniem i pokazała palcem uśmiechniętej staruszce butelkę z wodą i jakiś placek z nadzieniem dymiący na palenisku. Najpierw połała głowę. Woda przyjemnie chłodziła spocone włosy i czoło. A potem piła łapczywie, wielkimi haustami, czując, jak życiodajna ciecz splywa jej po brodzie i piersiach. Sięgnęła po placek, był gorący i parzył w palce. Staruszka podała jej skrawek oderwanej gazety, a ona owinęła nim danie.

I wtedy zdarzyło się coś niespodziewanego. Nadal miała wyostrzone zmysły. Co chwila lustrowała zbity tłum krajowców na placu, próbując zawczasu wykryć potencjalne niebezpieczeństwo. Polykała żarłocznie kęsy placka, starając się jednocześnie niczego nie przeoczyć. Dwaj mężczyźni w galabijach na pierwszym planie kłócili się o coś zażarcie. Jeden popychał drugiego wyciągniętym palcem, co wzbudzało głośne protesty jego interlokutora. Tuż za nimi z gracją słonicy przesuwiała się monstualnie otyła kobieta z wielkim koszem na głowie. Niosła w nim piramidę owoców, połyskujących w słońcu. Żeglowała w lewo i prawo, jakby nie mogła znaleźć sobie drogi przez otaczającą ją cizbę. Za nią kroczył mały berbecz w podartych spodenkach.

I wtedy mignął jej zza tego żywego parawanu jakiś mężczyzna w spranym T-shircie i bandance na głowie. Stał tyłem, widziała go tylko przez moment, przez ułamek sekundy, gdy zawachlował kosz Afrykanki, odsłaniając ludzką cizbę po bokach. Wróciła do jedzenia i nagle przemożny impuls kazał jej przestać. Odłożyła placek na oczach zdziwionej staruszki i ruszyła w stronę matrony z koszem. Mężczyzna zniknął. Chciała zrezygnować, gdy nagle pojawił się ponownie, tym razem kilka metrów dalej, już na ulicy, pochylony nad maską jakiegoś odrapanego pojazdu.

Przyspieszyła kroku, przepychając się pomiędzy ludźmi. Słyszała, jak głucho bije jej serce. Potrafiła tać z kardamonem i wanilią, jej laski wysypały się na ziemię. Ścigał ją okrzyk rozgniewanego sprzedawcy, ale nie zwolniła kroku.

Mężczyzna musiał usłyszeć hałas za plecami. Odwracał się powoli jak na zwolnionym filmie. Najpierw zobaczyła bandankę, potem skrawek czoła i na koniec oczy. Resztę twarzy miał skrytą w cieniu. To jednak wystarczyło. Znała te oczy. Przenikliwe i jasne jak przetarty błękit. Czasami wypełnione pożądaniem i płonące wewnętrznym ogniem, a innym razem wyblakłe i zobojętniałe, gdy był po lekach.

– Marek?

Podniósł nagle głowę i ujrzała zdumienie, niedowierzanie i radość w tych źrenicach. Nic więcej nie musiał mówić. Wiedziała, co przeżywał. Czują to samo.

Rozdział VIII

Jestem bogiem

Zanzibar, Pemba, czerwiec 2023

I.

Od hotelu oddzielał ich pas wysokich traw. Ostre i twarde źdźbła cięły ich boleśnie po odsłoniętych kończynach. Było cicho, słyszeli własne przyspieszone oddechy. Jakiś wielki ptak krążył nad ich głowami, przesłaniając swoimi skrzydłami słońce. Dniało. Wynajęty samochód pozostawili kilkadziesiąt metrów przed szlabanem. Resztę drogi postanowili przejść pieszo, by nie spłoszyć przedwcześnie ludzi Blumego. Do The Aiyana Lodge postanowili dostać się boczną ścieżką, prowadzącą przez gaj eukaliptusowy na tyłach hotelu.

Idący na czele Smuga, zatrzymał się na chwilę i obejrzał za siebie. Tuż za sobą miał dwóch policjantów. Ich ciemne twarze lśniły od potu. Pierwszy z nich trzymał cały czas rękę na kaburze z bronią. Tuż za nimi kroczył urzędnik z ambasady w ciemnym, wyglądającym absurdalnie w tej scenerii, garniturze. Co chwilę wycierał kark chusteczką, a ten po kilku minutach nieodmiennie ponownie pokrywał się potem. Jego przyjazd z Dar es Salaam był dla Smugi miłą niespodzianką. Nie spodziewał się niczego dobrego po ostatniej rozmowie z ambasadą. Być może ktoś tam wygooglował nazwisko Smugi i zorientował się, że facet nie jest anonimowy i może sprawić kłopoty, skarżąc się mediom na beczynność dyplomatów. W każdym razie się postarali, nie zamietli sprawy pod dywan. Pociągnęli za odpowiednie sznurki w stolicy i attache zjawił się w towarzystwie dwóch policjantów z Chake Chake.

Pochód zamykała Agnieszka. Widział napięcie i skupienie na jej twarzy. W nocy była inna. Po telefonie z ambasady postanowili nie wracać do Africa Beach. Wzięli pokój w hotelu przy głównej ulicy stolicy. Stali razem pod prysznicem i wzajemnie zmywali z siebie brud i napięcie ostatnich dni. A potem kochali się długo i żarliwie, jakby to był ich pierwszy raz. Smuga był nienasy-

cony, a ona przyjmowała tę determinację jak dar od losu. Krzyknęła głośno, gdy skończył, a jej krzyk wymknął się za okno i wtopił w granat nocy...

Byli na miejscu. Niewielka piaszczysta skarpa oddzielała ich od hotelu. Zalegli w trawie. Widzieli teraz podjazd przed recepcją. Stało na nim nowe volvo. Ptaszek był znowu w klatce. Blume wrócił. Smuga odwrócił się i dał znać starszemu z policjantów. Ten skinął potakująco głową i sięgnął po komórkę. Powiedział tylko kilka słów i wyłączył telefon. Czekali.

Smuga spojrział na zegarek. Jedna minuta, dwie, trzy. Nagle ciszę rozdarł stukot otwieranych okienic. Potem strzeliły drzwi, w których pojawił się mężczyzna w białej szacie. Kassim! Rozejrzał się dookoła i pospiesznie przebiegł przez dziedziniec, kierując się w stronę rozległego budynku gospodarczego na zapleczu hotelu. Wiodła do niego szutrowa ścieżka obramowana skalnymi ostańcami. Przed samym magazynem stracili go z oczu. Przesłoniło go małe wzgórze porośnięte krzewami eukaliptusa. Po chwili usłyszeli tylko zgrzyt przesuwanego metalu. Wszedł do środka?

Smuga odwrócił oczy i napotkał utkwione w siebie spojrzenie Agnieszki. Oboje pomyśleli w tym momencie o tym samym. Dlaczego Blume wysłał swego najwierniejszego pretorianina w momencie zagrożenia właśnie w to miejsce? Kogo ma pilnować w podziemnych kazamatach? Czy od Karoliny dzieliło ich kilkadziesiąt metrów afrykańskiego piachu i betonu?

W tym momencie na podjeździe pojawił się Blume. Był w czarnej tunice, powiewającej na wietrze i odsłaniającej muskularne łydki. Wydawał polecenia dwóm lokajom, żywo gestykulując i wskazując ręką na drogę dojazdową. Potem sięgnął po telefon komórkowy i z kimś rozmawiał, odwracając się plecami do swoich pomagierów. W pewnym momencie urwał i zwrócił głowę w ich kierunku. Smuga miał wrażenie, że Szwed wpatruje się uważnie w zbocze, na którym leżeli. Przewrócił się gwałtownie na plecy, nakazując pozostałym, by zrobili to samo. Szlag! Dostrzegł ich? Zdradził ich jakiś odbłask, refleks światła, odbity od okularów lub cyferblatu zegarka? Policzył do dziesięciu i ostrożnie wychylił głowę. Blume stał odwrócony do nich tyłem. Przez chwilę mówił coś do pary turystów, którzy wyszli na podjazd i nagle cofnęli się do środka, na widok nadjeżdżającego z impetem policyjnego jeepa.

To był pomysł Smugi: rozdzielić się i wziąć Blume'go w dwa ognie. Jego grupa miała przekraść się na teren hotelowy i zająć dogodnie stanowisko obserwacyjne. Dopiero po sygnale z ich strony do akcji miała wkroczyć pozostała ekipa policyjna pod dowództwem sierżanta Malika z posterunku w Chake Chake. Detektyw był ciekawy, jak Szwed zareaguje na alarm zgłoszony przez

wartownika. Chciał być na miejscu, tuż pod hotelem, gdy to się stanie. Czy będzie przeciągać wjazd policji na teren hotelu? Jakie wyda polecenia swoim ludziom? Co będzie chciał ukryć i czy w ten sposób zdradzi miejsce przetrzymywania Karoliny?

Jeep zjechał na podjazd i zahamował z piskiem opon. Siedzący w nim oficer wyskoczył na zewnątrz, zasalutował i przywitał się z nieruchomo stojącym Szwedem.

Nie było na co czekać. Obeszli budynek i znaleźli się na podjeździe. Na ich widok Blume przerwał rozmowę z oficerem policji, który pokazywał mu jakiś papier. Polak podszedł bliżej. Blume nie okazywał strachu ani zaniepokojenia. Wyglądało na to, że trzymał nerwy w ryzach. Do twarzy miał przylepiony uprzejmy uśmiech.

– O, proszę, nasza zguba – powiedział do Smugi.

– To koniec, Blume.

– Koniec czego, bo nie zrozumiałem? Chyba mojej gościnności. Ściągnęliście tu policję i ambasadę, brakuje tylko floty wojennej Unii Europejskiej. Nie rozumiem, czemu służy ten nalot.

– Skrzywdziłeś moją kobietę. I prawdopodobnie nie tylko ją.

– O czym ty bredzisz?

– Nie odpuszczę ci. Nie znasz mnie i nie wiesz, do czego jestem zdolny.

– Już się boję. Powinieneś raczej zmienić obiekt zainteresowań, dobrze ci radzę. Bo ta pani – wskazał palcem Agnieszkę, przysłuchującą się tej tyradzie z płonącymi oczami – nie marnowała czasu podczas twojej nieobecności. Najpierw narzucała się mnie, a potem próbowała uwieść mojego boya. Dzisiejsze kobiety takie są: bezwstydne i zdradliwe. Biorą to, na co mają ochotę.

– Łżesz, skurwysynu. – Agnieszka szarpnęła się ku niemu, ale stojący obok Smuga ją powstrzymał.

– Nie dość, że puszczałska, to jeszcze agresywna. – Blume najwyraźniej dobrze bawił się ich kosztem.

– Licz się ze słowami, bo nie odpowiadam za siebie. A mam dość gwałtowny charakter – wycodził przez zęby Smuga.

Szwed cofnął się mimowolnie o krok.

– Dość tego! – Sierżant Malik, przysłuchujący się z boku tej konfrontacji, najwyraźniej postanowił wkroczyć do akcji. – Panie Blume, tak jak powiedziałem wcześniej, wykonujemy tylko swoje obowiązki. Ta Polka złożyła na pana

formalną skargę. Twierdzi, że przetrzymywał pan ją bez jej zgody w hotelu, a pana pracownika, hotelowego boya, oskarża o próbę gwałtu i pobicie. To poważne oskarżenia, będzie pan musiał stawić się na przesłuchaniu w Zanzibarze.

– To bezczelne pomówienie. – Blume nie tracił rezonu. – Skontaktuję się z moim prawnikiem. Do tego dochodzi naruszanie miru domowego. Jestem rezydentem na wyspie od wielu lat, odprowadzam podatki, daję tutejszym ludziom pracę. Wystraszyście mi klientów, już zepsuliście im urlop. Na pewno złożę skargę...

– Nie zatrzymacie go? – zapytał wzburzony Smuga.

– Nie mamy do tego podstaw. Najpierw musi się odbyć przesłuchanie. – Oficer rozłożył bezradnie ręce.

– Pokrzywdzona jest obywatelką Polski, pozostaje pod naszą opieką konsularną. Rozmawialiśmy już z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych w Dodomie – powiedział stanowczo attaché.

– Dlatego tu jesteśmy, ale takie mamy prawo. – Oficer przestąpił z nogi na nogę.

– Wyjdę z komisariatu tego samego dnia, w którym do niego wejść. Nic na mnie nie macie. Słowo przeciwko słowu. Jakie dowody może przedstawić ta agresywna dama na potwierdzenie prawdziwości swoich oskarżeń? To wszystko stek pomówień i bzdur wyssanych z brudnego palca. – Szwed nie wychodził z roli.

– To nie wszystko – powiedział Smuga. – Domagamy się przeszukania hotelu.

– W jakim celu? – Blume zmrużył oczy. – Chcecie coś ukraść? Polacy są z tego znani na świecie.

– Podejrzewamy, że przetrzymujesz w hotelu młodą kobietę, siostrę Agnieszki, zaginioną przed pięcioma laty.

– A więc o to ten cały rejewach? – Blume roześmiał się głośno. – Jesteście oboje szurnięci, to już jakaś psychoza. Myślicie, że jestem jakimś Fritzlem?

– Mamy zgodę prokuratora na przeszukanie. – Oficer machnął dokumentem trzymanym w dłoni. – Niech pan nie utrudnia, panie Blume.

– Ależ nie zamierzam. Proszę tylko o rozsądek. Będziecie wchodzić do pokoi hotelowych i straszyć moich klientów?

– Ile pokoi jest obecnie zajętych? – Nie ustępował oficer.

– Cztery – odpowiedział po pewnym wahaniu Blume.

– No więc to nie potrwa długo. Zapewniam, że moi ludzie potrafią zachowywać się dyskretnie. – Skinął ręką na policjantów, którzy stojąc w cieniu obobabu, czekali na koniec tego dziwnego teatrzyku.

– Być może to przeszukanie budynku hotelowego nie będzie konieczne – powiedział nagle Smuga.

– Jak to? – Policjant spojrział na niego skonfundowany. – Dopiero co, domagaliście się państwo rewizji...

– Nie wycofujemy się z tego. Ale możemy zacząć przeszukiwanie od tego budynku. – Smuga wskazał palcem magazyn, w którym zniknął Kassim.

– Dlaczego właśnie tam? – Szwed drgnął, nadal panował nad sobą, ale widać było, że słowa Smugi go zaniepokoiły.

– Mamy swoje powody – odpowiedział Smuga, nie spuszczać z niego oczu.

– Panie sierżancie, czy to konieczne? W magazynie znajduje się komora chłodnicza, składujemy tam żywność i towary wrażliwe na temperaturę. Taka nagła ingerencja może rozhermetyzować skład.

– Niestety, panie Blume. Nakaz obejmuje teren całego The Aiyana Lodge. A magazyn z pewnością do niego należy.

– Ulegam presji, ale powtarzam, nie zostawię tak tej, niczym nieusprawiedliwionej, napaści. Mam wysoko postawionych przyjaciół w Dodomie. – Mówiąc to, sięgnął do kieszeni pod tuniką i wyciągnął pęk kluczy.

Nie uszło to uwadze Smugi.

– Zawszenosisz przy sobie te klucze? Nawet o świcie? Co jest takiego ważnego w tym budynku, że się z nimi nie rozstajesz? – zapytał.

Szwed nie odpowiedział. Nie kryjąc niezadowolenia, rozsiadł się na fotelu przy basenie. Stamtąd śledził chmurnym spojrzeniem poczynania intruzów.

Smuga z niepokojem przyglądał się dwóm gorylom Blumego w białych kurtkach. Stali w drzwiach pod murem hotelu. Mieli nieruchome spojrzenia: ebonitowe guziki płonące w ciemnych twarzach. W rękach trzymali izraelskie automaty uzi. Nie spuszczała oczu z Blumego, widać było, że wykonają każdy jego rozkaz.

– To obstawa hotelu. Mają pozwolenie na broń. Ostatnie niepokoje sprawiły, że wiele hoteli zapewnia sobie taką ochronę. – Attaché najwyraźniej podzielał niepokój Smugi.

– Raczej wyglądają na goryli Blumego.

– Niestety.

Magazyn był obszerny. Smuga wszedł do niego jako pierwszy. Tuż za nim podążali Malik i Agnieszka. Dyplomata został na zewnątrz, szukając cienia pod daszkiem ocembrowanej studni. Obficie się poccił, już zdążył zmienić dwie chusteczki.

We wnętrzu panował chłód. Lewą stronę rzeczywiście zajmowała komora chłodnicza. Smuga przesuwiał się powoli między wielkimi zmrożonymi kawałkami mięsa, szynkami parmeńskimi i pętami suchych kielbas. Jeden regał zajmowały krążki żółtego sera, sądząc po etykietach, sprowadzanego aż z Francji i krajów Beneluxu. Blume na pewno nie oszczędzał na swoich klientach. Przeciwnie, stronę zajmowała wielka lodówka, mrugająca diodami na froncie urzędnika. Nigdzie nie było widać jakichś ukrytych drzwi ani kłapy w podłodze. Smuga nie miał jednak złudzeń, że takie wejście jest gdzieś ukryte. Przecież Kassim wszedł do magazynu i z niego nie wyszedł. Krótko przedstawił swoje przypuszczenia sierżantowi Malikowi, ale ten nie wyglądał na przekonanego. Widać było, że groźby Blumego i jego pewność siebie zrobiły na nim wrażenie. Najchętniej zakończyłby tę niewygodną misję i wycofał się jak najprędzej na posterunek w stolicy wyspy, do mamki gotującej rosół z kury na podwórzu i świętego nicnierobienia.

Po przeszukaniu chłodni Smuga zajął się drugą połową magazynu. Tarasowało ją kilka starych leżaków i zużytych mebli, odrapany kocioł z kuchni i stos materaców w białoniebieskie pasy. Przedzierał się przez te zawaliska, przesuwając meble, torując sobie drogę i wzbijając tumany kurzu. Dotarł do ściany i otarł pot z czoła.

– Nic tu nie ma – powiedział sierżant Malik. Smuga zauważył, że nadal ma nienagannie wyprasowany mundur i czyste dłonie, na których nawet Perfekcyjna nie znalazłaby odrobiny kurzu.

– To niemożliwe. Kassim tu wszedł, widziałem na własne oczy.

– Może wyszedł w czasie, gdy zeszlśmy ze skarpy i poszliśmy na podjazd? – powiedziała Agnieszka. Miała rozwichrzone włosy i nieprzytomne spojrzenie. Smuga pomyślał, że ponowna wizyta w The Aiyana Lodge musiała ją dużo kosztować.

– To mało prawdopodobne, straciłem wtedy magazyn z pola widzenia ledwie na kilka sekund.

– Ale możliwe, prawda? – Malik był już z powrotem w drzwiach wejściowych. Z niepokojem spjrzał na hotel, w którego oknach pojawiły się kolejne

głowy zaafierowanych gości.

– Możliwe – przyznał niechętnie Smuga.

– Mógł też precyzyjnie się przez okienko na tylnej ścianie i wyjść z tamtej strony na zewnątrz. – Sierżant wskazał na mały właz pod sufitem.

– Niby po co miałby to robić? Nie wiedział przecież, że go obserwujemy. – Smuga potrząsnął głową.

– Powinniśmy skończyć. To bez sensu. – Zaczął niecierpliwie się policjant.

W powietrzu zawisło napięcie między nimi. Smuga spojrział na Agnieszkę. Stała z zaciśniętymi pięściami. Miała w oczach jakiś ogromny, bezbrzeżny smutek. Tyle trudu i znoju. Tak wiele przeszli i być może byli naprawdę blisko. Przebyli tysiące kilometrów, aby tu dotrzeć – być może Karolina znajdowała się w jakimś podziemnym tunelu kilkanaście metrów od nich. Przecież nie mogli zrezygnować, nie teraz.

– Niech mi pan da kilka minut, sierżancie. A w tym czasie niech wasi ludzie przeszukają hotel. – Nie poddawał się Smuga.

– Mówił pan, że to nie będzie konieczne.

– Zmieniłem zdanie. Jeśli odnajdziemy tę kobietę, sierżancie, to będzie wielka sprawa. Napiszą o niej gazety i to na pierwszych stronach. Ten sukces na pewno zauważą też w Dodomie. Obiecuję, że polska ambasada napisze do waszego ministra specjalny list z podziękowaniami w tej sprawie. Osobiście przypilnuję też, aby zaakcentowano w nim pańskie zasługi w wykryciu i unieszkodliwieniu niebezpiecznego przestępcy, farbowanego lisa, Stiega Blumego.

To przeważyło. Malik przez chwilę przetrwał w głowie tę epistołę, a potem obciągnął poły munduru i powiedział: – Macie kwadrans, ani minuty dłużej. My w tym czasie przeszukamy hotel.

Skinął na towarzyszącego mu podwładnego i zniknął w prostokącie drzwi.

– Jesteś wielki. Co teraz robimy? – Agnieszka zawiesiła spojrzenie na Smudze.

– Na pewno się nie poddamy. Popelniamy jakiś błąd, coś umyka naszej uwadze, tylko nie wiem co. Zakładam, że Kassim nadal tu jest. Pamiętasz jak Blume, stojąc na dziedzińcu, do kogoś dzwonił? Na pewno właśnie do niego. Sądzę, że instruował go, nakazywał nie wychodzić z nory, aby nie zdemaskować kryjówki.

– Znaleźliście coś? – Attaché wsunął przez drzwi głowę do magazynu. Wyglądał na zniecierpliwionego.

– Szukamy – odpowiedział krótko Smuga. Dopiero co uporał się z sierżantem, a tu otwierał się kolejny front.

– Powinniśmy chyba kończyć. Uzyskaliśmy to, po co przyjechaliśmy. Blume zostanie przesłuchany, reszta jest w rękach tutejszych stróżów prawa. Nasza rola jako ambasady tu się kończy.

– Nie znaleźliśmy jeszcze Karoliny – zaprotestowała gwałtownie Agnieszka.

– Nie tak się umawialiśmy. – Dyplomata pokręcił głową. – Nie wiemy nawet, czy Blume ma coś wspólnego z tą historią. Słyszałem, jak Malik, zdenerwowany, dzwoni do swojej centrali. Lada moment każą mu związać manele. Blume też nie próżnuje. Cały czas gdzieś wydzwaniania, na pewno do swojego prawnika. Nawet dziwię się, że jeszcze nie przybył tu z odsieczą. A te dwa jego draby cały czas celują do mnie z automatów. To jest Afryka, tutaj się szybciej strzela, niż myśli.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie odnajdę przejścia, w którym zniknął Kassim – odpowiedział stanowczo Smuga.

– Ale jednak...

– Sorry, ale nie mam czasu na jałowe dywagacje. – Smuga odwrócił się do dyplomaty plecami, zamykając dyskusję.

Szumiało mu w głowie i swędziało go skóra. Przed oczami wirowały mu czarne mroczki, małe porwane pajęczyny, zakłócające ostrość widzenia. Był w kiepskiej formie. To zresztą przydarzało mu się nie po raz pierwszy. Organizm odmawiał mu posłuszeństwa najczęściej wtedy, gdy powinien tryskać energią i funkcjonować na najwyższych obrotach, na granicy wydolności swego ciała. Po uwolnieniu z aresztu nafaszerował się tabletkami, które odzyskał dzięki Meerowi, ale nadal walczył z trawiącą go słabością i zniechęceniem. Adrenalina wyzwalana przez ostatnie wydarzenia oczywiście pomagała, ale nadal nie był do końca sobą.

– Kassim tu wszedł – powiedział bardziej do siebie niż do Agnieszki. – Ukryli tu wejście do podziemnego korytarza lub komory. Co zrobiłbym na ich miejscu? Szukałbym miejsca nieoczywistego, a jednocześnie niebudzącego podejrzeń, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Przecież nie mógł przepaść jak kamień w wodę. – Oczy Agnieszki płonęły chorobliwym blaskiem.

– Powtórz to – powiedział wolno.

– Co? Jak kamień w wodę?

Nagle go olśniło, otworzyła się z trzaskiem zapadka w mózgu, odsłaniająca to, co było wcześniej ukryte.

– Kassima nie ma w magazynie. Wcale nie widzieliśmy do końca, że do niego wchodził – krzyknął i schwycił Agnieszkę za ramiona.

– No nie, ale co to znaczy?

– Wiem, gdzie może być!

Wybiegł na zewnątrz magazynu. Musiał zmrużyć oczy, porażone oślepiającym światłem słonecznym, odbijającym się od skał i blachy. Attaché siedział na ocembrowaniu niskiej studni z daszkiem w kształcie stożka. Oddalona była ona kilka metrów od wejścia do magazynu.

– Studnia! To tutaj zniknął Kassim, nie w magazynie! – Smuga odsunął zdumionego dyplomatę i pochylił się nad kamiennym kręgiem, zakrywającym właz. Agnieszka obserwowała jego poczynania szeroko otwartymi oczami.

Krąg miał ze dwa metry średnicy, wykuty był z białego kamienia. Smuga narpał na niego barkiem, ale właz ani drgnął. Spróbował ponownie z pomocą Agnieszki i dyplomaty, ale ta próba także nie przyniosła powodzenia. Krąg przesunął się zaledwie o kilka centymetrów. Szorstki kamień boleśnie ranił ich w dłonie.

Smuga otarł pot z czoła. Stado wielkich gzów wściekle ich atakowało, obsiadając spotniałe części twarzy i ciała. Spojrzał na zegarek. Minęło już pięć minut z czasu danego mu przez Malika. Z dziedzińca hotelu dobiegał go szmer podniesionych głosów. Policjanci zapewne wkrótce skończą przeszukanie pokojów w hotelu. Ile ich było? Cztery? Detektyw nie spodziewał się rewelacji po tym przeszukaniu.

Gdyby Blume chciał przetrzymywać latami swoją ofiarę, na pewno nie uczyniłby tego w samym hotelu, na oczach innych, narażając się na przypadkową demaskację. To byłoby zbyt proste. Co innego, gdyby skrytkę ukryto poza hotelem. Z sekretnym wejściem znanym tylko wtajemniczonym, takim na przykład jak ta studnia, zasłonięta przed oczami ciekawskich eukaliptusowym gajem na obrzeżach i odgradzona płotem od hotelu.

– Co robimy? – Czuł na sobie wzrok Agnieszki.

Spojrzał raz jeszcze na płytę. Była zbyt ciężka, aby mógł ją przesunąć jeden człowiek, nawet tak silny jak Kassim. Musiał być inny sposób, mniej toporny i bardziej dogodny. Przecież jeśli przetrzymywali gdzieś tam na dole Karolinę i prawdopodobnie także inne dziewczyny, Blume musiał mieć do nich łatwiej-

szy dostęp. Poza tym jeśli Szwed zbudował pod ziemią coś w rodzaju schronu, to bunkier musiał mieć wywietrzniki, ukryte zapewne gdzieś na pobliskim terenie. Mógłby spróbować je odnaleźć, ale nie było na to czasu. Rzucił okiem ponownie na zegarek. Dziesięć minut. Kurwa!

Obszedł ocembrowanie, szukając jakiejś ukrytej dźwigni. Nic nie rzuciło mu się w oczy. Kręgi ocembrowania były lite, z polerowanego kamienia. Nigdzie nie widział żadnego mechanizmu. Pozostał mu tylko kołowrót. Wyglądał na dekorację, jego okrągła rączka wykonana była z misternie rzeźbionego metalu. Spróbował ją przekręcić, ale napotkał opór. Najwidoczniej była to rzeczywiście tylko atrapa. Podobnie jak cała studnia, być może stanowiła tylko element małej architektury ogrodowej. Być może....

– Marek? – Głos Agnieszki zza pleców podziałał na niego jak dźwięnienie ostrogą. – Spróbuj z tym kołowrotem jeszcze raz, jakoś inaczej. To nasza jedyna szansa.

Posłuchał jej i podszedł do kołowrotu raz jeszcze. Tym razem zmienił metodę. Napał na trzpień urządzenia i spróbował wcisnąć go do środka studni. Mniej siłowo, a bardziej w wyczuciem.

I nagle wszystko się zmieniło. Usłyszał cichy trzask i trzpień wskoczył o kilka centymetrów w głąb ocembrowania.

– Jezu... – Agnieszka stała tuż obok niego. Nawet attaché podniósł się z miejscy.

Smuga nabrał powietrza w piersi i przekręcił korbę. Płyta zgrzytnęła, odsłaniając właz o kilkanaście centymetrów. Powoli ruch i czarna przestrzeń w głębi studni poszerzyła się o kolejny fragment.

– Coś tam widać. – Podeksycytowana Agnieszka wskazała ręką w dół.

Smuga zapał się nogami o ziemię i wzmógł wysiłki. Po minucie otwór był na tyle szeroki, że mogli spojrzeć w głąb studni. Tak jak się spodziewali, nie było w niej wody. Prosta drabinka z metalu wiodła na dolną platformę, oddaloną od włazu ledwie o kilka metrów. Nawet pod tym kątem widzieli ciemny prostokąt wejścia, zapewne prowadzący do jakiegoś bocznego korytarza, biegnącego w stronę hotelu.

Odgłosy przed hotelem nagle ucichły. Malik prawdopodobnie skończył przeszukiwanie, musieli się spieszyć. Smugę ciągle niepokoił dwaj uzbrojeni goryle, warujący pod hotelem. Nie wiedział, czego się po nich spodziewać. Nawet obecność policyjnego patrolu mogła nie być przeszkodą dla zdesperowanego i zdemaskowanego Szweda. Potarł czoło. Przeżył w ostatnich dniach na Pem-

bie wystarczająco dużo, by nie być pewnym niczego i spodziewać się najczarniejszego scenariusza.

– Zejdę teraz na dół – powiedział do Agnieszki.

– Idę z tobą. Tam może być moja siostra – przerwała mu.

– Nie, jesteś mi potrzebna tu, na powierzchni. Jeśli pojawi się Malik, zrób wszystko, żeby się nie zwinął i poczekał na mój powrót. W przeciwnym razie, nawet jeśli mi się uda, będziemy skazani na tych bandziorów z automatami. Po drugie – jest możliwe, że gdzieś na terenie jest wyjście awaryjne. Blume miał wystarczająco dużo czasu i możliwości, aby pomyśleć o wszystkim i zabezpieczyć się na każdą ewentualność. Sam bym tak zrobił na jego miejscu. Nie wiem, co mnie czeka na dole i czym się to wszystko skończy. Jeśli zauważysz jakiś ruch w pobliżu, wszczynaj alarm.

– Dobrze. – Ustąpiła z wahaniem.

– Zostawię ci lornetkę, miej oczy szeroko otwarte. Pamiętaj, w razie czego proś o pomoc sierżanta, jeśli jeszcze nie zdąży stąd czmychnąć.

– Postaram się. A ty pamiętaj, że Kassim wypłoszony z nory, może być niebezpieczny.

– Nie lekceważę go. Bardziej boję się, że będzie chciał uprowadzić ze sobą kogoś jeszcze, żeby nie zostawiać świadków.

– Rozumiem. Nie daj się zabić, tam pod ziemią.

– Zamierzam straszyć na tym padole łoż do dziewięćdziesiątki. Pod warunkiem że nie zaprzestaną produkcji antydepresantów – odpowiedział jej z wątlým uśmiechem.

2.

Schodził ostrożnie, przytrzymując się jedną ręką metalowej poręczy. Do nogi miał przymocowany plastrem nóż, jedyną broń, jaką dysponował. W drugiej dłoni trzymał latarkę. Zszedł na dno studni. Wszędzie było sucho, nie widział śladów wilgoci. W tym miejscu studnia traciła swój kolisty kształt, przypominała nieforemny klocek, obmurowany białym kamieniem. Małe drzwiczki znajdowały się po prawej stronie. Były przymknięte. Schylił się, by je przekroczyć i wszedł w ciemny otwór.

Korytarz był zaskakująco szeroki, tak jakby jego budowniczy uznał, że po sforsowaniu tajemnego przejścia przez studnię, nie trzeba się było już maskować. Zaskoczeniem były niewielkie kinkiety w okrętowych oprawach umieszczone pod sufitem. Wszystkie jarzyły się bladym światłem. Jeśli nie paliły się stale, to Kassim musiał tędy przechodzić kilkanaście minut wcześniej.

Smuga postąpił kilka kroków do przodu i zatrzymał się, próbując wyłowić jakiś, najlżejszy choćby, hałas. Musiał być uważny i ostrożny. Kassim na pewno był już uprzedzony przez Blumego o najeździe policji. Prawdopodobnie nie spodziewał się intruza w podziemiach, ale miał się też z pewnością na baczności.

Korytarz skręcał po kilkunastu metrach łagodnie w prawo. Gdzieś u góry powinien znajdować się skraj hotelowego podjazdu. Kolejne drzwi, tym razem drewniane, okute metalowymi listwami. Widniał w nich judasz, jego wypukłe szkieleto odbijało światło lampy. Odlepił nóż i schwycił go w lewą dłoń. Wymacał prawą ręką w kieszeni swój wytrych. Jeśli drzwiczki będą otwarte, pchnie je jednym ruchem i wpadnie do środka. Gorzej, jeśli będą zamknięte od środka. Musi wtedy pogmerać w zamku i zdradzić swoją obecność. To była kiepska ewentualność. Nie mógł wykluczyć, że Kassim jest uzbrojony.

Był pół metra od drzwi. Wóz albo przewóz. Podniósł rękę i zdążył zarejestrować tylko nagły zgrzyt otwieranych gwałtownie drzwi. Uderzenie było tak silne, że poleciał na ścianę i uderzył głową o mur. Kassim musiał czekać na niego po drugiej stronie i śledzić jego ruchy przez judasza. Gdy nadszedł właściwy moment, z całym impetem użył drzwi jak tarana. Nim detektyw zdążył się podnieść, przeciwnik już na nim siedział. Korzystając z chwili zaskoczenia, uderzył przegubem Smugi o mur. Nóż wypadł na ziemię.

– Zatlukę!

Masa Kassima robiła swoje. Oszołomiony Smuga nie mógł strząsnąć z siebie przeciwnika. Zainkasował przy tym dwa ciosy łokciem w twarz. Jeden z nich trafił dokładnie w zranioną skroń, która niemal natychmiast ponownie zaczęła krwawić. Afrykanin zauważył jego słabość. Chwycił go za szyję i zaczął dusić, przyciskając jednocześnie ku ziemi. Smuga tracił oddech, w płucach narastał mu trudny do zniesienia ciężar. Powróciły czarne pajęczki, tańczące przed oczami. Miał świadomość, że zostało mu kilka sekund, aby wydobyć się z opresji. Kątem oka zlokalizował finkę, leżącą teraz bezpiecznie pod ścianą. Była za daleko, nie zdołałby jej sięgnąć, musiał wywalczyć trochę przestrzeni. Wyczekał odpowiedni moment i podnosząc ciało, uderzył z byka napastnika

w twarz. Uchwyt na chwilę zelżał. Smuga poszedł za ciosem i ponowił uderzenie raz jeszcze. Miał wrażenie, że pękła mu kość czołowa.

Kassim zawył z bólu i instynktownie się cofnął. Smuga tylko na to czekał. Dwoma kopnięciami odrzucił od siebie napastnika. Przeturlał się po podłodze, szukając noża. Dotknął czubkami palców ostrza, ale nie zdążył go podnieść. Kassim zerwał się na nogi i runął na niego jak wściekłe zwierzę. Smuga uchylił się i podciął mu nogę. Afrykanin zachwiał się w miejscu, po czym runął na kolana. Już nie zdążył się podnieść. Pierwszy cios Smugi trafił go między oczy, drugi w grdykę. Kassim nagle sflaczał jak balon, z którego uszło powietrze. Detektyw chwycił go za czuprynę i uderzeniem głowy w ścianę dokończył dzieła. Jego przeciwnik osunął się bezwładnie na ziemię.

Detektyw stał nad nim, ciężko dysząc i próbując uspokoić oddech. Już się nie nadawał do takich akcji. Stanowczo za dużo xanaxu, a za mało ćwiczeń. Czas na młodsze pokolenie. Niewiele brakowało, a sam leżałby na miejscu powalonego mężczyzny. Zdjął pasek i skrępował nim ręce nieprzytomnego Kassima. Dla pewności związał mu także nogi rękawem zdartej z niego koszuli.

Dopiero teraz, lekko chwiejąc się na nogach, postanowił przestąpić próg pomieszczenia, w którym ukrywał się Kassim. Czuł nieznośny ucisk w skroniach. Zrobił kok naprzód i wstrzymał oddech. Nie tego się spodziewał.

Miał przed sobą niewielkie, dobrze wyposażone laboratorium. Przez środek długiego pomieszczenia ciągnął się stół z aparaturą. W zimnym świetle ledów połyskiwał jego blaszany blat. Obok piętrzyły się dziesiątki butli i pojemników z odczynnikami. W powietrzu unosił się zapach chemikaliów. Gdzieś pod sufitem cicho pracował wentylator, mieląc miarowo powietrze. Ujście rury wentylacyjnej, dobrze ukryte, musiało znajdować się na powierzchni. Podszedł bliżej i sięgnął do kasety stojącej w rogu. Zanurzył w niej zwilżony czubek palca. Osuszona amfetamina.

Nie miał już złudzeń, na co trafił. Znał ten smak, tę konsystencję. Gdy pracował w policji, wpadli na trop podobnego laboratorium do produkcji metamfetaminy w podwarszawskim Otwocku. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Osunął się na ziemię. Poczuł, jak ogarnia go straszliwe rozczarowanie. Rzadko kiedy tak się mylił, jak w tym przypadku. Od początku wyprawy do Tanzanii wszystko szło nie tak, jak powinno. Ciągłe mieli pod górkę albo marnotrawili cenny czas na sprawdzanie fałszywych, jak się później pokazywało, tropów. A gdy wreszcie uchwycił właściwy, jak się wydawało, ślad i wszystkie puzzle zaczęły wskakiwać na swoje miejsce – okazało się, że gonił uludę.

Blume miał swoje tajemnice, ale raczej nie miały one nic wspólnego z zaginięciem Karoliny.

Oparł rozpalone czoło o ścianę. Krew ze skroni miarowo kapała na ziemię. Patrzył ponuro jak jej krople barwią kafle podłogi. No, pięknie. I jak przekaże te hiobowe wieści Agnieszce?

Wrócił na korytarz. Kassim już odzyskał świadomość, wpatrywał się w niego ciemnymi oczami, w których skrzyła się nienawiść. Szarpnął się i splunął pogardliwie w stronę Smugi.

– Plugawy pies – charknął.

Smuga uchylił się i pokazał przeciwnikowi fucka. Nawet nie miał siły mu odpowiedzieć.

Gdy doszedł do wyjścia studni, zacerpnął głęboko powietrza. Przepocone ubranie ciasno oblepiało mu ciało, jakby stanowiło drugą skórę. Wspiął się powoli po drabince ku górze, wycierając co chwilę krew, broczącą ze skroni. Gdy był już na poziomie gruntu, pierwszą rzeczą jaką zauważył były brązowe mokasyny Blumego. Podniósł oczy ku górze. Szwed czekał na niego przy studni, tuż za nim stał czujnie jeden z policjantów, nie spuszczać z oczu hotelarza. Agnieszka znajdowała się kilka metrów dalej, w bezpiecznej odległości od Szweda. Nigdzie nie było widać Malika, widocznie jeszcze przeszukiwał hotel.

– Gdzie Kassim? – zapytał Blume.

Smuga wy dobył się na powierzchnię i zmrużył oczy porażone słońcem.

Zignorował pytanie Blumego. Podeszedł do Agnieszki i położył jej rękę na ramieniu.

– Nie ma jej tam – powiedział.

– Na pewno? – Widział, jak wstrząsnął nią dreszcz.

– Na pewno.

Opuściła głowę, ręce zwisały jej beładnie, jakby już do niej nie należały.

– Krwawisz – powiedziała, zrywając chustkę z szyi i obcierając mu ranę.

– To nic.

– Pytałem, co z Kassimem? – Szwed stał teraz twarzą w twarz ze Smugą.

– Zasłabł.

– No tak. Możemy się jeszcze dogadać, dopóki sierżant nie powróci. – Szwed rzucił szybkie spojrzenia za siebie w stronę hotelu.

– Doprawdy?

– To, co widziałeś tam na dole, to tylko produkcja na potrzeby własne i moich gości. Wiesz, to szczególna klientela.

– Nie wątpię.

– Lubią ekstremalne wrażenia, za to płacą. A hotel radzi sobie coraz gorzej. Konkurencja, covid, sam rozumiesz.

– Zwisa mi to.

– No właśnie – podchwycił Blume. – Opuść, zachowaj to, co widziałeś dla siebie. Przecież nie tego szukałeś, prawda? Przekonałeś się, że nie mam nic wspólnego ze zniknięciem tej laluni. Opłaci ci się. Nie mogę trafić do tanzańskiego więzienia. Nie widziałeś ich, są takie ciasne.

– Tak mówią.

– A ja cierpię na klaustrofobię. Ile chcesz?

– A ile dajesz?

– Trzydzieści tysięcy baksów. W dolarach amerykańskich. Tyle mam w sejfie. A potem drugie tyle na dowolne konto.

– Nie.

– Jak to?

– Tak to. Wisi mi ta fabryczka amfy. Nie mój cyrk, nie moje małpy. Ale podniosłeś rękę na moją dziewczynę. Mówiłem ci już, że za to zapłacisz.

– Nie bądź głupi. Za takie pieniądze będziesz miał lepsze laski.

– Jestem niedzisiejszy, szybko się przywiązuję.

– Sto tysięcy.

– Pierdol się.

3.

Wracali zatopieni w swoich myślach. Oboje chcieli jak najszybciej pozostawić za sobą The Aiyana Lodge.

– Byłam pewna, że ją tam znajdziemy. – Agnieszka przerwała wreszcie milczenie.

– Też na to liczyłem. – Smuga nie odrywał wzroku znad kierownicy.

– Wszystko na to wskazywało. Te liczne, młode dziewczyny w hotelu, śmierć tej Polki, zachowanie Tiny, jej nagłe zniknięcie. I to, jak mnie potraktowali,

jakbym była nic nie wartą szmatą, a oni byli poza prawem i wszystko im było wolno. Blume pasował idealnie do roli szwarzcharakteru. Przecież ten hotel to zakamuflowany burdel.

– Raczej klub dla zboków, skłonnych dobrze zapłacić za seks i prochy pod palmami.

– Dłużej nie wytrzymam, Marek. – Nagle ogarnęły ją spazmy. Z przerażeniem patrzył jak wstrząsają nią dreszcze, biła rękoma o kolana, jak człowiek, który stracił nie tylko samokontrolę, ale i wszelką nadzieję.

– Uspokój się. – Zatrzymał samochód na poboczu i przygarnął ją do piersi, a ona wtuliła się w niego, tłumiąc płacz. – Nie obiecywałem ci, że ją odnajdziemy.

– Nie mam pretensji do ciebie. – Wytarła oczy. – Ale do tego kurewskiego świata, w którym wszystko idzie na opak. Dobro ma zawsze pod górkę, a zło zjeżdża na nartach wodnych. Od kiedy tu wylądowaliśmy, wszystko jest nie tak, jak trzeba. Wszystko! To nienormalne! Możesz ścierpieć jedną złą wiadomość i kilka następnych, dasz radę przeżyć jeden czy drugi kryzys. Ale to jakaś masakra. Ile można? Ta ziemia jest przeklęta.

– Nie, ma swoje tajemnice, a my tak naprawdę pozostajemy intruzami, którzy trafili tu tylko przejazdem. Nie jesteśmy pępkiem świata. Każdy ma własne problemy.

– Co teraz? Już po wszystkim?

– Wrócimy do Africa Beach, tak jak ustaliliśmy, zastanowimy się. Dojdiesz do siebie, uspokoisz się. – Nie chciał odpowiedzieć jej wprost.

– Nigdy się nie uspokoję. Ani się z tym nie pogodzę, nigdy.

– Wiem, co przeżywasz. Ale jesteś silną kobietą, udowodniłaś to ucieczką z hotelu Blumego. Nocą, na ciężkim motorze, w Afryce. Znalazłaś się w ekstremalnie trudnej sytuacji, a jednak zachowałaś trzeźwość umysłu i wymknęłaś się z matni. Niewielu ludzi byłoby na to stać, naprawdę. Teraz też dasz radę.

W tym momencie zawibrował telefon. Wiadomość od Jurasa. Przeczytał kilka pierwszych słów i delikatnie zdjął jej rękę ze swego ramienia.

– Stało się coś? – zapytała czujnie.

– Jeszcze nie wiem, ale to chyba ważne.

„Powinieneś wiedzieć” – odczytywał w milczeniu wiadomość. – „Policja zatrzymała wczoraj Leskiego pod zarzutem handlu żywym towarem. Podobno mamił młode dziewczyny pracą w restauracjach i hotelach za granicą. Później

okazywało się, że lądowały one w luksusowych burdelach w Dubaju i na Bliskim Wschodzie. Sprawa jest rozwojowa. Może to ma jakiś związek, wiesz z czym. Wracaj! Chyba Leski nie powiedział ci całej prawdy. I obu nas wprowadził w pole”.

Podniósł wzrok znad smartfona. Jakiś chłopiec prowadził wychudzoną krowę przez jezdnię. Widać było jej żebra pod napiętą skórą, zwierzę nieustannie odganiało ogonem stado, wiszących nad nim wielkich much.

Podał telefon Agnieszce, a ta wydała z siebie cichy jęk po przeczytaniu wiadomości.

– Co to oznacza? – Podniosła na niego oczy.

– Jeszcze nie wiem.

– Czy to, o czym myślę? Szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba? Jezu, Marek! Było tyle możliwości, a my sięgnęliśmy po tę najtrudniejszą, najbardziej karkołomną, mając rozwiązanie prawie że pod nosem? Opowiadałeś mi o tym gościu, prawda? To on tak naprawdę sprzedał nam wiadomość o lotnisku i locie na Pembę, prawda? A jeśli wysłał to wszystko z palca tylko po to, by wysłać nas na drugi koniec świata? Byle dalej od siebie i niewygodnej dla niego prawdy?

– To tylko hipoteza – powiedział ostrożnie. – Prawdopodobna, ale tylko hipoteza.

– No weź, zlituj się. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Powiedz, co naprawdę o tym myślisz. Nie oszczędzaj mnie, chcę prawdy. Sam powiedziałeś przed chwilą, że jestem silna. Zasługuję na to, po tym, co przeszłam, co razem przeszliśmy – poprawiła się.

– Daj mi trochę czasu – odpowiedział, pocierając czoło. – Nie lekceważę tej wiadomości. Przeciwnie, daje do myślenia. Ale to jeszcze nic pewnego. Dołączmy do Alana, podzwonię, popytam, gdzie trzeba. I tak wracamy do kraju.

Nie odpowiedziała.

4.

Africa Beach przywitał ich tropikalnym deszczem. Strugi wody lały się z nieba, chlaszcząc czubki palm i przyginając je ku ziemi. Nawet niewielkie zagłębienia i nierówności terenu momentalnie zamieniały się w lśniące bajora. Wilgoć szybko parowała, tworząc mgliste obłoki nad rozgrzaną glebą.

Benesz czekał na nich na werandzie hotelu wraz z Ahmedem. Na ich widok pospieszył na przywitanie, osłaniany parasolem trzymanym przez Ahmeda.

– Witajcie w domu! – krzyknął do nich spoza zasłony deszczu.

– Nie musiałeś. – Agnieszka zeskoczyła na ziemię i podała mu rękę.

– To ja was tam wysłałem i teraz muszę to odpokutować. Najebimy się dzisiaj na mój koszt.

– Świetny pomysł.

– To dobrze, bo nie przyjmuję odmowy. Dostajecie domek dla VIP-ów. Nowy bungalow z deszczownicą wielką jak moje biurko. Zapraszam za dwie godziny na taras. Zjemy razem kolację.

– Moment... – Smuga spojrział na Ahmeda. – Szukałem cię po odbiciu fortu przez partyzantów...

– Wypuścili mnie kilka godzin wcześniej. Pewnie nie o mnie im chodziło – odpowiedział Ahmed.

– Najwidoczniej tak było. Dobrze, że jesteś cały. A ty – Smuga zwrócił się do Benesa – zadzwoniłeś wtedy do komendanta Chipaku, po moim wyjeździe z Africa Beach?

– Oczywiście, przecież obiecałem. Rozmawiałem z nim osobiście, obiecał mi wysłać patrol do hotelu Blumego. Mieli tam na ciebie czekać. Ale z jakichś nieznanych mi powodów nie dotrzymał słowa. Może dostał za mało whisky ostatnim razem? A może po prostu zapomniał lub nie miał wolnych ludzi na podorędziu. Nie wiem. – Benesz rozłożył bezradnie ręce. – To Afryka, bracie. Wiesz, *hakuna matata*.

– Co to znaczy? – zainteresowała się Agnieszka.

– Tyle co nasze: spoko. Jakoś to będzie, nigdzie się nie spieszymy.

– Jasne.

Przy basenie wygrzewało się kilka par. Jakaś młoda dziewczyna wcierała olejek w plecy swego partnera z dreadami na głowie. To jeszcze nie był wysoki sezon, hotel nadal świecił pustkami. Wrócili do normalnego świata.

– Idź sama – powiedział Smuga, zatrzymując się na ścieżce. – Muszę zadzwonić.

– Gdzie?

– Do naszego attaché, powiem, że dotarliśmy szczęśliwie na miejsce.

– Tylko znowu się nie zgub.

– Postaram się. W razie czego wezwę na pomoc amazonkę na motorze.

Rzeczywiście wrócił dość szybko. Bungalow był okazały. Sufit tworzyła ażurowa konstrukcja z prasowanej słomy. Wielkie łóżę przykrywał muslinowy baldachim, chroniący przed moskitami. Pokojówka rozsypała na pościeli kwiaty purpurowej bugenwilli. Mieli wrażenie, że jej płatki ułożono w kształt serca.

– Jezu, to takie nierzeczywiste. – Agnieszka stała jak skamieniała. – Po tym wszystkim...

– Najpierw szybka kąpiel. A potem... Mamy podobno dwie godziny.

– Nie myślisz chyba... – Spojrzała na niego uważnie.

– Oczywiście, że tak. Ale tym razem to ja wszystko zrobię sam.

– Jaki samodzielny.

– Jestem już dużym chłopcem...

Smuga stał na tarasie. Skończył rozmowę i wyłączył komórkę. Palcami wycacał fiolkę w kieszonce. Była na swoim miejscu. No i świetnie, tak powinno być. Obrzucił spojrzeniem pobliski hotel. Jarzył się w ciemności jak wyspa pełna światła. Teraz, na pożegnanie, Pemba ujawniała swoje skrywane tak długo zapachy: goździków, wanilii, cynamonu, słonego oceanu. Z pobliskiej kuchni dobiegała woń pieczonej ryby i ostrych aromatycznych przypraw.

Kiedyś zawsze przychodzi koniec. Po nocy przychodzi dzień albo odwrotnie, jakoś tak. I tak o wszystkim zdecyduje los.

Powrócił do pokoju. Agnieszka stała przed lustrem. Poprawiała delikatny makijaż. Śledził, jak wprawnie operuje pomadką, poprawiając owal ust.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytała, rzucając mu szybkie spojrzenie.

– Z ambasadą. Podziękowałem za wsparcie.

– Aha. No, jestem gotowa. – Odłożyła pomadkę.

– Widzę.

– I jak?

– Cudnie.

– Niczego nie ustaliliśmy, chyba że zrobimy to podczas kolacji z Alanem.

– Może.

– Dobrze się czujesz? Znowu masz fazę na milczka?

– Jest okej. – Poklepał się po kieszonce koszuli.

– No to w drogę.

– Panie przodem.

Benesz czekał na nich przy schodkach, wiodących na hotelowy taras. Ubrany był we wzorzystą kamizelkę i koszulę sięgającą kolan. Poprowadził ich małym pomostem – niczym kamienna ostroga, wchodzącym w głąb oceanu. Fale były uparcie o brzeg, ich białe grzywy szturmowały podstawę pomostu. Jego zwieńczenie stanowiła biała pagoda wsparta na balach. Mieścił się tu tylko jeden tekowy stół przystrojony świeżo ciętymi kwiatami i cztery krzesła. Obok stał biały fortepian Steinway.

– Pięknie tu. – Agnieszka stanęła olśniona.

– Zapraszam w to miejsce tylko specjalnych gości – odpowiedział uprzejmie Benesz. – Takich jak wy.

Wyjął jeden ze storczyków z wazonu i podał go Agnieszce.

– Wow, to dla mnie?

– Wiele przeszedł w ostatnim czasie. Czas zapomnieć. Jak to mówią: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Usiedli i niemal natychmiast pojawił się przy nich kelner. Miał włosy gładko przyzlane do czaszki. Z namaszczeniem postawił na stole kilka butelek wina, wodę i dobrze schłodzoną whisky.

– Zgodnie z planem: najpierw dobrze zjemy, a potem popijemy. A do kolacji mój człowiek zagra nam Chopina. – Alan ściągnął kamizelkę.

– Nie widzę przeszkód – powiedział Smuga i zwrócił głowę w stronę oceanu. Oceaniczna bryza dobrze schładzała parne powietrze.

– Proponuję rybę tygrysią, to tutejszy przysmak. Przywożę mi ją z kontynentu. Świeżą, zawsze w najlepszym gatunku. Zaufajcie mi.

– Jasne, właśnie poczułem wilczy głód – odpowiedział mu z uśmiechem Smuga.

– Ale najpierw toast. – Benesz skinął palcem, a kelner napełnił im kieliszki białym winem. – Za życie, tylko ono się liczy. Jest jak podróż, oby miała jak najwięcej przystanków.

– Dobrze powiedziane. – Smuga uniósł swój kieliszek do góry. – Za to mogę wypić.

– Chciałem jak najlepiej, ale spieprzyłem sprawę. Przysporzyłem wam kłopotów, zwłaszcza tobie – Benesz zwrócił się do Agnieszki. – Skierowałem was na fałszywy trop. Blume to kawał chuja, ale nie tego zbója szukaliście. No cóż, przepraszam. Zresztą, może tak musiało być. Nie wszystko w życiu toczy się zgodnie z naszymi pragnieniami. Żyjecie, macie wszystkie ręce i nogi całe, a to

najważniejsze. Od was zależy, co dalej i co zdecydujecie. Na waszym miejscu wróciłbym do kraju i dał sobie czas na przemyślenie całej sytuacji – ale to wyłącznie wasza sprawa, co postanowicie. Zawsze będę was wspierał. Zdrowie!

– Dobry toast. – Smuga podniósł swój kieliszek do góry. – A do kraju będziemy wracali jak najprędzej. Dostaliśmy nowy cynk w tej sprawie, brzmi frapująco. Być może szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba, ale się nie poddajemy.

– To świetnie.

Ryba była smaczna, Agnieszka poprosiła nawet o dokładkę. Równie dobrze smakowały im sałatki z owoców morza, tropikalnych owoców i suszonych pomidorów. Wezwany boy umiłał im czas polonezami i etiudami Chopina.

– Mam dla was dobre wiadomości. – Benesz ponownie kazał napełnić kieliszki. – Zadzwoiłem tu i tam. Mam znajomych w policji. Blume został aresztowany pod zarzutem produkcji nielegalnych substancji. Jego prawnik próbował zwolnienia za kaucją, ale sędzia odrzucił wniosek. Handel narkotykami to w Tanzanii poważne przestępstwo. Łatwo się nie wywinie. Moim zdaniem razem ze swoim pomagierem, tym Kassimem, pójdzie do paki, a tam nie będzie mu lekko.

– Niech zginą w piekle. – Agnieszka odczuwała już wpływ alkoholu.

– I za to wypijemy. – Benesz skinął ręką i kelner ponownie rozlał wino do kieliszków.

– Muszę zwolnić – Smuga zakrył ręką swój kieliszek. – Jestem na lekach. Udało ci się dodzwonić wtedy do ambasady, tak jak obiecałeś? Pytam, bo nie za bardzo pomogli.

– Jasne, przecież ci to przyrzekłem. Długo to trwało, przynaję, ale wreszcie trafiłem na jakiegoś gościa. Wysłuchał mnie, a potem jak się okazało, totalnie olał.

– No tak, to mnie nie dziwi. – Wzruszył ramionami Smuga. – Też miałem z nimi początkowo problem. Miałem wrażenie, że rozmawiam z cholernym call center w jakimś banku.

– No właśnie. – Benesz miał już trochę w czubie. Żywo gestykułował i mocno się poccił.

– Na dodatek wpadłem w ręce wojska – kontynuował Smuga. – I jakiegoś psychopaty z Grupy Wagnera. Do dzisiaj nie wiem, czego ode mnie chcieli.

– Miałeś pecha. Pewnie znalazłeś się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. W ostatnim czasie na wyspie zrobiło się nerwowo. Mówiłem już

wam, separatyści rosną w siłę. Wojsko działa trochę na oślep, reżim nie ma wsparcia miejscowych mieszkańców, wszędzie wietrzy wrogów. Pewnie trafiłeś na jakiegoś nadgorliwego oficera.

– Może.

– Tu nie wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć. Krajowcy mają inną mentalność. Nie twierdzą, że gorszą – po prostu inną. Coś wam opowiem. Słyszeliście o najkrótszej wojnie w historii ludzkości?

– Nie. – Smuga pokręcił przecząco głową.

– Doszło do niej na Zanzibarze. Trwała niewiele ponad pół godziny. W tym czasie Brytyjczycy zdołali wypowiedzieć wojnę, zaatakować siły zanzibarskie i zawrzeć pokój. Wszystko to wydarzyło się 27 sierpnia 1896 roku, kiedy dwa dni wcześniej w tajemniczych okolicznościach zmarł poprzedni sułtan Zanzibaru. Władzę w Zanzibarze przejął wtedy w wyniku przewrotu Khalid bin Barghash Al-Busaid, który uchodził za stronnika cesarskich Niemiec.

– Przewrót pałacowy? – zapytał Smuga.

– Można tak powiedzieć. Brytyjczykom było to nie w smak. Liczyli na to, że politykę przychylnego im zmarłego władcy będzie kontynuował, wyznaczony przez nich, posłuszny następcą. Nie zaakceptowali więc uzurpatora na tronie. Wysłali ultimatum, wzywające samozwańczego sułtana do abdykacji. Ten odrzucił ultimatum i zaczął gromadzić w stolicy swoich zwolenników. Wtedy brytyjski konsul złożył notę wypowiedzenia wojny. A Anglicy do akcji wysłali kanonierki i rozpoczęły przygotowania do desantu piechoty morskiej w porcie. Sułtan nadal nie chciał ustąpić. Anglicy otworzyli ogień, a oddziały lądowe zaczęły się zbliżać do pałacu. No i wojenka szybko się skończyła, dokładnie po trzydziestu ośmiu minutach od jej wypowiedzenia⁶.

– Dlaczego nam o tym opowiadasz? – zapytał Smuga.

– Żeby uprzytomnić wam, że tutaj myśli się innymi kategoriami. Nie wszystko da się wytłumaczyć rozumowo, po naszymu. Pewien stary Afrykanin powiedział mi po moim przyjeździe na Pembę: *albo zaakceptujesz nasz świat takim jaki on jest, albo nigdy się tu nie odnajdziesz i będziesz zmuszony do powrotu do Europy*. Miał rację.

Benesz odesłał kelnera i zaczął sam obsługiwać swoich gości. Alkoholu w butelkach szybko ubywało. Benesz zaproponował, aby sięgnąć po whisky, a Smuga skinął przyzwalająco głową: – Jednej szklaneczki dobrego łyskacza nie odmówię.

– Może nie powinienem pytać, ale... co planujecie? – zapytał Benesz.

– Mamy bilety powrotne na pojutrze. Nie będę ich przebukowywał. Wracamy do kraju.

– Taaak? A to ciekawe, bo mnie nic o tym nie wiadomo. Dlaczego nie na jutro? – Agnieszka odrzuciła kosmyk włosów z czoła. W jej głosie słychać było utajoną urazę.

– Porozmawiamy o tym później.

– No proszę. A dlaczego nie teraz?

– Trochę wypilaś. Jesteś rozczarowana i rozdrażniona, wróćmy do tego jutro.

– Mój macho sam podjął decyzję? Używa damy do innych celów, myślenie pozostawia sobie? Alan, nalej mi jeszcze wina.

– Aga...

– Wal się. Alan, możesz puścić jakąś muzę i poprosić damę do tańca? Temu smutasowi nie przyjdzie to do głowy.

– Mogę? – Benesz ochoczo zerwał się z miejsca.

– Jasne. – Smuga machnął ręką.

– Co wolisz? Natalie Cole czy Adele? – Benesz pochylił się nad starym gramofonem Polydor ustawionym obok pianina.

– Adele? Uwielbiam.

Ciszę wieczoru rozerwał chrapliwy głos wokalistki. Agnieszka skinęła głową, dobrze знаła tę piosenkę, „Rolling in the Deep”.

See how I'll leave with every piece of you

Don't underestimate the things that I will do^{13*}

5.

Smuga przez chwilę obserwował tańczącą parę. To był ten moment. Czas płynął leniwie i patrząc z boku, można było odnieść wrażenie, że trójka rozmówców płynęła wraz z nim.

Wyczekał, aż tańcząca para odwróci się do niego plecami i wyciągnął z kieszeni fiolkę. Potrząsnął rozproszkowanym xanaxem i wsypał go do szklanki z whisky. Taka ilość na pewno podziła, konia zwałifaby z nóg. To cudowny

lek, koił i uspokajał. Sprawiał, że kłopoty małały niczym karły z *Podróży Guliwera*. A najważniejsze, że przynosił także sen.

Benesz po dwóch songach odprowadził Agnieszkę do stolika.

– Muszę do toalety – powiedział Smuga i podniósł się z miejsca.

– Tuż przy recepcji, wiesz. – Benesz wskazał mu palcem w ciemność.

– Trafie. A ty uzupełnij ten szlachetny płyn w szklankach. Zaczyna mi smakować.

– Mówisz, masz.

Smuga przeszedł pomostem w stronę hotelu. Widać było, że przebywa w nim niewielu gości. Prawie wszystkie okna były już wygaszone. Fale coraz mocniej uderzały o brzeg. Skalny pirs jaśniał w świetle księżycy. Gdzieś z głębi ładu dobiegło stłumione wycie jakiegoś dzikiego zwierza, tęskne i przenikliwe.

Doszedł do holu recepcji, mijając spiętrzony z boku stos beczek po oleju napędowym. Młody recepcjonista powitał go uważnym spojrzeniem. Detektyw wskazał ręką drzwi do toalety, a ten uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Toaleta była pusta, składała się z dwóch kabin. Smuga wszedł do tej bliżej okna. Okiennica łomotała na wietrze. Wyjął rolkę papieru toaletowego i podłożył pod ramę, łomot ustał.

Gdy wrócił, impreza już dogasała. Benesz wydawał się lekko zamroczony, ciężko zapadł się w fotelu. Szklanka z whisky, stojąca przed nim była już pusta. Agnieszka stała oparta o poręcz, wpatrzona w ocean. Z gramofonu leciał teraz „Krakowski spleen” Kory i Manaamu.

– Na nas chyba już czas – powiedział.

– Na nas? – Agnieszka nagle odwróciła się do niego.

– Owszem. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Wziął ją pod rękę, nie oponowała. Smuga spojrział na Benesza. Spał z szeroko otwartymi ustami.

Pod samym bungalowem Agnieszka nagle się zatrzymała.

– Jestem wredną suką, wiesz – powiedziała.

– Po prostu za dużo wypijaś.

– Nie chciałam tego wszystkiego powiedzieć.

– Wiem.

– Nie jestem sobą. Rozwaliło mnie to wszystko. – Rozpląkała się. – Pragnę wrócić jak najszybciej do kraju i jednocześnie boję się tego. Sama już nie wiem, czego chcę.

– To normalne. Pewne rzeczy trzeba przepląkać, inaczej nigdy nie staniesz ponownie na nogi. Też tak miałem po śmierci żony i córki... – urwał nagle.

– Nigdy o tym nie mówisz.

– Bo ciągle jeszcze płaczę.

Doszli do bungalowu. Ułożył ją na łóżku i przykrył prześcieradłem.

– Wynagrodzę ci to jutro – powiedziała szeptem.

– Nie musisz.

– Ale ja chcę.

– Może ja też cię czymś zaskoczę.

– Lubię te twoje niespodzianki, zwłaszcza poranne...

Przechyliła głowę na poduszce i po chwili już spała kamiennym snem. Położył się obok i przyglądał, jak miarowo faluje jej pierś. W kąciку ust zebrała się jej kropla śliny. Wytarł ją rąbką prześcieradła.

Przyciągnął poduszkę i położył ręce pod głowę. Zza okna dolatywał cichy szum oceanu. Na przeciwległej ścianie pojawił się jakiś cień. Przez chwilę myślał, że to mała jaszczurka, która przedostała się z zewnątrz, ale firanka zafalowała i cień zniknął. Wskazówki zegarka fosforyzowały w ciemności. Doczekał, aż dobiegną do godziny dwudziestej czwartej i podniósł się z łóżka. Agnieszka spała ułożona na boku. Widział jej nagie pośladki.

Szybko się spakował. Założył na siebie dres i zlustrował wzrokiem swój ekwipunek. Plecak, nóż, latarka. Był gotów. Następnie sięgnął po telefon i wysłał SMS-a.

Wymknął się na zewnątrz. Było zaskakująco ciemno, księżyc skrył się za chmurami. Nie widział innych bungalowów. Tylko zwarty budynek hotelu oświetlany był wątłym światłem lampy przed recepcją. Wszystkie okna były wygaszone.

Schyłony, przemknął pod hotel. Ominął wejście do recepcji i podszedł do bocznego skrzydła. Uruchomił na sekundę latarkę i rzucił snop światła na elewację. Okno od łazienki nadal było otwarte. Cofnął się i podszedł do piramidy z beczkami. Wziął jedną z nich i zarzucił na ramiona. Powrócił pod okno łazienki. Postawił beczkę pod murem i na nią wskoczył. Miał teraz półtora metra do krawędzi okna. Schwycił za parapet i podciągnął się do góry. Parapet był

wąski, przez chwilę balansował, walcząc z siłami grawitacji, by opaść z powrotem na beczkę. Po chwili ponowił próbę, tym razem jedną ręką przytrzymał się parapetu, a drugą pchnął uchyloną framugę. Okienko uchyliło się szerzej. Zaciśnął zęby i z wysiłkiem podciągnął się jeszcze wyżej, blokując się łokciami na parapecie. Przecisnął głowę przez otwór. Ostrożnie, centymetr po centymetrze, pozostając w ekwilibrystycznej pozycji, przecisnął się do wnętrza.

Po chwili stał już na terakocie, starając się wyłowić najłżejszy hałas za drzwiami. Piekły go dłonie zdarte do krwi. Na skórze wykwitły białe bąble, jeszcze nie doszedł do siebie po ataku mrówek. Uchylił ostrożnie drzwi od łazienki i wyjrzał na zewnątrz. Przez chwilę przyzwyczajał oczy do ciemności. Korytarz był pusty, oświetlany tylko przez okno zimną poświatą księżycą, który ponownie wychynał zza chmur. Od strony recepcji nie dobiegał żaden szmer.

Przebiegł szybko na koniec korytarza i schodkami wszedł na piętro. Tylko tędy mógł przedostać się tam, gdzie zamierzał dojść. Od tarasu oddzielały go szklane drzwi. Sięgnął po wytrych, potrzebował zaledwie kilku sekund, aby znaleźć się na zewnątrz. Wyczuwał pod podszewami lepką, chropowatą papę, a także patyki i liście opadłe z pobliskich drzew.

Spojrzał w dół. Pod nim rozciągał się budynek starej olejarni. Ledwie widział zarys jej dachu, przypominającego chińską pagodę. Po obu jej stronach widniały ciemne pasy krzewów z centymetrowymi kolcami, uniemożliwiające dotarcie do olejarni od zewnątrz. Opuścił się na dół, uważając, by nie poślizgnąć się w ciemności na zmurszałych dachówkach. Starał się nie używać lartarki, nie zapominał, że po terenie hotelu może krążyć wartownik. Zsunął się po murze na ziemię. Czuł, jak ostre jak brzytwa chwasty wczepiają się w nogawki jego dresu.

Wejście do budynku znajdowało się teraz na wprost. W odległości kilkunastu metrów widniała czarna bryła budynku. Był blisko celu, czuł jak opornie, w rwanym niepokojącym rytmie, pracuje jego serce. Koszulka kleiła mu się do pleców. Rozsunął zamek w bluzie od dresów.

Drzwi do olejarni były duże i stare, zbite z olejowanych desek. Otworzył wytrychem zamek i pociągnął odrzwia ku sobie. Ustąpiły nadspodziewanie łatwo. Obraz, jaki ujrzał przed sobą sprawił, że zamarł jak skamieniały.

Przed nim wyrosły drugie drzwi, jasne i kryte blachą. Otaczała je nowoczesna framuga. Obok na ścianie widniał panel alarmowy z migającą diodą. „Jest zatruta dwa metry w głąb. Mój największy wrzód na dupie”. A więc jednak?

– Wiesz, że w ten sposób wszystko zepsujesz? – Głos dobiegający zza jego pleców był zimny i pozbawiony emocji.

Smuga odwrócił się wolno. Miał nerwy napięte jak postronki. Benesz stał dwa metry przed nim. Miał ręce założone do tyłu i kaptur na głowie.

– Mogłeś odpuścić, wyspać się i pojutrze odlecieć do starego kraju. Ale tacy jak ty nigdy nie odpuszczają, prawda?

Smuga nie odpowiedział. Spojrzał na taras, z którego minutę wcześniej zszedł i zobaczył Ahmeda, który stał na szeroko rozkraczonych nogach i mierzył do niego z karabinu.

– Powiem ci, co nastąpi dalej. – Benesz wolno cedził słowa. – Znikniecie bez śladu, ty i ta twoja zawzięta dziwka. Zgłoszę zaginięcie na policji. Podam, że najprawdopodobniej utonęliście. Razem spędziliśmy upojną kolację, był alkohol, dużo alkoholu, mam na to wielu świadków. Wspominaliście, że chcecie się wykąpać w nocy w oceanie. Taki kaprys. Whisky mnie zmogła, zasnąłem na tarasie. Gdy się ocknąłem, was już nie było. Myślałem, że po kąpieli poszliście do swojego bungalowu. Wasze zniknięcie zauważyliśmy dopiero przed południem.

– Tak to sobie obmyśliłeś? – Smuga zwilżył wargi językiem.

– Lubię planować na wiele ruchów do przodu. Jestem dobrym szachistą, nigdy nie przegrywam. Nie mam z kim. To takie moje hobby. Potem odnajdziemy twoje ciało, gdzieś na wybrzeżu. Ocean je wyrzuci. Zrobią ci sekcję zwłok i wykryją alkohol we krwi. To tylko uwiarygodni moją wersję. Agnieszki nigdy nie odnajdą. Wiesz dlaczego? Bo dołączy do siostry, tutaj, w moim haremie. – Wskazał ręką olejarnię.

– Nie uda ci się. Morderstwo to morderstwo, zawsze zostawia ślad. Wiem coś o tym, byłem policjantem.

– Mylisz się. Nikt tu po was nie będzie płakał. Policja ma ważniejsze sprawy na głowie, niż szukanie pary alkoholików i ćpunów z jakiejś Polski. Nawet nie jesteście Amerykanami. Mówiłem ci, że w waszym plecaku zostawionym w bungalowie, znajdą amfę?

– Jesteś potworem. Chorym zbokiem.

– Skądże. Po prostu uważam, że życie składa się z przyjemności. I ja potrafię o nie zadbać.

– Przecież masz wszystko: hotel, pieniądze, prywatny raj. Po co ci to?

– Nie rozumiesz. Człowiek zawsze chce czegoś więcej. More and more. To chciwość jest największym imperatywem, to ona tak naprawdę popycha ludzi do działania. A tak szczerze... Zawsze lubiłem młode dziewczyny. I nigdy nie miałem dość. Kiedyś byłem trochę... nieporadny w tych sprawach. Ale to było dawno temu i się zmieniło. Africa Beach to tylko narzędzie prowadzące do celu. Bóg stworzył kobietę, by dawała mężczyźnie rozkosz. Przez wiele wieków tak właśnie było. Ale ostatnio przez feministki świat stanął na głowie. Postanowiłem przywrócić naturalny porządek.

– Uważasz się za boga?

– Może, choć raczej za sultana. – Benesz roześmiał się szeroko.

– Jak ją tu ściągnąłeś?

– No, miło było pogadać, ale będziemy kończyć. Z tej matni nie ma wyjścia, Smuga. *Adieu*. – Benesz spojrział w stronę Ahmeda.

– Okej, wygrałeś. Spełnij jednak moje ostatnie życzenie. Powiedz, jak ją tu ściągnąłeś?

– Po co ci ta wiedza?

– Ciekawość. Przeleciałem pół świata, żeby ją odnaleźć. Zapłacę za to życiem. Chciałbym po prostu wiedzieć.

– Miłość, stary, miłość. Młode dziewczyny naprawdę potrafią zakochać się bez pamięci. Poznałem ją w klubie w Warszawie, na Smolnej. Przetąpiliśmy całą noc. Była ładna, świeża, bardzo uduchowiona, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zrobiłem dobre wrażenie, nawet mega dobre. Afryka, Pemba, hotel dla hipisów, budowa studni dla krajowców, to musiało zadziałać. Zostałem w Warszawie dłużej, niż planowałem. Odwiedzała mnie w hotelu, nie wychodziliśmy z łóżka. Całkiem jej odbiło na moim punkcie.

– Zaprosiłeś ją na Pembę?

– Nie musiałem, sama się wprosiła. Kupiłem jej tylko bilet lotniczy z Berlina na Zanzibar. Powiedziała, że w tym pisim landzie nie widzi dla siebie przyszłości. Miała złe relacje z rodzicami, zwłaszcza z ojczymem. Ciepło mówiła tylko o siostrze, tej twojej zdzirze. To ułatwiało sprawę. Wiedziała, że będą ją próbowali powstrzymać. Postanowiła wyjechać w tajemnicy, zniknąć w biały dzień. A dopiero potem powiedzieć im, gdzie jest.

– Ale ty na to nie pozwoliłeś.

– Nie miałem wyjścia. Po przylocie na Pembę szybko przejrzała na oczy. Przeszło jej. Chciała wracać, ale nie mogłem na to pozwolić. Zbyt mnie krę-

ciła, chciałem ją mieć na zawsze i na wyłączność.

– I wtedy замуrowałeś ją w celi.

– Skądże, ma tam cały apartament, łazienkę, klimatyzację. Nawet orbitreka. Tyle że nie może wychodzić i płaść po plaży. – Zachichotał.

– Jak to znosi?

– Źle, ale jakie to ma znaczenie? To tylko pochwa i okolice. Jest moja i taka pozostanie.

– Jak wysłała wiadomość?

– Kurewski przypadek. Przyszedłem pijany, po sexie przysnąłem na chwilę. Zostawiłem otwartego tableta. Wykorzystała to. Gdy się zorientowałem, było już za późno. Wysłała wiadomość, nawet dołączyła selfie. Na szczęście nie wiedziała, że w tablecie dla bezpieczeństwa korzystam tylko z przeglądarki TOR-a. Nie mogłeś mnie zidentyfikować.

– No nie.

– Ukaralem ją.

– Jak bardzo?

– Trochę... No i zrobiłem się czujny. Zawsze zakładam, że wygra najczarniejszy scenariusz. Byłem przygotowany, że ktoś może podążyć śladem tego maila. Jakiś jebany Rutkowski, wynajęty przez rodzinę, albo ktoś taki jak ty. No i się sprawdziło, kurwa. Jednak miałem fart. Trafiliście na początek do mnie. Wiedziałem, co zrobić, aby oddalić podejrzenia od siebie i wpuścić was w maliny. Przypomniałem sobie Blumego, kolesia o zszarganej opinii. Łyknąłeś to jak pelikan rybę. Nie jesteś wcale taki dobry, jak piszą o tobie w sieci, Smuga. Z drugiej strony, muszę ci to oddać, dotarłeś pod te drzwi. Teraz ja zaspokoję swoją ciekawość. Jak się domyśliłeś?

– Skłamałeś. Zapewniłeś mnie po naszym powrocie, że interweniowałeś telefonicznie u komendanta Chipaku i rozmawiałeś z nim osobiście. Nie mogłeś tego zrobić.

– Niby dlaczego?

– Wiem od sierżanta Malika, że od tygodnia przebywa w szpitalu. Postrzelili go partyzanci.

– A to pech. – Skrzywił się Benez.

– Ale jednak pielęgnujesz swoje kontakty w policji i wojsku, prawda? To ty napuściłeś na mnie tych z jednostki specjalnej. Zapłaciłeś im, żeby mnie po-

rwali do fortu i zlikwidowali. Ahmed wsiadł ze mną do samochodu tylko po to, by przypilnować, że tak się stanie.

– Jaki domyślny.

– Szczerze mówiąc, nigdy ci nie ufalem. Ale były inne, bardziej oczywiste kandydatury. Najpierw pastor, potem Blume. Gdy złapałem cię na kłamstwie, skojarzyłem wcześniejsze fakty i nagle wszystkie fragmenty układanki wskoczyły na swoje miejsce. Postanowiłem sprawdzić miejsce, o którym tak niechętnie mówiłeś podczas naszego pierwszego spotkania. Myślałem, że to pójdzie łatwiej.

– I podczas kolacji postanowiłeś mnie upić? Wylewałem drinki do kaktusa obok, mam w tym wprawę. A potem dosypałeś mi coś do szklanki, kiedy tańczyłem.

– Skąd wiesz? Nie mogłeś tego zobaczyć.

– Byłem czujny, gdy wróciłem szklanka była przesunięta względem sztuczków, minimalnie, ale jednak. Wtedy już wiedziałem. Postanowiliśmy z Ahmedem poczekać na ciebie pod olejarnią. Byłem pewien, że przyjdziesz.

Zamilkli obaj. Noc była parna i bezdźwięczna.

– Jest tutaj, prawda?

– Za dużo tych pytań, Smuga. Ale tak, dwadzieścia metrów od ciebie. I nie jest tam sama, mówiłem ci, ciągle mi mało. Tak czy owak, nigdy jej nie zobaczysz.

Smuga przymknął oczy. Usłyszał charakterystyczny trzask repetowanej broni.

Pierwsze światło zapaliło się gdzieś na linii lasu. Wędrowało niczym świetlik w morzu ciemności, zbliżając się do hotelu.

– Co jest? – Benesz spojrział zaniepokojony w tamtą stronę.

– Tak wygląda koniec świata. Twojego świata – odpowiedział Smuga.

Drugie światło pojawiło się z drugiej strony budynku, jego snop oświetlał piramidę beczek po oleju i lizał bładym światłem mur olejarni. Obaj, niemal równocześnie, spojrzeli ku górze, na schody. Ahmed zniknął.

Dziesięć minut później było po wszystkim. Wokół olejarni tłoczyli się policjanci. Dwaj z nich wielkim łomem wyważali drzwi. Benesz odmówił podania kodu, znaleźli przy nim tylko pęk kluczy, z których żaden nie pasował do drzwi wejściowych. Po kilku próbach zamek wreszcie ustąpił. Jeden ze stróżów prawa, młody chłopak w twarzą obsypaną krostami, zawołał natychmiast Malika.

– Sierżancie, otwarte!

Benesz przyglądał się tym zabiegom z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Malik skinął na Smugę.

– Mam nadzieję, że miał pan rację. I że znajdziemy tam to, czego szukamy.

Urwał, bo na ścieżce pojawiła się Agnieszka. Była boso, narzuciła na siebie tylko szal.

– Obudziły mnie hałasy. Co tu się dzieje? – powiedziała, szukając wzrokiem Smugi.

Ten wskazał jej ręką olejarnię.

– Boże, czy to... – Zabrakło jej tchu w piersiach.

– Raczej tak. Zresztą zaraz się przekonamy. Poczekaj na zewnątrz, proszę...

– Nie, ja muszę... – Wyrwała się do przodu.

– Aga, ona może być w nie najlepszym stanie.

– Nie może pani tam wejść – powiedział stanowczo sierżant, poprawiając czapkę. – To sprawa policji. Zaraz wszystko się wyjaśni. Wiem, co pani czuje, ale proszę uzbroidć się w cierpliwość.

Agnieszka niechętnie ustąpiła. Miała zwichrzone włosy i nieprzytomne spojrzenie.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – zwróciła się oskarżycielskim tonem do Smugi.

– Nie teraz. – Ten odwrócił wzrok.

Pierwszy do olejarni wszedł Malik, za nim dwaj policjanci z odbezpieczoną bronią. Smuga zamykał pochód. W ciemnym otworze drzwi przez chwilę krzyżowały się snopy światła z latarek. A potem zrobiło się jasno, znaleźli włącznik.

Wnętrze zaskakiwało, zdawało się nie pasować do ciemnej i zmurszałej skory widocznej z zewnątrz. Rozciągał się przed nimi wąski, klaustrofobiczny korytarz o jasno pomalowanych ścianach. Po obu jego stronach widniały po dwie pary drzwi. Wyglądały masywnie, były obite blachą.

Zimne światło rysowało trupie refleksy na twarzach stłoczonych tu ludzi. Smuga miał wrażenie, że brakuje powietrza, każdy ruch w pustym korytarzu rezonował metalicznym pogłosem.

Zatrzymali się przy pierwszych drzwiach z lewej strony. Sierżant sięgnął po klucze i przez chwilę mocował się z zamkiem, pasował dopiero trzeci z nich. Otworzył je na oścież, były ciężkie, musiał zaprzeć się o nie barkiem. Malik wymacał ręką włącznik i zapalił światło w pokoju. Widok był zaskakujący i przerażający zarazem. Pomieszczenie przypominało domek, a właściwie klatkę dla Barbie. Wszystko utrzymane było tu w kolorze pudrowego różu: ściany, tapicerka, kanapa stojąca na środku, miękki dywan w geometryczne wzory, a nawet sztuczne kwiaty w smukłym wazonie, ustawione w rogu pokoju. Wrażenie to psuła tylko wielka pornograficzna fotografia na frontowej ścianie w kolorze sepii. Przedstawiała młodą kobietę ujeżdżającą swojego partnera. Jedną ręką podtrzymywała wielkie piersi, usta miała wykrzywione w miłosnej ekstazie.

W bocznej ścianie zauważyli drzwi prowadzące zapewne do sypialni. Smuga spojrzał pytająco na Malika, a ten aprobującą skinął głową. Smuga nacisnęła klamkę.

Dziewczyna spała na łóżku w pozycji embrionalnej. Miała na sobie pidżamę w infantylne, zwierzęce wzory. Nie widział jej twarzy. Była wtulona w skotłowaną poduszkę, spod prześcieradła wystawała jej ręka, bezwładnie zwisająca ku ziemi. Spojrzał na nią i poczuł, jak żelazna obręcz ściska mu gardło. Na przedramieniu widać było siniaki, tak jakby ktoś ścisnął tę delikatną kończynę w żelaznym, bezlitosnym imadle.

Dziewczyna poruszyła się, widocznie wyczuła jego obecność. Odwróciła głowę. Smugę przeszył dreszcz. To nie była Karolina. Patrzył na żywego trupa o wychudłych rysach twarzy i z ciemnymi podkowami pod oczami. Kobieta miała pogryzione wargi. Na jego widok wzdrygnęła się i zakryła ciało prześcieradłem.

– Nie, nie chcę... – wyszeptwała.

– Nie zrobisz ci krzywdy. Już dobrze. Wrócisz do domu.

Patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. Podniosła oczy, dopiero teraz ujrzała ludzi w mundurach stojących w progu.

– On nie pozwoli. – Pokręciła przecząco głową.

– Benesz jest już w rękach policji. Obiecuję, zapłaci za wszystko, co ci zrobił.

– On jest diabłem...

– Wiem. Zaraz się tobą zajmimy.

Począł, aż w tych wyblakłych oczach zgaśnie lęk i zapali się ognik zrozumienia. Dopiero wtedy skinął na Malika i wyszedł z celi.

W kolejnym pomieszczeniu nie było nikogo. Znajdował się w nim gabinet do praktyk sadomasochistycznych. Na suficie widniało wielkie lutro, obramowane złotą listwą jak z taniego burdelu. Odbijało się w nim żeliwne łóżko z ułożonym na nim arsenałem do praktyk BDSM. Obok siebie leżały kajdanki, skórzane pasy i kneble, wibratory, pejcze, kolczatki i inne urządzenia, których przeznaczenia Smuga mógł się tylko domyślać. Najbardziej szokujące wrażenie robił jednak rzeźnicki hak wbity w gołą ścianę. Zwisiała z niego skórzana i wybita ćwiekami uprząż. Widocznie Beneszowi nie wystarczyło jedynie wymuszony seks, potrzebował bardziej wyrafinowanych i zboczonych doznań. Czy do tego haka przywiązywał też Karolinę?

Smuga wyszedł na korytarz. Dwaj policjanci prowadzili właśnie do wyjścia odnanioną wcześniej dziewczynę. Płakała, rozmyty tusz żłobił czarne ścieżki na jej twarzy.

Nagle Smuga stanął jak skamieniały. Zza drzwi naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza, dobiegł go jakiś ledwie słyszalny dźwięk. Podeszedł bliżej z bijącym sercem. Słuch go nie mylił. Dwa głuche uderzenia, potem trzy. Pauza i ponownie uderzenia w tym samym rytmie. Swoisty alfabet Morse'a, wybijany pięścią w drzwi przez kogoś, kto był po drugiej stronie metalowej przegrody i zapewne usłyszał, budzące nadzieję hałasy w korytarzu.

W napięciu śledził ruchy Malika, który szukał odpowiedniego klucza do zamka. Robił to nieporadnie, sapiąc przy tym pod nosem. Smuga przymknął oczy. Czy zaraz zobaczy widmo, dziewczynę, która miała już nigdy nie ujrzeć światła dziennego? Usłyszał zgrzyt otwieranego zamka, skrzypnięcie uchylanych drzwi, już...

W innych okolicznościach by jej nie poznał. W progu stała kobieta, w narzuconym niedbale szlafroku. Miała oczy Agnieszki, ale tylko w tym przypominała siostrę. W tych oczach, zmętniałych teraz i pozbawionych blasku widział jakiś refleks szaleństwa, ten rodzaj nieobecnego spojrzenia, który zaobserwował kiedyś u pensjonariuszy klinik psychiatrycznych. Ledwo trzymała się na nogach, była wychudzona, widział błękitne żyły, prześwitujące przez cienką jak pergamin skórę.

Wrażenia smutku wrytego na tym obliczu nie był w stanie ukryć nawet makijaż i szminka, rozmazana na ustach. Widocznie nałożnice Benesza mu-

siały być zawsze gotowe i przygotowane na odwiedzinę swego pana: w dzień i w nocy.

Przez policzek Karoliny, niczym zygzak biegła oszpecająca ją, jeszcze niezabliźniona szrama o pogrubiałych krawędziach. Dziewczyna podtrzymywała obandażowany kikut lewej dłoni, z przerażeniem odkrył, że brakowało w niej jednego palca. „Ukarałem ją”. „Jak bardzo?”. „Trochę”.

– Koszmar się skończył, Karolino – powiedział Smuga z wysiłkiem. – Jestem przyjacielem.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Odnalazłem cię. Jestem tu z twoją siostrą.

Nie odpowiedziała. Miał wrażenie, że dziewczyna patrzy na niego, ale go nie widzi. Tak jakby jej uwagę przykuwała teraz przestrzeń za jego plecami, kawałek zakazanej przestrzeni, który stał się nagle substytutem wolności.

Agnieszka czuła, jak trawi ją napięcie, jak mąci jej myśli i powoduje niekontrolowany galop serca. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w czarny prostokąt drzwi. Bała się choćby mrugnąć, tak jakby w tym właśnie ułamku sekundy mogło zdarzyć się coś, na co czekała tak długo i czego w żadnej mierze nie mogła przeczytać.

Usłyszała hałas za progiem i zacisnęła kurczowo dłonie. Najpierw wyszedł Smuga. Na jej widok skinął wolno głową, a ona poczuła, jak dziko wali jej serce.

– To ona – powiedział.

Nie spuszczała z niego oczu, dwóch gorejących węgli wpatrzonych w jego usta.

– Odnależliśmy ją, żywą.

– Boże...

– Żywą, pamiętaj, tylko to się liczy.

– Dlaczego mi to mówisz? Chcę ją zobaczyć – wyszeptała.

– Wygląda... inaczej. Jest w złym stanie. Chciałem, żebyś to wiedziała.

– Co to znaczy: inaczej?

– To tylko fizis. Ważne, że wróci do domu, czas zaleczy rany.

Karolina stanęła na progu, prowadzona przez Malika. Obronnym ruchem przesłoniła oczy, porażone światłem latarek. Agnieszka wpatrywała się w nią intensywnie. Powinna poczuć ulgę, że to już i teraz. I że skończyła się wreszcie ta traumatyczna wyprawa w głąb piekła, bólu i ludzkiego szaleństwa. A jednak

nadal czuła trwogę i niepewność. Przez głowę przelatywały jej dziesiątki chaotycznych myśli. Czy Karolina naprawdę powróci pomiędzy żywych? Czy będzie potrafiła zapomnieć o złu, które jej wyrządzono? Czy otrząśnie się z traumy, czy w ogóle jest to możliwe po tym, co przeszła? Jak zareaguje na widok siostry, czy w ogóle ją rozpozna?

Karolina opuściła ręce. Agnieszka najpierw zauważyła obandażowany kikut, a potem szramę na twarzy.

– Jezu... – Podbiegła do siostry.

Ta przez chwilę stała nieruchomo z bezwładnie opuszczonymi rękoma, jak gdyby nie była w stanie oddać uścisku. A potem jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Śluzę puściły, jak gdyby dopiero w tym momencie spadły kajdany.

– Czekalam na ciebie – wyszeptala.

– Siostrzyczko. – Agnieszka przypadła do niej i już po chwili całowała ją po twarzy.

Plakały i śmiały się jednocześnie, tuliły się do siebie, nie mogąc oderwać od siebie rąk, szeptały coś do ucha i krzyczały, przerywając sobie wzajemnie; potakując i uderzając się czołami.

Smuga ze ściśniętym sercem obserwował ten spektakl zmartwychwstania, ów niezwykle teatr, który potrafi człowiekowi zafundować tylko los: nieodgadniony, stygmatyzujący swoje ofiary i chadzający własnymi ścieżkami. Do tego los nie dla wszystkich łaskawy. Jemu nie odda już żony ani córki. On nadal pozostawał pariasem i wiecznym przegranym. Odnalazł tę nieszczęśnicę i wygrał, czuł ulgę, ale nie miał poczucia triumfu. Przeciwnie, właśnie w tej chwili, paraliżujące go od lat, poczucie osobistej straty odczuwał w sposób szczególnie dotkliwy. Mógł tylko szukać pocieszenia w szczęściu innych, w tym rozmo-dleniu i wdzięczności, jakie widział w oczach Agnieszki. Czy to wystarczy? Czy dozna kiedyś katharsis? Czy doczeka prawdziwego oczyszczenia?

Obejrzał się za siebie. Człowiek, który odpowiadał za cały ten koszmar stał w niedbalej pozie oparty o mur olejarni. Benesz nie okazywał emocji, raczej znudzenie.

– Zapłacisz za to. – Smuga zwrócił się w jego stronę.

– Obyś się nie rozczarował.

– To koniec, Benesz.

– Te kobiety to nimfomanki, same tego chciały. Miały obsesję na moim punkcie, ja im tylko pozwalałem ją zaspokajać.

– Sam w to nie wierzysz.
– Wiara nie ma tu nic do rzeczy. Liczy się tylko dobry prawnik.
– Baśnie z mchu i paproci. Zgnijesz w więzieniu, zboku.
– Wulgaryzujesz, Smuga. Wyżej cię oceniałem. Moje podejście do istoty bytu jest głęboko filozoficzne, twoje – banalne i prostackie. To prawda, nie jestem taki jak inni. Ale to zaleta, nie wada. Życie jest za krótkie, żeby je marnotrawić, stosując się do opresyjnych reguł pisanych przez innych. Jestem wyjątkowy, nikt nie odbierze mi mojej absolutnej wolności. Poczytaj Nietzschego. Tylko człowiek wolny jest wojownikiem. Urodziłem się po to, by spełniać swoje najskrytsze marzenia. Mówiłem ci, że jestem hedonistą. Nie wspomniałem tylko, że jestem hedonistą absolutnym, w jakimś sensie: bogiem.

– Jesteś chory.

– Przeciwnie, widzę dalej niż inni. I jeszcze coś. Zalazłeś mi za skórę, Smuga. Stałeś mi na drodze, mam zasadę, że takie chwasty po prostu usuwam. Na ciebie też przyjdzie czas. Obiecuję ci to. Gdy już znajdę się na wolności – a to tylko kwestia czasu – zapewniam cię, że zajmę się tobą. Odnajdę cię w Polsce. Nie będziesz znał dnia ani godziny. I spadnę jak jastrząb, zabiorę ci to, co kochasz najbardziej: tę dzirę. Już raz coś takiego przeżyłeś, pamiętasz? Jak widzisz, czytałem o tobie. Zła karma powróci, frajerze.

Smuga gwałtownie ruszył w jego stronę, ale na drodze stanął mu policjant pilnujący Benesza.

– Proszę się cofnąć, sir – powiedział stanowczo. – Ten człowiek i tak odpowie za swoje czyny.

7.

Oboje odprowadzali wzrokiem ambulans medyczny, dopóki nie zniknął za bramą hotelu. Chwilę wcześniej Africa Beach opuścili policjanci. Skutego kajdankami Benesza usadzono na tylnym siedzeniu jeepa. Widzieli jego wyprostowaną głowę, podskakującą na nierównościach terenu.

Nagle zrobiło się cicho. Niemał równocześnie z piskiem opon odjechały dwa samochody wyładowane przestraszonymi gośćmi, którzy postanowili zmienić hotel. Ahmed zniknął na dobre.

– Co teraz? – Agnieszka miała szklisty wzrok.

– Pojedziemy za ambulansem.

– Dlaczego nie mogliśmy pojechać w karetce?

– Nie zgodzili się. Takie tu są zwyczaje. Poczekamy, aż lekarze przebadają Karolinę. Potrzebne jest świadectwo obdukcji, żeby tego drania postawić przed sądem. I żeby odpowiedział nie tylko za uwięzienie Karoliny i tej drugiej kobiety, ale także za to, że je okaleczył. A potem złożymy zeznania na policji w Chake Chake albo na Zanzibarze. Powiadomią nas.

– Jesteśmy o coś oskarżeni?

– Nie, mamy status świadków, to normalna procedura. To może potrwać, nie potrafię powiedzieć jak długo. Przebukuję bilety, ambasada obiecała, że nam w tym pomoże. A potem wrócimy wszyscy do domu.

– Nie marzę o niczym innym. To przeklęta ziemia.

– To ludzie zamieniają ją w piekło.

– Na jedno wychodzi.

– Rozmawiałś z rodzicami? – Spojrzał na nią uważnie.

– Tak, z matką.

– I jak?

– Nie mogła uwierzyć, była nieprzytomna z emocji. Musiałam ją zapewniać, że to prawda.

– A ojcym?

– Jak to on. Nie wiem, co naprawdę myśli.

– No tak. Jesteś spakowana?

– Tak. Jeszcze jedno... – Utkwiła w nim gorejące spojrzenie. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że go podejrzewasz? Dlaczego tak się zachowałeś podczas tej kolacji?

– Tak było trzeba.

– Tak było trzeba? Marek, a co to, na litość boską, znaczy? Mógłbyś mi to rozkminić, tak po ludzku? Pozwoliłeś, żebym się upiła, położyłeś mnie spać i sam ruszyłeś ratować moją siostrę? Moją, nie twoją!

– Bałem się, że jeśli będziesz wtajemniczona w moje zamiary, to czymś się zdradzisz. – Uważnie dobierał słowa. – Mimowolnie, to przez te emocje. Przepraszam, wołałem nie ryzykować. Wszystko musiało wyglądać naturalnie, bez spinki. Kolacja, alkohol, tańce. Benesz to trudny przeciwnik, przenikliwy gracz. Zresztą, to jego chciałem upić i uspić, nie ciebie.

– I co?

– Nie wyszło. Przechytrzył mnie. Nie spodziewał się jedynie, że wcześniej wezwałem policję. Dobrze, że Malik przybył na czas. Ty odegrałaś swoją rolę znakomicie choć nieświadomie, to ja sfuszerowałem. Niewiele brakowało, a byłoby po mnie.

– Mimo wszystko... – Nadal miała gniew w oczach.

– Wybacz, taką podjąłem decyzję, dla dobra nas wszystkich. Wiem, że jesteś odważna i dzielna. Nie musisz tego udowadniać. Pokazałaś, co potrafisz, uciekając z łap Blumego. Już to mówiłem, ale jeszcze raz powtórzę: przez całą obcą wyspę, w nocy, na ciężkim motorze, którym jechałaś może parę razy w życiu. Szacun! I jeszcze coś. Bez twego uporu nie byłoby nas w Afryce. Gdyby nie ty, nadal bym tkwił w Bieszczadach. Tylko ty nigdy nie pogodziłaś się z zaginięciem siostry. Bez ciebie nadal gniłaby w lochach Benesza.

– Wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Oddałabym życie za Karolinę...

– Wiem.

– Ale na drugi raz masz mi wszystko mówić.

– Nie będzie drugiego razu.

– Mam nadzieję.

– No to w drogę.

Wyjechał tyłem z podjazdu i skierował się w stronę bramy. Szlaban był wyłamany, leżał bezpiecznie w rowie niczym porzucona olbrzymia słomka. Smuga obejrzał się za siebie. Budynek hotelu ledwie wystawał zza szpaleru palm. Słońce już weszło, prześwietlając czubki drzew. Zza skał wybrzeża wyzierał lazur oceanu. Istny raj. Nie chciałby tu powrócić. Nigdy.

8.

Benesz poprzez burtę policyjnego jeepa patrzył na umykającą do tyłu szosę. To się nie mogło tak skończyć, nie teraz. Nie po tym, co przeszedł. Miał przecież za sobą długi marsz, przeszedł przemianę, której doświadczali jedynie nieliczni. Co go zmieniło, co sprawiło, że miejsce bojaźliwego zjadacza chleba zajął drapieжник, człowiek świadomy swoich pragnień i rzeczywistej wartości? Kiedy przekroczył tę niewidzialną, niezauważalną w ogóle dla plebsu granicę pomiędzy banałem a wyjątkowością? Kiedy miejsce dawcy, zajął demiurg zda-

rzeń, biorący z życia to, co chce – bez pytania innych o zdanie? Może po raz pierwszy wtedy, w szkole. Pamiętał ten czas, tak jakby zatrzymał się na taśmie. Mógł go rozwijać w głowie i rolować na przemian...

Było już po lekcjach. Upalny czerwcowy dzień. Stanął za grupką uczniów, żeby dobrze widzieć rozgrywającą się przed nim scenę, musiał wspiąć się na palce. Zawsze tak było, nigdy nie brylował, nie szedł w pierwszym szeregu – zawsze pozostawał na obrzeżach, na marginesie. Wszędzie: w domu, na podwórku i w szkole.

Zgromadzili się na zachwaszczonym placyku za budą. Kilkunastu chłopaków z obu klas okrzykami i przekleństwami zagrzewało swoich przywódców do walki. Ten pojedynek miał rozstrzygnąć, kto jest największym samcem w tym stadzie: Dziki czy Szkutnik. Obaj chłopcy z podniesioną gardą i wywijając pięściami jak cepem, krążyli wokół siebie, wzbijając piętami tumany kurzu.

– Dawaj, Dziku!

– Przypierdol mu, Szkuta!

On powinien być za Dzikim, ostatecznie chodzili do jednej klasy. Wydawał więc z siebie zagrzewające okrzyki, tupał i machał rękoma, pilnie naśladował chłopców ze swojej klasy. Jednak w rzeczywistości modlił się o zwycięstwo Szkutnika, krościastego drągała o bezmyślnej gębie i równie ograniczonym zasobie słów, których używał na co dzień. Na dobrą sprawę przeżyłby, ograniczając się tylko do dwóch z nich: kurwa i ja jebię. Potrafił przy ich pomocy wyrazić wszystko: każde zdarzenie i każdą sytuację, jaka mu się przydarzała.

Szkutnik uderzył pierwszy. Jego lewy sierpowy zahaczył szczękę Dzikiego. Ten cofnął się o krok i potrząsnął głową, jakby opędzał się od much. Nadal szyderczo się uśmiechał, wysyłając przeciwnikowi jasny przekaz: Ty mi tu, Szkuta, nie pajacuj, takie ciosy to dla mnie jak pierdnięcie, robią wrażenie, ale mocy sprawczej nie mają żadnej.

On znał ten uśmieszek. Przylepiony do tej ciemnej, cygańskiej twarzy, nieznamywalny i wróżący zawsze wszystko to, co najgorsze. Jak wtedy, gdy Dziki nakładał Alanowi na głowę kosz ze śmieciami na środku klasy i kazał mu paradować z nim przed wszystkimi uczniami, w tym przed dziewczynami. Albo gdy dorwał go ze swoją bandą po szkole. Ustawili go wtedy pod murem i obszczali mu spodnie do kolan.

– Dlaczego się na mnie uwzięliście? – zapytał, przetykając łzy.

– Bo jesteś leszcz, frajer i wieczny cwel. Znaczenia tego ostatniego epitetu wtedy jeszcze nie znał, jeszcze nie...

Szkutnik tańczył jak w ringu, wyprowadzał ciosy, ale było jasne, że nie dochodzą celu. Zaczynał się irtować. Widać to było po wyrazie jego twarzy. Dziki zęcznie unikał uderzeń, balansował ciałem, czekając na swój moment. Kilka razy doszło do wymiany ciosów, ale obaj nadal stali na własnych nogach.

– Kurwa, ja jebię! – Szkutnik w pewnym momencie zdarł z siebie koszulę, odsłaniając umięśnioną klatkę. Nie było tajemnicą, że więcej czasu spędzał na siłce niż w szkole. Wyprowadził kilka kopnięć, ale Dziki umiejętnie je zablokował.

A potem stało się to, co stać się musiało. Najpierw Dziki wyprowadził cios w brzuch. Alan dałby głowę, że nawet niżej, w jądra, a przecież to było nie fair. Chciałby krzyknąć, rozedrzeć się na cały głos: stop, no jak to, kurwa! Tak nie wolno, Dziki wali po jajach! Ale zacisnął tylko zęby, bo w tym momencie uświadomił sobie, że zwycięzców przecież nikt nie sądzi. Ważny jest cel, końcowy efekt, reszta to mentykowanie grzecznych panien. Szkutnik nagle się zatrzymał. Sflaczał, jakby uszło z niego całe powietrze. Dziki poprawił z główki, powalając przeciwnika na kolana. A potem skoczył na niego nogami, celując w głowę. Tańczył potem nad powalonym, kopiąc go z rozmachem w żebra i plując mu w twarz.

On ze ściśniętym sercem obserwował ten taniec zwycięstwa, ten triumf sprytu i brutalnej siły, pozbawionej wszelkich zasad i zahamowań. Dziki uosabiał wszystko to, czego on sam był pozbawiony. Uświadomił sobie, że musi coś zrobić z tym odkryciem, inaczej będzie tylko workiem treningowym dla tych zwierzaków, nieomylnym instynktem wyczuwających jego słabość i umiejących zrobić użytek z tej przewagi.

Dorwali go dwa tygodnie później nad rzeką, gdy łowił ryby. Lubił to zajęcie, te rzadkie chwile, kiedy był z dala od rozpijaczzonego ojca i gderliwej matki, chłonąc spokój bijący z rzeki jego dzieciństwa. Zauważył ich za późno, by uciec. Byli pijani i naćpani. Wiedział, że Dziki diluje w szkole używkami. Otoczyli go jak myśliwskie psy. Dziki miał nieprzytomne oczy, jego dwaj kompani zataczali wokół niego koła na czworakach, naśladując psy.

– Hau, hau, kurwa! Co to robi nasz Alanek, maminsynek jebany! Hau, hau, będzie zabawa, co nie, kurwa?

A potem złapali go, kazali mu klęknąć i przyciągnęli do drzewa. Czuł jak pień wrzyna mu się w plecy.

Dziki stanął przed nim i zaczął powoli rozpinać spodnie.

– Nie! – Szarpnęła się gwałtownie.

– Ależ tak, zrobisz to, co pan każe.

A potem wrócił do domu, zbrukany i zbezczeszczonego i długo mył zęby w łazience. Matki nie było, jak zwykle stała za kasą w Biedronce, ojciec leżał pijany na kanapie, włączony telewizor zagłuszał jego pijackie chrapanie. Żółta plwocina spływała mu z kącików ust, kapiała wolno na podłogę.

Dwa tygodnie później powrócił nad rzekę. Wiedział, że Dzik ma swój ulubiony zakątek, woda wyzłobiła w tym miejscu małą zatoczkę, ze zwisającym nad nią konarem drzewa. To było jego prywatne królestwo. Skakał z niego do wody na główkę, tylko jemu było wolno, inni mogli co najwyżej podziwiać jego wyczyny, siedząc na brzegu. Zresztą, i tak nie byłoby chętnych. Rzeka miała silny, meandrujący nurt, gałąź zwisała wysoko, a skoki były ryzykowne.

Poczekał do zmierzchu. Było cicho, słyszał świerszcze w szuwarach. Zaczął znosić kamienie z brzegu. Uformował z nich stos, a potem wchodził do rzeki i brodząc w wodzie po szyję, układał je na dnie tuż pod konarem. Potem rozsunął je nogą, wyczuwając ich twarde krawędzie końcówkami palców. Miało wyglądać naturalnie, nurt rzeki ciągle przecież żłobił koryto, odsłaniając dno.

W poniedziałek już pod szkołą zorientował się, że coś się stało. Przed wejściem stała grupka rozgorączkowanych uczniów. Początkowo słyszał tylko strzępki słów, oderwane fragmenty. Czuł, jak mocno wali mu serce.

– Skoczył na główkę jak zawsze. I nie wypłynął. Kozak był z nim, wszczął alarm, potem sam wskoczył do wody.

– Zasłabł czy co?

– Nie, jebnął bańką w kamienie!

– A niby skąd się tam wzięły? Przecież tyle razy skakał?

– A kto to, kurwa, wie? To dzika rzeka. Może miał pecha, skoczył trochę inaczej, ździebko w bok? Podobno pękł mu kręgosłup, leży jak kłoda w szpitalu.

– Ożeż!

Odwiedził Dzikiego tylko raz w szpitalu. Wyczekał, aż w izolatce nikogo nie będzie. Podeszedł do łóżka. Śmierdziało uryną. Dokładnie zlustrował wenflon, płataninę wężyków i rurkę od moczu doprowadzoną do bezwładnego ciała. Dzik patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem. Pochylił się nad chorym i uściśnił mu rękę bezwładnie zwisającą z łóżka. Tamten odpowiedział mu słabym uściskiem. Wtedy pochylił się nad nim i patrząc mu w oczy, splunął mu w twarz.

To był ten pierwszy stopień wtajemniczenia, ten próg wiodący do doskonałości. Drugi przyszedł na pierwszym roku studiów. Malwina od razu wpadła mu w oko. Zauważył ją na dziedzińcu uniwersytetu. Zgrabna, z promiennym uśmiechem, nigdy nieschodzącym z twarzy. Przypominała mu tę słynną narciarkę z USA, Lindsay Vonn, przy której zdjęciach się onanizował.

Był zbyt nieśmiały, by po prostu podejść i się z nią umówić. Potrzebował kilku tygodni, by dowiedzieć się o niej więcej. Studiowała prawo. Początkowo mieszkała w akademiku przy Żwirki i Wigury. Potem się wyprowadziła do kwatery prywatnej na Ochocie. Wyśledził gdzie. Poznał jej rozkład zajęć, warował w ukryciu pod dziekanatem, towarzyszył z oddali w jej przebieżkach po parku. Malwina stała się jego obsesją.

Zdecydował przypadek. Wpadł na nią w barze na Krakowskim Przedmieściu, oblała go zupą.

– Jezu, strasznie przepraszam. – Spojrzała na niego skonfundowana. – Ależ ze mnie gapa, gdzie ja mam oczy.

– Są piękne – powiedział niespodziewanie dla samego siebie. – To znaczy, te oczy...

– Co proszę? – Spojrzała na niego uważniej.

– Dobrze, że umiem pływać, inaczej bym się w nich utopił. – Wyczytał ten bajer gdzieś w internecie.

Ku jego zdumieniu, chwyciło. Roześmiała się, a on poczuł, jak wstępuje w niego jakaś nowa pewność siebie. Nie wyśmiała go, nie pożegnała się szybko, jak wszystkie przed nią, nie sięgnęła po jakąś wytartą, upokarzającą wymówkę, że musi, że już jest spóźniona, że właśnie teraz, gdzieś, coś....

Był zaskoczony i głęboko poruszony. Wszystko szło tak gładko. Zbudował sobie jakiś obraz tej dziewczyny: niedostępnej, nie z jego levelu, takiej, o której mógłby tylko pomarzyć, waląc konia pod koldrą, a tymczasem ona reagowała żywo na jego czerstwe żarty, uśmiechała się, jakby nie widziała jego przeraźliwie banalnej twarzy.

Wieczorem był już w jej mieszkaniu, zaprosiła go. Wynajmowała kawalerkę w starej kamienicy na Spiskiej. Wszedł do środka, podając jej kwiaty. Wydał na nie resztę kasy, jaka mu została.

– Dżizas, jakie piękne – odpowiedziała mu całusem w policzek. Miała wilgotne wargi. – Kto dzisiaj daje kwiaty? Jesteś taki inny...

– To znaczy jaki? – Nastroszył się.

– Romantyczny, delikatny, nie taki, jak ci drwale myślący tylko o jednym.

Chciał zaprotestować, powiedzieć, że i on jest takim rębajłą, że hej i że też potrafi, ale nagle zdenerwowanie powróciło. Było coś takiego w atmosferze tego mieszkania, w swobodnym zachowaniu dziewczyny, że nagle poczuł się nieswojo.

– Napijesz się? – zapytała.

– Jasne.

– Mam w lodówce piwo, Heinekena, może być?

– Lubię browar – odpowiedział, choć akurat piwa nie cierpiał.

Nie mogła usiedzieć na miejscu. Odstawiła po chwili szklankę na stole.

– Jakiej muzy słuchasz? – Pochyliła się nad przenośnym głośnikiem. Miała na sobie mini. Zobaczył skrawek jej stringów. Poczul erekcję. Była tak bolesna, że zacisnął zęby.

– No nie wiem. Może Perfect?

– No weź. – Roześmiała się głośno. – To już démodé.

– A ty?

– Słucham tego, co mi w duszy gra. Rapu, ostrego rocka najczęściej. Puszczę ci coś.

Ciszę w pokoju rozerwał ostry dźwięk gitarowego riffu.

– Znasz to? – rzuciła mu pytanie.

– Jasne – skłamał gładko.

– Muse. Uwielbiam Matta Bellamy. Ten jego falset... Gościu naprawdę jest seksowny.

Rzuciła sandały i zaczęła tańczyć na środku pokoju. Wiła się wężowymi ruchami w górę i w dół, kręcąc pupą, a on poczuł jak powietrze w mieszkaniu nagle zgęstniało.

– Przyłączysz się? – rzuciła ku niemu, nie przerywając tańca.

Chyba nie miał wyjścia, więc dołączył do tego kopulacyjnego kręgu, próbując naśladować jej ruchy, udając, że jest na totalnym luzie. I że wszystko okej, spoko luzik, normalka, przecież co chwila odwiedza laski w ich kwaterach i żadne odsłonięte długie nogi na niego nie działają, bo do tego trzeba by dużo więcej, dla takiego rębajły przecież...

– Teraz chciałam ci ładnie przeprosić za tamto. – Zatrzymała się nagle i poszła bliżej, a on poczuł, że to powietrze nie tylko gęstnieje, ale także ciem-

nije, jakby żar za oknem wypalił wszystkie barwy.

– Tak? – Poczuł, jak szumi mu w głowie.

– Najpiękniej jak potrafię. – Klęknęła przed nim.

Poczuł jej palce na swoim rozporoku, zręczne i zadziwiająco wszędobylskie. Widział z góry odrosty na czubku jej głowy, nierówny przedziałek. Powinien skakać z radości, że to już i wreszcie, że spełni się sen wiecznego onanisty, ale zamiast tego czuł tylko strach i obawę, czy sprostą, czy to nie przyszło za wcześnie.

– Co my tu mamy? – Usłyszał jej głos i poczuł jej usta na swoim członku.

Po kilku sekundach było po wszystkim.

– Już? Jaja sobie robisz? – Malwina wstała gwałtownie z kolan.

Nie odpowiedział, wsłuchany w głuchy łomot swojego serca.

– Po coś tu przyszedł, chłopaczku? Jesteś prawiczkiem, prawda? – Zaśmiała się, a on w tym śmiechu usłyszał wszystkie odcienie wzdargy, ośmieszenia i kpiny.

Zbiegał po schodach, a ten śmiech niewidzialnym pejcem chlastał go po twarzy, przyklejał się do niego, nie dając się zagłuszyć, ani wywabić, niczym niezmywalny stempel. To wtedy postanowił sobie, że już nigdy nie będzie ofiarą, ale zawsze myśliwym. Te wszystkie kobiety, które pojawiły się później, których równie mocno nienawidził, co pożądał, tak naprawdę spłacały dług za tę pierwszą dziwkę ze Spiskiej, która stanęła na jego drodze.

Teraz się potknął, to prawda, bo stracił czujność. Zdarza się. I tak nie mogli go ukarać, bo przecież owce nie mogą powstrzymać lwa. Myślał, że wpadł w ich sidła, ale na dłuższą metę to tylko pozór. Przeczeka zły czas, wywinie się z opresji, pieniądze potrafią zdziałać cuda. Tak to już jest na tym świecie. A potem się odegra.

Epilog

Miesiąc później

1.

Smuga podszedł do okna. Ten urlop był im obojgu potrzebny. Najpierw odzyskali Karolinę – teraz po afrykańskiej traumie próbowali powrócić do normalności i odzyskać siebie. Wynajął przez Booking mieszkanie w nowym apartamentowcu na Śląskiej w Gdańsku. Mieli stąd blisko nad morze i do parku przy Pałacu Opatów w Oliwie. Jeździli na rowerach, pływali w morzu. Odkryli świetną knajpkę Tu Można Marzyć i próbowali nie myśleć o tym, co było.

Po powrocie z Pemby Agnieszka zniknęła na dwa tygodnie w rodzinnym domu. Rozumiał to, musiała nacieszyć się siostrą, nie rozstawały się nawet na chwilę. Karolina szybko dochodziła do siebie. Jej historia stała się głośna. Smuga dotrzymał słowa, wyłączność na jej opisanie otrzymał Juras. Po jego artykule w „Super Expressie” odezwała się renomowana klinika chirurgii plastycznej i zaproponowała bezpłatny zabieg usunięcia szpecącej blizny z twarzy. Operacja przebiegła podobno pomyślnie. Zbliżał się dzień ściągnięcia opatrunku.

Sam Smuga z rosnącą irytacją walczył ze swoją nagłą popularnością. Miał swoje pięć minut, a pragnął jedynie spokoju. Urywały się telefony od mediów z prośbami o wywiad. Wszystkie odrzucał. Zgodził się jedynie na rozmowę po Faktach w TVN-ie i szybko tego pożałował.

– Pewnie czuje się pan bohaterem? – Padło pierwsze pytanie.

– Ani trochę. – Wzruszył ramionami.

– Jednak znalazłoby się kilka powodów. – Nie ustępował dziennikarz.

– Niby jakich?

– Odnalazł pan i uratował dwie kobiety, w tym zaginioną przed pięcioma laty Karolinę Sikorowską.

– To zasługa mojej partnerki, siostry Karoliny. Wykazała odpowiedni hart ducha i nieustępliwość wtedy, gdy było to niezbędne. Ja tylko asystowałem.

– Niedyś służył pan w policji.
– Jednak przygotowaliście się do rozmowy. – Skrzywił się Smuga.
– Pewnie tam teraz żałują, że zrezygnowali z takiego asa.
– Nie sądzę. Do dziś świętują moją rezygnację.
– Zapewne nie może się pan teraz opędzić od zleceń jako najsłynniejszy detektyw w kraju.

– Najsłynniejszy to jest detektyw Rutkowski. Ja nie mam takiej ładnej fryzury.

Po programie podszedł do niego przesłuchujący go dziennikarz.

– Trudno się z panem rozmawiało – powiedział.
– Jestem mało medialny.
– Dlaczego w takim razie zgodził się pan na rozmowę?
– Bo dzwoniliście do mnie piętnaście razy dziennie. Miałem do wyboru: łączyć komórkę albo przyjść do programu. Wybrałem to drugie. To była chyba zła decyzja.

Agnieszka leżała zwinięta w kłębek na leżaku. Jego uwagę przyciągnęła otwarta książka na podłodze. Spojrzał na tytuł „Droga do szczęścia – czyli zawsze pod górę”. No jasne, w dół to byłby przecież banal. Jak to mawiał stary Tobiasz? „Szczęście jest bliżej, niż myślimy: w dobrym uczynku na przykład i czasami jest go tam więcej niż w całym długim ludzkim żywocie”.

– Dobrze się spisałaś w Afryce – powiedział. – Ten włam do biura Blumego... No, wow.

– Jestem już dużą dziewczynką. A ty naprawdę się do mnie przywiązałeś?

– Ja tak powiedziałem?

– No wtedy, Blumemu.

– Nie łap mnie za słówka.

– I jestem warta więcej niż sto tysięcy zielonych? To znaczy, ile dokładnie?

– Tak mi się tylko powiedziało. To były negocjacje.

– Dzban.

– Chyba wymienię cię na młodszą.

– To chyba musiałbyś poszukać w liceum.

– Mniam.

– Wiesz, że to ja trzymam twoje tabletki?

– Pożartować nie można?

Wracali do życia? Wyszedł do kuchni i spojrzał na półkę w kuchni. Fakt, kończyły mu się tabletki xanaxu. Znowu będzie musiał prosić o receptę. Nagle ożył wyciszony telefon. Wpadł w wibrację, kręcąc się w kółko wokół własnej osi. Spojrzał na wizjer: kierunkowy 255, Tanzania.

Później wielokrotnie wspominał ten moment. Tę ciszę w mieszkaniu, widok na wieżowiec Olivia Star w oknie, dziwny odbłask na szybie układający się w skrzydła anioła. Są takie chwile, kiedy czas gubi swój wytyczony bieg, dostaje zadyszki i zwalnia, by po chwili ze skumulowaną energią wyrwać do przodu jak amstaff zwolniony z uwięzi. Te mikro pauzy z reguły są złowieszcze. Zapowiadają jakieś nieszczęście, ryzykowny przełom, po którym nic już nie jest takie jak poprzednio. To był właśnie taki moment.

Kwadrans później dotknął delikatnie ramienia Agnieszki. Przysnęła, wybudzała się niechętnie, wtulona w miękki koc. Na jego widok uśmiechnęła się. Miała ten uśmiech wszędzie: w kącikach ust, oczach, układzie zmarszczek na czole. Uwielbiał tę minę, a teraz musiał wymazać ją z jej twarzy.

– Odebrałem telefon – powiedział.

– Tak? A kto dzwonił? Karolina? – Przeciągnęła się.

– To z ambasady. Z Tanzanii.

Widział, jak nagle tężeje, jak pojawia się mars na jej czole.

– Wieści z sądu? – Usiadła na leżaku.

– Można tak powiedzieć.

– Kiedy proces?

– Nie będzie procesu.

– Jak to? – Usiadła gwałtownie na leżaku.

– Miałem przed chwilą długą rozmowę z ambasadą. Sędzia zdecydował o zwolnieniu Benesza z aresztu.

– Żartujesz?

– Nie. Podobno brakowało wiarygodnych dowodów jego winy. Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że Alan zatrudnił prawników z najbardziej renomowanej kancelarii w Dar es Salaam: wyłącznie Afrykanów, do tego dobrze poukładanych z władzami.

– Przecież to absurd. Zbudował prywatne więzienie na terenie hotelu w olejarni, więził, wykorzystywał i torturował te kobiety... Karolina złożyła przed sądem obszernie uwierzytelnione zeznanie, w którym opisała cały ten koszmar...

– Ta druga uwolniona kobieta wycofała swoje oskarżenie. Doszło do ugody pozasądowej. Możemy się tylko domyślać, że nie za darmo. Benesz całą winę zrzucił na Ahmeda.

– Jak to?

– Zeznał, że nie miał pojęcia o tym, co działo się w olejarni na zapleczu hotelu. Prowadzenie interesu oddał praktycznie w ręce swojego najbardziej zaufanego pracownika. To Ahmed rzekomo zarządzał hotelem, jako tubylec znający miejscowe stosunki. Benesz dbał tylko o finanse i dobry marketing w internecie. I Ahmed zawiódł to zaufanie. Benesz żałuje, że nie wykazał należytej ostrożności, ale to nie przestępstwo.

– Ale przecież Karolina złożyła zeznania, my także. – Nie ustępowała Agnieszka. – To Benesz jest w nich oprawcą, a nie jego sługus.

– Sąd uznał, że te zeznania nie są wiarygodne.

– Przecież rozmawialiśmy z policją na Zanzibarze. Twierdzili, że nasze zeznania są wystarczającą podstawą do wszczęcia procesu. Wręcz sugerowali nam powrót do kraju!

– Ale sytuacja się zmieniła. Prawnik Benesza twierdzi, że nasze bezpodstawne oskarżenie, to sprytna próba wyłudzenia odszkodowania finansowego za czyny, których jego klient nigdy nie popełnił. Poza tym Karolina pojawiła się przecież na wyspie z własnej, nieprzymuszonej woli. Trudno więc tu mówić o porwaniu. Sędzia podzielił tę argumentację.

– Jezu, przecież ten potwór przetrzymywał ją siłą przez pięć lat, gwałcił, a na koniec okaleczył!

– Benesz wszystkiemu zaprzecza. Twierdzi, że sprawcą wszystkich tych nieszczęść był nie on, lecz Ahmed. Powtarzam, sąd dał wiarę tej wersji, forsowanej przez prawników Benesza.

– Przecież to absurd! Po co Karolina przyleciała na Pembę? Przecież zwałił ją tam Benesz, a nie jakiś Ahmed!

– Benesz nie wypiera się znajomości z Karoliną. Twierdzi, że poznał ją przez internet, spotkali się, spali ze sobą. I Karolina zwariowała na jego punkcie. Benesz określa ją mianem nimfomanki. Przyleciała za nim do Afryki, mieli stosunki seksualne, ale za jej zgodą. A potem stała się namolna, więc kazał jej wracać do kraju. Wymeldowała się z hotelu, księga meldunkowa – zapewne sfalszowana – to potwierdza. A potem zniknęła. Benesza nie było w tym czasie w hotelu, przebywał służbowo w Chake Chake. Ma na to świadków, oczywiście możemy się tylko domyślać, że to alibi także sobie spreparował.

– I to wtedy Ahmed miał ją uwięzić?

– Taką wersję sobie wymyślili. A Alan nigdy nie zaglądał do olejarni, nie miał po co.

– I sąd to kupił?

– Tak. Zdaniem sądu Ahmed jest podejrzanym o popełnienie wszystkich tych czynów i to bez wiedzy swego pryncypała. Skorzystał po prostu z okazji, wciągnął w pułapkę dziewczyny, opuszczone przez swego szefa. Przygotował skrytkę w starej olejarni, do której rzekomo Benesz nigdy nie zaglądał, zniechęcony legendą o zatruciu biologicznym w tym opuszczonym budynku. Na pytanie ambasady o dalsze kroki prawne, sąd odpowiedział uprzejmie, że wymiar sprawiedliwości poszukuje Ahmeda, ale ten rozplynął się we mgle. Na pewno nie ma go już w Tanzanii. Od momentu tych wydarzeń nikt go już nie widział. I pewnie długo nie zobaczy.

– No jasne.

– Zapewne za pieniądze Benesza próbuje przeczekać gdzieś w jednym z ościennych krajów. Zresztą może go tak wcale nie szukają. Prasa tanzańska skwitowała całą aferę kilkoma lakonicznymi wzmiankami. Polecenie na pewno przyszło z góry. To autorytarny kraj. Możemy się tylko domyślać, że w interesie władz nie leży nadawanie tej sprawie rozgłosu, mogłaby odstraszyć turystów z Zachodu. A turystyka to przecież podstawowy biznes na wyspie. Moim zdaniem próbują to zamieść pod dywan.

– Polećmy na Pembę raz jeszcze i złożmy ponownie zeznania!

– To nic nie da. – Smuga pokręcił głową. – Wszystko to, co ważne i co chcieliśmy przekazać w tej sprawie, zostało przecież zaprotokołowane. Możemy apelować i na pewno to zrobimy. Ambasada deklaruje pomoc prawną w tej kwestii, na szczęście zostawiliśmy ich prawnikowi stosowne pełnomocnictwa w tej materii.

– Pamiętam.

– Złożymy apelację i zobaczymy, czy ją uwzględnią.

– A co, jeśli ją odrzucą? Sam mówisz, że Benesz ma pewnie na wyspie układy.

– Wtedy się zastanowimy.

– Marek, on nie może się wywinąć. Nie po tym, co zrobił Karolinie. I innym dziewczynom... – Miała rozpacz w oczach.

Smuga nie odpowiedział.

– A więc to wszystko na nic? Ten potwór będzie na wolności? Za jakiś czas wypłynie w jakimś innym miejscu Trzeciego Świata i będzie robił to samo: zwabiał i krzywdził niewinne dziewczyny.

– Nie mów, że to wszystko na nic. Odnaleźliśmy twoją siostrę. Jest wolna – zaprotestował.

– To nie wystarczy – powiedziała stanowczo. – Ten bydlak musi ponieść karę. Karolina przeżyła piekło. Omotał ją, oszukał, a później zamienił jej życie w koszmar. Gwałcił ją przez pięć lat w najbardziej sadystyczny i zбочony sposób. Dziewczynie, która miała wcześniej tylko jednego stałego chłopaka. Uciął jej palec. Pociął twarz. Wiesz, że na pośladkach ma wypalony ślad? Ocechował ją jak bydło na pastwisku!

– Tak, wiem...

– Przecież to koszmar. Ona wraca do siebie, bardzo się o to staramy z matką. Ale nie mam pewności, czy kiedykolwiek będzie w stanie zapomnieć o tej traumie. I czy będzie mogła jeszcze zaufać mężczyźnie, pokochać go, mieć z nim dzieci... Rozumiesz to?

– Staram się.

2.

Sześć tygodni później

Benesz podkreślił z wysiłkiem po raz ostatni kołowrotek i podciągnął wędzisko. Nareszcie! Ryba miała wydłużony kształt, jej pręgowane ubarwienie skrzyło się w słońcu. To była wahoo, piękna zdobycz. Nie na darmo nazywano ją także bonito i królową ryb. Złapał ją, spinningując na oceanie niedaleko od brzegu. Miał za sobą zażartą walkę, bolały go przedramiona i czuł skurcz w nogach. Oparcie krzeselka wędkarskiego wrzynało mu się w spocone plecy. To była prawdziwa wojna z drapieżnikiem, przeciąganie liny trwało trzy kwadransy. Spojrzał na swoje palce: były zdarte do krwi. Ryba długo nie chciała się poddać. Przeżył nawet moment, gdy pomyślał, że przegra, mimo iż był doświadczonym wędkarzem. Dysponował wytrzymałym wędziskiem i wystarczającym zapasem żyłki, a jednak lina ginęła w zastraszającym tempie w mor-

skiej toni. Wahoo trzymała się wód powierzchniowych, walczyła z nim, uciekając zakosami w głąb oceanu.

Otarł pot z czoła i spojrzął na przewodnika kierującego łodzią, podświadomie szukając w jego oczach uznania.

– Okej, mister Benesz. – Na twarzy Afrykanina pojawił się przyjazny uśmiech.

Okaz rzeczywiście był imponujący, wahoo miała co najmniej metr długości. Podszedł do ryby i uwolnił z jej pyska wobler. Dobrze wybrał przynętę, a przecież zastanawiał się nad inną błyską. Przejechał palcem po płetwie grzbietowej, przypominała ostry grzebień. Była trochę mniejsza niż płetwa żaglicy, którą złowił kilka dni wcześniej. Podniósł rybę na lince do góry, przyglądając się jej z bliska. To był udany poranek. W odległości kilku metrów minęła ich jakaś łódź. Stojący przy sterze wysoki mężczyzna na jego widok podniósł do góry kciuk w geście uznania.

Po wyjściu z aresztu Benesz postanowił zniknąć na jakiś czas z Tanzanii. Zamknął hotel i zadekował się w Vanga, małej osadzie tuż za granicą kenijską. Wynajął obszerny dom i strażnika, który nie spuszczał go z oczu nawet w nocy, gdy szedł do sracza. Obejrzał się za siebie. Ali leżał na rufie łodzi, przykryty wielkim słomkowym kapeluszem. Spod wielkiego cielska wystawała lufa karabinu.

Spędzał czas na łowieniu ryb, piciu i uprawianiu seksu z miejscowymi prostytutkami, które sprowadzał taksówkami aż z Mombasy. Musiał przeczekać zły czas. Ta gównoburza sama się uspokoi, ludzie mają krótką pamięć. Żaden skandal nie żyje dłużej niż parę dni, co najwyżej kilka tygodni. Zwłaszcza tutaj, w Afryce, gdzie tak naprawdę nikogo nie obchodziło pranie czyichś brudów i rozgrywki pomiędzy białymi. Tubylcy mieli swoją wojnę i swoje piekło.

Dał znać przewodnikowi, że wracają i może zająć się oporządzeniem ryby. Zanim dopłyną do brzegu, wahoo będzie już wypatroszona i poćwiartowana. A potem w ogrodzie poczeka, aż Ali usmaży mu mięso na grillu. Sięgnie po butelkę osiemnastoletniego Glenfiddicha i poczyta Dostojewskiego. Na noc wezwie tę kurewkę z Mombasy, małe zwierzątko, nienasycone niczym barrakuda. Tak też można żyć, przynajmniej przez jakiś okres.

Wszystko ma swój czas. Zemsta także. Nadejdzie dzień, gdy będzie gotowy. Powróci wtedy do kraju i zajmie się spłatą starych porachunków. Najpierw zlikwiduje Smugę. Przesuwał w głowie różne pomysły, ale żaden nie wydawał mu się wystarczająco wyrafinowany. Pewne było jedno: że ten szczywany skur-

wysyn musi cierpieć i skwierczeć na ogniu, jak ta ryba, którą wrzuci na rozgrzany ruszt Ali. Ma boleć i to mocno. A potem zajmie się Agnieszka, równie troskliwie jak jej siostrą. Przez dłuższą chwilę obracał tę myśl w głowie, sprawiało mu to przyjemność. Czuł jak rośnie w nim adrenalina i pożądanie. Najpierw jedna siostrunia, potem druga. Szkoda, że nie ma ich trzech, byłoby jak u Czechowa. Czasami miał wrażenie, że te myśli są wyabstrahowane od jego ciała: tego worka wypełnionego wodą, płynami ustrojowymi i kośćmi. Lęgły się w jego głowie niejako samodzielnie, niezależnie od jego woli, żyjąc własnym oddzielnym życiem. To one sprawiały, że miewał wrażenie chaotycznego dualizmu, podwójnego ego, że niekiedy czuł się obco we własnym ciele.

Zszedł do kokpitu łodzi, by umyć i zdezynfekować ręce. Nałożył plaster na zraniony przez linkę kciuk. Wyszedł ponownie na pokład i spojrzał w stronę brzegu. Pasek wybrzeża stał w miejscu.

– Dlaczego stoimy? – rzucił w stronę mostka.

Nikt mu nie odpowiedział. W tym momencie uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Silnik ucichł, łódź kołysała się na fali. Nigdzie nie widział przewodnika. Podeszedł do Alego i kopnął go w sterczące buty. Strażnik nie zareagował. Ponowił kopnięcie. Słomkowy kapeluszczyk zsunął się z twarzy Afrykanina. Przez szyję Alego przebiegała krwawa pręga. Benesz potrzebował sekundy, żeby zrozumieć, że to śmiertelne cięcie. Karabin zniknął.

– Co jest... – urwał, wyczuwając czyjąś obecność za swoimi plecami. Odwrócił się wolno, jakby nie chciał prowokować zła. Jednak ono już stało tuż przed nim. Miało postać wysokiego Afrykanina, którego kilka minut wcześniej zauważył na mijającej ich łodzi. Tamten już się nie uśmiechał. Trzymał w ręku kałasznikowa wymierzonego w pierś Benesza.

– Na kolana – powiedział, akcentując te słowa wymownym ruchem automatu.

– Czego chcesz? – Benesz zwilżył spieczoną wargę językiem i rozejrzał się dookoła. Zza burty wystawała łódź napastników. Drugi z nich stał na pokładzie z automatem na ugiętych rękach. Na widok Benesza pomachał mu kpiącą ręką.

– Kim jesteście?

– Dobrymi ludźmi.

– To porwanie dla okupu? Nie jestem nikim ważnym.

Pytanie zawisło w próżni. Intruz wpatrywał się w niego z niewzruszoną twarzą.

– Dogadajmy się. – Benesz uznał, że musi zyskać na czasie.

– Dużo gadasz.

– Mam kupę kasy. Część w chacie na wybrzeżu, resztę w banku w Mombasie. Będziesz bogaty.

– Na kolana, psie. Albo odstrzelę ci łeb.

– Bądź mądry...

– Zamknij się. Nie rozumiesz po angielsku? – Mężczyzna najwyraźniej stracił cierpliwość. Uderzył Benesza kolbą automaty w głowę. Ten padł na pokład z szeroko rozłożonymi rękoma. Na poziomie oczu miał wyszczerzoną paszczę wahoo.

Gdy się ocknął, zbliżali się do brzegu. Wyczuł to po zapachu zgnitych glonów i skorupiaków, zalegających zawsze na plaży. Linką od wędki skrepowali przeguby dłoni i nogi.

Dobili do brzegu, słyszał chłopot ich gołych stóp w wodzie. Potem przerzucili go na swoją łódź i założyli mu opaskę na oczy. Rejestrował wszystkie odgłosy wyostrzonymi zmysłami. Szorowanie dna po brzegu. Znowu płynęli. Ile to trwało? Pięć minut, może dziesięć? Odpływali w bardziej ustronne miejsce, z dala od ludzkich oczu, co planowali?

Uderzenie dziobu o brzeg, widocznie byli na miejscu. Teraz znowu usłyszał szmer cichych głosów. Ktoś na nich czekał, teraz musiało ich być przynajmniej trzech. Usłyszał warkot uruchamianego samochodu. Musiał być stary, silnik dławił się i rzęził. Chwycili go za nogi i ręce i wrzucili jak worek ziemniaków do bagażnika. Usłyszał trzask zamykanej kłapy i niemal natychmiast zaczęło brakować mu powietrza. Zawsze cierpiał na klaustrofobię. Świadomość, że mógłby pozostać w tej rozgrzanej puszczy na zawsze była tak przerażająca, że zagryzł wargi do krwi. Musiał przywołać całą siłę woli, aby się uspokoić.

To przecież tylko banda czarnuchów. Poradzi sobie jak tyle razy przedtem. Przede wszystkim musiał rozszyfrować, kim byli, to było kluczowe zadanie. Ten na pokładzie wyglądał na Araba, ten drugi był bardziej ciemny, ale to jeszcze o niczym nie przesądzało. Na pewno nie było mowy o przypadku. Odrzucił możliwość, że zobaczyli łódź z białym, dzianym frajerem na pokładzie, łowiącym ryby i po prostu wykorzystali nadarzącą się okazję. Nie, ta wersja odpadała. Byli przecież uzbrojeni. Na pewno na niego polowali, skądś wiedzieli, że będzie na łodzi.

Więc kto to jest? Porywacze? Takie przypadki zdarzały się w całej Afryce, zwłaszcza tam, gdzie rosły w siłę ruchy islamskie. Mogli mieć wtykę w Vanga,

ktoś dał im cynk, że pojawił się bogaty Europejczyk, który łowi na oceanie i sprowadza dziwki. Tak, to trzymało się kupy. Jeśli jednak to porywacze, to dlaczego nie chcieli negocjować? Zostawili to sobie na później, chcieli go wystraszyć i zmiękczyć przed rozmową ze swoim bossem? Skurwysyny, zmełł w ustach przekleństwo.

Musi być bardziej przekonujący. Da im dwadzieścia tysięcy, to powinno tym gołodupcom wystarczyć. Nie zabiją go, bo co by im to dało? Swoją drogą to paradoks, że wyplątał się z poważnej matni w Tanzanii, a wpadł w to szambo tuż za bezpieczną, zdawałoby się, granicą. Jebany pech!

Nie ujechali daleko, może parę kilometrów. Samochód nagle stanął, kołyszac się na resorach. Dojechali do kryjówki tych skurwysynów? Nie spieszyli się z otwarciem kłapy. Pot zalewał mu oczy, brakowało powietrza, od kanciatej blachy bolały go plecy. Naradzali się, co z nim zrobić? Czy nadal go grillowali przed finalną rozmową o kasie? Słyszał przyciszone głosy. Przybył ktoś nowy. I chyba ważny. Odzywał się rzadko, tak jakby wydawał komendy. Niech to się wreszcie skończy. Da im dwadzieścia pięć tysięcy. Kurwa, jak mógł być tak nieostrożny?

Chrobot otwieranej kłapy, nareszcie! Benesz usiadł, zgarbiony, łapczywie łapiąc powietrze. Wyciągnęli go na zewnątrz i zerwali mu opaskę z oczu. Znajdowali się na polanie. Otaczał ją szpaler zielonych akacji. Tylko pośrodku wyrastało drzewo: wiekowy baobab z grubymi konarami. Stał pod nim mężczyzna, którego Benesz widział po raz pierwszy. Miał ciemną karnację jak Hindusi. W oczy rzucała się wyraźna blizna: placek ledwo zagojonej skóry na czole, biegnący w stronę skroni. Ubrany był w mundur moro, nie nosił broni. Jego dwaj towarzysze ciągle trzymali Benesza na muszce.

– Ty tu dowodzisz? – zapytał Benesz, mrużąc oczy.

Tamten skinął potakująco głową.

– Nie wiem, kim jesteście, ani nawet nie chcę wiedzieć. Zapłacę.

– Możesz się pomodlić – odpowiedział mężczyzna w moro.

– Jak to?

– Każdy ma prawo do godnej śmierci i rozmowy ze swoim Bogiem. Nawet ktoś taki jak ty.

– Nie chcecie moich pieniędzy?

– Nie.

– A czego?

– Sprawiedliwości.

Skinął ręką i nagle Benesz poczuł lasso zarzucone mu na szyję. Nie zdążył nawet zareagować, gdy pętla zacisnęła się, wgrzyzając mu się w skórę. Drugi koniec sznura przerzucili przez konar.

– Nie, kurwa, nie! Co wy robicie? – Próbował wierzgać, ale trzymali go jak na uwięzi. Mężczyzna w bandance trzymał naprężony sznur po drugiej stronie drzewa. Wyraźnie czekał na znak swojego dowódcy, aby dokończyć dzieła. Ten podszedł do Benesza, stanął obok niego i wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Zrobimy sobie zdjęcie – powiedział. – Przed – i po.

Benesz patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem, drżał jak osika na wie-
trze. Na jego spodniach wykwitła ciemna plama moczu.

– Po co to? – wybełkotał.

– Pan Smuga prosił.

KONIEC

Warszawa Międzyzylesie, listopad 2023

Od Autora

To była długa i inspirująca podróż. Zaczęliśmy ją razem z moim nowym bohaterem, Markiem Smugą, rok temu, gdy na rynku ukazała się „Czarna krew”. Opowieść, stanowiąca swoisty mix kryminału retro i współczesnej powieści sensacyjnej, przypadła Wam do gustu. Została świetnie przyjęta i niespodziewanie dla mnie zdobyła nagrodę Złotego Kościeja jako Kryminał Roku 2022.

Cieszył mnie zwłaszcza odbiór Marka Smugi. Nie jest to bowiem bohater typowy – a raczej heros w mocno pogiętej zbroi. Smuga uparcie docieka prawdy, ale jednocześnie walczy z własnymi demonami. Aby rozwiązać zagadkę, musi przełamać pętającą go słabość i dotrzeć do granic własnych możliwości. Jest inny niż Abell, Kukulka, czy Berg – a jednak dzięki czytelnikom znalazł swoje własne miejsce w galerii wykreowanych przeze mnie bohaterów literackich. Za to Wam dziękuję!

„Kruchy lód” to kolejna odsłona tej przygody. Tym razem chciałem opowiedzieć zupełnie odmienną historię: sensacyjną, gęstą, wielowarstwową i na pół egzotyczną. Smuga i Agnieszka tkwią w okowach własnego piekła i potrzebują czasu, by zrozumieć, że jest to piekło – jak u Dantego – o wielu kręgach. Dzięki tej książce powróciłem do Afryki: na Zanzibar i Pembę, do miejsc, które kiedyś wywarły na mnie niezatarte wrażenie.

Pomysł na tę książkę wykuwał się długo, korciło mnie, aby połączyć sensacyjną fabułę i afrykańskie tło – z przesłaniem, że zło często ma nieoczywistą twarz. Jeśli lubicie podobne klimaty, to jest nadzieja, że spodoba się Wam także „Kruchy lód”.

Na koniec kłaniam się nisko mojemu wydawcy, Rafałowi Bielskiemu, który nieodmiennie wierzy w moje pomysły i stoi przy moim boku. Pisanie to czynność samotnicza – tacy wydawcy są więc na wagę złota.

Przypisy

1 Pemba – wyspa oddalona około 50 kilometrów na północ od Zanzibaru i niemal tyle samo na wschód od kontynentalnej części Tanzanii. Wraz z Zanzibarem tworzy region autonomiczny Tanzanii. Zajmuje powierzchnię 984 km², jej długość to 110 km, a szerokość – 40 km.

Nazywana jest „zieloną wyspą”, a tutejsza mozaika lasów, bagien, namorzynów, ukrytych przed światem plaż i lagun stanowi idealne warunki do relaksu. Wszystko to przyciąga turystów, dzięki którym turystyka stanowi podstawowe źródło utrzymania mieszkańców. To właśnie stąd pochodzi niemal 70% światowych zasobów egzotycznej przyprawy – goździków.

2 <https://afryka.org/niespokojnie-na-zanzibarze/>

3 Prison Island to obowiązkowy punkt zwiedzania podczas pobytu w Stone Town na Zanzibarze. Tak naprawdę pod tą nazwą kryje się wyspa Changuu, położona około 6 km od Stone Town.

4 Zanzibar liczył wówczas około 230 tysięcy Afrykanów, których część deklarowała pochodzenie perskie i określała się jako Szirazowie. Na wyspie mieszkało też 50 tysięcy Arabów i 20 tysięcy osób głównie pochodzenia hinduskiego. Obie te nacje stanowiły więc mniejszość, ale w rzeczywistości, przy poparciu Anglików, zdominowały gospodarkę i politykę państwa. Co istotne, główne partie polityczne zorganizowane są według klucza etnicznego, a nie ideologicznego. Arabowie skupili się w Nacjonalistycznej Partii Zanzibaru (ZNP), a Afrykanie założyli Partię Afroszyrazyjską. Trzecią siłą była Ludowa Partia Zanzibaru i Pemby. W wyborach w 1963 roku, zorganizowanych w związku z uzyskaniem niepodległości, partia rdzennych mieszkańców Afryki zyskała 54% głosów. Jednak, na skutek niesprawiedliwej ordynacji wyborczej, większość zachowali Arabowie, którzy przystąpili do wzmacniania swojej pozycji. Gdy niezadowoleni socjalistyczni działacze, wywodzący się z Partii Nacjonalistycznej, założyli w tym samym roku odrębną partię Umma, rząd nacjonalistów arabskich, obawiając się utraty władzy, zdelegalizował partię i wyrzucił z pracy wszystkich policjantów pochodzenia afrykańskiego. Policja została zastąpiona oddziałami paramilitarnymi. Rząd poprosił też wojska brytyjskie o pozostanie na wyspie, jednak Wielka Brytania odmówiła, obawiając się wybuchu wzmożonej aktywności ugrupowań prokomunistycznych na wyspie. Część Brytyjczyków dalej działała w arabskiej administracji rządowej.

5 Według ONZ w Tanzanii od 2013 roku rośnie liczba ataków na albinosów. Władze Tanzanii próbują walczyć z tym procederem. Jak podaje agencja AFP, tylko w roku 2013 podczas operacji policyjnej, prowadzonej na razie tylko w najbardziej dotkniętych prowincjach na północy kraju, zatrzymanych zostało 225 uzdrowicieli i wróżbitów, którzy działali bez zezwolenia. 97 z nich stanęło już przed sądem.

6 Brytyjczycy nie zaakceptowali uzurpatora na tronie. Wysłali więc ultimatum wzywające go do abdykacji. Niechciany sultan odrzucił ultimatum i zaczął gromadzić w stolicy znaczne siły wojskowe – prawie 3 tysiące wojowników.

Anglicy wprowadzili do portu dwa krążowniki: HMS „St. George” i HMS „Philomel”, a także trzy kanonierki. Rozpoczął się desant piechoty morskiej w porcie. Ostrzał brytyjski i zbliżanie się piechoty morskiej spowodowały popłoch w szeregach zwolenników nowego sultana. Pechowy władca zbiegł do konsulatu Niemiec, gdzie zapewniono mu schronienie. W ręce Brytyjczyków Khalid wpadł dopiero w 1916 roku, kiedy w czasie I wojny światowej zajęli Tanganikę.

Wojnę zakończono po 38 minutach, kiedy poddały się ostatnie oddziały wierne sultanowi. W wyniku tej błyskawicznej wojny siły Khalida straciły niemal 500 żołnierzy. Straty brytyjskie ograniczyły się do jednego rannego żołnierza. Najważniejszym skutkiem wojny było utrzymanie Zanzibaru w brytyjskiej strefie wpływów, w której pozostał aż do uzyskania niepodległości w 1963 roku – pod nazwą Tanzania.

1* Czy to jasne? (franc.)

2* Silnie działający i uzależniający lek przeciwbólowy z grupy opioidów. Dużo bardziej niebezpieczny niż heroina oraz kokaina i około 100 razy mocniejszy od morfiny.

3* Partia Pracujących Kurdystanu – uznawana w wielu krajach Zachodu za organizację terrorystyczną.

4* Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (Bundesamt für Verfassungsschutz – BfV). Niemiecka służba kontrwywiadu cywilnego, utworzona i działająca od 1950 roku jeszcze w Niemieckiej Republice Federalnej. Po upadku Muru Berlińskiego i zjednoczeniu państw niemieckich zajmuje się kontrwywiadem i ochroną tajemnicy państwowej w całych Niemczech.

5* Małgorzata Szejnert, *Dom zółwia. Zanzibar*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011, s. 9–10.

6* Jeffrey Epstein (1953–2019) – amerykański finansista, multimilioner, skazany za przestępstwa seksualne.

7* Na podstawie *Slavery Abolition Act* – ustawy brytyjskiego parlamentu z 28 sierpnia 1833, znoszącej niewolnictwo w imperium brytyjskim. Rezultatem uchwalenia tego aktu, który wszedł w życie 1 sierpnia 1834, było wyzwolenie ponad 800 000 Afrykanów na Karaibach i Afryce Południowej oraz w Kanadzie.

8* Pułkownik Walter E. Kurtz, grany przez Marlona Brando, jest bohaterem filmu Francisca Forda Coppola z 1979 roku *Czas apokalipsy*. Pułkownik Kurtz jest oparty na postaci XIX-wiecznego handlarza kością słoniową, zwanego także Kurtzem, z noweli *Jądro ciemności* Josepha Conrada z 1899 roku.

9* Khat – roślina o działaniu narkotycznym, uprawiana we wschodniej Afryce. Uzależnia silniej niż amfetamina.

10* Tonton Macoute – haitańska tajna policja, pozostająca pod bezpośrednią kontrolą François Duvaliera, a następnie Jeana-Claude’a Duvaliera podczas ich dyktatorskich rządów.

11* Naprzód! (suahili)

12* Uwolnij go! (suahili)

13* Fragment utworu „Rolling in the Deep” Adele: *Zobacz, jak odejdę z każdą częścią ciebie, Nie lekceważ rzeczy, które zrobię.*